

Grey Scale #13



Part Code
ST1316

DANES
-PICTA
.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





17/5

„Każdy winien obrać sobie bohatera
z którymby współpracował, wznosząc się
na Olimp”. *Goethe.*

ŚCIEŻKI MŁODOŚCI WIELKICH MĘŻÓW

Przekład dziełka

D-ra KONSTANTEGO HOLLA

„Die Jugend Grosser Männer”

uzupełniony opracowaniem 15-tu sylwetek

wielkich Polaków.

TŁUMACZENIA I OPRACOWANIA

DOKONAŁ

FRANCISZEK KABE

SERJA I.

Nakładem Autora.

SANDOMIERZ

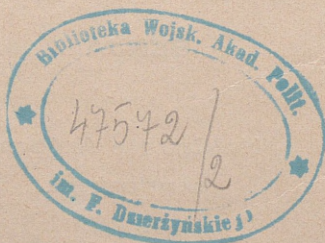
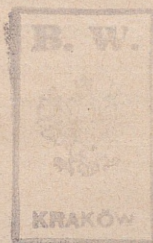
1929

Główny skład: Zawodowa Szkoła Żeńska w Sandomierzu,
ul. Mickiewicza 7.

92

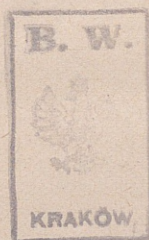
10087/1

Prawa autorskie zastrzeżone.



Odbito w „Drukarni Nowoczesnej” w Sandomierzu.

ŚCIEŻKI MŁODOŚCI
WIELKICH MĘŻÓW



**Spis imion i nazwisk mężów,
o których jest mowa w serji pierwszej.**

1.	Bernard z Clairvaux	1090—1153	str. 1
2.	Franciszek z Asyżu	1182—1226	9
3.	Tomasz z Akwinu	1225—1274	19
4.	Ignacy, Faber i Ksawery	XV—XVI wiek	27
5.	Piotr Kanizjusz	1521—1597	43
6.	Piotr Skarga	1536—1612	51
7.	Karol Boromeusz	1538—1584	61
8.	Stanisław Żółkiewski	1547—1620	69
9.	Stanisław Kostka	1550—1568	81
10.	Franciszek Salezy	1567—1622	97
11.	Bartłomiej Holzhauser	1613—1658	107
12.	Alfons Liguori	1696—1787	115
13.	Stanisław Konarski	1700—1773	125
14.	Jan Michał Denis	1729—1800	135
15.	Józef Haydn	1732—1809	145
16.	Tadeusz Kościuszko	1746—1817	155
17.	Jan Michał Sajler	1751—1832	189
18.	Klemens Hofbauer (Dwo- rzaczek)	1751—1820	197
19.	Krzysztof Schmid	1768—1854	207
20.	Andrzej Marja Ampère	1775—1836	217
21.	Józef Görres	1776—1848	225
22.	Jan Tschiderer	1777—1860	233
23.	Klemens Brentano	1778—1842	241
24.	Jan Vianney	1786—1859	251
25.	Józef Eichendorff	1788—1857	259
26.	Melchior Diepenbrock	1798—1853	269
27.	Wilhelm Achtermann	1799—1884	281
28.	Józef Führich	1800—1876	261
29.	Karol Marcinkowski	1800—1846	301
30.	Dominik Lacordaire	1802—1861	319

SPIS
rycin w serji pierwszej.

1. Piotr Skarga	Str.	51
2. Stanisław Żółkiewski	„	69
3. Stanisław Kostka	„	81
4. Stanisław Konarski	„	125
5. Medal Sapere Auso	„	134
6. Józef Haydn	„	145
7. Tadeusz Kościuszko	„	155
8. Józef Führich	„	261
9. Karol Marcinkowski	„	301

PRZEDMOWA

do polskiego wydania.

Te same pragnienia oraz pobudki, które skłoniły Konstantego Holla do napisania książki: „Die Jugend grosser Männer”, nakazały niżej podpisanemu jej przetłumaczenie, oraz dodanie sylwetek 15 naszych wielkich Polaków. Jedynie tego pragnę, by praca, której nadałem tytuł: „*Ścieżki młodości wielkich mężów*”, wzmogła, roznieciła i umocniła szlachetne dążenia i zasady w umysłach i sercach polskiej młodzieży, oraz by budziła w niej gotowość do systematycznej, wytrwałej, codziennej i ofiarnej, a zarazem radosnej pracy, a społeczeństwu starszemu była pomocą w uciążliwej rozbudowie duszy polskiej.

Jeżeli dziś skarżymy się prawie wszyscy na zanik i upadek silnych charakterów w odrodzonej Ojczyźnie, tem pilniej szukać należy lekarstwa na to niedomaganie, bo nikomu z nas nie wolno siedzieć na ruinach własnego narodu, pamiętając o słowach Wieszcza, że... „Bez serc, bez ducha—to szkieletów ludy!”

By więc przyjść z pomocą w pracy nad wychowaniem młodego pokolenia, które w przyszłości ma opromieniać siłą woli i potęgą duszy, starałem się w „*Ścieżkach*” przedstawić w przykładach głównejsze wartości

moralne, które muszą dotrzeć do głębi duszy czytelnika, jeśli mają wykrzesać dzielne, mocne, a przytem etyczne charaktery.

Pisząc o wielkich Polakach, daleki byłem od przejawienia lub bezmyślnej apoteozy polskiej martyrologji religijnej czy narodowej. Na pierwszy plan wysuwałem istotne, codzienne wartości ludzi, by młodzież zapalała się do codziennego, twórczego życia, by jej przyświecało hasło: nie umrzeć dla Polski, ale umieć żyć dla niej... pracować, stojąc wytrwale przy warsztacie codziennych obowiązków.

Piętnaście sylwetek wielkich Polaków, które dodałem do książki Holla, znacznie powiększyło jej rozmiar i dlatego „*Ścieżki młodości wielkich mężów*” wydaję w dwóch serjach.

Poprzestać na samem tłumaczeniu Holla nie mogłem, gdyż ten znalazł wielkich ludzi wśród Niemców, Francuzów, Włochów, Czechów i t. d..., Polaków zaś zupełnie pominął. Nietylko słuszna narodowa ambicja nie pozwalała mi na pominięcie rodaków, ale i sprawiedliwość, wyznaczająca Polsce właściwe stanowisko w areopagu znakomości świata, domagała się tego koniecznie.

Z wyjątkiem kilku Polaków, o których młodości wyłącznie jest tu mowa (bo ci skończyli życie w okresie młodości), o innych, ze względu na brak dostatecznego i wyczerpującego materiału, oraz pewnych danych odnośnie do ich życia w latach młodości, wspominam o całym ich życiu i poruszam głównejsze rysy całokształtu

ich działalności, porywów szlachetnych i szczytnych dążeń od młodości, aż do grobowej deski.

Stąd ramki „*Ścieżek*” z konieczności wypadło powiększyć, by w ten sposób i w tej książce stało się za-dosć wskazaniu Konopnickiej: „W ludzkości pochodzie du-chy polskie niech idą na przodzie”.

Źródła i pomoce, któremi się posiłkowałem, wska-załem tam, gdzie praca moja była samodzielna, wszystko inne jest tłumaczeniem z Holla.

W tym zespole znakomitych mężów znajdzie czytelnik: wodzów, których życie było pełne chwalebnych zwycięstw i bezgranicznych poświęceń; wielkich mężów stanu; uczonych, którzy potęgą swego geniuszu wydarli tajemnice naturze; artystów, którzy wszelkiego rodzaju piękno zakuli w różnych formach sztuki; uczciwych rzemieślników, umiających szarej, żmudnej i monotonnej pracy nadać aureolę obywatelskiej zasługi; gorliwych biskupów i kapłanów, którzy z zaparciem się i poświęceniem pielęgowali ducha swego narodu; cichych zakonników, którzy świat opuścili, by jako dobrowolni nędzarze i żebracy spalić swe życie na ołtarzu bezpośredniej służby Bożej, dla zbawienia własnej duszy i dla wiecznietrwałego dobra ludzkości.

Mimo różnaitości stanów, pochodzenia, wieku, zajęć i t. d... tych ludzi jedno łączy mianowicie dzielność i hart ducha w szarem, codziennem życiu, których fundament położyli w latach młodości, budując swą duszę na nieśmiertelnych zasadach Bożych, dobrych przykładach swych rodziców i wychowawców. Pracę nad

formowaniem i rozbudowaniem duszy prowadzili oni systematycznie i wytrwale, pokonywując wszelkie trudności, które spotykali na drodze swego powołania. A jeśli życie nawet wykoleiło którego z nich, walka dobrego ze złem w ich duszach kończyła się zwycięstwem i triumfem dobrego. I po tej, szczęśliwie zakończonej walce, tem wierniejsi byli ideałom, jakie wszczepiła w nich podwójna miłość: Boga i Ojczyzny.

Taki Stanisław Kostka, Żółkiewski, Kościuszko, Marcinkowski, Matejko, Tarnowski i wielu innych nie tworzyli sobie sztucznej chwały, ani nikt inny o to nie zabiegał. Wierność Chrystusowym zasadom, wcielonym w życie prywatne i publiczne, wyniosła ich na piedestały, na których oglądać ich będą całe wieki, czerpiąc z ich życia wzór zawsze piękny: umiłowania Prawdy, Dobra i Piękna.

Na takie nowe nawarstwienia naszego narodu czeka Chrystusowy Kościół, czeka Polska nasza zmartwychwstała...

Sandomierz, 15 czerwca 1928 r.

Franciszek Kabe.

PRZEDMOWA

do niemieckiego wydania.

Zbytecznem jest dowodzić, że wnikanie w szczegóły i pobudki życia wielkich ludzi głębokie ma znaczenie dla urobienia młodych charakterów, bo jak mówi stare przysłowie: „przykłady pociągają”. Ze wspomnień lat szkolnych najlepiej wiemy, jak chętnie czytaliśmy wtedy dzieje wielkich mężów.

Chrześcijańscy młodzieńcy mają nadzwyczaj piękne wzory w swoich świętych patronach: Stanisławie Kostce, Alojzym Gonzadze, Janie Berchmansie i innych. Książeczka niniejsza przedstawi im młodość innych mężów, którzy wielkimi byli nie tylko w pierwszych latach swej dojrzałości, lecz i w późniejszym wieku olśniewali urokiem swych czynów.

Są to ludzie każdego stanu, różnych temperamentów, którzy wzbili się na wyżyny ducha, krocząc przez życie już to z kwiatem niewinności, już to z pokorną i prawdziwą pokutą za popełnione swe winy i błędy. Ich cierpienia, walki i prace wskażą młodzieży, jak ma się zachować w życiowych trudnościach, ostrzegą ją przed błędami, podźwigną z upadku i zachęcą, by z zapałem szła ku ideałom. „Mogli inni, czemu ja bym nie mógł?” — „Prze- toż tedy i my, mając przed sobą tak wielki zastęp świad- ków, złożwszy wszelki ciężar i grzech, który nas ze- wsząd obstał, w cierpliwości bieżmy do boju nam wy- stawionego” (List do Żydów XII, I).

Książeczka niniejsza ma tytuł „czytania niedzielne”,

bo przede wszystkim w niedzielę winien się wznosić człowiek ponad szarżynę codziennego życia. Bierze wtedy udział w służbie Bożej, bo niedziela jest dniem Pańskim. Niedziela jest także dla nas dniem ciągle powracającej ku nam łaski Bożej, dlatego katechizm nas upomina, że w dniu tym powinniśmy przyjmować Sakramenta św., oddawać się pobożnemu czytaniu lub rozważaniu prawd wiecznych i chrześcijańskim uczynom miłosierdzia. Bez względu bardzo bogatym jest w błogosławieństwo Boże, jak pięknym sam w sobie zwyczaj młodego człowieka, jeśli w każdą niedzielę stara się poznać jakiego wielkiego męża i w następnym tygodniu stara się zwalczać jedną z wad własnych, albo ćwiczyć się w jakiejś cnocie, której wzór miał w czytaniu niedzielnej. Również pożądaną byłoby rzeczą dla każdego młodzieńca, aby dobrze poznał życie jednego z mężów, dla którego największy ma podziw i uwielbienie. Nic się nie czyta tak mile i pożytecznie, jak dobrze scharakteryzowane i żywo skreślone życiorysy. Niech ta książeczka znajdzie się w rękach wszystkich młodzieńców, którzy chcieliby wzorować się na jednym z podanych tu przykładów.

Hechingen, 30 lipca 1915 r.

Konstanty Holl.

BERNARD z CLAIRVAUX.

1090—1153.

Św. Bernard z Clairvaux był najbardziej wpływowym mężem 12-go stulecia. Książęta, królowie, biskupi i papieże szli za głosem tego pokornego zakonnika. Z cichego swego klasztoru kierował on światem, a za cel swego życia uważał zjednoczenie Europy w wierze i wzmocnienie jej przeciw Islamowi. On to pogodził Konrada Staufa z cesarzem Lotarjuszem III, on zwalczał zwycięsko błędne nauki ówczesne. Swem żywym słowem zebrał i wysłał na wschód 100,000 rycerstwa. Kiedy wracał z Włoch do ojczyzny przez Alpy, pasterze górscy zachodzili mu drogę, witali go okrzykami radości i chwalili się później w swoich pieczarach i schroniskach, że im błogosławił.

Kiedy przemawiał, zdawało się, że wylewał strumień ognia na słuchaczy.

Pewien współczesny pisarz mówi: „Jakże wiele uczucia z ust tych spłynęło! W mowie Bernarda było tyle życia i ognia, że żadne pióro, choćby nie wiem jak zręczne, nie mogłoby oddać tego płomiennego żaru. Miód i mleko zdawały się spływać z jego języka, a jednocześnie prawo ognia było na jego ustach”. Królowie i ministrowie, którym nigdy nie schlebiał w ich występkach i zgorszeniu, upokarzali się wobec jego nagany, jak przed ręką Bożą

i narody skupiały się koło niego w chwilach swego nieszczęścia.

Bernard przyszedł na świat w Fontaines, w Burgundji, 1090 albo 1091 r. Ojciec jego Tescelin i matka Aletha należeli do znakomitego szlacheckiego rodu.

Tescelin był wyjątkowym znawcą prawa, a jednocześnie i odważnym rycerzem; odznaczał się przytem zawsze bezwzględną sprawiedliwością względem wszystkich. „Nie pojmuję, zwykł był mawiać, że sprawiedliwość dla wielu ludzi jest czemś uciążliwem”. Aletha zaś należała do niewiast o wysokiej kulturze umysłowej i towarzyskiej, była ideałem pani na zamku i troskliwą matką dla wszystkich cierpiących. W stosunku do tych ostatnich nie zadawała się samem udzielaniem jałmużny, lecz osobiście odwiedzała chorych, pozbawionych koniecznej opieki, nawet sama im nieraz gotowała i myła naczynia kuchenne.

Bernard był trzecim z siedmiorga dzieci. Już wcześniej matka przeczuła jego wielką przyszłość. Jednego razu śnił się jej biały z czerwonymi centkami pies, głośno ujadający. Pewien świętobliwy zakonnik wyjaśnił to widzenie tak, że Bernard będzie stróżem domu Bożego i jako znakomity mówca poruszy swą wymową cały świat ówczesny. By wychować go odpowiednio do tych wysokich celów, poświęcała mu więcej czasu, niż innym. Sama, wychowana w surowej karności, usuwała bezwzględnie wszystko, co mogłoby dzieci prowadzić do zniewieściałości. Chłopcy musieli poprzestawać na skromnem ubraniu i na najprostszem jedzeniu.

Gdy Bernas miał około 8 lat, oddali go rodzice do znakomicie prowadzonej szkoły w Chatillon. Tu chłopiec pracował jednocześnie nad wzbogaceniem umysłu i uszlachetnieniem serca. Jako niezwykle uzdolniony, skończył z odznaczeniem triwjum, t. j. gramatykę, dialektykę i retorykę. Cicero, Wirgiljusz, Horacjusz, Beocjusz i inni

byli dlań najulubieńszymi pisarzami i później często i chętnie ich cytował w mistycznych swych pismach. Przeciwnik jego Berengarjusz robił mu nawet z tego zarzut, że się zanadto oddawał poezji. Jednak to gruntowne studjum przydało mu się jako mówcy i jako pisarzowi, gdy tworzył swe wspaniałe dzieła. Jak mówią jego biografowie, studjował literaturę tylko dlatego, by łatwiej wniknąć w myśl Pisma św., tej księgi Bożej, która prowadzi nas do zbawienia. Szczerą chęć zdobycia cnoty Bóg wynagrodził mu w szczególniejszy sposób. Razu pewnego spędzał Bernard ferje świąteczne Bożego Narodzenia u matki i chciał w noc wigilijną wziąć udział w nabożeństwie. Gdy już czas było pójść do kościoła, matka zwróciła się do niego, by już wychodzili z domu, lecz wtedy Bernard, drżąc na krześle, miał widzenie tajemnicy Bożego Narodzenia, przyczem Boskie Dziecię nachyliło się ku niemu i pieściło się z nim. Pamięć o tem zjawisku pozostała w duszy świętego na zawsze. W swoich późniejszych kazaniach mówił stale ze szczególniejszą miłością o tajemnicach Bożego Narodzenia i przez całe życie miał niezwykłą cześć dla Boskiego Dzieciątka i Matki Najśw.

W szkole Bernard starał się być dla wszystkich przyjacielskim i już wtedy podbijał wszystkie szlachetne dusze właściwym sobie urokiem, którym jaśniał przez całe późniejsze życie. Z natury był małomówny i lękliwy, uważał sobie za karę, gdy mu wypadło wystąpić publicznie i czuł się bardzo zakłopotanym, kiedy rozmawiał z jakimś nieznajomym. Z tego względu najchętniej przebywał w samotności. W szesnastym roku życia skończył naukę w Chatillon i powrócił do rodzinnego zamku w Fontaines. Wtedy spotkał go pierwszy cios życiowy. Matka, którą szczerze kochał, wpadła w ciężką, a nawet nieuleczalną chorobę. Z poddaniem się woli Bożej przyjęła Sakramenta św., wspólnie z krewnymi odmawiała z całą przytom-

nością umysłu „Modlitwy za konających“, i, gdy otoczenie mówiło słowa: „Przez krzyż i cierpienia swoje wybaw ją, Pani!“, zakończyła życie. Pamięć matki Bernard zachował na zawsze głęboko w sercu i nie zapomniał nigdy o żadnej z jej rad i wskazówek. Wtedy właśnie musiał obrać dla siebie drogę powołania. Długo się namyślał, zanim powziął stanowczą decyzję w tym względzie. Był pięknym młodzieńcem. Oczy miał błękitne, w których jaśniała czystość anielska i prostota gołębia, twarz pełna świeżości i miłego wyglądu, a obok tych zalet ciała posiadał niezwykle przymioty duszy, zwłaszcza łatwy dar słowa i głęboką wiedzę. To też wszyscy, którzy go znali, wróżyli mu wielką przyszłość.

Ale te zewnętrzne i wewnętrzne dary kryły w sobie wielkie niebezpieczeństwa dla niego. Uroda w młodzieńcu przy wybitnych zaletach duszy łatwo znajduje kusicieli, którzy stoją mu na zdradzie. Bernard prędko i łatwo lgnął do towarzyszy i to omal, że go nie wykoleiło. Że nie wpadł w zastawione nań sidła, zawdzięczał to dobremu wychowaniu, wrodzonej lękliwości, a przede wszystkim łasce Bożej. Oto próby, które przeszedł. Najpierw niechętnie, potem już z pewnem zadowoleniem zaczął brać udział w światowych rozrywkach. Pewnego razu podczas wycieczki z kolegami zajechał do obcego dlań zamku, i tam został na noc. Pani domu, oczarowana jego wdziękiem, postanowiła go uwieść i w tym celu naszała go w nocy. Bernard, obudzwszy się nagle, nie stracił przytomności i z całem zrozumieniem sytuacji zaczął wołać głośno: „złodziej, złodziej!“ Na ten krzyk zbiegła się służba, przeszukała cały dom, lecz nikogo nie znalazła, bo winowajczyni zdołała umknąć. Gdy na drugi dzień w powrotnej drodze koledzy żartowali z historii o złodzieju, przypuszczając, że mu się to tylko przyśniło, odpowiedział im Bernard: „zaniechajcie żartów, złodziej nie

był przywidzeniem chciał mi zabrać nie pieniądze: lecz niewinność". Biografowie opowiadają jeszcze o drugim wypadku, z którego Bernard wyszedł szczęśliwie, poznawszy wszakże na sobie ułomność natury ludzkiej. Wskutek nieostrożnego i ciekawego spojrzenia przyszła nań ciężka pokusa. Uciekł się wtedy do modlitwy, ale pokusa trapiła go dalej. Po krótkim namyśle rzucił się do pobliskiego stawu i w ten sposób zwyciężył złą skłonność. Tego dnia zawarł za przykładem Hioba przymierze z oczyma, by nie pozwalać sobie na żadną myśl o niewieście. Takie zdarzenia nastrajały go z biegiem czasu coraz poważniej. Życie światowe ze swemi ułudami napawało go obawą i budziło w nim żywą chęć usunięcia się do ciszy klasztornej. Podzielił się swoim zamiarem z braćmi. Dla nich sama nazwa klasztoru Citeaux była straszną, bo w ich pojęciu przypominała nietylko najsurowsze pokutne uczynki, lecz także najgrubszą ręczną pracę, jaką wykonuje najemnik lub prosty robotnik, czyli równała się według ówczesnych pojęć życiu niewolnika. Tymczasem Bernard, odczuwając niechęć do życia rycerskiego i dworskiego, sam rozumiał, że stanie się naprawdę pożytecznym, gdy się poświęci nauce, która kwitła w murach klasztornych Chatillonu. Różne jednak niemal codzienne perswazje braci, zaczęły chwiać nim poważnie. W końcu pokonała go chęć do nauki, do której czuł duży pociąg i wstąpił na uniwersytet niemiecki. Z radością powitali bracia tę decyzję i z wielkim pośpiechem pomogli mu przygotować się do podróży. Już był postanowiony dzień odjazdu i miejsce, w którym mieli się wszyscy zjechać na pożegnanie. Bernard przedtem wstąpił do kościoła, by wyblagać tam światło Boże dla siebie. Wtedy stanęła mu żywo w pamięci matka. Zdawało mu się, że karci go ona za niestałość. Wzruszony pada na kolana, pogrążając się w głębokim namyśle. Walka wewnętrzna

skończyła się obfitemi łzami i bezwzględnym postanowieniem porzucenia na zawsze ziemskiej kariery. Bracia, którzy oczekiwali z niecierpliwością w umówionem miejscu, byli tą zmianą niemile zaskoczeni. Próbowali go ponownie namówić do wyjazdu na studja, lecz wszystkie ich wysiłki były daremne. A nawet, jak się okazało wkrótce, nie oni jemu, a on im wskazał drogę życia, gdyż wszystkich pociągnął za sobą.

Stało się to tak: Wit, Gerard, Andrzej byli ze swoim wujem Gaudrichem pod dowództwem księcia Burgundji przy oblężeniu forticy Grancey le-Chateau. Wtem pewnego dnia oznajmił wuj nagle, że zdecydował się opuścić służbę wojskową. Trzej pozostali bracia domyślili się łatwo, co było tego bezpośrednim powodem, gdyż Bernard przybył w tym samym dniu do obozu. Wuj z bratankiem udali się zaraz do Tescelina, by uzyskać pozwolenie na wstąpienie do klasztoru Citeaux i otrzymali je bezzwłocznie. Bernarda ogarnęła wtedy niezwykła chęć, by pozyskać jeszcze nowych kandydatów z grona swojej najbliższej rodziny. Istotnie, wkrótce pociągnął za sobą Bartłomieja, najmłodszego swego brata. Trudniej było z Andrzejem, który bardzo tęsknił za sławą rycerską. Lecz Bernard umiał tak doń przemówić, że go przekonał, a nadto tenże odezwał się do Bernarda: „Zrób tak, by żaden z naszych nie pozostał w świecie, albo podziel mnie na dwie części, bo nie wyobrażam sobie życia bez ciebie i bez nich”.

Nie trzeba było długo zachęcać Bernarda do dalszych wysiłków w tym kierunku. Najpierw zaczął od Wita, który był już żonatym. Młoda jego żona wstąpiła do klasztoru, a Wit przyłączył się z radością do Bernarda i do braci. Najuporniej trzymał się Gerard: „Wszystko to, jak mówił, niczem innem nie jest, tylko lekkomyślnością i głupstwem”. Wtedy Bernard pogroził mu i rzekł: „Widzę, że ciebie mogą oświecić tylko jakieś cierpienia. Na-

dejdzie dzień, a nawet już jest bliski, że włócznia przebiję twą pierś i utworzę do niej drogę dla zbawiennej myśli”.

Wkrótce spełniła się przepowiednia. Przy ataku na fortecę Gerard został ciężko ranny i dostał się do niewoli. Gdy go zaprowadzono do więzienia, w którym, jak przypuszczał, czekała go śmierć niechybna, uczuł strach wielki i wtedy rzekł: „Jestem zakonnikiem z Citeaux”. Na wiadomość o niewoli brata, zaczął Bernard szukać sposobu, aby go z niej uwolnić. Ale narazie nie zdołał nic więcej zrobić, tylko zawołał do niego zdaleka: „Odwagi! wkrótce będziemy w Citeaux”. Istotnie, po paru dniach Gerard zdołał zbiec z niewoli i połączył się z braćmi.

Teraz w radosnem usposobieniu Bernard jeszcze usilniej oddał się świętej sprawie swego powołania. Liczba zakonników wzrosła wkrótce do 30. Zabierał on ojcom synów, żonom mężów. Matki ukrywały swych chłopców, by ich nie namówił do życia zakonnego, bo kto się doń zbliżał, ulegał nieoczekiwanej zmianie.

W rodzinie Tescelinów niezwykle te wydarzenia nie wywołały żadnych katastrof. Wobec świętych projektów dzieci ojciec zachował się po męsku, a na pożegnanie powiedział im tylko charakterystyczne słowa: „Bądźcie umiarkowani, zachowujcie we wszystkim miarę! Znam was! Będzie trzeba zawsze pewnego trudu, by utrzymać wasz zapał we właściwych ramach”.

Najmłodszy syn, Niward, który był wówczas jeszcze za młody, by z nim bracia mogli mówić o klasztorze, pozostał sam jeden w domu. Przy pożegnaniu na placu zamkowym rzekł Wit do niego: „Mój, Niwardzie, my odchodzimy, ta cała posiadłość jest teraz twoją, widzisz, jaki jesteś bogaty?” Jednak Niward, jako godny brat Bernarda, odpowiedział: „Jako! więc wy bierzecie niebo, a mnie zostawiacie ziemię? To niesprawiedliwy podział

i ja się na to nie zgadzam!"). Chciał natychmiast iść ze swymi braćmi do Citeaux. Jednak stanęła temu na przeszkodzie zbytnia surowość reguły dla tak młodocianego wieku. Lecz kiedy doszedł do 16 roku życia, zapukał i on do furty klasztornej w Citeaux. Spełniło się w ten sposób dawne pragnienie Alethy: wszyscy jej synowie w klasztorze! Teraz już nie mógł świat zatrzymać nawet starego ojca. Poprosił i on o przyjęcie do zakonu, złożył tam śluby i wkrótce zamienił ciszę klasztorną na chwałę w niebie.

Ze wstąpieniem Bernarda do zakonu rozpoczął się wspaniały rozkwit mało znanych dotąd Cystersów. Jego sława pociągała coraz to nowych towarzyszy tak, że powstawały świeże opactwa jedno za drugim. W trzy lata po przyjęciu habitu zakonnego został Bernard opatem klasztoru w Clairvaux (Klerwo) i rozpoczął swą owocną działalność, a obok niej umiał jeszcze znaleźć czas na rozległą pracę literacką, która go postawiła w szeregu największych teologów i zyskała mu dostojny tytuł „miodopłynnego doktora”.

Papież Aleksander III zaliczył Bernarda *) w poczet świętych już w 20 lat po jego śmierci.

*) Bourdaloue nazywa Bernarda cudem swego wieku i tak go charakteryzuje: „Człowiek światowy, a przecież zakonnik, odznaczający się życiem umartwionem, mąż stanu, znakomity zdolnościami polityk, samotnik, który miał więcej zewnętrznych zajęć, jak większa część ludzi kiedykolwiek ich mieć może. Pytany był o radę przez wszystkich, obarczany mnóstwem spraw największej wagi, rozjemca pomiędzy państwami, powoływany na sobory, przemawiający do królów, ostrzegający papieży, rządzący całym zakonem, kaznodzieja i wyrocznia swojej epoki.”

FRANCISZEK z ASYŻU.

1182 — 1226.

Jedną z najsympatyczniejszych i najwspanialszych postaci świętych średniowiecza jest żebrak z Asyżu, powołany przez Boga do odbudowy zagrożonego kościoła. Sławić tego Świętego nawet Dante uważał się za małym, bo „jego cudowne życie, jak mówił poeta, dałoby się dużo lepiej przedstawić na tle chwały niebieskiej, niż w etapach doczesnej pielgrzymki”.

Ojciec Świętego, Piotr Bernardone, był bogatym sukiennikiem w Asyżu, malowniczo położonem miasteczku, włoskiej prowincji Umbrii, matka zaś, Pika, pochodziła z Francji. Gdy ojciec był w podróży, chłopiec przyszedł na świat i otrzymał na chrzcie św. imię Jana. Bernardone, powróciwszy do domu nazwał go Franciszkiem t. j. Francuzikiem. *) Piotr Bernardone z natury był prosty i rubaszny, zawsze zajęty, przedewszystkiem swemi kupieckimi interesami. Po matce, pełnej delikatności i uprzejmości, Franciszek odziedziczył uczuciową wrażliwość i niezwykłą łatwość obcowania z ludźmi.

W mieście rodzinnem uczęszczał Franciszek do parafjalnej szkoły, gdzie obok czytania i pisania uczył się także łaciny, której wtedy powszechnie używano w stosunkach handlowych, francuskiego zaś języka uczyła go w domu matka. Większego naukowego wykształcenia

*) czyli dzieckiem matki Francuzki

nie otrzymał, bo nie miał zamiaru poświęcić się głębszej nauce, w każdym jednak razie mógł się biegle porozumieć w trzech językach.

Po opuszczeniu szkoły Franciszek pomagał ojcu w handlu, ale wkrótce się okazało, że na kupca nie był stworzony. W codziennych materialnych sprawach nie smakował już od dzieciństwa. Jako chłopiec chętnie przebywał w kółku swoich rówieśników, którzy wkrótce uznali go za swego przewodnika.

Głębokie wrażenie wywarły na jego poetycki umysł pieśni ówczesnych wędrownych śpiewaków, zwanych trubadurami. Postacie króla Artura i jego rycerzy z „Okrągłego stołu”, którzy wyjeżdżali na turnieje i dokonywali wielkich czynów, najbardziej podniecały i zapalały jego umysł. Nie jedną z tych pieśni trubadurów często nucił sobie półgłosem, gdy szedł ulicami Asyżu czy w dzień czy w nocy razem ze swymi, młodymi, wesołymi przyjaciółmi.

Franciszek powszechnie znany był w mieście ze swoich figlów i ze swych zbytkownych wydatków. Urządzał dla przyjaciół wystawne uczty i ubierał się bardzo kosztownie. Jednak w tem kierowała nim nie małostkowa próżność, lecz chęć wywołania wesołego wśród otoczenia nastroju. To się uwydatniło, gdy pewnego razu kazał sobie uszyć dziwaczne ubranie z materji najdroższej, pomieszaney z najlichszą.

Franciszek był lubiany przez rówieśników nietylko dla tego, że posiadał środki, za które dostarczał im wiele przyjemności, lecz, że odznaczał się tą pogodą i wesołością, która bardzo pociąga młodzież ku sobie, a nadto otwartością i prostotą, z którymi łączył wytworne formy towarzyskie. To wszystko budziło dłań poszanowanie, uznanie i przywiązanie.

Choć był aż do zbytku rozrzutnym i wesołym, nie miał jednak w sobie ani cienia prostactwa i nigdy nie słyszano z ust jego ani obrażającego, ani grubiańskiego, ani niemoralnego słowa.

Rodzice wszakże nie mogli patrzeć bez obawy na tę jego swawolę, która wiele pochłaniała pieniędzy i groziła mu niedocenianiem systematyczności, jaka jest pierwszym, koniecznym przymiotem poważnego kupca, którego chcieli widzieć w przyszłości w osobie swego syna. Nie podobało im się również, gdy Franciszek w codziennym życiu, nie czekając końca obiadu, często wstawał od stołu, byleby czem prędzej znów powrócić do grona przyjaciół. Zarzut, jaki rodzice robili Franciszkowi z racji rozrzutności, nie miał podkładu pieniężnego, bo była to rodzina bardzo zamożna, w której grosz nie odgrywał wielkiej roli. Bywało nawet tak, że ojciec i matka chlubil się wobec sąsiadów, że syn ich jest ruchliwy, wesoły i cieszy się uznaniem u swych rówieśników. Gdy razu pewnego sąsiadki mówiły matce o tem, że Franciszek zbyt szasta gotówką, odpowiedziała im Pika bez żadnej trwogi: „Pan Bóg sam doprowadzi go powoli do rozumu”. Ta nadzieja matki nie była pozbawiona pewnej podstawy, bo mimo swoich młodzieńczych wad, Franciszek posiadał miłe cechy charakteru, jako to: szlachetne i czyste zamiary w postępowaniu, serdeczną pobożność i szczodrobliwość względem ubogich. „Jesteś, mawiał już wtedy sam do siebie, uprzejmym i hojnym dla ludzi, którzy za to mogą ci się odwzajemnić tylko przemijającą wdzięcznością, dobrą byłoby wszakże rzeczą, żebyś przez wzgląd na Boga, który tysiąckrotnie odpłaca, był szczodrobliwym i dobroczynnym dla biednych”.

Pewnego razu Franciszek stał za ladą w sklepie swego ojca, a gdy był bardzo zajęty, wszedł żebrak, prosząc o jałmużnę. Wśród natłoku kupujących nie zwracał

on uwagi na biedaka i nic mu nie dał. Prawie momentalnie sam sobie zrobił wyrzut, mówiąc: „Tak, gdyby on prosił o co dla jakiego wielkiego hrabiego, lub barona, wtedybyś go zauważył i załatwił mu to, czegooby żądał. Tem więcej nie powinienes z niczem puszczać tego żebraka, gdy prosił ze względu na Króla królów”, poczem szybko wybiegł za żebrakiem i dał mu większą jałmużnę.

To współczucie Franciszka dla biednych jest tem więcej godne uwagi, że był on wtedy w tym okresie życia, kiedy chciał we wszystkim dorównać ówczesnym rycerzom i w ich swobodnym i wesołym sposobie życia, a nawet ich przewyższyć. Z temi pragnieniami nie krył się wcale. Korzystną okazję do urzeczywistnienia swych rycerskich marzeń spodziewał się on znaleźć podczas czynnego zatargu dwóch miast: Asyża i Perugji. Gdy rozpoczęła się wojna, Franciszek poszedł w pierwszym szeregu, ale waleczność bohaterów nie wydała oczekiwanych rezultatów. Asyż został pokonany, i wielka liczba rycerstwa wzięta do niewoli. Między jeńcami znalazł się też i Franciszek. Pomimo swego nieszczęścia z uśmiechem pochlebiał sobie, że go nie umieszczono wtedy w zwykłym więzieniu, lecz w miejscu przeznaczonem dla rycerzy, i spokojnie znosił niewolę, a to, że go uważano za szlachcica, wprawiało go w wesoły humor tak, że wkrótce zaczął dowcipkować i żartować. Tego wesołego nastroju wcale nie podzielali jego towarzysze, jeńcy wojenni, którym ta sama okoliczność, która ułatwiała Franciszkowi znoszenie niewoli, im więzienie czyniła bardziej przykrem. Z tego powodu jeden z nich strofował go nawet za te żarty i zapytał, czy wogóle jest przy zdrowych zmysłach, skoro może się tak cieszyć w więzieniu i nie odczuwać swego nieszczęścia? Na to Franciszek odpowiedział momentalnie: „Co o mnie myślicie, wszystko mi jedno, przyjdzie czas, że mnie będzie inaczej sądził

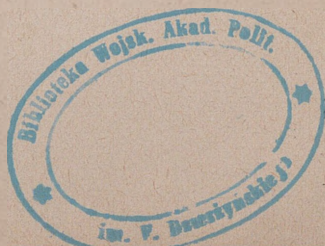
cały świat". Była to przepowiednia, która wszakże miała się spełnić zupełnie inaczej, niż miał to Franciszek wtedy na myśli. Tak jednak faktycznie było, że wkrótce rycerze zaczęli go cenić w więzieniu i budowali się nim tak, że, kiedy po roku otworzyły się im bramy więzienne, Franciszek miał wielu przyjaciół wśród swych towarzyszy wyższego od siebie pochodzenia. Brakowało mu jednak jeszcze godności rycerskiej, za którą tęsknił ciągle. Na przeszkodzie stało mu przedewszystkiem jego pochodzenie ze stanu kupieckiego, z którego wówczas nie dopuszczano do szeregów szlacheckich, a bez tego przywilej rycerza był niemożliwy. Jeszcze w szesnastym stuleciu wszyscy, którzy u Grobu św. w Jerozolimie chcieli być pasowani na rycerzy, musieli pod przysięgą zeznać, że nie zdobyli swego majątku drogą handlu. Chociaż dla Franciszka, który był wprawdzie synem kupca, wcale nie było trudno wylegitymować swe szlacheństwo z linii matki, jednak nie chciał tą drogą szukać praw do swych aspiracyj, lecz w żołnierce, na polu walki, postanowił zdobyć sławę rycerza.

Ciężka choroba, która go wtedy powaliła na łożo boleści, omal że nie doprowadziła go wtedy do zaniechania tych dumnych zamiarów. Poważne niebezpieczeństwo życia przypomniało mu nietrwałość wszystkiego, co ziemskie. Gdy przeto, będąc bardzo jeszcze osłabionym po chorobie, wsparty na kij, wyszedł z bram Asyżu, już nie widział dawnego uśmiechu w pięknym krajobrazie umbryjskim, jak przedtem bywało, bo rozumiał teraz dobrze, że po każdym rozkwicie musi nastąpić jesień. Ale ten nastrój minął wkrótce. Powróciwszy do sił, na nowo poczuł zapał do czynu i wystarczyła mu jedna silniejsza zewnętrzna podnieta, aby wrócił do dawnych marzeń. Tak się też stało. Franciszek gotował się na wyprawę wojenną, aby wziąć udział pod chorągwią hrabiego Gen-

tilisa w walkach, które rozszalały się w dolnych Włoszech po śmierci Henryka IV. Miał przytem nadzieję osiągnąć swój cel wymarzony, mianowicie, że, walcząc po stronie swego szlacheckiego rodaka, zostanie pasowany na rycerza. Przygotował się do wyprawy z największą starannością, kazał sobie zrobić kosztowne ubranie, by i zewnątrz dorównać rycerzowi, za którym miał iść w charakterze giermka. W duszy czuł się po rycersku, bo mu przyświecały ideały chrześcijańskiego bohaterstwa; odwagę i stanowczość wykazał już w walce przeciw Perugji, niski egoizm był mu obcy, owszem wielkoduszność wykazywał przy każdej sposobności, która mu się nastręczała kiedykolwiek. W dniu przed wyjazdem, okazał wspaniałomyślność swego serca. Gdy jeden niezamożny rycerz pragnął wyruszyć w pole wraz ze swymi towarzyszami, ale nie mógł się zdobyć na koszt wyprawy, wtedy Franciszek bez wielkiego namysłu podarował mu cały swój rynsztunek rycerski, który go kosztował wiele pieniędzy i zabiegów, sam zaś postanowił pójść na wyprawę w ubraniu zwykłego giermka. W nocy przed wyjazdem miał on dziwny sen. Widział wspaniały pałac, pełen zbroi i broni, zewnątrz ozdobiony tarczami, wewnątrz zaś była tam przedziwnej piękności dziewczyna, oczekująca na przyjście oblubieńca. Gdy zdumiony zapytał, do kogo należy ten bogaty pałac, usłyszał, że on właśnie jest tym panem, na którego oczekuje liczna świta. Czy potrzeba, pytał we śnie, lepszej wróżby przed wyprawą? Obudził się pełen radości i w odpowiedniej chwili wyruszył w podróż w stronę Apulji po wymarzone szczęście. Lecz zaraz nazajutrz znalazł tyle ujemnych stron w świeckiem rycerstwie, że to mu podsuwało dużo nowych myśli. Następnej nocy w podróży miał drugi sen, usłyszał mianowicie zapytanie: „Dokąd idziesz?” — „Do Apulji, odpowiedział Franciszek, by pozyskać dostatek, szczęście i sławę.” — „Kto więcej

może ci użyć łaski, usłyszał drugie tajemnicze pytanie, pan czy sługa”? Franciszek odrzekł: „Pan!”—Głos: „Czemu przeto dla sługi opuszczasz Dawcę, dla biedaka bogatego Pana”? Na to odpowiedział Franciszek: „Co chcesz, Panie, abym czynił?” — Głos: „Wracaj do swej ojczyzny, tam się dowiesz, co masz czynić, bo sen, który miałeś, musisz inaczej rozumieć”. Teraz dopiero Franciszek poznał cel swego życia. Szczęście czekało go nie z rąk ziemskich rycerzy, lecz od samego Boga. Z głębokiem obudził się wzruszeniem i zaledwie dzień zaczęło, wrócił natychmiast do Asyżu. Odtąd starał się przedewszystkiem o możliwie największe wewnętrzne skupienie. Z ulicy i publicznych placów pchało go coś na modlitwę do kościołów. Doznawał przytęm niezwykłego zadowolenia, gdy coś dobrego wyświadczał ubogim. Mało mu było, gdy dawał im pieniężne wsparcie. Jeżeli nie miał pieniędzy, rozdawał nawet swoje ubranie. I ten, który tak niedawno temu, jak robił wszystko, aby dorównać rycerzom w ich wytwornym stroju, teraz się starał być ostatnim biedakiem. W czasie pielgrzymki do Wiecznego Miasta Franciszek włożył wszystko, co miał w sakiewce, do skarbony u grobu św. Piotra w Rzymie, a sam poszedł do żebraków, siedzących u drzwi tego kościoła. Jednemu z nich uczynił nieoczekiwaną propozycję: by zmienił na parę godzin liche swe ubranie na jego lepsze, a gdy to uzyskał, stanął przed bazyliką św. Piotra i w języku francuskim prosił przechodniów o jałmużnę.

Aby mu Pan zechciał łaskawie wskazać drogę do świętego rycerstwa, modlił się coraz żarliwiej dotąd, aż wreszcie Bóg mu objawił wolę swoją. Gdy mianowicie razu pewnego modlił się gorąco w nawpół rozwalonym kościółku św. Damjana o to, by Bóg mu objawił drogę powołania, usłyszał głos z krzyża, do dziś przechowywanego: „Franciszku, czy nie widzisz, że mój dom się wali?



Idź i podnieś go napowrót”. Ze zdumieniem i drżeniem odpowiedział: „Chętnie to uczynię, Panie, lecz o którym domu jest tu mowa?” Pewnie o żadnym innym, odpowiedział sobie Franciszek, jeno o kaplicy, w której przechowuje się krucyfiks. Natychmiast zaczął z zapalem krzątać się około jej odbudowania. Sprzedał, co mógł nazwać jeszcze swoim i jako żebrał zamieszkał w pobliżu tej kaplicy. Gdy pierwszy raz ukazał się w takim żebraczym ubraniu na rynku Asyża, ci, którzy go przedtem znali, traktowali go teraz jak obłąkanego. Własny ojciec wstydził się syna, chciał się go wyrzec i oskarżył go przed miejscowym biskupem. Wtedy Franciszek zdjął z siebie ostatni płaszcz, oddał go ojcu z resztą pieniędzy, którą miał przy sobie, mówiąc: „Dotąd nazywałem moim ojcem Piotra Bernardone, teraz zaś chcę służyć tylko Panu Bogu. Oddaję przeto ojcu zpowrotem nietylko pieniądze, o które się niepokoił, ale i ubranie, które mam od niego. Odtąd już nie będę więcej mówił: ojcze, Piotrze Bernardone, lecz tylko: Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech”. Poczem, okryty starym płaszczem, który mu podarował liściowy sługa biskupa, poszedł znów do swego kościołka, aby zbierać datki na uporządkowanie go zupełnie. Tak samo pracował przy kaplicy św. Piotra i wreszcie koło małego kościołka, nazwanego M. B. Anielską, Porcjunkulą.

Ten ostatni kościół był mu szczególniej drogi, bo tu ostatecznie poznał swoje powołanie. Gdy razu pewnego długo i żarliwie się modlił o światło Boże, usłyszał 24 lutego 1208 r. słowa ewangelji: „Idźcie, opowiadajcie i mówcie, iż się zbliżyło królestwo niebieskie, niemocne uzdrawiajcie, umarłe wskrzeszajcie, trędowate oczyszczajcie, czarty wyrzucajcie. Darmoście wzięli, darmo dawajcie. Nie miejcie złota, ani srebra, ani pieniędzy w trzosach waszych, ani torby w drodze, ani dwu sukien, ani butów, ani

laski, albowiem godzien jest robotnik strawy swojej. Oto ja was posyłam, jako owce między wilki, bądźcież tedy mądrymi, jako węże i prostymi, jako gołębicę". (św. Mat., X. 7). Teraz wiedział Franciszek, co miał dalej czynić. Rzucił kij i obuwie, wziął sznur zamiast skórzanego pasa i przygotował sobie z najbardziej prostej materji inne ubranie. To był dzień zaślubin Świętego z ubóstwem. Wkrótce zebrali się około niego uczniowie, pełni zapału do rzeczy Bożych i utworzyli zakon, który w te ciężkie czasy miał podeprzeć chwiejący się Kościół. Papież Inocenty III, przez Boga w czasie cudownego snu upomniany, zatwierdził nowy zakon, który już po 10 latach liczył 5 tysięcy braci. Sam święty założyciel nazwał ich Minorytami, albo Braćmi Mniejszych. W krańcowem ubóstwie, żywiąc się zamiast chlebem użebranemi burakami, nauczał Franciszek wraz z swymi towarzyszami, „jako prawdziwy wysłannik Boży, jako zjawisko z innego świata". Nawet na dzikie zwierzęta wywierał ten dziwny człowiek taki urok, że łaszcząc się, kładły się u stóp jego.

Jego nieprzeparta żądza opowiadania ewangelji Mahometanom i pragnienie śmierci męczeńskiej za Chrystusa zapędziły go na wschód. Sułtan wysłuchał go łaskawie, pożegnał go ze czcią, lecz sam się nie nawrócił.

Klara, córka hrabiego Sassorosso, duchowna córka św. Franciszka, założyła żeński, franciszkański zakon dla kobiet. Zakonnice, w nim żyjące, nazywają zwykle Klaryskami.

Kiedy zapal dla nauki Świętego zataczał coraz większe kręgi i wielu świeckich ludzi chciało porzucić świat, by oddać się pod jego wyłączny kierunek, Franciszek powołał do życia tak zwany trzeci zakon pokutniczy, do którego i dziś należy niezliczona rzesza ludzi obojga płci, wszelkiego wieku i stanu. Na dwa lata przed śmiercią otrzymał Święty na górze Alwerni blizny Chrystusowe.

Gdy był pewny, że zbliża się śmierć, ułożył do swojej „Pieśni o słońcu” ostatnią strofkę, pełną zachwytów tej treści: *)

Pochwalony bądź, Panie, przez siostrę naszą śmierć
Której żaden człowiek żywy ujść nie może; [cielesną,
Biada tym, co konają w grzechach śmiertelnych;
Błogosławieni, którzy znajdują się w Twej najświętszej
Bowiem śmierć wtóra zła im nie uczyni. [woli,
Chwalcie i błogosławcie Pana i czyńcie Mu dzięki
I służcie Mu z wielką pokorą...

*) Według trawestacji Leopolda Staffa „Kwiatki św. Franciszka z Asyżu” str. XXXV.

TOMASZ z AKWINU.

1225 — 1274.

Ponad wszystkich teologów wysoko się wzbija, jako ich ksiązę i mistrz, Tomasz z Akwinu, który między innemi przyczynami swą głęboką i prawowierną wiedzę zawdzięcza temu, że bardzo czcił starych Ojców Kościoła i przejął się duchem ich wszystkich. Ich pojedyncze naukowe prace zebrał i złączył w jedną całość jakby rozproszone członki jednego ciała, w umiejętny sposób je uporządkował i o tyle rozwinął i powiększył w swych naukowych pracach, że z całą słusnością uważany jest jako potężna podpora katolickiego Kościoła. Mając subtelny i bystry umysł, łatwą i doskonałą pamięć, nade wszystko zaś wzbogacony w boską i ludzką naukę, jakby słońce, ogrzał promieniami swoich cnót cały okrąg ziemi i napełnił blaskiem swej nauki". Taką pochwałą wyróżnił „Doktora anielskiego” sam papież Leon XIII.

Akwin, miejsce urodzenia św. Tomasza, a również i ojczyzna rzymskiego poety Juwenalisa, leży między Rzymem, a Neapolem. Tu w 1225 roku przyszedł na świat Tomasz w rodzinnym zamku Rocca-sicca. Hrabiowie z Akwinu zaliczali się do najznakomitszych rodów Włoch południowych. Landulf, ojciec Świętego, miał być krewnym cesarza Fryderyka Barbarossy, matka, Teodora, pochodziła z książęcego rodu Normandzkiego. Od najmłodszej młodości chłopiec najmilszą rozrywkę miał w książce. Gdy podrósł, o ile bywał w Akwinie, chętnie

pozostawał w kaplicy zamkowej, gdzie oddawał się długiej modlitwie i u bramy zamkowej, gdzie chętnie obdarmał jałmużną gromadzących się tam biedaków. Jeszcze Tomasz nie skończył piątego roku życia, gdy rodzice oddali go do sławnej szkoły sąsiedniego klasztoru Monte-Cassino, gdzie się niebawem zaczął szybko rozwijać umysłowo pod troskliwą opieką Benedyktynów. Tomasz był cichym, zamyślonym chłopcem, przyjacielskim w stosunku do swych współkolegów, wiernie zachowywał domowy porządek, przytem zawsze był poważnym i skupionym. To, od najmłodszych lat, zamiłowanie do samotności, do studjów i modlitwy było jakby miłą zorzą poranną głębokiego, ku wzniosłym myślom skierowanego, geniusza. Po pięcioletnim pobycie musiał Tomasz pożegnać drogie dla siebie Cassino, które było dlań jakby drugim domem rodzinnym. Na skutek rady Zinibalda, opata, wuja Świętego, ojciec zdecydował wysłać Tomasza do uniwersytetu Neapolitańskiego, musiał się więc on rozłączyć z umiłowanymi braćmi zakonnymi.

W Neapolu 12-letni Tomasz uczył się pod znakomitym kierunkiem sławnego gramatyka Marcina, jak również matematyka i fizyka Piotra Irlandczyka. W szkolnych pracach nie mógł mu dorównać żaden współkolega. Zajmowała go głównie sztuka. Nauczyciele patrzyli z podziwem i ze zdumieniem na niego. On zaś w głębokiem milczeniu przyjmował te pochwały, które go czyniły jeszcze pokorniejszym. Żli koledzy starali się go skusić do zmysłowości i sprowadzić na bezbożną ścieżkę. Lecz przekonali się wkrótce o bezskuteczności swych usiłowań. Tomasz był zbyt ostrożny i ugruntowany w swej pobożności, by wpaść w ich sidła. Czuwał nad zmysłami, a modlitwy i pracy używał jako najpewniejszych środków przeciw namiętnościom.

Przytem chętnie nawiedzał zakonnych braci, swych dawniejszych nauczycieli w klasztorze Benedyktynów, wśród których znalazł znakomitych kierowników swej duszy. W ten sposób zachował swą niewinność i nieskalaną czystość, mimo że wypadło mu często żyć w gwarze wielkomięjskiego i lekkiego towarzystwa młodzieży uniwersyteckiej.

Po ukończeniu studjów uniwersyteckich w Neapolu, Tomasz musiał rozstrzygnąć kwestję swego powołania. Każdy spostrzegał, że jak niezwykłym umysłem świetnie opanowywał on naukę, tak całą swoją istotą wytrwale dążył do Boga. Z tego powodu młody zakon św. Dominika, który w 1231 roku osiedlił się w Neapolu, budził w nim duży urok, bo tam widział połączoną tak ściśle naukę z pobożnością, jak może w żadnym innym ówczesnym zakonie.

Przy końcu 1243 roku zapukał do furty klasztornej w Neapolu i zaraz został przyjęty ku ogólnej radości zakonników. Lecz krok ten wywołał przykre dlań starcie z rodziną. Tej bowiem nie mogło się pomieścić w głowie, żeby hrabia z Akwinu należał do zakonu żebrzącego. Gdyby został przynajmniej Benedyktynem, rozumowali najbliżsi krewni, gdzie jest jego wuj Zinnibald, to możeby kiedyś zarządzał potężnem opactwem Monte-Cassino. Nadto ojciec Tomasza, hr. Landulf, stał po stronie cesarza Fryderyka II, który nie mógł znosić Franciszkanów i Dominikanów. Lecz czy dla niego mógłby być decydującym względ na politykę i bogate opactwo? Pogardził przecież próżnością świata, aby tem pewniej zbawić duszę własną. Przeto pokornie skłonił głowę, by z miłości ku swemu Zbawcy, który kiedyś nosił cierniową koronę, złożyć koronę hrabiowską. Krewni wszakże niczego nie zaniedbali i wszelkich używali środków, by go wyrwać napowrót z klasztoru.

Matka w duszy zgodziła się, aby wstąpił do Dominikańskiego zakonu, udała się nawet do Neapolu, by go umocnić w tem postanowieniu, ale ponieważ Tomasz sądził, że ona przybywa, by go wydobyć stamtąd, zbiegł do Rzymu, gdy zaś matka za nim i tam się zjawiła, pośpieszył do francuskiej granicy, by w Paryżu zapewnić sobie bezpieczeństwo. Wtedy matka, poruszona do głębi brakiem zrozumienia jej dobrych zamiarów, poleciła dwom starszym synom Rajnoldowi i Landulfowi przyprowadzić Tomasza i stawić go przed siebie. Ci byli wówczas w cesarskim obozie w Akwapendente, a gdy stamtąd wyjeżdżali, otrzymali od Fryderyka II upoważnienie schwytać Tomasza, bo cesarz chciał skorzystać z tej okazji, by dokuczyć Dominikanom.

Gdy Święty ze swymi 3-ma towarzyszami podróży odpoczywał w bliskości Akwapendente, napadli nań najemnicy braci, pojmali go razem z braciszkiem zakonnym Janem, który był w Neapolu nauczycielem i doradcą Tomasza i zaprowadzili do zamku Rocca św. Jana, w pobliżu Akwinu.

Tu matka niecierpliwie oczekiwała na nich. Gdy zdaleka ujrzała biały habit zakonny wśród błyszczącej zbroi jeźdźców, rozmaite uczucia przenikały jej serce: miłość i duma, radość i gniew. Na widok syna-Dominikana nie straciła równowagi i postanowiła przeprowadzić całkowicie swą wolę. Zażądała naprzód, aby Tomasz zdjął zakonne, dominikańskie ubranie, lecz, gdy ten mężczyzna opierał się temu, kazała go uwięzić w zamku.

Krewni na wszystkie sposoby próbowali odwieść go od tych zamiarów. Ojciec nakazał mu zdjąć ubranie zakonne, ale mimo to Tomasz pozostał niezachwiany, czego mu stary Landulf nie mógł zapomnieć nigdy. Siostry też usiłowały go nakłaniać do zdjęcia habitu, ale również bez skutku. Owszem, rozmowy ich z bratem miały przeciwny,

wcale nieoczekiwany wynik, bo jedna z nich również postanowiła porzucić świat i, idąc w ślady brata, poświęcić swe życie na wyłączną służbę Bogu.

Gdy się to działo, Dominikanie udali się z prośbą do papieża Inocentego IV o wstawiennictwo za swym współbratem zakonnym. Miało to przedewszystkiem taki skutek, że złagodzono niewolę Tomaszowi, pozwolono Janowi, jego przyjacielowi, dzielić z nim los więzienia, a Dominikanom pozwolono dostarczyć mu biblij i brewjarza. Tomasz przesiedział cierpliwie w zamku więcej niż rok czasu i to poruszyło serce matki, która wpływem swoim osiągnęła to, że został uwolniony i miał prawo powrócić do swych towarzyszy zakonnych. Czego nie pokonał i nie przeniósł ten hrabicz, aby móc nosić ubranie żebrzącego zakonul

Wkrótce potem wezwał młodzieńca papież do Rzymu, aby się osobiście przekonać o jego zdolnościach. Młody zakonnik zjawił się na dworze papieskim, gdzie wobec Ojca św. i kardynałów wykazał mądrość człowieka dojrzałego, bronił przytem swego powołania z taką prostotą dziecięcą, że obecni aż do łez byli poruszeni. Wtedy zdecydował zakon wysłać tego niezwyklego nowicjusza do uniwersytetu paryskiego, aby tam uzupełnił swoje studia pod znakomitym kierunkiem błogosławionego Alberta Wielkiego. Początkowo tamtejsi profesorowie nie umieli ocenić jego zdolności. Widzieli w nim wszakże gorliwość, pobożność i pilność w pracy. Lecz ponieważ wielką swą wiedzę ukrywał pokornie i zachowywał prawie ustawiczne milczenie, bracia klasztorni zaczęli nazywać go: „niemym wołem”. Nieoczekiwany wypadek wydobyl wreszcie na światło dzienne wielkie talenty świętego nowicjusza.— Albert wyjaśniał pracę świętego Dionizego „o imionach boskich”. Studenci z wielkim trudem śledzili za tym wykładem. Na Tomaszu również widać było niezwykle na-

prężenie uwagi. Gdy wykład się skończył, sądził jeden ze współuczniów, który obserwował Tomasza, że „niemy wół” nic nie rozumiał z tej tak zawiłej nauki i, pełen współczucia, ofiarował się powtórzyć mu i wyjaśnić wykład. Pokorny Tomasz przyjął propozycję i obydwaj przez cały dzień omawiali ten trudny temat. Lecz pewnego dnia ów wspaniałomyślny nauczyciel utknął na jednym bardzo zawiśniętym pytaniu. Na nic mu się nie przydały wszelkie wysiłki. Dopiero pomoc pokornego Świętego uratowała sytuację. Tomasz, widząc przykrą sytuację kolegi, prosił go, by mu pozwolił rozwiązać kwestję. Istotnie, ciemne miejsce wyjaśnił z takim mistrzostwem i dokładnością, że słuchający, wprowadzony w podziw, prosił Tomasza, aby nadal był mu pomocą w nauce.

Gdy Albert dowiedział się o tem wydarzeniu, postanowił przekonać się o zdolnościach Tomasza, i w tym celu polecił mu na następny dzień bronić wyjątkowo trudnej tezy. Tomasz skutecznił to z taką bystrością umysłu i naukowym aparatem, że wszyscy słuchacze byli pełni zdziwienia. „Bracie, Tomaszu, rzekł Albert, ty mówisz nie jak uczeń, lecz jak mistrz”, a do współuczniów Świętego dodał: „Nazywacie go „niemym wołem”, a głos jego nauki rozbrzmiewać będzie po całym świecie”.

Nowy świat otworzył się przed Świętym, gdy Albert rozpoczął wykłady o Arystotelesie. Dzieła św. Dionizego i dzieła greckiego filozofa wywarły potężny wpływ na Tomasza. Z pierwszych czerpał bogactwo i wzniosłość myśli, z Arystotelesza zaś głębokość dowodzenia i naukową metodę. Nikt nie studiował Arystotelesza tak poważnie i pilnie, jak cichy Dominikanin, Tomasz z Akwinu.

Gdy Albert Wielki w roku 1248 otrzymał polecenie przeniesić studja niemieckiej prowincji Dominikanów do Kolonji, Tomasz poszedł tam za swym nauczycielem. Była to właśnie chwila, kiedy kładziono kamień węgielny pod

wspaniałą tamtejszą katedrę. Tu również zaczęto chwalić Tomasza za wspaniałe i głębokie prace, lecz on, słysząc to, tem więcej utwierdzał się w prawdziwości słów: „Próżność nad próżnościami i wszystko próżność, oprócz miłości Boga i służby Jego”. Tą drogą obronił się od pychy. Pewnego dnia Tomasz czytał głośno w refektarzu podczas wspólnego jedzenia, wtedy przełożony zażądał od niego, by inaczej wymówił jeden z przeczytanych wyrazów. Tomasz to zrobił. Po obiedzie przyszło doń paru współbraci i rzekło: „Niesprawiedliwie byłeś upokorzony. Tyś dobrze czytał i nie powinieneś być się poprawiać”. Na to on odpowiedział: „Mała rzecz, czy wyraz jakiś tak, lub inaczej się wymawia, a zakonnikowi zależy na tem bardzo, by się ćwiczył w posłuszeństwie i pokorze”.

Podczas studjów odczuwał Tomasz to, co każdy odczuwa, kto im się oddaje rozumnie, mianowicie, że sama nauka wysusza serce i że, żyjąc umysłem samym, żyje się tylko połowicznie. Pilnie przeto ożywiał swą duszę w źródłach pobożności, jako to: rozmyślaniu, modlitwie, przykładach świętych, w nabożeństwie do Najświętszego Sakramentu i Ukrzyżowanego Zbawiciela. Kształcił się więc w obydwóch kierunkach, a przeto nauka zyskała w nim jedną z najpiękniejszych pochodni, Kościół zaś jednego z największych świętych.

Na skutek rady Alberta Wielkiego przełożeni wysłali w 1252 roku Tomasza do Paryża, aby tam rozpoczął swą naukową działalność. Po Paryżu następne lata spędził Święty częściowo w Rzymie, częściowo w Neapolu i w innych miejscowościach, wszędzie ucząc drugich i oddając się naukowej pracy.

Główne jego dzieło „Suma Teologiczna” do dnia dzisiejszego ma wartość i znaczenie niewyczerpanej kopalni chrześcijańskiej filozofji i teologji, a jednak pokorny ten mąż, gdy go Bóg raczył cudownie nawiedzić, zawołał,

że jego dzieła w stosunku do tego, co miał objawione, wydają mu się jakby plewą. A gdy w Neapolu, zatopiony na modlitwie przed krucyfiksem, usłyszał głos: „Dobrześ o mnie napisał, jakiej tedy żądasz za to nagrody?”, wtedy Tomasz dał odpowiedź godną teologa i świętego: „Panie, żadnej innej, oprócz Ciebie samego”.

W początku 1274 roku Tomasz otrzymał od papieża wezwanie, aby w charakterze doradcy-teologa wziął udział w drugim Koncyljum Lionńskim. Posłuszny temu wezwaniu, jechał w stronę Francji, ale w drodze, mając niepełna lat 50, umarł w Fossanuova, w klasztorze Cystersów po przyjęciu ze wzruszającą pobożnością świętych sakramentów. Albert Wielki na wiadomość o jego śmierci rozplakał się rzewnie i w późniejszych latach wspominał o swoim wielkim uczniu zawsze ze czcią głęboką.

Trzej przyjaciele:
IGNACY LOJOLA, PIOTR FABER
I FRANCISZEK KSAWERY.

wiek XVI.

Czego może dokonać prawdziwa, a wierna przyjaźń, widzimy na przykładzie trzech budowniczych zakonu Jezuitów: Ignacego Lojoli, Piotra Fabera i Franciszka Ksawerego, których Opatrzność sprowadziła do jednego paryskiego Kolegium Sorbony, gdzie pracowali tak gorliwie nad wzajemnem udoskonaleniem się, że Kościół zyskał w nich trzech świętych.

Don Inigo Recalde Lojola (tak się po hiszpańsku nazywał święty Ignacy) urodził się w Hiszpanji w 1491 r. na zamku Azpeitia, w prowincji Guipuzcoa i tam wzrastał w tem szarem, wznoszącem się na skale, zamczysku, które było od wieków siedzibą tej rodziny. Rycerskie ćwiczenia, którym się oddawał od lat chłopięcych, wzmacniały go fizycznie i wprawiły do zręcznego władania mieczem. Idąc w ślady kilkunastoletniego ongiś Franciszka z Asyżu, wszystkie swoje wysiłki zużywał on w tym kierunku, by się stać słynnym na cały świat rycerzem, gdy zaś poznał właściwy cel swego życia, całą moc swego ducha wyteżył i poświęcił na to, by prowadzić bój nie w służbie ziemskiego króla, ale, już jako biedny zakonnik, na polu wiekuistej chwały. W chłopięcym wieku nie zdradzał oznak tego wzniosłego powołania. Wprawdzie duch jego mężniał w atmosferze silnej wiary, którą Hiszpanie zachowali i utrwalili w sobie w ciągłych wojnach, prowadzo-

nych przeciw Maurom, nieprzyjaciołom Chrystusa, wprawdzie, gdy wyrastał on rycerskim duchem ponad otoczenie, strzegł się zawsze tego, co plami duszę, ale bynajmniej nie myślał poświęcić swego życia na wyłączną służbę Bogu. Można o nim powiedzieć, że, płynąc na szerokich życia falach, zawsze przestrzegał głosu własnego sumienia, które prowadziło go na wyżyny chrześcijańskiej cnoty. Po skończeniu wymaganej naówczas nauki czytania i pisanja wstąpił Ignacy, jako paź, na dwór Ferdynanda Katolickiego. Biegle władał kordem i chętnie uczestniczył w zabawach, stąd łatwo znalazł okazję do przygodnej miłości.

Gdy w mniej więcej cztery lata po śmierci Ignacego biskup Salamanki odbierał śluby w jezuickim kolegium, nagle się rozrzewnił, i gdy spytano go o przyczynę tego wzruszenia, odpowiedział: „Widziałem niegdyś Ignacego własnymi oczyma w Pampelonie, gdy na ulicy, przyciśnięty przez przechodniów do ściany, wydobył swą szpadę i rzucał się na ludzi, stojących wzdłuż całego przejścia. Gdyby mu nie usunięto się z drogi z pewnościąby niejednego uśmiercił, albo sam życie utracił. Obecnie jestem świadkiem składanych ślubów w tym zakonie, który założył tenże Ignacy. Czy mogą obojętnie rozstać się z tą myślą?”

Jako członek orszaku księcia Najery, swego krewnego, Ignacy coraz gruntowniej poznawał sztukę wojenną i wtedy odznaczył się jako młody oficer Karola V. Sam tak opisał ten okres własnego życia: „Gdym się znajdował w twierdzy pampelońskiej, którą oblegali Francuzi, wszyscy jednogłośnie utrzymywali, że należy się poddać, zastrzegając sobie tylko warunek swobodnego odwrotu, twierdza bowiem nie mogła się opierać dłużej. Byłem przeciwnego zdania i tak wobec komendanta umotywo wałem swoje stanowisko, że go skłoniłem do obrony

twierdzy wbrew ogólnemu przekonaniu nawet najdzielniejszych dowódców. Przed rozpoczęciem ataku wypowiadałem się przed swym towarzyszem broni *), z którym często odbywałem wspólne wojskowe ćwiczenia, on zaś uczynił to samo przede mną. Wtedy walczyłem mężnie aż do sił wyczerpania, jak mogłem. Ale kula roztrzaskała mi nogę. Gdym padł, poddała się wówczas i reszta załogi fortecznej. Francuzi, muszę powiedzieć, obeszli się ze mną dobrze, złożyli mi potrzaskaną nogę i pozwolili po 12—15 dniach zanieść mnie na noszach do zamku Lojola. Gdy tam przybyłem, czułem się bardzo chory. Wezwani z rozmaitych miejscowości lekarze byli zdania, że nogę trzeba na nowo łamać, żeby lepiej złożyć źle zrastające się kości. Zniosłem tę męczarnię bez słowa skargi i bez jęku, choć cierpiałem bardzo ciężko, po tej operacji stan mego zdrowia pogorszył się znacznie. Pokarmu nie mogłem już przyjmować, wszystko zdawało się mówić o zbliżającej się śmierci. Wtedy w przeddzień uroczystości św. św. Piotra i Pawła przyjąłem ostatnie sakramenta, a lekarze zapowiedzieli pod wieczór, że, jeżeli około północy nie nastąpi zwrot ku lepszemu, należy spodziewać się bliskiego końca. Do św. Piotra zawsze miałem duże nabożeństwo, więc tembardziej teraz modliłem się bardzo serdecznie. Dobroć Boża sprawiła, że około północy uczułem się lepiej, a potem tak szybko następował zwrot ku lepszemu, że w parę dni już było wykluczone niebezpieczeństwo śmierci. Niedługo wszakże pokazało się, że pod kolanem jedna kość zaszła na drugą, wskutek czego, nie tylko skurczyła mi się noga, ale cały byłem dziwnie pokręcony. Nie mogłem

*) Rycerze mieli zwyczaj przed bitwą, jeśli nie było kapłana, wyznawać wzajemnie przed sobą własne grzechy, aby, gdy nie można było otrzymać sakramentalnego rozgrzeszenia, przynajmniej okazać dobrą wolę i przez to upokorzenie uzyskać usprawiedliwiającą łaskę Bożą.

na to się zgodzić, by pozostać w takim stanie. Zapytywałem przeto lekarzy, czy nie dałoby się upiłować wystającej kości. „To zrobić można”, odpowiedzieli, „ale wywoła to bóle znacznie silniejsze, niż wszystkie dotychczasowe”. Mimo takiego ostrzeżenia zgodziłem się na nową operację i zniosłem wszystko spokojnie. Wkońcu przywrócił mi Bóg zdrowie, lecz zawsze odczuwałem pewne jeszcze niedomagania. Chorą nogą nie mogłem swobodnie stąpać, dlatego musiałem nadal pozostać w łóżku. Leżąc, przeczytałem bardzo wiele książek, prawie wyłącznie o wielkich czynach znakomitych ludzi, ale dla dalszego zabicia czasu zażądałem nowych. W zamku nie było już tego rodzaju literatury, przeto przyniesiono mi: „Życie Chrystusa” i „Kwiaty Świętych”. Przez dłuższe czytanie tych książek nabrałem chęci do lektury o podobnej treści. To mnie niejako zmusiło do przypatrzenia się bliżej dotychczasowemu własnemu życiu i nawet zastanowienia się nad rodzajem pokuty za dawne moje grzechy. Wśród takich rozważań uczułem pragnienie naśladowania mężów świętych i w życiu wcielić, przy pomocy Bożej, to, co oni uczynili. W tem postanowieniu utwierdziło mnie zjawisko, o którym opowiem. Gdy nie spał raz w nocy, widziałem zupełnie wyraźnie obraz Najświętszej Matki Bożej z Dzieciątkiem. Widok ten napełnił mnie nadmierną pociechą. Wtedy uczułem niewymowną odrazę do dotychczasowego życia, a szczególnie do wszelkiej cielesnej rozkoszy. W dalszym ciągu największą przyjemność znajdowałem w czytaniu wyżej wzmiankowanych książek, więc je czytałem, a przytem streszczałem na papierze to, co mi się wydawało najważniejsze z życia Chrystusa i świętych.... a gdy mogłem od czasu do czasu opuszczać łóżko, rozpocząłem pisać książkę....”.

Gdy Ignacy czuł się na zdrowiu prawie zupełnie dobrze, odbył dziękczynną pielgrzymkę do cudownego

miejsca Najświętszej Panny w Montserrat w Katalonji. Tam wypowiadał się z całego życia i odtąd zaniechał wszelkich zabiegów o ziemskie zaszczyty. Oręż swój zawiesił przy ołtarzu Matki Bożej, bogate swe ubranie podarował żebrakowi, a sam ubrał się w jego odzież. Potem udał się do miasteczka Manrezy, gdzie przez dłuższy czas w szpitalu spełniał najniższe posługi. Chociaż początek tego nowego życia nie przeszedł mu bez dużych trudności, wszystkie jednak pokonał po bohatersku.

Męczyła go myśl, jak sam mówi dalej, że ciężkie obrał sobie życie. Zdawało mu się, że słyszy wewnętrzny głos, który doń mówi: „Czy będziesz mógł przetrzymać to wszystko przez lat 70, jakie masz jeszcze przed sobą?” Ignacy poznał jednak, że to pochodzi od podstępnego wroga i odpowiedział mu w duszy: „Czy ty, nędzniku, możesz mi przyrzec choć godzinę życia?” W ten sposób pokonał pokusę i uczył się spokojnym. Wszakże znów do jego duszy wróciło upodobanie dawnych nawyków. Stracił swobodę myśli, nie odczuwał wewnętrznego pokoju, ani podczas ustnej modlitwy, ani przy słuchaniu Mszy świętej, ani przy innych pobożnych ćwiczeniach. Na szczęście, wkrótce skończył się ten smutny nastrój. Zawdzięczał to Ignacy może temu, że nigdy nie zaniechał swego zwyczaju spowiadania się i komunikowania w każdą niedzielę. Jednak przyszła nowa bieda, bo zaczęły go dręczyć i męczyć skrupuły. Mimo, że odbył w Monseracie spowiedź generalną z należytem przygotowaniem, zdawało mu się chwilami, że się jeszcze z czegoś nie wyspowiadał i to niemało go martwiło. To udręczenie doprowadzało niekiedy świętego młodzieńca prawie do rozpacz. Ale zrobił wszystko, co w takich razach jest do zrobienia i wkońcu znalazł wewnętrzny spokój, a mianowicie: uczęszczał pilnie do sakramentów, pościł i modlił się stale. Gdy pewnego dnia znów rozpoczęły się w jego duszy

niezwykle udręczenia, tak począł głośno wołać do Boga: „Pomóż mi, Panie, bo ani u ludzi, ani u żadnego innego stworzenia nie mogę znaleźć pomocy! Ach, gdybym mógł mieć nadzieję, że znajdę pomoc Twoją, nie byłby dla mnie żaden trud za wielki. O, wskaż mi, gdzie jej mam szukać!”. I sprawił to Bóg, że Ignacy jakby się obudził z głębokiego snu i jakby się wydobył z nawałnicy tych cierpień. Odczuł wtedy zupełnie jasno i z weselem ducha, że zupełnie zbędną jest rzeczą ciągle powtarzanie spowiedzi z dawnego życia. W ten sposób uwolnił się od skrupułów i uczuł się pewnym, że go Pan w swoim miłosierdziu chce zbawić. Bóg odtąd obdarzał go wielu łaskami. Podczas jednorocznego pobytu w Manrezie Ignacy napisał swą cudowną książeczkę o „Ćwiczeniach duchownych”. Po odbyciu dawno planowanej pielgrzymki do Jerozolimy—trzydziestoletni Ignacy, dawny oficer, usiadł na szkolnej ławce wśród małych chłopców i jako uczeń przeszedł całe gimnazjum. W ciągu trzech lat zrobił takie postępy, że po specjalnym egzaminie nabył prawo uczęszczania na uniwersytet w Alkali, skąd później przeniósł się do Salamanki. Na obydwóch uniwersytetach starał się gromadzić około siebie towarzyszy i złączyć wszystkich w religijne kółko. To mu się narazie nie udało, wskutek nieufności władz duchownych, które obawiały się jakiejś sekciarskiej roboty. Na wiosnę 1528 r. pojechał do uniwersytetu w Paryżu, gdzie przez siedem lat studjował filozofję i teologję, a jednocześnie, jako wytrawny znawca dusz, znowu zarzucał swe sieci na odszukanie przyszłych towarzyszy zamierzonej pracy. Początkowo spotkał się tu z niedowierzaniem, a nawet o mało nie ściągnął na siebie hańbiącej go kary. Wkońcu wszakże wysiłki te zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem. W kolegium św. Barbary zjednał dla swych wielkich planów, podjętych ku czci Boga, najpierw młodego Piotra Fabera z Sawonji.

Piotr urodził się w Wielkanoc 1506 r. w Villard, w Sawonji, jako syn biednych, pobożnych wieśniaków. W początkowej nauce Piotr zrobił wkrótce takie postępy, że po paru miesiącach został przyjęty do kolegium w La Roche. O przełożonym tego zakładu mówi on w swoim dzienniku, że się wyróżnia nie tylko prawdziwie kapłańskim życiem, ale i doskonałą znajomością klasycznych autorów, których tłumaczył i wplatał ich myśli przy głoszeniu ewangelji. W czasie feryj Piotr nie przerywał swej pracy, ale, gdy tego była potrzeba, pomagał rodzicom w polnych zajęciach. Chętnie zawsze pasał stado, mając w ten sposób czas na powtarzanie lekcji, jako też na modlitwę i rozmyślanie prawd wiecznych. Razu pewnego, w dwunastym roku życia, uczuł chęć złożenia Bogu szczególniejszej ofiary. W świetle łaski Bożej zrozumiał niebezpieczeństwa, które grożą wiekowi młodzieńczemu i pod wpływem uroku, jaki wywierała nań cnota czystości, zwłaszcza w młodzieńcach, złożył ślub zachowania tej cnoty przez całe życie. Odtąd pilnował tego skarbu jeszcze troskliwiej. Poza modlitwą i baczniem strzeżeniem swych zmysłów odznaczał się pilnością w studjach, a pracowitość ta była mu puklerzem w walce przeciw pokusom. „Ustawiczne i gorliwe studja, jak mawiał sam często, nie tylko są umartwieniem dla ciała, lecz przez to, że absorbują myśl całkowicie, trzymają na wodzy wyobraźnię i kładą tamę przeciw skłonnościom do rozkoszy zmysłowej”. W czasie dziewięcioletniego pobytu w La Roche Piotr doskonale poznał języki starożytne. Wtedy jesienią 1525 roku, choć pozbawiony wszelkich pieniężnych środków, udał się na studja filozoficzne do Paryża. Bóg mu sownie wynagrodził ufność, jaką Piotr w Nim pokładał, gdyż wkrótce otrzymał tam darmo miejsce w kolegium św. Barbary. Gdy tu w 29 roku życia skończył filozofję ze stopniem doktora, bił się z myślami, jaką obrać drogę

powołania. Miał chęć do studjowania medycyny, albo teologii. Wtedy zesłała mu Opatrzność człowieka, który mu wskazał, co ma począć. W tym samym mianowicie czasie przybył św. Ignacy do kolegjum św. Barbary dla dopełnienia swych studjów i przełożeni skierowali go do Piotra, żeby powtórzył z nim wykłady. Lecz wkrótce nauczyciel stał się uczniem swego ucznia. Ignacy posiadał rzadki dar zdobywania serc ludzkich, a także poznawania każdego charakteru i kierowania nim. Faber po paru dniach tak mu był całkowicie oddany, że przed nim szczerze odkrył stan swej duszy, a zwłaszcza swoje ciągłe niepokoje sumienia. Ignacy, który sam przeszedł tę szkołę czyścową, znalazł doskonałe środki dla uspokojenia swego przyjaciela, za co ten przez całe życie był mu głęboko wdzięczny.

Skoro Faber odzyskał spokój sumienia, radził mu Ignacy, który chciał go teraz poprowadzić na wyższy stopień doskonałości, aby odbył spowiedź generalną z całego życia, później przyjmował sakramenta święte w każdą niedzielę i dni uroczyste. Wskazywał mu również na codzienny rachunek sumienia, zalecając przytem zwracać uwagę na szczególną, jedną wadę, dokąd się jej człowiek nie pozbędzie, a następnie zwalczać inną w podobny sposób. W czasie przyjacielskiej rozmowy, którą prowadziły między sobą obydwie te wyjątkowe dusze, wskazał Ignacy Piotrowi plan życia, jaki sobie nakreślił. Opowiedział mianowicie, jak sam już w późniejszym wieku rozpoczął studia wyłącznie w tym celu, by kiedyś opowiadać ewangelję niewiernym, zwłaszcza w Palestynie, będąc zawsze posłusznym papieżowi. Takie jasne postawienie kwestji było dla Fabera zbawczem światłem, bo dotąd w sprawie powołania nie miał jeszcze własnego ustalonego zdania, za co pełen radości rzucił się Ignacemu na szyję i oznajmił mu, że zostanie towarzyszem jego

pracy. Ignacy nie wziął tego oświadczenia zbyt gorąco, lecz postanowił poddać Piotra próbie i zgodzić się na jego krok decydujący dopiero wtedy, gdy ten skończy studia teologiczne. W styczniu 1534 roku Faber odbył duchowne ćwiczenia pod kierunkiem św. Ignacego. W pobliżu kolegium wynajął osobny pokój, w którym miał poświęcić czterdzieści dni bez przerwy Bogu samemu, a mianowicie na rozważanie celu, dla którego człowiek jest stworzony, rzeczy ostatecznych, a szczególnie życia Pana Jezusa. Jeden tylko Ignacy odwiedzał go codziennie w tej samotni, by mu dawać wskazówki do rozmyślenia. Było to w zimie, a mróz był tak silny, że po zmarzniętej Sekwanie chodziły ciężarowe wozy. Mimo to Piotr odbywał swe medytacje w nocy na dziedzińcu, gdyż widok gwiazdzistego nieba podnosił go bardzo do Boga. Nawet nie ogrzewał on mieszkania, a przygotowany do pieca węgiel służył mu jako posłanie, na którym używał krótkiego odpoczynku. Niezadowolając się tą ogromną ofiarą, Piotr wstrzymywał się nadto w ciągu pierwszych sześciu dni od wszelkich pokarmów. Pokutę tę Pan Bóg tak mu wynagrodził, że w przyszłości nigdy nie był już dręczony przez zmysł smaku, ani przez łakomstwo. Gdy wszakże św. Ignacy zauważył w Piotrze osłabienie fizyczne, zakazał mu dalszego postu. W końcu tych czterdziestodniowych ćwiczeń Faber jasno poznał swój stan wewnętrzny. Przyjął wkrótce święcenia kapłańskie i związał się na zawsze ze św. Ignacym. Wtedy Ignacy postanowił pozyskać drugiego towarzysza, na którego najbardziej liczył, mianowicie św. Franciszka Ksawerego. Ten jednak nie od razu dał się pociągnąć. Franciszek był najmłodszym synem Don Jasso, wysokiego urzędnika państwowego w Nawarze, matką jego była Marja Azpilcueta Ksawer. Dwie gałęzie jej protoplastów były tego samego nazwiska, które należało do najznakomitszych w państwie.

Światło dzienne ujrzał Franciszek 7 kwietnia 1506 roku w zamku Ksawer, od którego otrzymał swój przydomek.

Chłopiec był żywego temperamentu, bystrego umysłu, miłej powierzchowności, ujmującej wesołości, pełen wdzięku, a jednocześnie czuł wstręt do wszystkiego, co by mogło mieć ujemny wpływ na czystość jego duszy. Pobożni rodzice wychowali go z wielką troską i wszczepili weń bojaźń Bożą. Wcześniej już przeto można było przewidzieć świetną przyszłość Franciszka. Gdy skończył nauki przygotowawcze w osiemnastym roku życia, udał się do paryskiego uniwersytetu, który wtedy był jednym z najznakomitszych środowisk naukowych w całej Europie, gdzie w większej części otrzymywała wykształcenie szlachecka młodzież Hiszpanji, Niemiec i Włoch. Ze zwykłym sobie zapalem oddał się pracy i prędko przewyższył tak pilnością, jak i postępami w nauce większość swych współkolegów. Chciał się specjalizować w filozofji, lecz ojciec, który był głową licznej rodziny, musiał się ograniczać w wydatkach, więc myślał nad tem, aby go wycofać z uniwersytetu. Na szczęście, ojciec podzielił się tym projektem ze starszą swoją córką, która mieszkała w Gandji, jako przełożona klasztoru Klarysek, a zażywała przytem opinji świętobliwej zakonnicy. Ta odpisała ojcu, by zaniechał myśli odwołania Franciszka z uniwersytetu, bo jest on, jak się jej zdaje, przeznaczonym przez Boga na apostoła Indyj i będzie jednym z najsilniejszych filarów Kościoła. Ojciec poszedł za tą radą. Franciszek skończył filozoficzne studja, w 1530 roku zdobył doktorat filozofji, został profesorem uniwersytetu i na tem stanowisku wkrótce zjednał dla siebie uznanie i był na drodze do wielkiej sławy.

Istotnie, Ksawery zyskiwał opinję uczonego, a nawet przypuszczał, że droga, na którą wszedł, doprowadzi go do szczytów znaczenia i sławy. Ale Bóg miał inne wzglę-

dem niego zamiary. Wykształcenie naukowe potrzebne mu było nie dla przemijającej wielkości światowej, lecz by ziściły się na nim słowa: „Którzy ku sprawiedliwości wprowadzą wielu, (świecić będą) jako gwiazdy na wieki wieczne” (Dan. XII, 3).

Gdy Ksawery rozpoczął filozoficzne wykłady, przybył św. Ignacy do kolegium św. Barbary, w którym mieszkali wspólnie Faber i Ksawery. Ignacy, obdarzony umiejętnością poznawania dusz ludzkich, dojrzał w młodym Franciszku Ksawerym jednostkę, która zdawała się być stworzoną dla jego planów. Lecz Ksawery, dumny profesor, plany starego studenta (Ignacego) uważał za niedorzeczną fantazję i wprost je wyśmiewał. Ubogi sposób życia Ignacego i zamięłowanie ubóstwa uważał za objaw niskiej duszy, drwił z niego tylko i starał się go ośmieszyć. Lecz Ignacy nie byłby świętym, gdyby tym sposobem dał się odstraszyć od swych projektów. Mimo drwiącego uśmiechu, jaki widział na twarzy Ksawerego, powtarzał ciągle słowa: „Cóż pomoże człowiekowi, jeśliby wszystkich świat zyskał, a na duszy swej szkodę podjął. Albo co za odmianę da człowiek za duszę swoją?” (Mat. 16, 26). Lecz wkrótce Ignacy zauważył, że tą drogą nie zyska dumnego Ksawerego, starał się przeto poznać jego słabości. Wychwalał w nim rzadkie przymioty, które Franciszek posiadał z natury, wyrażał z tego swoją radość i podziwiał jego niezwykle rozum. Usiłował nadto zdobyć dla niego dużo uczniów, by przez niezwykle liczbę słuchaczy jeszcze bardziej podnieść jego opinię, wprowadzał ich na salę wykładową i przy tej sposobności pod adresem Ksawerego dorzucał zawsze kilka słów pochlebnych. Ksawery był zbyt ambitny, by nie przyjął z zadowoleniem wszelkiej pochwały, z drugiej zaś strony za dobrze był wychowany, by pozostać nieczułym na usługi przyjacielskie tego, któremu okazywał dotąd zawsze tylko

lekceważenie. W tym samym czasie Ksawery dowiedział się, że Ignacy, człowiek ograniczony w oczach ludzkich, należy do jednego z pierwszych dworów w Guipuzcoa, że posiada niezwykłą dzielność i szlachetność duszy, że jedynie miłość ku Bogu pobudziła go do takiego sposobu życia, dla którego złożył ofiarę z siebie i ze wszystkiego, co mógł posiadać. Odtąd inaczej zaczął sądzić o nim, jego słowa zdawały mu się być więcej warte, jego pochodzenie i cnotę wyżej cenił, z uwagą zaczął słuchać tego, co mu mówił, choćby to było nawet przeciwne jego naturalnym skłonnościom.

Kiedy, razu pewnego, Ksawery wpadł w wielki kłopot pieniężny, a Ignacy pomógł mu w spłaceniu najbardziej pilnych długów, Ksawery odrazu zmienił się w stosunku do niego. Innym razem znowu Ignacy wyświadczył wielką przysługę Ksaweremu, na którego już miał duży wpływ. Przybyli mianowicie niemieccy wyśłańcy do uniwersytetu paryskiego, by tam zjednać dla nauki Lutra utalentowanych, młodych ludzi. Dusza Ksawerego żywa, niespokojna, nadto oddana wrodzonej dumie, powoli zaczęła odczuwać upodobanie w nowinkach i poddałaby się im niezwłocznie, gdyby Ignacy w to się nie wdał i nie wyjaśnił mu prawdy.

To Franciszek otwarcie wyznaje w piśmie do swego brata: „Nietylko w pewnych kłopotach, pisał, w które wpadłem, wspierał mię czynnie Ignacy już to sam, już to przez swoich przyjaciół, lecz jeszcze większą wyświadczył mi przysługę, gdy mnie powstrzymał od połączenia się z bardzo zdolnymi, a przytem przyjemnymi, młodymi ludźmi, którzy byli oddani błędnej nauce i pod błyskotliwemi pozorami kryli tajne swe myśli. On nie dopuścił do tego niebezpiecznego związku, któremu nierozważnie zacząłem się poddawać i powstrzymał mię od tego, żem nie poszedł za wrodzoną mi lekkomyślnością, a zatrzymał mnie tem, że wskazał mi zastawione na mnie sidła. Gdyby to jedno

tylko było, za co powinienem być mu wdzięczny i takbym nie wiedział, czy mu się kiedykolwiek zdołam wypłacić i swą wdzięczność dostateczną okazać, bo nigdybym bez niego nie odsunął się od tych młodych ludzi, którzy mnie bardzo pociągali ku sobie swą pozorną wesołością wtedy, gdy dusze ich były zasępione". Z tego szczerego wyznania można wnioskować, że Ksawery, który w następnych latach miał zanieść dalekim narodom światło ewangelji, samby tego światła dla siebie nie zachował, gdyby nie dostał się w ręce przyjaciela, jakim był dla niego Ignacy. Od sideł przeto błędu wybawił Ignacy—Ksawerego, lecz chciał go jeszcze zupełnie wyrwać ze świata. Gdy pewnego dnia znalazł Ksawerego podatniejszym niż zwykle do rozważania prawd wielkich, z naciskiem doń powtarzał: „Co pomoże człowiekowi, jeśliby cały świat zyskał, a na duszy swej strąbę poniósł?” I wtedy przedstawił mu na serjo, że tak szlachetne i wielkie serce, jak jego, nie może się ograniczać do próżności tego świata, lecz powinno dążyć do chwały, obiecaniej wiernym sługom Boga, jako jedynie godnego przedmiotu swych pożądań. Nawet rozum ludzki nakazuje wiecznie trwające rzeczy wyżej postawić nad te, które jak sen znikają. Franciszek już się mniej opierał, ale jeszcze nie poddał się odrazu—całkowicie. Zaczął poznawać nicość ziemskiej wielkości i czuł coraz silniejszą w sobie tęsknotę za wiecznymi dobrami. Zawsze powtarzał za św. Ignacym słowa ewangelji: „Co pomoże człowiekowi...” Rozwagał, zwlekał, walczył ze sobą samym, wkońcu zdecydował się na krok stanowczy i poszedł za tym głosem. Wybrał przeto Ignacego na kierownika swego wewnętrznego życia, jak to przedtem uczynił Piotr Faber, który na drodze do zbawienia już dawniej wyprzedził Ksawerego. Pod kierownictwem tak światłego męża zdążał Ksawery ze zdecydowaną odwagą ku doskonałości chrześcijańskiej po niezna-

nej dotąd drodze, uświadamiał sobie dobrze, że pierwszy krok nawrócenia się zależy od zwalczania głównej w człowieku namiętności i, dobrze wiedząc, że dotąd bardzo go nęciła żądza sławy, zaczął z mężnym wysiłkiem, uznając swe błędy wobec Boga, upokarzać się i mieć się za nic; ujął również w karby swe ciało postami i innymi surowymi ćwiczeniami.

W początkach najbliższych feryj odbył ćwiczenia duchowne i po nich odmienił się zupełnie. Daleki od ułud światowych, zajął swój umysł tylko boskimi sprawami i zagłębił się w nich tak dalece, że przez cztery dni zupełnie zapomniał nawet o pożywieniu. Według starego, godnego wiary podania, miał się stale udawać na modlitwę ze związanymi rękoma, by tem zaznaczyć, że zrywa ze swobodą ciała i chce tylko iść za duchem Bożym. Całkowicie więc zmienił swój sposób myślenia tak, że teraz pokora krzyża ukazała mu się tysiącokrotnie więcej wartą, niż wszelka wspaniałość świata. W samotności, w czasie duchownych ćwiczeń dojrzała w nim stanowcza decyzja poświęcenia całego życia zbawieniu dusz ludzkich. W tym celu rozpoczął zaraz studia teologiczne.

Jednocześnie Ignacy podzielił się z nim swoim planem założenia Towarzystwa, którego członkowie pod ślubem mieli się wyzbyć wszelkich dóbr tego świata i udać się do Palestyny, by tam opowiadać wiarę, albo gdyby w terminie rocznym nie nasunęła się ku temu sposobność, oddać się do bezwzględnego rozporządzenia papieża i tam iść, dokąd on pośle. Franciszek przyjął to całą duszą, złożył ślub razem z Ignacym, Piotrem Faberem i czterema towarzyszami w Montmartre w dzień Wniebowzięcia Najświętszej Marji Panny 1534 roku i stał się jednym z założycieli Towarzystwa Jezusowego. Ponieważ rozpoczęta wówczas wojna turecka wykluczała działalność misyjną na terenie Palestyny, święci ci mężowie nauczali we Włó-

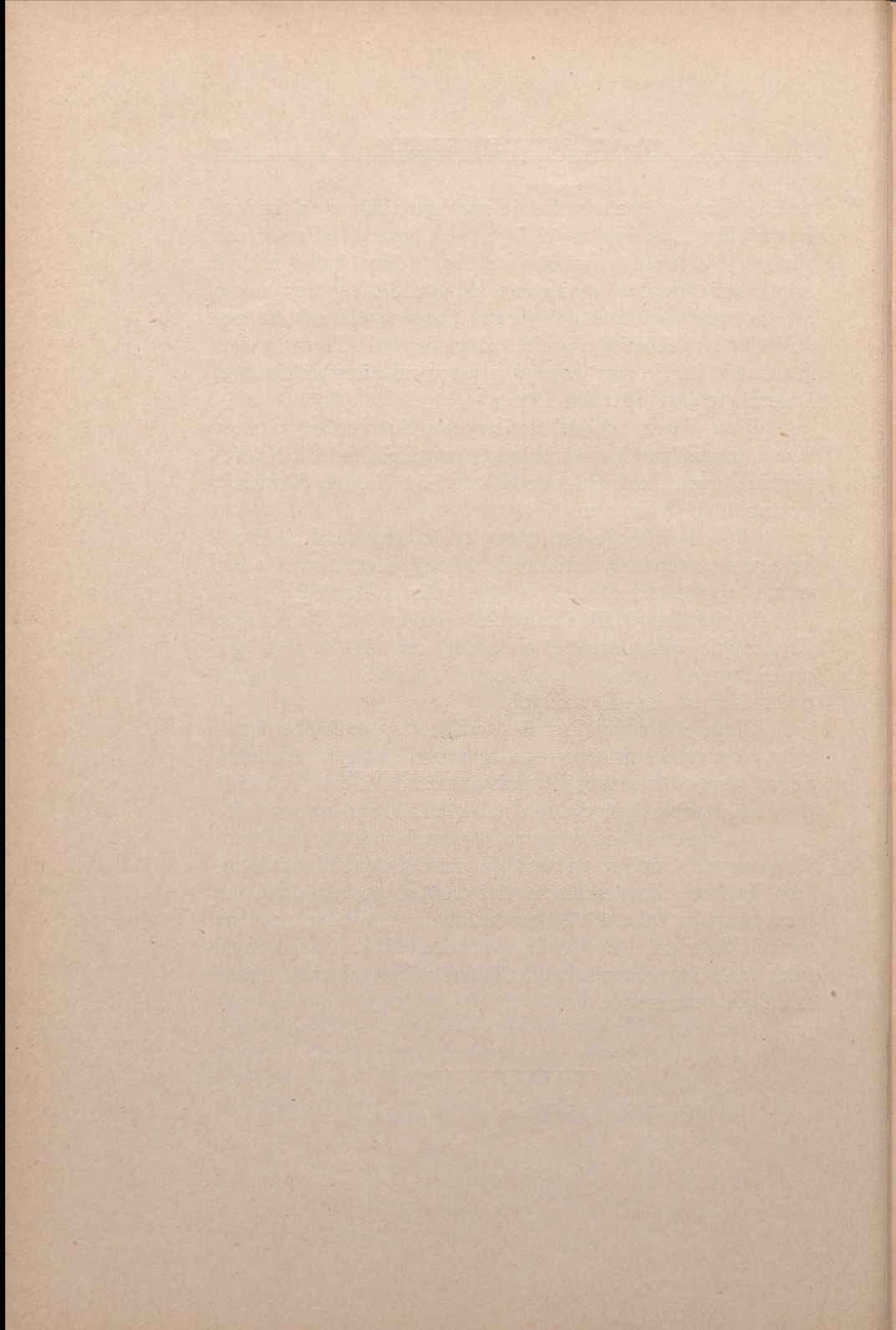
szech i uzyskali zatwierdzenie nowego zakonu od papieża Pawła III 29 czerwca 1537 roku. Ignacy i Franciszek Ksawery, a także i inni towarzysze, którzy dotąd nie byli kapłanami otrzymali święcenia kapłańskie. Ignacy mimo swego sprzeciwu został wybrany na generała zakonu, naskikował znakomitą regułę, zorganizował Towarzystwo Jezusowe, jak je sam nazwał, i kierował niem aż do swej śmierci, to jest do roku 1556.

Piotr Faber działał nadzwyczaj dużo dobrego przez swe kazania, naukowe wykłady, nauczanie ludu i ćwiczenia duchowne, któremi kierował tu i ówdzie we Włoszech, Portugalji i w Niemczech.

Niemalą też jego zasługą było i to, że przeszkodził odszczepieńczemu arcybiskupowi Kolonji, Hermanowi, odzwanie tej wielkiej diecezji od łączności z Rzymem.

Papież Paweł III-ci powołał Fabera na Koncyljum Trydenckie jako doradcę, ale zanim on udał się w drogę, umarł w roku 1546. Papież Pius IX imię Piotra wciągnął do katalogu błogosławionych.

Niegdyś dumny Franciszek Ksawery, który teraz tak był pokorny, że do świętego Ignacego, swego przełożonego, pisywał klęcząc, jako misjonarz udał się w roku 1541 do Indji i wiele tysięcy tam nawrócił. Tego samego dokonał w Japonji i na różnych wyspach wśród niewypowiedzianych trudów, wspierany przez Boga zdumiewającymi cudami. Zamierzał również podjąć podróż do Chin, lecz umarł w roku 1552, osamotniony i opuszczony na wyspie Sancjani. Z chwilą przeniesienia w następnym roku ciała św. Franciszka do Malakki, natychmiast ustała szalejąca tam zaraza.



PIOTR KANIZJUSZ.

1521—1597.

Szesnasty wiek był jednym z najcięższych okresów Kościoła katolickiego, zwłaszcza w Niemczech. Wszędzie panowała tam niezgoda i szerzyło się odszczerpienie tak, że dziełu św. Bonifacego, apostoła Niemiec, groziło zniszczenie. Jednak w chwili, kiedy zagrażało największe niebezpieczeństwo, Bóg śpieszył ze swoją pomocą, wzbudzając w odpowiednim momencie dzielnych mężów, o jakich mówi Jeremjasz: „I dam Cię ludowi temu murem miedzianym, mocnym” (XV. 20). Takim właśnie mężem był Piotr Kanizjusz, drugi apostoł Niemiec.

Piotr ujrzał światło dzienne w Nijmegen 8 maja 1521 r. Pochodził z rodziny, która oddawna odznaczała się przywiązaniem do Kościoła katolickiego i w czasie reformacji poszła raczej na wygnanie, a nie odstąpiła od wiary. Pobożna jego matka dokładała wszelkich starań, by wychować bogobojnie swego syna i, jak to zaznacza Piotr w swoich „Wyznaniach”, wśród gorących łez, stroskanem sercem, często polecała go opiece Bożej. W trosce tej nie było przesady. Był to bowiem czas, kiedy w różnych krajach szerzyły się błędy w dziedzinie wiary. Niebo здаwało się chmurzyć nad Niderlandami. Świętobliwa ta niewiasta schodziła przedwcześnie z tego świata, a żegnając się z najbliższymi, zażądała od męża wyraźnego przyrzeczenia, że będzie się trzymał z całą rodziną zdala

od „nowinek” i pozostanie wiernym religii katolickiej. Nie trudno mu było zadośćuczynić temu życzeniu, bo odpowiadało to w zupełności jego poglądom i przekonaniom.

Po śmierci matki, a następnie i macochy, mały Piotruś znalazł wyjątkową wychowawczynię w siostrze swej macochy, pobożnej dziewczycy, która żyła w świecie na sposób zakonny, prawie w zupełnem odosobnieniu. Zajęła się nim jak rodzona matka i starała się pilnie, by wzrastał w karność i bojaźni Bożej. Pod jej opieką malec szybko rozwijał się fizycznie i umysłowo, zdradzał szczególną chęć do nauki, odznaczał się doskonałą pamięcią, szybką orientacją, nadto wesołem i szczerem usposobieniem. Miał wszakże i pewne braki jak: drażliwość, kłótlliwość i upór i, jak się sam oskarżył w swych „Wyznaniach”, niekiedy zbyt oddawał się dziecięcym zabawom i bezmyślnym rozrywkom. Pobożność jednak dopomogła mu zwyciężyć te wady. Nierzadko spotykano go modlącego się w samotności, a, jak sam o tem mówi, nie zachęcał go nikt do tego. Z własnej pobudki nosił od czasu do czasu pas pokutny. Gdy modlił się pewnego dnia przed tabernakulum, uczuł niezwykłą radość i pokój serca. „Byłem jeszcze chłopcem, mówi sam o sobie, gdym w kościele św. Stefana w Nijmegen, klęcząc, adorował Twoje Najświętsze Ciało, Panie! Nie mogę zapomnieć tej łaski, której mi udzieliłeś, gdym stroskany i zalany łzami wołał do Ciebie. Już wtedy widziałem próżność, przewrotność i szaleństwo świata, oraz liczne niebezpieczeństwa dla życia doczesnego i wiecznego zbawienia. Widziałem zastawione na siebie wszędzie sieci, których ujść nie umiałem własnymi siłami. Błagam Cię przeto o ratunek w niebezpieczeństwie! Wskaż mi i ucz mnie Twej prawdy, boś Ty Bogiem moim i Odkupicielem moim! Wierzę mocno, że ten nastrój trwożliwy i to święte za-

kłopotanie moje Tyś wywołał we mnie, Boże. Nie daj, bym kiedykolwiek zboczył z drogi prawej!”

Kanizjusz miał szczególną cześć dla obrazów świętych, lubiał uroczystości kościelne i odczuwał zawsze wielką radość, ilekroć mógł służyć do Mszy św. Urządzał sobie ołtarzyk, aby, bawiąc się, mógł pełnić rolę kapłana. „Może to wyglądało na dziecinadę, tak wspomina o tem w swoich „Wyznaniach”, ale, przy głębszem wejrzeniu w istotę rzeczy, ujawniał się w tem przyszły kierunek całego mego życia i cudowne względem mnie zamiary Opatrzności Boskiej”.

Piotruś chodził do pewnego rodzaju liceum, gdzie, jak się okazało, było dużo źle wychowanych rówieśników, których rozmowy i zły przykład groziły zniszczeniem w jego duszy dobrego ziarna, pielęgowanego dotąd starannie przez troskliwą opiekunkę. Wkrótce wpłatał się, choć bezwiednie, w niebezpieczne okoliczności, które mogły stać się dla niego okazją do upadku. Pochodził, jak wiemy, z bogatej rodziny, a przytem posiadał wybitne zdolności. Jedno i drugie budziło w nim próżność. „Dużo myślałem o sobie, a pogardzałem innymi, chciałem wydawać sąd o największych sprawach, ślepy sądziłem o kolorach. Jeśli mnie przestrzegano lub ganiono, nie umiałem zapanować nad sobą, lecz zawsze prowadziłem zacięte spory i sprzeczki”.

W starszym wieku wspomnienia młodości wywoływały w jego sercu żal, że dzieci nawet dobrych rodziców często mają w najbliższym otoczeniu niebezpiecznych doradców, którzy zazwyczaj odciągają ich od wszelkiej myśli religijnej i prowadzą do pychy, rozkoszy i lekko-myślności.

Na szczęście, niebezpieczeństwo, w jakim znalazł się Kanizjusz w liceum, nie trwało długo. Gdy miał lat piętnaście, ojciec wysłał go do akademii Kolońskiej i wyr-

wał go wporę tym sposobem z sideł, zarzucanych nań ze strony złych towarzyszków.

W Kolonji Piotr zamieszkał u profesora teologii, ks. Andrzeja Herlla, co przy szerzących się wówczas herezjach, było dla niego, jako dla młodzieńca, szczególnie ważną rzeczą. Tu Kanizjusz zetknął się z najznakomitszymi katolikami. Najważniejszym jednak było dla niego to, że znalazł wyjątkowego kierownika dla swej duszy w osobie profesora ks. Mikołaja Esche, którego później serdecznie wspomina w swych „Wyznaniach”: „Wielbij duszo moja Pana, tak się odzywa Kanizjusz i nie zapominaj o Jego dobrodziejstwach, bo to On dał mi tego nauczyciela, który kochał nie to, co było we mnie przejściowe, lecz dbał o moje zbawienie i z całą pieczołowitością o nie się troszczył. Pod jego kierownictwem wyzybywałem się powoli próżnego upodobania w sobie, a zwracałem coraz bardziej myśl ku Tobie, Boże, którego za mało znałem i mało się bałem w kwiecie młodości. Jego rady i przykłady skierowały nawet zmysły moje na nową drogę. Jego to wpływ zdołał przełamać i wyniszczyć we mnie nierozważne wybryki młodzieńcze; obcowanie z nim ułatwiło mi zapomnienie o dawnych znajomościach i towarzystwach”.

„Nikt mi wtedy nie był miłszym ani bliższym od niego, a zdanie jego taką wagę miało dla mnie, jakby zdanie samego ojca. Nietylko podczas spowiedzi otwierałem mu całe serce, lecz i poza tem, każdego wieczora przed spaniem, przedstawiałem mu (tak wielkie miałem doń zaufanie!) swoje wykroczenia, ułomności i wszystko, co plamiło duszę, aby przed nim, jakby przed sędzią, zdać rachunek ze swych przewinień. Tego człowieka, jak w to wierzę, wyznaczyłeś mi wyrokiem swej Opatrzności, o Boże, jako drugiego Ananiasza, dla mojej nauki i połączenia się z Tobą”.

Van Esche podawał swemu wychowankowi chrześcijańskie zasady życia, najczęściej w formie aforyzmów. Niektóre z nich przekazał nam Kanizjusz w swych notatkach, np.:

Bogu służyć, to znaczy królować!

Bogu służyć, jest jedynem szczęściem, wszystko inne ułuda!

Wystarczy Ci poznać Chrystusa, choćbyś poza Nim nic nie poznał, itd.

Z wielką ostrożnością i mądrością przyzwyczajają go ks. Van Esche do codziennego rozmyślania, podsuwając mu od czasu do czasu czytanie Ewangelji z poleceniem zwracania uwagi na miejsca, które go więcej zajmą. Czytanie żywotów świętych było również jednym ze środków wychowawczych młodego Kanizjusza. W ten sposób budził się w nim silny pociąg do życia wewnętrznego, do którego zresztą od lat najmłodszych miał skłonność.

Wobec takiego sposobu życia, Piotr zarówno pracę jak i rozrywki swych lat akademickich ujął w zbawienne karby; zamiłowanie świata i wzgląd ludzki znikły potrośnie z jego serca młodocianego.

Właśnie w tym czasie potrzebował Kanizjusz szczególnej pomocy Bożej. Przeżywał wtedy 16 i 17 rok swego życia, zwykle tak niebezpieczny dla wieku młodzieńczego, a był przytem wesołym i towarzyskim studentem. Sam się porównuje do jeszcze nieoswojonego, jucznego stworzenia, które usiłuje zrzucić z siebie ciężar. Swobodne życie akademickie wywierało nań wielki urok. Jednak przyjaciel ojca umiał go utrzymać na prawej drodze zachętą, upomnieniem, ostrzeżeniem lub perswazją, nieraz nawet listowną, jeśli chwilowo byli zdala od siebie. Gdy Kanizjusz w czasie feryj zaniedbał się trochę w domowych zajęciach, nie uszło to uwagi czujnego wychowawcy: Van Esche pojechał do niego, zganiał mu tę opieszałość,

wprowadził go zpowrotem na bezpieczną ścieżkę i znów Piotr wrócił na drogę właściwego życia. W takich przełomowych chwilach Kanizjusz uciekał się często do tabernakulum w kościele św. Gereona i w modlitwie, za łaską Bożą, zawsze odnosił zwycięstwo.

Obok modlitwy i bezwzględnego posłuszeństwa w stosunku do swego kierownika duszy, oddawał się Piotr roztropnemu umartwieniu, które bardzo mu pomagało w życiu duchownym. Pieniądze, jakie mu zostawiał ojciec na książki i rozrywki, rozdawał często biednym studentom. W karnawale zaś, gdy koledzy oddawali się rozrywkom prawie do szaleństwa, on odmawiał sobie w te dni winy w intencji prześlągania Boga za wyrządzane Mu w tym czasie zniewagi.

Tą drogą idąc, Kanizjusz tak ugruntował się w cnotach, że mógł powiedzieć bez przesady: „W Bogu położyłem ufność, nie mam potrzeby obawiać się niczego, coby mogły mi wyrządzić złego zmysły moje”. Do 19-go roku życia zachował on nieskażoną czystość serca, a wtedy, w r. 1540 wykonał wieczysty ślub czystości, czego nigdy potem w swem życiu nie żałował.

Jak wielki zrobił postęp na drodze własnego wewnętrznego wyrobienia, o tem świadczą jego ulubione myśli, które często powtarzał: „Kochaj szczerze Boga i idź z miłością za jego światłem! Oddaj się całkowicie Bogu, odwróć się zupełnie od zasad świata!”

W 1540 roku zakończył Kanizjusz swe studia i otrzymał doktorat z filozofji. Idąc raczej za życzeniem ojca, niż za własną chęcią, zaczął teraz studjować w Kolonii i Lowanijum prawo, ale sam czuł pociąg do teologii. Tej samej myśli był również jego przyjaciel, Wawrzyniec Surjus z Lubeki, późniejszy autor dzieł: „Wielkiej legendy o świętych” i „Historji powszechnej”. Przybył ten ostatni do Kolonii jako protestant, ale wkrótce został katolikiem,

zawdzięczając to wpływowi Kanizjusza i Mikołaja Van Esche. Gdy Kanizjusz otrzymał doktorat z filozofii, Surjus wstąpił do Kartuzów. Krok ten silnie oddział na trzech przyjaciół. „Życie, jakie prowadzili Kartuzi, ich spokój, ich rozmyślanie, pisze Kanizjusz, i mnie silnie pociągały ku sobie”.

Już dawniej pewna świętobliwa osoba przepowiedziała mu dziwną rzecz, jak to sam stwierdza w testamentie: „Przypominam sobie, pisze, bardzo zacząć osobę, która w całym swym życiu odznaczała się rzadko spotykaną pobożnością. Przepowiedziała mi ta pani w r. 1536, że powstanie nowe stowarzyszenie kapłanów, z których będzie miał Bóg w swej winnicy prawdziwych robotników i dodała wtedy, że i ja przyłączę się do nich”. Nie było jeszcze wtenczas i mowy o Jezuitach. Dopiero w r. 1540 przyszedł do Niemiec pierwszy towarzysz św. Ignacego Loyoli, O. Piotr Faber, i kazaniami swymi, swym życiem świętem wzbudził niezwykły podziw wśród wiernych. Gdy wieści o tem doszły do Kanizjusza, pojechał około Wielkiejnocy 1543 r. do Monachjum, by tam odwiedzić Ojca Fabera. Pod jego kierunkiem odprawił zaraz ćwiczenia duchowne. Po ich zakończeniu Piotr zdecydował się zostać Jezuitą. W zachowanym dotąd liście Kanizjusz pisał do jednego z przyjaciół: „Przy pomyślnym wietrze, dotarłem do Monachjum. Znalazłem tu człowieka, którego nazwałbym raczej aniołem. Nie widziałem i nie słyszałem dotąd teologa, któryby mu dorównał w nauce i cnocie. Nie łatwo opisać, jaką uczułem zmianę w duszy po ćwiczeniach duchownych, jak boskie światło rozjaśniło mój umysł, jak odczułem w sobie nową siłę życiową, jak pełnia życia Boskiego miała nawet wpływ na moje siły fizyczne tak, że uczułem się ogromnie pokrzepiony i wprost zmieniony w innego człowieka”.

Z zapałem kończy Kanizjusz teologiczne studia i otrzymuje święcenia kapłańskie. Potem, z biegiem czasu, zostaje doradcą cesarza, papieża i wielu biskupów. Będąc przez dziesiątki lat kaznodzieją ludowym w południowych Niemczech, w Austrii i w Szwajcarii, umocnił masy katolickie w wierze św. i powrócił Kościołowi wielu odpadłych. W Wiedniu doprowadził do rozkwitu prawie zamarłe tam życie religijne. Stale wymawiał się od ofiarowanej mu godności biskupiej. Na życzenie króla Ferdynanda, ułożył swój znakomity katechizm, używany w niektórych okolicach jeszcze do dnia dzisiejszego. Jako pierwszy w Niemczech prowincjał OO. Jezuitów, założył tam wiele domów zakonnych. Umarł śmiercią świętych w 76 roku życia we Fryburgu szwajcarskim. Papież Pius IX zaliczył go w r. 1864 w poczet błogosławionych, a papież Pius XI w r. 1925 w poczet świętych. (Dopisek tłumacza).



KS. PIOTR SKARGA.

PIOTR SKARGA

Złotousty kaznodzieja i mąż nieustraszony.

1536—1612.

„Twój głos był jako Zygmunowski dzwon,
Twe słowa jak sądu Cheruby,
Kiedy z niebieskich wylatują bron,
Dzień gniewu głosząc i zaguby
I grzechem narodu grożą
Karą bożą, pomstą bożą,
Twych proroctw byłże w onczas jaki plon!”

Lucjan Rydel.

„Najczystszy duch polski, w najwznioślejszem polkiem słowie,
to jest Skarga”.

Stanisław Tarnowski.

Jeden z biografów Skargi wyraża się, że był on i jest ozdobą Kościoła, że przyniósł zaszczyt rodzinie i zakonowi swemu, że w nim odbił się cały kraj, cały naród ze swą przeszłością.

Z tych względów kreślimy tego niezwykłego męża sylwetkę, choć ze szczupłemi wiadomościami o jego młodości, boć dotąd historia nie zna ich dużo.

Miasteczko Grójec, na Mazowszu, przez które prowadził trakt, dziś bita szosa z Radomia do Warszawy, odległe od Warszawy o 50 kilometrów, szczyci się po dziś dzień, że wydało z pośród siebie Piotra Skargę, z mieszczańskiej rodziny Michała i Anny z Świątkowskich albo Świątków.

Z rodzeństwa Piotra znani są tylko: siostra, która wyszła za Czarnoleskiego, współwłaściciela dóbr Zdziesiek i brat Franciszek, burmistrz czy rajca grójecki, który zaczął korzystać z nadanego rodzinie Skargów dnia 1 czerwca 1593 r. szlachectwa z herbem Prus i pisać się począł Powęskim *).

W ósmym roku życia Piotr stracił matkę, a w 12-ym ojca. Pierwszą naukę pobierał w rodzinnym miasteczku, a mając lat 17-cie wyjechał na studia do akademii Jagiellońskiej, gdzie od 1 stycznia 1552 r. zapisał się na wydział artystyczny. Po dwóch latach wyteżonej pracy, otrzymał stopień naukowy bakalaureatu in artibus, co mu dawało prawo zająć stanowisko kierownika szkoły. O jego serdecznym stosunku, jako studenta, do profesorów powiemy niżej. Widocznie, jako akademik, wzbudził zaufanie swych przełożonych, skoro w 19-ym roku życia otrzymuje nominację na rektora szkoły w Warszawie, zależnej od krakowskiej akademii. W czerwcu 1555 r. rozpoczyna młody Skarga zawód wychowawcy i kierownika tej szkoły. Tu, świetnie opanowuje uczącą się młodzież, doskonale harmonizuje naukową i wychowawczą działalność wśród współpracujących nauczycieli tak, że młody dyrektor zwraca na siebie uwagę największych powag stolicy i kraju. To też Jędrzej Tęczyński, kasztelan krakowski, mąż znany z nauki, rozważi i rycerskiego usposobienia, nie komu innemu, tylko Skardze powierza stałą opiekę nad wychowaniem starszego swego syna Jana, którego kształcił w Wiedniu. Wskutek tego, Skarga od 1557 r. stał się domownikiem rodziny Tęczyńskich i z młodym Janem pojechał do Wiednia, gdzie przebył dwa lata. Poznał tu

*) W życiorysie Piotra Skargi Encyklopedia kościelna ks. Nowodworskiego podaje taką wiadomość: „W archiwum parafii grójeckiej są akta fundacji szpitala dla ubogich przez Jana Skargę, brata ks. Piotra. Byłby to w takim razie drugi brat rodzony Piotra, albo może stryjeczny”.

wielki świat, jego dodatnie strony i słabostki ludzkie, zwłaszcza, gdy młody Tęczyński został dworzaninem Ferdynanda I. Obracając się wśród wyższych sfer społeczeństwa polskiego i obcego, nabył pośród nich znajomość życia i wyższych form towarzyskich. To mu się przydało w życiu czynnem, zwłaszcza, gdy został nadwornym kaznodzieją w Polsce.

W Wiedniu zwrócił na siebie uwagę tamtejszych sfer dworskich. Wpływowe czynniki chciały go tu zatrzymać jeśli nie na stałe, to przynajmniej na czas dłuższy i odpowiednio wyzyskać jego zdolności i charakter. Wszystko mu się wtedy uśmiechało i wabiło do siebie. Ale w innym kierunku miała popłynąć łódka jego życia. Polskę kochał przedewszystkiem. Narodowi swemu pragnął przysporzyć szczęśliwości doczesnej i wiecznej i w tych obydwóch kierunkach poświęcił się całkowicie. Co później napisał w znakomitej swej rozprawie: „O jedności Kościoła”, którą wydał w tym celu, by doń pociągnąć inowierców: „Wprzód nawet trzeba szukać prawdziwego Kościoła, aniżeli prawdziwego słowa Bożego”, sam to zastosował do siebie przez miłość dla Oblubienicy Chrystusowej i poświęcenie jej wszystkich sił od 27-go roku życia, aż do ostatniego tchu swej zgrzybiałej starości.

Kościół Katolicki przeżywał wówczas niezwykle ciężkie czasy. Niemal cała arystokracja, większość szlachty i część mieszczaństwa poszła za nowatorskimi hasłami. Taki stan rzeczy obudził w Skardze myśl pójścia na służbę Boga i Ojczyzny w szeregach sług Kościoła.

W 1563 roku poświęcił się stanowi duchownemu i wkrótce ujawnił tak niezwykle zdolności kaznodziejskie, że z woli arcybiskupa lwowskiego, Pawła Tarły, został kaznodzieją przy katedrze lwowskiej, choć był wtedy dopiero subdiakonem. Niedługo został diakonem, a wkrótce, po otrzymaniu święceń kapłańskich, otrzymał probostwo

w Rohatynie około Brzeżan, w Małopolsce, 11 mil od Lwowa. Ułatwił mu to wdzięczny za wychowanie syna Jędrzej Tęczyński. Prawie jednocześnie z probostwem otrzymał od arcybiskupa Tarły nominację na kanonika kapituły Lwowskiej. Choć wygodnieby dla niego było, gdyby połączył probostwo rohatyńskie z kanonją lwowską, jednak, rozważywszy odpowiedzialność przed Bogiem i społeczeństwem za stan parafji, w której nie mógłby stale przebywać, wkrótce zrzekł się bogatej prebendy w Rohatynie, osiadł nastąpił we Lwowie, by kazalnicy poświęcić wszystkie siły swego umysłu i serca.

O zasługach Skargi w historii i literaturze Stanisław Tarnowski te chlubne pisze słowa: „Dla uzdrowienia i podniesienia duszy narodu nikt może inszy w naszej historii, a z pewnością nikt w literaturze nie zrobił tyle, co Skarga”. Jakże owocną dla narodu była jego praca kaznodziejska, skoro taki potentat żywego słowa, jakim był prawie mu współczesny dominikanin Birkowski, nad trumną jego 28 września 1612 r. wypowiedział swój sąd w ten klasyczny sposób: „O Skardze drugiemu trzeba by tu mówić, bo Skargi nikt chwalić nie może, jeno Skarga”.

Na wpływowego kaznodzieję Skarga posiadał dużo danych, których używał dla dobra najświętszej sprawy narodowej, siebie zawsze stawiając poza nawiasem wyższych celów swego powołania. Przymioty tego wielkiego męża tak nam opisują biografowie: pociągająca powierzchowność, wysokie czoło, bystre spojrzenie, subtelny umysł, błyskawiczna przytomność, żywa wyobraźnia, umiejętność wyszukania najczystszych źródeł wiedzy, a przytem wszystkiem niezwykłą pracowitość. Obok tego Skarga miał świadomość, że najzawilsza prawda i nawet wkładany na ludzi najcięższy obowiązek, przedstawione w wykwintnej formie, łatwiej są przyjmowane, starał się przeto zawsze mówić językiem wytwornym. Styl miał oryginalny,

piękny w swej prostocie. Polszczyzną władał przepiękną, a o ile posuwał się w latach, o tyle stawał się wytworniejszym w prostocie swej wymowy i czystości języka.

Kiedy mowa o języku skargowskim, niepodobna się powstrzymać od przytoczenia zdania w tym względzie Rychcickiego, który, wypowiedziawszy swój zachwyt nad treścią „Żywotów Świętych” Skargi, tak mówi o ich języku: „Nie znam dzieła w naszym języku, któreby większą rozmaitości w jedności przedstawiało. Znajdziesz w nim wszystkie rodzaje stylu i wymowy. Zaczawszy od sielskiej piosnki, kolędy, powieści, legendy, do najwyższych polotów myśli i uczucia, do tonu pieśni Dawidowych i biblijnych szczytów, do najpoważniejszych i najsilniej porywających ustępów dziejowych, gdzie z dramatyczną żywością, a nie raz i w dramatycznej szacie występują na jaw wszystkie tajniki serca i rozumu, wszystkie namiętności, cała walka życia, całe ciężkie ścieranie się obowiązku z losem. Tu słabe dziecię nierówne i wahające stawia kroki, ówdzie wznoszą się jak łuna zapaly młodzieńcze i jaśniejące pięknnością oblicza, tam znów dojrzała i szlachetna postać męża, tu latami zorana i siwym włosom usrebrzona skroń starca. Zdaje ci się, że różne słyszysz głosy: tu śpiew słowika, tu jęki cierpiącej ludzkości, ówdzie świst strzały, wrzawę, łoskot wojenny, huk gromu, lub szmer wzburzonego ludu, albo szmer cichego strumyka. A nigdzie nie szuka tych piękności, wszędzie je na drodze swej spotyka, nie spodziewa się, aż tu nagle ta rzeka, za którą idziesz, tryska do góry i w tęczowym świetle wodospadzie. Nic więc dziwnego, że i słynny paryski nauczyciel i drugi niepospolity autor dzisiejszy nazywali dzieło to najpoetyczniejszym ze wszystkich....” str. 305.

Ale powróćmy do kolei życia Skargi!

We Lwowie, jako młody kapłan, pracował dla dobra dusz nie tylko na ambonie, ale korzystał również z każ-

dej sposobności, proszony o to i nieproszony, by ludzi, zdala stojących od Boga i żyjących poza Kościołem, doprowadzić do prawdy i cnoty. Udało mu się to niejednokrotnie. Od chwili, gdy szczęśliwie pośredniczył w poznaniu prawd wiary katolickiej schizmatycznej Mikołajowej Sieniawskiej, wojewodzinie, i ta przeszła na łono Kościoła Chrystusowego, zwrócono na niego uwagę, jako na kapłana światłego, gorliwego, a przytem taktownego. Wszystko to jednak nie zadawałniało jeszcze tej podniosłej duszy. Po sześciu czy siedmiu latach kapłaństwa świeckiego w 32-im czy w 33-cim roku życia Skarga wstępuje do zakonu Jezuitów, próbę zakonną i studja teologiczne odbywa w Rzymie i po 4 latach wraca do Polski. Z woli przełożonych w przeciągu 43 lat życia zakonnego przebiega Polskę wzdłuż i wszerz, duchownym pługiem słowa Bożego przeorywa Inflanty i Ruś. Najbardziej gorąco przemawia w miastach: Pułtusku, Jarosławiu, Lwowie, Płocku, Połocku, Rydze, Krakowie, Kaliszu, Lublinie, Warszawie, Częstochowie, Sandomierzu, Dorpacie, Brześciu i innych.

Mimo ukochania, jakie miał dla ambony, nie wszystkie siły jej poświęcał. Potoki swych serdecznych uczuć i poza nią Skarga wylewał: już to w swych pracach literackich, już to w akcji społecznej. Prac literackich opublikował około 40. Najpoczytniejszem jego dziełem były i są: „Żywoty Świętych”, które za życia Skargi doczekały się 7 wydań, a dotąd było ich 24. Jest to, jak wyżej powiedzieliśmy, jedno z najpoetyczniejszych dzieł, napisanych w języku polskim.

Pod względem naukowym i retorycznym dotąd nic nie straciły jego prace: nauka o 7-u sakramentach, o jedności Kościoła, Kazania Sejmowe i inne.

Gdy o akcję społeczną Skargi chodzi, tak ją opisuje autor artykułu „Skarga na tle naszych czasów” w *Przeglądzie Powszechnym* z 1912 r. (str. 16 i 17):

Już w czasie pobytu swego w Rzymie żywo interesuje się Skarga pracą socjalną we Włoszech.

Wróciwszy do ojczyzny, jako rektor kolegium wileńskiego, rzuca myśl i fundament pod budowę Bractwa Miłosierdzia i Banku Pobożnego *) w Wilnie w 1583 r.

W następnym roku, przeniesiony do Krakowa, zakłada tu Bractwo Miłosierdzia, które postawiło sobie za zadanie: nawiedzać chorych i więźniów i nieść im pomoc materialną i moralną. (Skarga sam najchętniej odwiedzał chorych i więźniów, skazanym na śmierć towarzyszył na szafot, by tam, w ostatniej jeszcze chwili, przygotować ich na sąd Boży).

Prawie równocześnie z Bractwem Miłosierdzia zakłada Bank pobożny w Krakowie. Przy Bractwie Miłosierdzia zaprowadza Skrzynkę św. Mikołaja w celu wyposażenia ubogich panien, uczciwie wychowanych. Z jego inicjatywy i za jego staraniem powstaje Bractwo Betanii św. Łazarza, które zbiera chorych, kaleki, nędzarzy, by je oddać do szpitali lub pod opiekę osób prywatnych, opatruje ulicznych żebraków, urządza pogrzeby dla biednych, wspiera ubogich i chorych po domach prywatnych.

Z krainą cierpień i nędzy, w której Skarga tak żywotną rozwinął działalność, łączy się inny świat, na którym opierał się ówczesny ustrój ekonomiczno-społeczny, świat pańszczyzny, świat ciężkiej i krwawej doli włościańskiej. Żrące i palące są słowa ks. Skargi, wypowiedziane z dojmującym żalem i bólem duszy w sprawie włościańskiej wobec króla i dostojnych reprezentantów narodu. O co mu chodziło? Czy o zniesienie pańszczyzny, na któ-

*) Bank pobożny, zwany także Komorą potrzebnych, za cel miał pożyczać osobom potrzebującym pieniądze, pod zastaw ruchomości bez żadnej prowizji t. j. procentu, aby biednych tym sposobem ustrzec od lichwy.

rej opierał się cały ówczesny ustrój ekonomiczno-społeczny w Polsce, czy o uwłaszczenie włościan, które przetrastało sumienie wieku i rozwój dziejów, czy tylko o ukrócenie niehumanitarnego częstokroć obchodzenia się z włościanami, o ściganie karne pańszczyźnianych zbrodni?

O jedno i drugie. I pod tym względem wyprzedził Skarga o wieki całe tak zwane dziś ustawodawstwo ochronne i uwłaszczenie włościan....

Słusznie ktoś powiedział, że gdyby Skarga nie miał nawet innych praw do nieśmiertelności, sama jego działalność socjalna uwieczniłaby jego imię. A przecież Skarga był świętobliwym i pracowitym *) kapłanem, był, jak mówiliśmy, wielkim pisarzem, był pedagogiem, (on kierował szkołą w Warszawie, on wychowywał Jana Tęczyńskiego, on był pierwszym rektorem wileńskiej szkoły, prowadzonej przez zakon OO. Jezuitów, którą król Stefan Batory 7 lipca 1578 roku podniósł do godności akademii czyli uniwersytetu), był wielkim patriotą i znakomitym mężem stanu, gorąco kochającym Polskę, której, mimo kwitnącego jej ówczesnego stanu, widział bliski upadek wskutek złych urządzeń państwowych i złych obyczajów Polaków i Polek. Tę miłość względem Polski wykazał w wiernej Jej służbie, szczególnie na urzędzie nadwornego kaznodziei, który sprawował z górą lat 24, miewając przytem kazania na 18 sejmach, w których występował jako natchniony prorok i głęboki myśliciel, przytem surowo gromił wady powszechne narodu, zwłaszcza jego warstw wyższych.

„Mickiewicz powiedział o nim wybornie, że Skarga stoi na pograniczu dwóch epok historii polskiej: skupia

*) Gdy był wyczerpany pracą umysłową, brał się Skarga do pracy ręcznej, robił kałamarze, szkatułki, oprawiał książki, lał świece i t. p.

w sobie wszystko, co było strasznego w duchu jednej, a przeczuwa, co było strasznego w dziejach drugiej". (Tarnowski, „Matejko” str. 77).

„Matejki obraz: „Kazanie Skargi”—to największy pomnik, jaki narodowemu prorokowi wzniosła nasza wdzięczność, to świadectwo najwymowniejsze, w którym wypowiedział artysta potrzebę tych upomnień. To jest wyraz zupełny i doskonały tego, co naród w uciskach swoich czuł dla swego wielkiego kaznodziei, dla tego, który go ostrzegał, jak Izraela prorocy, a jak oni, napróżno”. (Tenże, str. 77—8).

F. Hoesick w drugim tomie swego dzieła „Stanisław Tarnowski” tak określa owoc pracy Skargi: „W rozpacz i złości wyrzekamy sami na siebie, że nam Skarga nie zdał się na nic. A co wiemy, czy on narodowego sumienia nie wstrząsnął i czy nie z jego posiewu mieliśmy potem Żółkiewskiego i Czarnieckiego? Bez Leszczyńskiego, bez Konarskiego z pewnością nie bylibyśmy mieli tych, co zrozumieli potrzebę poprawy Rzeczypospolitej i wzięli się do niej w Czteroletnim Sejmie; bez ich ducha i dzieła my znowu czy bylibyśmy zdołali nie dać się strawić przez tych ostatnich lat 100?” (Tamże str. 230).

Lecz nie będziemy szczegółowo mówić o tych wszystkich zasługach Skargi. Każda większa jego biografia porusza te interesujące rzeczy, jeśli nie wyczerpująco, to przynajmniej w zarysie. Kończymy przeto tę duchową sylwetkę słowami samego Skargi, w których wyraża pamięć o swych wychowawcach, nauczycielach, a zwłaszcza o profesorach uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie się kształcił. Ta pamięć w nim nie wygasła z latami. Gdy pisał żywot ks. Jana Kantego, profesora tegoż uniwersytetu, tak się odzywa: „Miło mi wspomnieć na te, które pamięć moja zaszła i którychem ćwiczenia i towarzystwa z uciechą zażywał; na one Benedykty z Koźmina, Szadki, Se-

bastjany, Leopolicy, Sylwjusze, Pilzny, Hebesty" (właściwie Zielenkiewicz z ziemi Przemyskiej).

Cały naród polski w ten sam sposób winien czcić pamięć i zasługi Skargi, jak on czcił swych wychowawców. Tem więcej, że Skarga to prorok i apostoł Polski, to wielki patryjota i świętobliwy kapłan, to mądry mąż stanu, myśliciel i moralista, świecący cnotą tak rzadką we świecie, a u nas prawie nieznaną, cnotą odwagi cywilnej.

Umarł Skarga 27 września 1612 r. w Krakowie i tam pochowany został w kościele śś. Apostołów Piotra i Pawła. Polska czeka na jego kanonizację!

Źródła i pomoce:

1. „Życiorysy znakomych ludzi, wstawionych w różnych zawodach”. Dwa tomy. Warszawa 1851 r. (Autora nazwisko niewydrukowane).
2. M. J. Rychcicki. „Piotr Skarga i Jego wiek”. Kraków 1850.
3. Ks. Michała Nowodworskiego. „Encyklopedia Kościelna”. Warszawa 1902. Tom. XXV. Artykuł: Skarga Piotr... str. 441 i in.
4. „W trzechsetną rocznicę ks. Piotra Skargi”. Przegląd Powszechny za sierpień i wrzesień 1912. Kraków.
5. Biblioteka Dzieł Chrześcijańskich 1901. „Mowy pogrzebowe i przygodne” ks. Fabjana Birkowskiego, część I str. 75 i n.
6. Dr. Paweł Gantkowski. „Obywatelska działalność ks. Skargi”. Poznań 1912 r.

KAROL BOROMEUSZ.

1538 — 1584.

W czasie wielkiego odszczepieństwa w XVI wieku, należało wiele zmienić w życiu kościelnem, by i nazewnątrz znów się Kościół okazał jako „nie-mający zmayı i zmarszczki”. (do Ef. V. 27).

Jasną jest rzeczą, że tej istotnie koniecznej naprawy, mieli dokonać nie tacy ludzie, jak Luter, Kalwin, Zwinglusz, Henryk VIII i inni, w których osobistem życiu przede wszystkim należało przeprowadzić reformę, lecz Bóg użył do tego dzieła swoich świętych, jak to zawsze bywa w dziejach Kościoła. Jednym z największych mężów tego czasu, którzy położyli nieśmiertelne zasługi w przeprowadzeniu prawdziwej reformy, jest bezwątpienia św. Karol Boromeusz, kardynał i arcybiskup Medjolanu.

Karol urodził się 2 października 1538 r. w zamku Arona, w południowych Włoszech, w starej siedzibie Boromeuszów. Gilbert, ojciec Świętego, a wuj margrabiny Magdaleny Hohenzolern-Brandenburskiej, najbardziej lubił przebywać we własnym zamku, zdala od spraw świata, oddany dziełom pobożności i chrześcijańskiej miłości bliźniego. Kiedy mu czasami przedstawiano, że wskutek wielkiej swej dobroczynności uszczupla majątek własnym dzieciom, zwykł był odpowiadać na to: „Jeśli między biednych dzielę majątek, który powierzyła mi Opatrzność, to dzieci moje znajdą ojca w Bogu, który pośpieszy im z pomocą we wszystkich trudnościach ich życia”. Modli-

twie oddawał się on bardzo dużo. We wszystkie niedziele i święta przyjmował św. Sakramenta. Zupełnie taką samą pobożnością odznaczała się matka Karola, która pochodziła z rodu Medyceuszów i była siostrą papieża Piusa IV. Tak więc Karol miał w rodzicach najwspanialszy wzór, który wpływał nań dodatnio i którym mógł się budować od najwcześniejszej młodości.

Podówczas w wyższych sferach społeczeństwa panował zwyczaj, że rodzice zawczasu wybierali i wskazywali dzieciom stan, któremu te miały się poświęcić w swem życiu. Było to o tyle niebezpieczne, że niektórym dzieciom narzucano stan duchowny wbrew ich rzeczywistemu powołaniu i to często wywoływało smutne następstwa. Z drugiej strony jednak było to o tyle dobre, że, o ile wybór był trafny, wychowaniem zgóry kierowano w należyty sposób.

Tak szczęśliwie złożyło się z Karolem Boromeuszem.

Karol, z natury roztropny, zamknięty w sobie i nad wiek poważny, nie miał upodobania do młodzieńczej swawoli. Najlepiej się czuł w domu rodzicielskim, gdzie mile czas spędzał z rodzeństwem i rówieśnikami wśród rozrywek, właściwych wiekowi dziecięcemu. Lubiał urządzać sobie ołtarzyk, przy którym występował w roli kapłana. Często w samotności oddawał się pobożnym ćwiczeniom, na jakie zdobyć się może wiek chłopięcy. Rodzice wcześniej wybrali mu stan duchowny. W tym wypadku wybór odbył się bez błędu. Już jako chłopiec, Karol otrzymał tonsurę i ubiór kapłański i traktował to, jak wogóle wszystko w życiu, bardzo poważnie. Ponieważ samo ubranie nie przeradza człowieka, przeto trzeba się starać, jak słusznie on twierdził, żeby sposób życia był odpowiedni do stanu, w którym żyje każdy człowiek. W tych świętych dążnościach dopomogło mu dobre wychowanie, jakie otrzymał od rodziców, którzy nauką i własnym przy-

kładem starali się go wprowadzić na drogę pobożności i bojaźni Bożej, a przede wszystkim wszczepić w jego serce miłość do Matki Bożej. Z tego może względu Karol stale najchętniej uczęszczał do tych kościołów, które były poświęcone Najświętszej Pannie.

W dwunastym roku życia bez najmniejszej swej winy został narażony na duże nieprzyjemności z racji swego probostwa, ale wszystko to wyrównał szczęśliwie. Wtedy mianowicie dawano nieraz probostwa bardzo młodym ludziom (w czym podług ówczesnego pojęcia, nie było nic niewłaściwego), niemającym żadnych święceń, a nawet niezawsze decydującym się do przyjęcia kapłaństwa. Tacy pobierali tylko dochody z probostwa, związane zaś z niem obowiązki, jak odprawianie nabożeństwa, głoszenie kazań itp. załatwiali w ich zastępstwie kapłani za liche często wynagrodzenie. Tak było z opactwem św. Gracjana w Aronie, które już oddawna miał w posiadaniu ktoś z rodziny Boromeuszów. Opactwo to obecnie przypadło w udziale młodemu Karolowi. Hrabia Gilbert, ojciec Karola, był zanadto uczciwie myślącym człowiekiem, by zechciał kościelne dochody syna używać na własną korzyść i obracać na potrzeby całej rodziny; chłopcu przeto pozwolił swobodnie niemi rozporządzać i ucieszył się bardzo, gdy Karol przyjął za zasadę, o której wówczas nawet w dojrzałym wieku rzadko myślano: „Dobra kościelne są majątkiem Bożym, czego przeto nie użyje proboszcz na własne potrzeby, to należy do Boga i do biednych”. Wskutek tego czuwał skrupulatnie nad tem, żeby nic z tych dochodów nie szło dla rodziny. Jeżeli wypadło, że ojciec pożyczył z tego źródła nawet niewielką jaką sumę, musiał uważać się za formalnego wierzyciela. Tak więc Karol skrupulatnie pilnował praw kościelnych, był hojnym dla ubogich i nie doznawał nigdy

większej radości, jak w chwili, gdy ich mógł wesprzeć czemkolwiek.

Pierwsze nauki pobierał on w domu rodzicielskim, a potem w szkołach: Arońskiej i w Medjolańskiej. Pod względem zdolności i pilności nie ustępował żadnemu ze współkolegów, a wszystkich przewyższał skromnością i uszanowaniem względem nauczycieli i wychowawców. Nie robił sobie nic z tego, że swawolniejsi koledzy patrzyli nań zukosa, albo szydzili, jako z „nabożnisia” i hipochondryka. Dużo więcej cenił sobie spokój sumienia, poważanie u lepszych kolegów i prawdziwie ojcowskie zaufanie, jakim go obdarzali nauczyciele i wychowawcy. Pewien świętobliwy kapłan z Medjolanu, który go znał dobrze, wypowiedział jakby w duchu proroczym: „Ten chłopiec wpłynie kiedyś na poprawę stosunków kościelnych i dokona nadzwyczajnych rzeczy”.

Gdy Karol pierwszą młodość sumiennie wyzyskał na pilną naukę, a także na praktyki pobożne i uczynki miłosierne, ojciec wysłał go, jako czternastoletniego młodzieńca, na uniwersytet w Padwie, aby tam, pod kierunkiem znakomitego profesora Alciati, poświęcił się prawu wogóle, a kościelnemu w szczególności. Tą drogą miał się on przygotować, według zamiarów rodziny, do pracy w Kościele, w której mógł być pożytecznym na wzór swego wuja, jednego ze znakomitszych księży Kościoła. Ojciec, chociaż ufał Karolowi, jednak w ostatniej chwili dobrze się namyślał, czy go posłać na uniwersytet do Padwy, gdzie młodzież pod względem swych obyczajów nie cieszyła się dobrą opinią. Ponieważ jednak naukowa strona Padewskiej wyższej uczelni zażywała ogólnie powszechnej sławy, przeto ściągała tam licznych studentów. Pewien rówieśnik Karola wprost pisze, że Padwa była wówczas widownią nieobyczajności młodzieńczej, która zarzucała sidła na każdego nowego studenta. Gdy Karol

tam przybył, nie namyślał się długo, jaką obrać drogę postępowania. Albo wypadało połączyć się z ogółem i w życiu nie liczyć się ze szkodą ciała i duszy, albo trzymać się zdaleka i być przygotowanym na to, że go koledzy okrzykną dziwakiem. Nie zawahał się ani na chwilę i wybrał tę ostatnią drogę. Odosobnione życie i trzymanie się w rezerwie, ściągnęły nań surowy sąd serc i głów pustych. Lecz można było powiedzieć tym lekkoduchom to, co niegdyś odrzekł Albert Wielki współuczniom św. Tomasza z Akwinu, którzy nazwali go ze względu na to, że milczał, niemym wołem: „Ten wół kiedyś tak potężnie zaryczy, że go będzie słychać na całej kuli ziemskiej”.

Pewnego razu ojciec zaproponował Karolowi odwiedzić wuja, markiza Marignano. Lecz jak odbyć tę podróż? „Nie mam, pisze Karol, ani pończoch, ani czapki, ani kurtki, trzeba by się zdobyć na buty, kapelusz i ostrogi. Zresztą, niech ojciec robi, co uważa, a ja się zastosuję do tego”. „Chciałbym, pisze kiedyindziej do ojca, żeby Wasza Wielmożność przyśpieszyła wysłanie mi pieniędzy, boć to, zdawałoby się, nie powinno być dopuszczalne w naszej sferze, aby pod płaszczem futrzanym nosić kitel stangreta, jak to byłem zmuszony dziś zrobić”. W podobnie przykrej materialnej sytuacji Karol był przez cały czas swych wyższych studjów i nie można było wymiarować, co było przyczyną tego objawu, czy przesadna rachunkowość ojca, czy nadużycia zarządzającego, czy wreszcie jego hojność względem biednych.

W tym czasie Karol przeżył przykrą osobistą historję: „Nie wiem sam, pisze 8 grudnia 1552 r. do przyjaciela, młodego hrabiego Provaso, kto mógł powiedzieć, czy też napisać memu ojcu, że nie odmawiam brewjarza. To przecież jest nieprawdą, bo modłę się we własnym pokoju, w którym zawsze przebywam, któż więc może wiedzieć, czy ja się modłę, czy nie. Tylko kłamca mógł

mnie tak oczernić. Nigdy nie przestał odmawiać brewjarza i będę się zawsze z niego modlił do końca życia mego". Gdy go później razu pewnego spytano, w jaki sposób zachował swą czystość wśród zepsutej uniwersyteckiej młodzieży, odpowiedział: „To sprawiła Komunia św., którą przyjmowałem w każdą niedzielę”.

Karol nie lubił hałaśliwych zabaw, ale rozkoszował się grą na lutni i chętnie grywał w szachy. Szymon Bossi, jeden z jego kolegów, wyraża się o nim w ten sposób: „To była powaga i chodząca uprzejmość, tylko w święta grywał w szachy, byłem częstym jego partnerem. Przy innych grach nie widziałem go nigdy”.

Na studiach w Padwie Karol był przez sześć lat, od jesieni 1552 r. do 1559 r. i tu, po publicznej dyspacie, otrzymał doktorat w dwudziestym pierwszym roku życia. Lecz nie cały ten czas poświęcał bez przerwy na studia uniwersyteckie, często, sądząc ze wzmianki, jaką czynił w listach, bywał w Aronie, Medjolanie i innych miejscowościach.

Gdy umarł mu ojciec w 1557 r. i majątkowe, rodzinne kłopoty przygniotły go swym ciężarem niezwykłym, Karol nie tracił nadziei, owszem, swą przecznością, majątek doprowadził do zupełnego porządku. Wobec tych świetnych wyników, podsuwano mu nawet myśl, żeby poświęcił swoje zdolności jakiemuś świeckiemu zawodowi, porzucając zamiar zostania duchownym. On jednak ukochał powołanie kapłańskie i związane z niem obowiązki. Gdy stary służący razu pewnego zastawiał sidła na jego niewinność, odrzucił to z oburzeniem.

6 stycznia 1560 r. wuj Karola został ukoronowany na papieża, pod imieniem Piusa IV. Fakt ten, spowodował nowy zwrot w jego życiu. Karol liczył wówczas 21 lat, wtedy udał się zaraz do Rzymu, a chociaż był jeszcze bez żadnych wyższych święceń, w kilka tygodni został kardynałem. Zarzucano wtedy papieżowi, że tak młodego

człowieka wyniósł do tej godności, na co Pius IV odpowiedział żartobliwie: „Jeżeli poza tem, nie ma on innej wady, tylko że jest młody, niewielka przez to stanie się szkoda, bo będzie się udoskonalał w tej cnocie z dniem każdym”. Gdy mu wcześniej umarł brat starszy, namawiano go, by cofnął się przed stanem duchownym i ożenił się; nawet papież, wuj, nalegał, by zadośćuczynił życzeniom rodziny i obiecał mu księstwo Kamerino. Lecz ta propozycja była dla niego raczej bodźcem do tego, że się bardziej odsunął od świata.

Jako ojca duchownego miał w Rzymie kardynał Boromeusz jezuitę Ribejra, który wybornie potrafił kierować jego duszą. Chociaż przez modlitwę i unikanie wszelkich niebezpieczeństw Karol uzyskał u Boga łaskę niewinności ducha i ciała, jednak zaczęły napadać nań myśli, uczucia i namiętności, które zazwyczaj niepokoją każde serce ludzkie. Lecz to wszystko nie było już dlań niebezpiecznem, bo ćwiczenia duchowne, które odprawiał pod kierunkiem ojca Ribejra, uśmierzyły w nim burzę i bardziej skłaniały do całkowitego naśladowania Chrystusa. Na życzenie krewnych, by, mimo kardynalskiej godności, wrócił do świata, Karol im zaraz doniósł, że już w tym czasie został kapłanem. Potem udał się do papieża i krótko, ale z pełnem uszanowaniem powiedział: „Ojcze święty, nie martw się o mnie, bom już pojął Oblubienicę, za którą jedynie tęskniłem oddawna!”.

Pius IV mianował go teraz arcybiskupem Medjolańskim, gdzie Karol rozwinął niezwykłą pasterską działalność, która postawiła go w rzędzie największych ludzi. Jego wpływowi należy głównie zawdzięczać, że powszechny Sobór Trydencki dało się doprowadzić do szczęśliwego końca i że zostały wprowadzone w życie, uchwalone na nim, reformy kościelne. Jako arcybiskup Medjolański, niezmordowanie zabiegał o dobro powierzonej sobie

owczarni. Żadne miejsce nie było dla niego zbyt oddalone i odludne, żadna góra w Alpach za stroma, żadna dolina za daleka, gdzieby się nie starał być wszystkim dla wszystkich. Wśród największych trudów podróży, zachowywał zawsze pogodę ducha. W biednych okolicach jadał to, czem się żywiła tamtejsza ludność, często zadawalniając się chlebem i wodą. Największą część swego funduszu rozdawał ubogim, gdy zaś w Medjolanie wybuchła zaraza, a majątek był wyczerpany, rozdał nawet swą pościel i ubranie. W październiku 1584 r. dostał febry, nie zwracał na to jednak uwagi, bo zwykł był mówić, że duszpasterz musi znieść trzy febry, zanim się położy do łóżka. Choroba wszakże okazała się śmiertelną. Dnia 3 listopada rozstał się z tym światem ze słowami na ustach: „Oto Panie idę, zaraz idę!”.

1-go listopada 1610 r. Paweł V ogłosił go świętym.



John. P. Thompson
Capt. & Hon. Col.
#

STANISŁAW ŻÓŁKIEWSKI

Hetman bez trwogi i rycerz żelaznego hartu.

1547 — 1620.

Gdy sława Rzeczypospolitej w drugiej połowie 16-go wieku sięgała swego zenitu, w czym nie mało było zasługi Batorego i ówczesnego męża stanu, kanclerza Jana Zamoyskiego, występował na widownię życia publicznego Stanisław Żółkiewski, herbu Lubicz. W malowniczym zakątku Rusi Czerwonej, z ojca Stanisława (który piastował urzędy: najpierw starosty bełskiego, później kasztelana halickiego, wreszcie wojewody bełskiego) i z matki Zofji, z domu Lipskiej, urodził się nasz Stanisław we wsi Turynie.

Przyszły ten hetman wychowywał się w atmosferze niebezpieczeństw i wrzaw wojennych, powodowanych ciągłymi napadami Tatarów, widywał często swego ojca, przybranego w zbroję nie dla szyku, lecz przed wyprawą na Tatarzyna. Atmosfera bohaterstwa wojennego szła w parze w domu Żółkiewskich z głęboką religijnością i planowością życia. Ta właśnie planowość nakazywała pilne kształcenie dzieci.

Stanisław pierwszy etap nauk przeszedł w domu rodzinnym, na następny udał się do Lwowa. Tu chętnie i pilnie przykładał się do książki, a, będąc chciwym wie-dzy, poza nauką szkolną bardzo dużo czytał z własnej chęci. Bystrość umysłu, pamięć fenomenalna, pracowitość i niezwykły zapał do książki pomogły Żółkiewskiemu

dojść do tych wyżyn, które osiągnął w życiu. Największy pociąg miał Stanisław do dzieł historycznych, opiewających dzieje nietylko ojczyste, ale i innych narodów. Lgnął do tej gałęzi nauki, bo w niej widział mistrzynię życia i jej się radził później w najtrudniejszych swoich i ogólnokrajowych wypadkach. Nic dziwnego, że, nabrawszy tak wielkiego przekonania do historii, zdobycie której zawdzięczał mozolnym własnym trudom, tak napisał w testamencie swojemu jedynakowi:

„Młodsze lata swe, naukami poleruj, nie daj się nikomu w młodości od tego odwozić. Mnie wierz, z nauki wielka podpora i wielki ratunek do godności, do służby Rzeczypospolitej, do wszelkiego uczciwego życia mieć będziesz. Nie mów, jako wiele ich: nie mam chęci do nauki. W twojej mocy — twoja chęć, każdy, kto chce, może ją mieć”.

A że sam miał szczególniejsze zamiłowanie do historii, tak dalej mówi w tymże testamencie: „Historyki koniecznie czytaj. Miałem i sam nie małą wiadomość historii i w biegu spraw siłą się tem ratowałem, że przeszłych wieków sprawy wiedział”.

Nadto Żółkiewski już w młodzieńczym wieku był pilnym obserwatorem bieżącego życia i ze spostrzeżeń tych umiał korzystać. Szkoły kończył we Lwowie, poczem udał się na dalsze kształcenie zagranicę. Zepsute obyczaje gromadzącej się tam młodzieży nietylko nie pociągnęły go za sobą, lecz wytworzyły w nim smutny obrazek życia tejże, skoro wyraźnie zaznaczył swe życzenie, aby syn jego, Jan, nie kształcił się zagranicą, lecz w kraju. „Nierównie większa liczba jest tych, pisał Żółkiewski, którzy do cudzych ziem dla ćwiczeń jeżdżą, co więcej złych, niżli dobrych obyczajów przynoszą, a zgoła rzadki z czem dobrem przyjedzie”.

Wskazując dalej swemu jedynakowi drogę życia w zawodzie rycerskim, robi mu uwagę: „Próżnowania, jako (złego) powietrza, się strzeż. Mistrzem zaraz nie chciej być, byś nie pobłądził. Przy hetmanie się pierwszej baw,*) a, przypatrzwszy się rzeczom, t. j. wniknąwszy w robotę, dopiero też (wtedy) oddział możesz wziąć”.

Te nauki Żółkiewski dawał synowi, które były wynikiem doświadczeń, zdobytych przy boku Zamoyskiego, przy którym nie tylko ćwiczył się w sztuce rycerskiej, ale i w umiejętności życia społecznego.

Porozumienie między wielkim Zamoyskim i przyszłym wielkim Żółkiewskim było tem łatwiejsze, że mała między nimi zachodziła różnica wieku. Zamoyski był zaledwie o sześć lat starszy, ale swym rozumem i niezwykłą powagą doszedł w młodym względnie wieku do stanowiska wielkiego kanclerza, czyli do roli kierowniczej w państwie. Rzeczpospolita wtedy osiągnęła pomyślne i szczęśliwe warunki swego istnienia, co było zasługą genialnego umysłu Zamoyskiego, który każdą rzecz obejmował wszechstronnie, jednym rzutem myśli, a także jego niezłomnej woli i praktycznego ujmowania sprawy. Zamierzenia swoje Wielki Kanclerz świetnie zazwyczaj przedstawiał żywym słowem. Właśnie swym spostrzegawczym umysłem poznał Zamoyski Żółkiewskiego, przyszłego, niepospolitego rycerza i niezwykłych zdolności męża, i jako krewniaka tym chętniej zbliżył do swego boku i wtajemniczał we wszystkie publiczne sprawy. Ta wszakże między nimi zachodziła różnica, że, o ile Zamoyski chętnie chlubił się swemi czynami, o tyle Żółkiewski odznaczał się skromnością, nie szukał rozgłosu, owszem, w cień się usuwał umyślnie. Stąd czyny Żółkiewskiego tonęły w morzu pochlebnej opinii, która Zamoyskiemu przypisywała wszystko,

*) t. j. pracuj.

cokolwiek stało się dobrego w kraju. Dopiero podczas wyprawy króla Stefana przeciw zbuntowanym Gdańszczanom, po bitwie pod Tczewem, imię Żółkiewskiego wypływa na widownię. Genjalnem uderzeniem na jazdę niemiecką, rozproszył ją i tym sposobem przyczynił się do świetnego zwycięstwa wojsk polskich.

Wspominają o nim odtąd kronikarze częściej, jako o zwycięscy w wyprawach przeciw Iwanowi Groźnemu pod Toropcem, Wielizem, Wielkimi Łukami, gdzie odgrywa wybitną rolę. Rycerstwo ceni go coraz bardziej, a król tem więcej, bo ma możność obserwować go dokładnie, jako swego osobistego sekretarza. Przypuszczony do boku królewskiego, Żółkiewski uwydatnia świetne zalety swego umysłu i serca. Ten rozgłos jako niezwykłego męża o mało, że go nie przypawił o utratę życia, a Polski nie pozbawił jednego z najdzielniejszych jej synów. Było to w czasie oblężenia Pskowa, w 1582 r., gdy nasze dowództwo zawiesiło broń, by pozwolić Moskalom pochować swoich zabitych, którymi zaśłane było pole walki.

Żółkiewski, gdy omawiano tę sprawę wewnątrz forticy z delegatami kniazia Iwana Szujskiego, podjechał wraz ze swą żoną pod mury forteczne. Wtedy jakiś zbieg, Polak, wskazał Żółkiewskiego, jako powiernika głównodowodzącego Zamoyskiego i samego króla, a Szujski zdradziecko z murów Pskowa dał ogień działowy i karabinowy do tej całej grupy Polaków. Strzały na szczęście chybiły. Rozprawa z Moskalami pod Pskowem była chrztem wojennym dla Żółkiewskiego. Odtąd zaczęli go wszyscy uważać jako wielkiego bohatera narodowego. Ale zbliżały się doń ciężkie przeżycia. Hetmańska buława, którą Zamoyski otrzymał po świetnych walkach z Moskalami, a głównie jego ożenek z synowicą królewską, któremu towarzyszył niezwykle przepych weselnych uroczystości krakowskich z udziałem króla i królowej, senatorów i wszy-

stkich najwyższych dostojników, wywołały przeciw Wielkiemu Kanclerzowi oburzenie i wielką zawiść. Dla szlachty, według jej mniemania, były to zakusy na jej wolność, której usiłowała przestrzegać w odznaczeniach i w najdrobniejszych objawach życia i pilnowała równości między sobą. Takie niezwykle wywyższenie Zamoyskiego pogłębiło ku niemu niechęć, a nawet obudziło pewną nienawiść przeciwników, na których czele stali Zborowscy. Dostało się przy tej okazji i krewniakowi hetmana — Żółkiewskiemu.

Wiadomy jest z historii przebieg faktów tego sporu, który zakończył się pojmaniem w Piekarach, a następnie ścięciem w Krakowie 26 maja 1584 roku Samuela Zborowskiego.

Żółkiewski jednak swym charakterem i zaletami umysłu coraz bardziej zjednywał sobie ludzi dobrze myślących. Król Batory wziął go do najbliższej przybocznej rady, składającej się z 4-ch najbardziej zaufanych mężów. Im to jedynie powierzał plany i tajemnice swych zamierzeń wypowiedzenia wojny Turkom i Tatarom w celu wypędzenia ich z Europy. Ta szkoła u boku mądrego króla zaważyła na przyszłej działalności Żółkiewskiego. Lecz poglądowe lekcje życia rycerskiego i plany przyszłej polityki Rzeczypospolitej, niestety, skończyły się prędkiej, niż się domyślano, bo Wielki Batory zmarł niespodziewanie pod koniec 1586 roku. Odżyły wtedy walki między Zborowskimi, a kanclerzem Zamoyskim, które nie oszczędziły Żółkiewskiego i omal, że nie przypały go o śmierć okrutną.

Śledząc za temi smutnemi wypadkami, które rozgrywały się na łonie ojczyzny, Żółkiewski boleje nad tem wszystkim, trwoży się o przyszłość kraju i coraz jaśniej widzi niedolę, która czeka cały naród wskutek niesforności szlachty. A jakżeż bolał, gdy rozpoczęły się między

dwoma partjami: Zborowskich, jako przedstawicieli stronników Maksymiljana, arcyksięcia austriackiego i Zamoyskich, popierających Zygmunta, syna Jana, króla szwedzkiego i Katarzyny Jagiellonki, siostry Zygmunta Augusta?

Epilogiem tych bratnich zmagających był krwawy dzień 24 stycznia 1588 roku pod Byczyną na Śląsku. Dzień ten upokorzył Maksymiljana (wziętego do niewoli, gdzie podpisał zrzeczenie się korony), a wprowadził na tron polski jego współzawodnika jako Zygmunta III. To zwycięstwo Zamoyskich Żółkiewski okupił ciężką raną w prawe kolano, która uczyniła go kaleką na całe życie. Wielki Kanclerz — Zamoyski za niezwykle usługi, sobie i ojczyźnie oddane, wyrobił u króla dla Żółkiewskiego nominację najpierw na koronnego hetmana polnego, a później na kasztelana lwowskiego.

Jak historia nam mówi, Zamoyski zawiódł się w swych nadziejach, które pokładał w Zygmuncie. Król ten daleki był umysłem i siłą woli od potężnej indywidualności Batoroego. Zygmunt rządził się uporem, był przytem podejrzliwym i zazdrośnym o swoją władzę, a czułym na pochlebstwa. Żółkiewski zaś, jako prawy Polak, we wszystkich swych poczynaniach kierował się jedynie względem na dobro ojczyzny.

Tatarskie i Tureckie napady na Rzeczpospolitą były dlań okazją, przy której uwydatnił nietylko swą waleczność bohaterską, ale i głębię swego pięknego ducha. Siły wojsk polskich najczęściej bywały słabsze od sił przeciwnika. Pocieszał się jednak Żółkiewski tem, że, chociaż wielka jest moc nieprzyjaciela, to „mocniejszy, jak mawiał, jest na niebie Bóg, który szczególnie w wojnach cudowną moc swoją zwykł okazywać obok sprawiedliwości”. To też wraz ze zbliżającym się niebezpieczeństwem rosły w nim odwaga i męstwo. Wypowiadał wtedy swój nastrój w tych słowach: „Nie trzeba, ani się godzi despero-

wać o Rzeczpospolitą, ale czynić, co przystoi mężom". To też w 1595 r., w rozprawie wojennej Zamoyskiego przeciw Wołoszczyźnie na polach cecorskich bierze czynny, a chwalebny udział. A ileż odniósł triumfów z 1596 r. w zwycięskiej pogoni za Kozakami na Ukrainie, występującymi pod wodzą Łobody i Nalewajki? Tu może najbardziej uwydatnił obok bohaterstwa zawsze zdecydowaną wolę, wspaniałomyślność, a także wielkie serce w stosunku do słabszych, dalekie od osobistej zemsty i niskiej nienawiści względem przeciwnika. Poskromił bunt, a z pokonanymi postąpił z całą względnością, czem zjednał sobie ich serca. To zwycięstwo dało mu prawo do triumfu, z jakim po tych zwycięstwach wjeżdżał do Lwowa. Lecz ani te honory, ani żadna namiętność nie zaślepiały go nigdy. W stosunku do króla, gdy widział słabe strony jego rządów, nie zawahał się wypowiedzieć swego krytycznego zdania, pozostając jednak zawsze lojalnym i gotowym do dalszej publicznej pracy. Prawo miał stałe w wielkim poszanowaniu, nigdy nie poniżał władzy, której uosobienie widział w królu. W tym kierunku nie przejął zasad wielkiego kanclerza Zamoyskiego, choć wyszedł z jego szkoły, choć działalność swoją i losy swoje ściśle związał z działalnością i losami jego, jak to widzimy w rozwoju tych faktów, w których mimo osobistej zasługi Żółkiewski zawsze pozostaje w cieniu, a na pierwszy plan występuje wszędzie Zamoyski. Jedno miał z nim wspólne to, że wszędzie szukał dobra i pomyślności Rzeczypospolitej, a nie powodował się nigdy osobistą urazą w stosunku do swych współzawodników, czy wyraźnych nieprzyjaciół.

Hasłem, którem Żółkiewski w polu skutecznie zarzewał siebie i swoich żołnierzy, było wezwanie: „Potrzeba w miejscu *), nadzieja w męstwie, ratunek w zwycię-

*) t. j. wielka, a niebezpieczna sprawa tuż przed nami.

stwie". Przytomność umysłu hetmana, osobiste nieustraszone męstwo, urok, którym oddziaływał na towarzyszków broni, dały zwycięstwo małej garstce wojska polskiego nad znacznie przeważającym nieprzyjacielem w czerwcu 1610 roku pod Carowo Zajmiszcze, bronionem przez Wajłową, a jeszcze bardziej 4 lipca 1610 r. 7-mio tysięcznemu rycerstwu polskiemu pod Kłuszynem nad 5-ma tysiącami regularnego wojska i wielką liczbą uzbrojonych chłopów.

W bojach Żółkiewski był nieustraszony, w swych zaś poczynaniach był szlachetny i mądry, a zawsze pełen w sercu [chrześcijańskiej pokory, której nie zawahał się publicznie dać wyraz, gdy tego zaszła potrzeba. Oto kiedy 29 października 1611 r. król naznaczył uroczysty obchód wspianych zwycięstw odniesionych nad Moskwą, w którym jako jeniec występował car Wasyl Szujski i jego bracia Dymitr i Iwan, między innymi miał wtedy i hetman Żółkiewski mowę, a w niej powiedział to męskie słowo: „Świetne powodzenie oręża polskiego przypisuję nie sobie, lecz Bogu”.

Żółkiewski, przeszedłszy ciężkie koleje wojny, oraz wiedząc doskonale, co ona niesie z sobą, postanowił w swych stronach rodzinnych wybudować obronny zamek, na co przeznaczył miejsce w swych ulubionych Winnikach. Jeszcze w 1596 r. wyraził do swej żony Reginy życzenie, aby zamek wraz z powstającym około niego miasteczkiem nazywał się Żółkwią.

W 1604 r. powstał tam wspianą kościół dla rzymsko-katolików, istniejący dotąd, a dla greko-katolików — ruska cerkiew. Przy jednej i drugiej świątyni założył Żółkiewski szpital dla starców i niedołącznych, a dla dziatwy szkółkę.

W chwilach pokoju Hetman chętnie przebywał w tym zamku. Tu dużo czytał zwłaszcza polskich kronikarzy,

gdyż pragnął dokładniej poznać historię rodzinną, która obchodziła go specjalnie, wiele pisał, a między innymi opisał swą wyprawę na Moskwę pod tytułem: „Początek i progres wojny moskiewskiej”. Rzeczą tą, pełną treści i prostoty, uderza skromnością autora, który nie widzi w niczem własnej zasługi, sam pozostaje w cieniu. Przemilczał nawet o uroczystym przyjęciu, którego doznał pod Smoleńskiem, nie szczyści się chwilą, gdy oddawał królowi cara Szujskiego i jego braci jako jeńców.

To samokształcenie się postawiło go w rzędzie najuczeńszych ludzi w ówczesnej Polsce. A jednocześnie Żółkiewski był tak rozważny, pobożny i sprawiedliwy, że go zaliczano do najcnotliwszych.

Przy tem wszystkim stale bolał on nad wewnętrznym rozkładem ojczyzny, polityką nieobmyślaną na dalszą metę, rozwydrzeniem Sejmów, samowolą magnatów i szlachty, zanikiem karność w wojsku. To też tem więcej pragnął być sługą ojczyzny i umrzeć w bojach za nią, jak to sam pisze:

„Sławniejszy żywot i chwalebniejsza śmierć Władysława króla, co u Warny zginął, niż wielu innych, co na ich nagrobki patrzymy. Ale to idzie wedle woli i obiecania Bożego. Życzę sobie pewnie śmierci tak słodkiej dla wiary świętej, dla ojczyzny, ale nie wiem, jeślim tej łaski od Pana Boga godzien”.

Dopiero w 70-ym roku życia Żółkiewski został hetmanem i kanclerzem wielkim koronnym. Dotąd przeszkadzały mu zawiść ludzka i pewna podejrzliwość Zygmunta III. Nowe wszakże dostojeństwa, choć dawno zasłużone, nie przyniosły spokoju i szczęścia hetmanowi. Zewsząd rzucano nań oszczerstwa i potwarze; porażki wojenne, które teraz kraj ponosił ze strony Turcji, jemu przypisywano, tak, jak gdyby Żółkiewski nie ostrzegał króla i stany, jakie klęski spaść mogą wkrótce na kraj

cały skutek niesforności panów, niekarności żołnierza, niezaaprowidowania armji. To wszystko wypowiedział Wielki Hetman na Sejmie 1619 r. i, dodawszy, że brał już udział w 44 wojennych wyprawach, które mu zdrowie zabrały, prosił króla o zwolnienie go z zajmowanych stanowisk. Z odpowiedzi, jakie pod jego adresem wygłosili podkanclerzy Lipski w imieniu króla, prymas Gembicki imieniem Senatu i kilku senatorów, przekonał się Żółkiewski, że najpoważniejszych ludzi w kraju opinię miał za sobą, prośbę więc swą cofnął.

Zbliżała się znów nawała turecka. Żółkiewski dokładnie zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, które groziło Rzeczypospolitej, pisze przeto o tem w liście do króla pod datą 25 sierpnia 1620 r., dodając jednocześnie: „idę przed Sąd Boży”, jakby przeczuwał, że na ołtarzu ojczyzny do swego zdrowia i sił, które dotąd jej składał w ofierze przez długoletnią, a wierną służbę w zwycięskich wojnach ze Szwedami, Kozakami, Tatarami i Moskalami, dołoży teraz życie własne.

Nieszczęsna bitwa pod Cecorą *) 20 września 1620 r., później haniebna ucieczka możnowładców z obozu, która z 8,400 zmniejszyła liczbę żołnierza do 4,300, gdy przeciwnika cyfra sięgała do 100,000, konieczny wymarsz z pod Cecory 29 września, któremu towarzyszyły stałe napady ze strony nieprzyjaciela, słabnący duch żołnierza, jaki mu się udzielił od starszyzny, ciągle krytykującej swe dowództwo, wszystko to gnębiło 73-letniego hetmana, wszakże na chwilę nietracącego hartu ducha, ale latami, czynem oraz ciężkiem życiem gniecione go.

*) Pod tą samą Cecorą wślawił się zwycięski oręż polski w 1595 r. pod dowództwem Jana Zamoyskiego, któremu towarzyszył Stanisław Żółkiewski. Jest to wieś na prawym brzegu Prutu, odległa o 2 mile od Jass.

Wśród tych katastrofalnych okoliczności jeden, przedostatni dzień w życiu miał Żółkiewski jasny, gdy niespodziewanie otrzymał na froncie list od umiłowanej przez się żony, której natychmiast odpowiedział pożegnalnym pismem, może na kilka godzin przed swą śmiercią. W dość długim tem piśmie Żółkiewski wypowiada najszczytniejsze uczucia ludzkiego serca względem Boga i Jego opatrnościowych rządów względem ojczyzny, względem najdroższej żony, którą tytułuje: „sercem ukochana i wieczyście miła” i względem swych dzieci. Tegoż dnia w nocy z 6-go na 7-go października 1620r. zginął od szabli tatarskiej. Nazajutrz Tatarzy, znalazłszy ciało Hetmana z kłótemi ranami na piersiach i odciętem prawem ramieniem, odrąbali mu głowę, którą odesłali najprzód do obozu swego głównego wodza, a następnie do Carogrodu, gdzie sułtan kazał ją powiesić pod sklepieniami wjazdowej bramy swego pałacu.

W klęsce Cecorskiej Żółkiewski pokonany został nietyle przez przeważające siły Turków i Tatarów, ile przez niekarność swego wojska. Do końca nie chciał ustępować z pola bitwy, powtarzając te ofiarne słowa: „Gdzie giną owce, powinien umrzeć i pasterz”.

Wieść o śmierci Hetmana, który zginął wśród tak tragicznych okoliczności, wywołanych zdradą możnych panów, buntem wojska, który zginął wraz z kwiatem rycerstwa polskiego, wstrząsnęła całym narodem.

Teraz dopiero Żółkiewskiego uznano za wielkość i świętość narodową. Zaznaczyć jednak trzeba, że niewiadomo dlaczego, czy wpływ możnowładztwa był tak potężny, czy niedołęstwo rządu było tak wielkie, dość, że zbrodniarze, winni hańby i klęski pod Cecorą, nie zostali ukarani.

Jakby ekspiacją za Cecorę były w późniejszych naszych dziejach Chocim i Wiedeń, gdzie zwycięski miecz polski rozgromił Turków.

Wdowa, choć przybita i zgnębiona śmiercią męża, zdobyła się na energiczne odszukanie ciała, które wprawdzie znaleziono skancerowane i zdeformowane, ze czią pochowano. Pogrzeb odbył się cicho. Tak życzył sobie Hetman. Pochowano go pod kościołem w Żółkwi w trumnie szkarłatem obitej, jak tego również życzył sobie wielki ten mąż na znak wylania krwi dla Rzeczypospolitej.

W 1903 r. w Żółkwi stanął pomnik ku uczczeniu Żółkiewskiego. Ale i bez tego pomnika historia nie mogłaby zapomnieć o tym głębokiego sumienia chrześcijanie, o tak wiernym żołnierzu armii polskiej, o tym skromnym człowieku, który najchętniej pozwalał na to, że jego niepospolite osobiste zasługi tonęły w rachunku na rzecz Jana Zamoyskiego, o tym niezwykłym rozumie męża stanu, zawczasu usiłującym odwrócić przyszłe nieszczęście Polski, które, jak przewidywał, groziło jej ze wschodu, o Wielkim Kanclerzu, który zawsze odradzał każdą wojnę, chyba, że wymagał jej koniecznie honor Rzeczypospolitej, a nade wszystko o tym prawym obywatelu, który miał głębokie odczucie praworządności państwowej i sam przestrzegał jej święcie.

Źródła i pomoce.

Artur Śliwiński. „Hetman Żółkiewski”. Warszawa, 1920 rok.

I. L. Popławski. „Kto był Stanisław Żółkiewski?” Warszawa, 1920 rok.



ŚW. STANISŁAW KOSTKA.

STANISŁAW KOSTKA

Młodzieniec bez zmazy.

1550 — 1568.

Niemiec z urodzenia, Konstanty Holl, w przedmowie do swego dziełka „Die Jugend grosser Männer” — „Młodość wielkich mężów”, napisanego dla dorastającej męskiej młodzieży, tak pisze między innemi w swej przedmowie: „Najpiękniejszy wzór do naśladowania może znaleźć młodzież w życiu Polaka, św. Stanisława Kostki”.

Czyż wobec tego, choćby i innych nie było racyj, można pominąć milczeniem postać tego młodzieńca bez zmazy?

Zaraz na wstępie kreślenia sylwetki Świętego należy zaznaczyć, że Stanisław Kostka przeżył lata swego młodzieńczego wieku wśród tych wszystkich trudności ludzkiego życia, na jakie natrafia każdy człowiek. Do doskonałości ducha doszedł nie łatwą drogą, lecz ścieżką, najeżoną przeszkodami, które zwalczał wytrwale. Jeżeli był młodzieńcem bez zmazy, zawdzięczał to własnemu wysiłkowi, którego musiał użyć do zdobycia potrzebnej łaski, czyli pomocy Bożej, by zwalczyć pokusy i przeciwności, by sumiennie wypełniać codzienne obowiązki, słowem, prowadzić życie prawdziwie chrześcijańskie, które uszlachetnia duszę ludzką tu na ziemi i prowadzi ją do Boga.

W trudnościach wszyscy żyjemy, jednakowe posiadamy środki, by dojść do szczytu Bożego, do którego doszedł nasz Ziomek z Rostkowa.

Mógł on to zrobić, może również każdy z nas tego samego dokonać.

Przypatrzmy się szczegółom jego życia!

Ród Kostków należał do sławnych rodzin polskich, które Matce-Ojczyźnie wychowywały najlepszych synów, zajmujących w życiu państwowem odpowiedzialne stanowiska i piastujących je chlubnie. Kostkowie, herbu Dąbrowa *), jak czytamy w naszych dziejach, bywali w różnych polskich dzielnicach starostami, wojewodami, podskarbimi, kasztelanami, podkomorzymi, opatami, biskupami. Nasz król, Michał Korybut Wiśniowiecki, pochodził z tego rodu po kądzieli, bo matka jego Gryzelda urodziła się z Kostkównej. Zanotować tu wypada, że po wyjeździe Henryka Walezjusza do Francji wysunięto w senacie kandydaturę na króla Polski Jana Kostkę, kasztelana gdańskiego, tego samego, który w r. 1565 posłował wraz ze sławnym naszym kardynałem Stanisławem Hozjuszem do Alberta, księcia Pruskiego, aby zażegnać wojnę domową.

Jak herbarz Niesieckiego mówi, nazwisko Kostków powstało od kostki, wyrosłej na twarzy Nawoja Rostkowskiego, walecznego rycerza, zdobywającego w r. 1464 w Prusach Wschodnich Działdowo (niedaleko Grunwaldu i Tannenbergu).

Pierwotnem gniazdem i główną siedzibą tej rodziny była wieś Rostkowo albo Rostków, odległa o pół mili od Przasnysza, nad rzeczułką Węgierką, należącego wówczas do księstwa Mazowieckiego, ziemi Ciechanowskiej, województwa Płockiego, około 100 kilometrów na północ-wschód od Warszawy.

W tym to Rostkowie w 1550 roku 28 października ujrzał światło dzienne nasz Stanisław, syn Jana Kostki, kasztelana zakroczymskiego i Małgorzaty z Kryskich, pieczętujących się herbem Prawdzic.

*) Herb Dąbrowa miał w polu błękitnem białą polerowaną podkowę, zwróconą końcami na dół. Na jej boku i obydwóch końcach były złote krzyże. Na hełmie zaś skrzydło sępa, a w niem utkwiona strzała, przelatująca od dołu do góry.

Ilu miał Stanisław braci i ile siostr, trudno stwierdzić. Rozmaici historycy rozmaicie podają. Nie znaczy, by w tem była sprzeczność faktów, bo jedni wyliczają wszystkie dzieci Kostków, inni tylko żyjące w tym czasie, gdy Stanisław zaczął się uczyć ze starszym swym bratem Pawłem.

Według tych ostatnich najstarszym synem tej rodziny był Wojciech, później kolejno szli: Paweł, Stanisław i córka, która czasem wyszła za Radzanowskiego, kasztelana sierpskiego.

Życie Stanisława nie było długie, bo gdy umierał, brakowało mu jeszcze dwóch z górą miesięcy do lat 18-tu, faktów przeto imponujących, znamienitych i wielkich, któreby zaważyły na szali ogólnie ludzkiego życia, nie mogło być wiele w tych ciasnych ramkach krótkiego pielgrzymowania. Mimo to Stanisław był, jest i pozostanie po wszystkie czasy wielkim młodzieńcem, w którego życie wpatrywać się będzie nie tylko polska młoda dusza, ale jako na wzór, godny naśladowania, będą wskazywać na niego wychowawcy wszystkich narodów, jak to uczynił w przedmowie Konstanty Holl, o czem wspomnieliśmy na wstępie.

W czemże tkwi wielkość tego młodzieniaszka? W sile jego charakteru, w mocy woli i w wierności zasadom, które ocenił, jako jedynie godne serca ludzkiego i któremi kierował się we wszystkich okolicznościach życia, jak to zobaczymy poniżej.

Zaznaczyć trzeba, że Stanisław nie był to typ rozczulonego ślamazary, on zrozumiał ducha słów Bożych: „Królestwo niebieskie gwałt cierpi, a gwałtownicy porywają je”, szedł wytrwale do swego celu, nie uchybiając w niczem prawom boskim i ludzkim. Postawił sobie jako maksymę życia: „*Nie jestem stworzony dla rzeczy doczesnych, ale dla wiecznych i dla tych tylko żyć chcę, a nie*

dla tamtych", i jej był wiernym tak wśród sprzyjających okoliczności, jako też przy największych przeciwnościach, które nie były powszednie, i trzeba było niezwykłego hartu woli, by je pokonać i stale zdążać i zdążyć do raz obranego celu. Żeby to zrozumieć i ocenić należycie, trzeba wziąć pod uwagę wszystkie okoliczności rodzinne i domowe rodu Kostków, wszystkie szczegóły, wśród których rozwijał się ten cudny kwiatusek polski. Przecież wchodzi tu w grę dom magnacki, gdyż Jan Kostka, ojciec Stasia, był kasztelanem, senatorem, człowiekiem o wielkiej i wspaniałej fortunie, o wygórowanej ambicji, który marzył, by ród swój jeszcze wyżej podnieść i otoczyć chwałą, dodać mu większego splendoru do tego, który spływał na Rostków z usług, jakie antenaci tego rodu nieśli Rzeczypospolitej, piastując najwyższe urzędy i godności w państwie, jak to zaznaczyliśmy wyżej. Dom rostkowski był szeroko otwarty na przyjęcia pierwszych dygnitarzy w narodzie i zagranicznych dyplomatów. Kardynał Comendoni, nuncjusz papieski w Wiedniu, był osobistym przyjacielem kasztelana zakroczymskiego. Tenże kasztelan snać wysoko był ceniony, skoro w jego domu przyjmuje gościnę biskup Menduati, legat Stolicy Apostolskiej i podejmowany jest tam suto, z wystawą i zastawą iście wielkopańską, w otoczeniu duchownych i świeckich, najwyższych w ojczyźnie dygnitarzy.

Siłą woli wykazał Stanisław w tem, że nie bacząc na swoje najbliższe domowe otoczenie, które łatwo mogło pociągnąć go w wir wesołego, a nawet hulaszczego towarzystwa, gdyż wszystko sprzyjało i pomagało mu do życia wesołego: i stan majątny rodziców i kasa otwarta dla dzieci, zwłaszcza, gdy poza dom wyjeżdżały i lekkie usposobienie Pawła, o rok tylko starszego brata, z którym wychowywał się razem, mimo to jednak Stanisław okazał się odpornym na wszelkie ponęty i twardo stał na grun-

cie raz obranym. Szorstkość Pawła i bardzo niekulturalne środki, których tenże używał, by brata przeciągnąć na swoją stronę i wprowadzić w szeroki świat młodzieńczego swawolnego życia w Wiedniu, nie zachwiało Jego światopoglądu i nie wywołało nawet na Jego ustach skargi i żalów przed ludźmi.

Gdy początkowo nauki w kolegium Wiedeńskim Stasiowi nie szły łatwo, dołożył większej pilności, przełamał trudności wszelkie i wkońcu robił postępy.

Najbardziej zaś żelazną wolę i konsekwencję w postępowaniu wykazał Staś dążąc, by zostać Jezuitą, skoro się przekonał, że Bóg chce go mieć na tej drodze życia.

Przypatrzmy się ważniejszym okolicznościom, które mu stanęły na drodze do furty klasztornej. Jest ich szereg cały:

1. Wszyscy i wszystko jakby zawarło sojusz, aby mu przeszkodzić w dojściu do tego celu. Bezwzględny sprzeciw ojca, który, gdy się dowiedział o zamiarach Stasia wstąpienia do zakonu, z oburzeniem przyjął tę wiadomość, dodając: „Nic nie mam przeciw temu, aby syn mój poszedł na służbę P. Bogu, ale nigdy nie zgodzę się na zakon; gdy zostanie księdzem świeckim, przecież nie probostwo, przecież nie pastorał będzie ostatnim etapem jego pracy na niwie kościelnej. Kapelusz kardynalski, który niechybnie go czeka przy moich stosunkach i wpływach w Polsce i po za nią, kapelusz kardynalski, to dopiero właściwy odpowiednik do herbowego klejnotu Kostków”.

2. Żarty brata, kpiny i „przezwiska” od Jezuitów i t. p.

3. Nauczyciela Bielińskiego chwiejne w tym względzie stanowisko, przechylające się raczej na stronę rodziny, niż jego.

4. Obawa wiedeńskiego prowincjała Jezuitów, że przyjęcie tego młodzieniaszka do klasztoru bez pozwolenia rodziców ściągnie na prawie że dopiero początkujący zakon niechęć Kostków, a przy ówczesnym wpływie ma-

gnaterji polskiej na całokształt życia publicznego w Polsce—niechęć do Jezuitów kierowniczych sfer w Polsce.

5. Trudności podróży, odbywanej pieszo, po drogach niepewnych, poprzez rzeki i góry, z Wiednia aż do Rzymu z szybkością sześciu mil polskich dziennie.

6. Brak wszelkich funduszków w czasie tej pielgrzymki i t. p.

Wszystko to jednak dla ukochanej idei bierze na swe barki, systematycznie łamie przeszkodę za przeszkodą, niszczy tamę za tamą, zwycięża trudność za trudnością i osiąga cel swój upragniony, wszakże bez uchybienia w niczem świętym prawom Bożym, obowiązującym go jako syna, brata, ucznia i katolickiego młodzieńca.

Największym szkopułem, który mu ciążył na sercu, a z którym bezwzględnie musiał się liczyć, było stanowisko ojca, niechętnie względem jego najbliższego planu życia. To go nad wyraz bolało, to mu sprawiało największy niepokój. Wszakże jako młodzieniec, wychowany i kształcony religijnie, wiedział, że decydującym czynnikiem w wyborze stanu człowieka musi być wola Boża.

Ponieważ w tym względzie miał wyraźną wskazówkę, którą mu dała Najświętsza Marja Panna, gdy mu się ukazała w Wiedniu, nie zachwiał się w swej decyzji. Szukał wszakże środków, by ułagodzić gniew ojca, by zmniejszyć jego ból i zmartwienie. Widzimy to w zabiegach, które poczynił u kardynała Commendoniego, aby, jako przyjaciel ojca, wziął na siebie uregulowanie tej sprawy.

Nic wprawdzie u Nuncjusza nie zyskał, ale wykazał w tem czułe i prawdziwie synowskie serce. Jakkolwiek nie mamy więcej dowodów o dalszych w tym kierunku Stasia zabiegach, jednak mając na uwadze głęboką chrześcijańską kulturę jego ducha, możemy przypuszczać, że napewno nie zlekceważył tego szczegółu swego życia

i, gdyby pasmo dni jego życia nie urwało się tak prędko, z pewnością trafiłby na drogę, któraby łatwo ułagodziła ojca, widzącego szczęście swego dziecka.

Gdy zaś niedłgie, ale święte życie Stasia zapewniło mu nie kardynalski kapelusz, jak o tem marzył kasztelan zakroczymski, lecz najpierw opinię, a później aureolę świętości, wtedy klejnot rodzinny Kostków zabłysnął niezwykłym światłem. Nic dziwnego, że w 1926 r. członkowie dalszej rodziny świętego tak chętnie przybyli do Warszawy i uważali sobie za największy zaszczyt wziąć udział w 200-letniej rocznicy kanonizacji swego Świętego Krewniaka.

Przejdźmy teraz kolejie życia tego młodzieńca bez zmary.

Kierunek wychowawczy dzieci we dworze Rostkowskim nadawali sami rodzice. Paweł, jeden z ich synów, w późniejszych swych latach tak pisze o tem:

„Rodzice nasi chcieli, abyśmy byli wychowani w wierze katolickiej i dobrze poznali jej naukę... Trzymali nas w ścisłej karności i rygorze, pobudzając własnym przykładem i wzorowem postępowaniem domowników do pobożności, skromności i wstrzemięźliwości. Żądali, żeby nikt, a nikt (z poddanych) nie miał powodu do występowania przeciw nam z najmniejszą nawet skargą”.

Wykształcenie zaś umysłowe swych synów powierzyli Kostkowie Janowi Sas Bilińskiemu (vel Bielińskiemu), odznaczonemu stopniem doktora.

Początkowo Biliński miał dwóch uczniów: Wojciecha i Pawła, pięcioletni zaś Staś z własnej chęci przybliżał się do stołu szkolnego i przysłuchiwał się opowiadaniom mistrza.

Staś systematycznie zaczął się uczyć w ósmym roku życia,

Nauka początkowo szła mu tępo, ale nadrabiał pilnością to, czego nie mógł zdobyć zdolnościami. Mimo jednak swej pilności i pracowitości w dwunastym roku życia jeszcze nie był rozwiniętym umysłowo, odpowiednio do swego wieku. Tymczasem zbliżał się czas, kiedy synom musieli Kostkowie obmyśleć naukę w publicznej, zbiorowej szkole, gdzie sama naturalna emulacja wśród kolegów o różnych temperamentach bywa dodatnim czynnikiem i bodźcem do postępu w nauce. 24 lipca 1564 r. czternastoletni Staś ze swym starszym bratem Pawłem przybyli do Wiednia w towarzystwie nauczyciela Bilińskiego i 3-ch służących. Kolegium OO. Jezuitów w Wiedniu wybrał im ojciec, jako szkołę według swego mniemania najlepszą, której może powierzyć przyszłość swych dzieci.

Tu Staś rozwinął się umysłowo. W pierwszych wprawdzie paru latach nauka w kolegium nie szła mu zbyt pomyślnie, i był jednym z ostatnich uczniów, jednak pracowitością swą i systematycznością w szkolnych zajęciach zdobył wkrótce jedno z pierwszych miejsc wśród kolegów, do czego bardzo mu dopomógł zwyczaj, którego trzymał się stale, robienia wyciągów z tego, co czytał.

Kierownicy tego zakładu tworzyli wśród swych wychowanków kółka o celach religijno-wychowawczych. Między innemi rozwijała się sodalicja Marjańska pod wezwaniem św. Barbary. Staś zapisuje się w jej szeregi, a swem zachowaniem się wśród kolegów, swą sprężystością, inicjatywą i przedsiębiorczością zdobywa ich takie zaufanie, że go po roku wybierają na przewodniczącego między sobą. W szkole tej, która miała wówczas pięć klas, każda ze swemi specjalnemi nazwami: Infima, Gramatyka, Syntaksis, Poezis i Retoryka, Staś przebywa trzy lata. Pobyt w Wiedniu przez przeciąg pierwszego roku był dla niego osobiście bardzo przyjemny. Wraz z bratem korzystał z pensjonatu przy zakładzie, który się mieścił

w domu, wypożyczonym przez cesarza Ferdynanda; gdy zaś następca jego Maksymiljan odebrał ten dom O.O. Jezuitom, konwikt z konieczności został skasowany, a Kostkowie zamieszkali na mieście w domu protestanta Kimberkera, na placu zwanym Kühnmark. Wyboru tej stacji dokonał Paweł, bo miejsce to dogadzało jego wesołemu usposobieniu. Tu prawdziwą męczarnię przeszedł Staś przez 2 lata. Zły jednak przykład brata i podobnych mu towarzyszy nie zdołał wykoleić młodzieńca bez zmayı z raz obranej drogi. Wysilek Pawła, by go sprowadzić na bezdroże, okazał się daremny, choć były chwile bardzo dla Stasia ciężkie, bo niewczesne mentorstwo swoje Paweł posuwał aż do czynnych obelg. Wśród tych okoliczności bardziej uwydatniła się wyższość charakteru młodszego brata. On Pawła nie potępiał, przed nikim nie skarżył się na doznawane od niego przykrości, owszem modlił się za niego. Aby go ułagodzić i zrównoważyć, czynił mu na każdym kroku rozmaite grzeczności. Z całą delikatnością ustępował mu w rzeczach dobrych, a nawet etycznie obojętnych, choć te nie zawsze przypadły mu do smaku, ani usposobienia. Paweł proponuje mu na przykład lekcje tańców. Ani w głowie nie powstały Stasiowi tego rodzaju lekcje, bo wzorowy ten uczeń wszystkie wolne chwile od obowiązków szkolnych i domowych zajęć poświęcał zawsze modlitwie i znał w Wiedniu dwie tylko drogi: do kościoła i szkoły. Ale pobożność jego nie była ani dziwaczna, ani odpychająca, ani samolubna, zastosował się więc do propozycji brata i brał te lekcje, by go tem sobie zjednać.

Domowa służba wprost przepadała za nim. Stary sługa, Wawrzyniec Pacyfik, zeznaje, że „Stanisław w rozmowie był skromny, wesoły i uprzejmy”.

Koledzy wspomnienie o tym stosunku przechowali w pamięci do późnej starości. Jeden z nich Jan Tarnow-

ski, syn kasztelana brzesko-kujawskiego, jeszcze na łożu śmierci o tem wspomina z rozrzewnieniem.

Pod koniec swego pobytu w domu Kimberkera Staś wpadł w śmiertelną chorobę. Paweł nie sądził, żeby groziło bratu niebezpieczeństwo życia, Biliński zaś, nie mając własnego zdania, to samo twierdził. Tymczasem chory nie czuł się dobrze, a chociaż młody był, o dobrej śmierci zawsze myślał, do niej się stale gotował, o nią często prosił Matkę Bożą, teraz chciał się tem pilniej do niej przygotować przez przyjęcie Sakramentów Świętych. Tymczasem właściciel domu protestant, bezwzględnie sprzeciwił się temu, aby kapłan katolicki zjawił się pod jego dachem z pociechą religijną dla chorego. Wtedy Bóg uczynił cud choremu dla jego serdecznego i gorącego pragnienia przyjęcia Wiatyku, gdyż zjawiła się przy nim patronka dobrej śmierci, do której Staś miał szczególne nabożeństwo, zjawiła się św. Barbara w towarzystwie dwóch aniołów, z których jeden przyniósł mu Komunię św. Matka zaś Najświętsza, wynagradzając wiernego swego czciciela, ukazała mu się z Dzieciątkiem Jezus i oświadczyła, że, gdy wyzdrowieje, powinien wstąpić do zakonu OO. Jezuitów. Staś wyzdrowiał i wtedy całą myśl swoją zwrócił na to, aby dostać się w szeregi synów św. Ignacego Lojoli, a gdy wiedeński prowincjał, Wawrzyniec Magjusz, uzależniał zadośćuczynienie jego prośbie od uzyskania wyraźnego w tym względzie zezwolenia rodziców, wtedy Stanisław, z góry wiedząc, że nie uzyska tego pozwolenia, ślubował dotąd pukać o żebraczym chlebie do domów Jezuickich, aż zostanie do nich przyjęty. Ponieważ z projektem tym nie mógł się zdradzić nawet przed rodzonym bratem, przeto, choć z bólem serca, postanowił drogą potajemnej ucieczki wydostać się poza mury Wiednia i dotrzeć do Piotra Kanizjusza, prowincjała wyższych Niemiec, z tą samą prośbą.

Okazji, która mu ułatwiła ucieczkę, dostarczył mu sam Paweł, który w przystępie złego humoru wybił go okrutnie. Wtedy Stanisław udał zniecierpliwienie i oświadczył mu tonem stanowczym: „Postępowaniem swoim przyprowadzisz mnie do tego, że będę musiał uciec z Wiednia, za co później zdasz sprawę przed naszymi rodzicami”. Na to odpowiedział Paweł: „Idź, idź, uciekaj natychmiast, gdzie chcesz”. To wystarczyło dla Stasia. W przeddzień swej pielgrzymki uprzedził przez służącego Pacyfika, aby na niego nazajutrz nie czekano z obiadem, napisał list, który zostawił w książce i, nikomu nic nie mówiąc, poszedł do Augsburga.

Za miastem spotkał ubogiego, zamienił się z nim na ubranie i w płótniance, wytartym kapeluszu, z kijem w rękę, 17-letni młodzieniaszek udał się w podróż. Szedł dziennie po sześć mil. W Augsburgu nie zastał Kanizjusza, udał się więc do Dylingi, gdzie znów otrzymał cudowną Komunię św. w protestanckim kościele, do którego zaszedł przez omyłkę. Tu w Dylindze prowincjał na próbę dał mu zajęcie w kuchni, następnie wysłał go do Rzymu wraz z 2-ma nowicjuszami, którzy mieli w tym czasie odbyć podróż do Wiecznego Miasta: Fabrycem Reynerem i Jakóbem Lewantym. 25 października 1567 r. trzech pielgrzymi przybyli do Rzymu. Stanisława narazie zatrzymano w domu profesów, gdzie mieszkał generał zakonu Franciszek Borgjasz, do którego Kanizjusz napisał list, a w nim wspomniął o Stanisławie, zaznaczając: „Spodziewam się po nim wielkich rzeczy”.

28 października 1567 r. odbyły się oblóczyny Kostki.

W Rostkowie wiadomość o tem, co zrobił Stanisław, wywarła piorunujące wrażenie, zwłaszcza na kasztelana. Samo wstąpienie do klasztoru, według jego opinii, już uchybiało godności tak wybitnej rodziny, a cóż mówić o tym niedopuszczalnym szczególe, że kasztelanic, syn

magnata, do Rzymu przez Niemcy i Włochy doszedł o żebranym chlebie? Wszystko to według mniemania starego kasztelana miało okryć hańbą cały dom Kostków. Kasztelan zapalał zemstą względem Jezuitów i własnego syna. Swe złowrogie zamiary wypowiedział do kardynała Hozjusza, synowi zaś napisał list, pełen gróźb i wyrzutów. Na list ten odpisał Stanisław z całym uszanowaniem, ale jednocześnie z męstwem i stanowczością. Gdy pismo okazało się bez skutku, wtedy kasztelan wysłał do Rzymu Pawła z bezwzględny rozkazem, aby przywiózł stamtąd Stanisława pod dach domu rodzicielskiego, bodajby siłą. Nie odniosło to wszakże skutku, bo, zanim Paweł dostał się do Rzymu, Stanisław już dokonał swego świętobliwego żywota, co sam sobie przepowiedział wobec kolegów nowicjuszków na kilkanaście dni przed śmiercią, choć, gdy to mówił, był pełen życia i zdrowia. Przepowiednię tę powtórzył za parę dni do O. Emanuela de Sa, dodając, że ma nadzieję w uroczystość Wniebowzięcia N. M. P., zobaczyć w niebie swą Matkę niebieską. Wieczorem 10-go sierpnia 1568 r. zasłał; swym kolegom, a następnie Klau-djuszowi Akwawiwie powtórzył, że 15-go już nie będzie wśród żyjących, bo „prosił za przyczyną św. Wawrzyńca Matkę Najświętszą, aby powołała go do siebie na dzień święta Wniebowzięcia”. 11, 12 i 13 sierpnia stan zdrowia chorego nie wyjaśniał się wcale, a święty młodzieniaszek mówił, że to będzie już ostatnia w jego życiu choroba. W nocy z 14 na 15 sierpnia nastąpiło pogorszenie, chory jeszcze raz przyjął Sakramenta św., przeprosił otaczających go nowicjuszków za zgorszenie, którego mógł być powodem w swym życiu, rozmawiał jeszcze wesoło i ze zwykłym uśmiechem powtarzał parę razy wśród tej rozmowy: „Gotowe serce moje”. Zbliżała się święta śmierć wśród nieustannych modlitw otoczenia, w których chory brał żywy udział, prosił następnie, aby go położono na

podłódze, tak bowiem, mówił, przysało umierać prawdziwemu pokutnikowi i ubogiemu. Z koronką w jednym ręku, a gromnicą w drugim, w 10-tym miesiącu swego nowicjatu zasnął cicho na Kwirynale, gdy zbliżała się jutrzienka, 15 sierpnia 1568 r.

Przy zwłokach zmarłego nowicjusza gromadziły się tłumy Rzymian, które ściągała opinia, że umarł święty. Uczony Hiszpan z Korduby Franciszek Tolet, Jezuita, patrząc na zapał, z jakim odwiedzano ciało świętego młodzieniaszka, odezwał się do stojących przy tych świętych zwłokach:

„Dziwna to rzecz! Umiera młody Polak i cały świat zbiega się do jego ciała. Każdy chce go oglądać, każdy pragnie ucałować jego nogi. Przebóg! Umrzemy może w wieku bardzo sędziwym, a będąż się ludzie do nas zbiegali?”

Tolet wypowiedział tu myśl, że nie lata długie człowieka, ale stopień miłości i doskonałości mówi o jego zasłudze na wieczność.

* * *

Główna część relikwii św. młodzieniaszka bez zmały spoczywa w kaplicy kościoła św. Andrzeja na Kwirynale.

Przed 4-ma blisko wiekami zmarł święty Staś, mając niespełna lat 18, a choć, jako polskie chłopię, przede wszystkim przemawia do polskiej młodzieży, jest jednak przedmiotem kultu wśród Hiszpanów, Włochów, Czechów, Niemców, Francuzów, słowem wszystkich katolickich narodów. Jego wiecznie trwała pamięć płynie stąd, że przeszedł przez życie z charakterem człowieka, który wiedział dlaczego żył, który poznał swój ideał i do niego dążył świadomie i wytrwale po przez stosy przeszkód, nie cofając się przed żadną ofiarą i trudem. Ten ideał wcielał w życie nie mściwą krwią, ale serdeczną miłością, stąd

do końca świata trwać będzie pamięć jego wśród ludzi, a na wieki przed Bogiem. W 36 lat po swem świętem zaślęciu, 18 lutego 1604 r., został młodzieniaszek bez zmayı zaliczony w poczet błogosławionych przez Klemensa VIII, a Papież Benedykt XIII podpisał jego bulłę kanonizacyjną 31 grudnia 1726 roku. Poza męczennikami, św. Stanisław Kostka jest najmłodszy z pośród wszystkich kanonizowanych świętych.

* * *

Wkrótce po zgonie św. Stanisława umarł jego ojciec Jan, a niedługo najstarszy brat Wojciech. Obydwaj pochowani w Przasnyszu.

A co się stało z Pawłem i nauczycielem Bilińskim?

Paweł na wiadomość o świętobliwym zgonie brata Stanisława zaczyna wchodzić w siebie. Przykład świętego brata ciągnie go do Boga, ale świat nie chce go wypuścić ze swych szponów. Nareszcie zrywa ze wszystkim, co go dotąd wiązało i czyni pokutę.

To pierwsza nadzwyczajna łaska, którą uprosił święty młodzieniaszek dla brata swojego.

Żarty i drwiny, jakie wypowiadali pod adresem Pawła dawni jego wesołego życia towarzysze, znosił on cierpliwie i w milczeniu. Gdy go nagabywali do żeniaczki, odpowiadał wszystkim: „Życzę mojej rodzinie, aby cnoty Stanisława, mego brata, zajaśniały w tych wszystkich, co noszą jego nazwisko”. Dużo się modlił, umartwiał, rozmyślał całemi nieraz nocami nad męką Pańską. Wykorzenił z siebie tym sposobem dawną butę i przesadną dumę rodową. Gdy w rozmowie powiedziano mu, że chwała Stanisława spada na niego, odpowiedział na to z chrześcijańskim męstwem: „Przyczyniłem się do świętobliwości i chwały brata mego, Stanisława, na wzór owych katów, co się także przyczyniali do chwały świętych mę-

czenników". Paweł odtąd budował kościoły, klasztory i szpitale. Zamieszkiwał lat wiele obok przytułku dla ubogich w Przasnyszu, przez się zbudowanego, by oddać się tu pokucie i bogomyślności. Rozmyślał dużo o śmierci. Pod wpływem tych rozważań przygotował sobie grób, a na nim kazał wyryć słowa Pawła św.: „Nie wstydzę się ewangelji”. Najchętniej modlił się w czasie mszy św., której słuchał, kiedy tylko i ile tylko mógł, największą zaś jego rozkoszą było służyć do Niekrwawej Ofiary. Zdobył obraz św. brata swego i z rodziną przebywał przy nim całymi godzinami na modlitwie, a gdy w Szamotułach jeden z obrazów św. Stanisława zasłynął cudami, odprawił doń pielgrzymkę i wystawił tam wspaniałą kaplicę. Postanowił wreszcie zostać Jezuitą, a gdy napotkał na trudności w kraju, udał się do jenerała zakonu, który polecił go przyjąć do nowicjatu. Wtedy dla uporządkowania spraw majątkowych w 1607 r. udał się do Piotrkowa. Tam dostał febry, gorączki i uczuł się bardzo niedobrze. Pojednał się przeto na godzinę śmierci z Bogiem, przyjął ostatnie Sakramenta św., publicznie oskarżył się z win, które popełnił przeciwko bratu i 13 listopada 1607 r. skończył życie na rękach swego spowiednika Jakóba Cieleckiego.

Biliński, gdy go doszła wieść o chwalebnej śmierci Stanisława, zastanawia się nad sobą, opuszcza świat, wstępuje do seminarjum duchownego i zostaje kapłanem.

Jak gorliwie czas swój poświęca obowiązkom kapłańskim wnosić można choćby z tego, że wkrótce zostaje kanonikiem pułtuskim, a później plockim. Obraz swego wychowanka miał u siebie w pokoju i pod jego cieniem i błogim widokiem umierał. Razu pewnego wychwalał cnoty Stanisława temi słowy: „Życie Pawła i moje różniło się od życia Stanisława w tym samym stopniu, jak ziemia różną i daleką jest od słońca, Młodzieniaszek ten zniósł

wszelkie prześladowania pana Pawła z anielską cierpliwością, bez najmniejszej skargi”.

* * *

Od lat kilkudziesięciu cześć św. Stanisława rozszerza się coraz bardziej po całym świecie katolickim, a zwłaszcza wśród naszej młodzieży polskiej. Objaw ten jest zupełnie zrozumiały psychologicznie. Święty Stanisław, to chorąży bez zmyzy, który najszczytniejszym ideałem przyświeca każdej młodej polskiej duszy, dla młodzieży był bliski swym wiekiem młodzieńczym, żył jej życiem, staczał jej walki, nic więc dziwnego, że pociąga ją do cnoty i do Boga prędeej, niż każdy inny święty.

Źródła i pomoce:

- 1) Ks. Hilary Koszutski „Święty Stanisław Kostka i jego wiek”, Poznań 1882 r.
- 2) Ks. Alojzy Fridrich „Obrazki świętych pańskich” cz.IV. Kraków 1896.
- 3) Ks. Florjan Jarosiewicz „Matka świętych, Polska” cz. IV. Poznań 1896.
- 4) Ks. Jan Wiśniewski, prefekt szkół radomskich, „Stanisław Kostka”, Radom 1910.
- 5) Ks. Jan Badeni „Św. Stanisław Kostka” Kraków 1911.
- 6) „W 200-letnią rocznicę kanonizacji św. Stanisława Kostki”. Nakładem Komitetu Zjazdu katolickiego w Warszawie. Warszawa 1926. Drukarnia krajowa.
- 7) „Jednodniówka ku czci św. Stanisława Kostki”. Warszawa 1926 r.
- 8) „Sodalis Marianus”. Numer poświęcony św. Stanisławowi Kostce. Kraków 1926 r.
- 9) „W 200-letnią rocznicę kanonizacji św. Stanisława Kostki” skreślił Ks. W. Rejowicz 1926 r. Sodalis Marianus Nr. 12, rocznik XXV.
- 10) Ks. Kazimierz Bisztyga „Św. Stanisław Kostka” (w 200-letnią rocznicę kanonizacji) Kraków 1926 r. Głosy Katolickie.
- 11) Zofja Kossak-Szczucka „Z miłości”. Kraków 1926.

FRANCISZEK SALEZY.

1567—1622.

O pismach św. Franciszka Salezego wyraził się uczony Papież Benedykt XIV, że zawierają w sobie naukę, która w niebie ma swój początek, a która w wielu trudnych sprawach była mu miarodajną. „Filotea”, którą ten Święty napisał na prośby króla francuskiego Henryka IV w 1608 r., należy do ksiązek najwięcej w świecie czytanych. Styl jej Paryska Akademia nazwała wzorowym. Również „Traktat o miłości Bożej”, jak i liczne jego listy za wzór mogą służyć dla pisarzy religijnych.

Franciszek przyszedł na świat 21 sierpnia 1567 r. w zamku Sales w Sabaudji i tego dnia został ochrzczony. Już w małym, zaledwie 2-u letniem dziecku można było spostrzec pierwsze oznaki niezwyklej pobożności i miłości względem biednych. Gdy zobaczył żebraka, zawsze musiał go czemś opatrzyć, dlatego mamka nie wychodziła z nim nigdy z domu bez owoców lub jakichkolwiek pokarmów, by zawsze miał coś dać spotykanym ubogim. Gdy chłopiec zaczął chodzić, często okazywał chęć bywania w kościele, gdzie mu się nigdy nie nudziło, ani się nie niepokoił przez cały przeciąg nabożeństwa; składał sam drobne rączęta do modlitwy, a oczami jakby nieruchomemi patrzył na ołtarz i kapłana.

Matkę miał rozumną, która go nie rozpieszczała, wychodząc z założenia, że miękkie wychowanie czyni mężczyznę zniewieściałym i niezdolnym do większych poświę-

ceń, uczyła go cierpliwie znosić braki i dolegliwości życia. Jeżeli spostrzegła w nim coś niewłaściwego, zawsze zareagowała przeciwko temu. Pewnego dnia malec zabrał pracującemu w pałacu robotnikowi sznur różnokolorowy; skoro się o tem dowiedziano, mimo że Franio otwarcie przyznał się do winy i prosił o przebaczenie, ojciec przy wszystkich obecnych dał mu różgi z upomnieniem, aby nie ruszał nigdy nic cudzego. Chłopiec odtąd przestrzegał tego w najdrobniejszych rzeczach.

Gdy umysł Frania był już na tyle rozwinięty, matka uczyła go prawd chrześcijańskich, które nadzwyczaj łatwo i prędko pojmował i tem, czego sam się nauczył, zaraz dzielił się ze współtowarzyszami zabaw dziecięcych. Przekonania do prawdziwości nauki katolickiej malec nabierał tak silnego, że już w piątym roku życia wykazywał kalwinom ich błędy. Wobec tego rodzice czuli się zmuszeni, gdy jaki innowierca przyszedł do zamku, usuwać małego do jego pokoju, żeby nie wszczynał dysput religijnych.

W myśl wskazań wiary św. Franciszek już od lat najmłodszych panował nad własnymi słabościami. Gdy został biskupem, tak pisał raz do pewnej osoby: „Mówią mi, że się boisz duchów. W młodości i ja dopuszczałem do głowy podobne myśli. Żeby się tego wyzbyć, ubrajałem się w ufność Bożą i zwykle szedłem na to miejsce, w którem wyobrażenia przedstawiała mi jakieś strachy; wkońcu stałem się tak mężnym i odważnym, że ciemność i samotność nocy sprawiały mi rozkosz taką, jaką daje myśl stałego obcowania z Bogiem. Dobrzy aniołowie otaczają cię, jak oddział wartujących żołnierzy; jesteś pod skrzydłami Boga, jak kurczę pod skrzydłami swej matki; czego się więc boisz?”

Dobre zasady, które rodzice wpajali w Franciszka, a zwłaszcza matka, wkrótce zaczęły wydawać błogie owoce. Nikt z ust malca nie słyszał słowa nieprawdy. Był

on raczej gotów ponieść karę, niż się od niej uwolnić kłamstwem. Nie mniej godnem podziwu było w nim posłuszeństwo. Na najlżejsze skinienie wychowawcy przerywał każde swe przyjemne, nawet ulubione zajęcie, nie okazując przytem najmniejszego niezadowolenia. „Wtedy już, pisze o nim jego rówieśnik, widziano na jego twarzy, jakby odbłask łaski Bożej tak, że, patrząc na niego, nie można było oprzeć się myśli, że roślina, która tak kwitnie, przyniesie wkrótce wspaniałe owoce cnoty”.

W szóstym roku życia, oddał ojciec Franciszka do szkoły w sąsiednim miasteczku La Roche i powierzył go poważnemu religijnemu wychowawcy Piotrowi Batailleur. Matka jednak, mając na uwadze młodociany wiek chłopca i niebezpieczeństwa, z którymi może się spotkać w obcym mieście, bardzo się obawiała o jego niewinność. Lecz Franciszek tak był ugruntowany w cnocie, że swojem zachowaniem się zawstydział nawet dojrzałych młodzieńców. Nietylko nie dał się pociągnąć w złą stronę żadnemu z nich, lecz wkrótce sam był niejako kierownikiem swych współkolegów na drodze pobożności i obyczajów. W La Roche, a później w gimnazjum w Annecy, dokąd go przenieśli rodzice, wzbudzał we wszystkich podziw dla swych cnót i świetnych postępów w naukach. Był tak pilny, że zawsze raniutko wstawał do książki, a tak skrzętnie korzystał z czasu, że żadnej minuty nie tracił na próżno. Tłumaczył łacińskich autorów i niekiedy całemi godzinami nie poruszał się z miejsca, będąc zajętem tą pracą. Czytając książkę, pilnie zastanawiał się nad jej treścią, piękniejsze urywki wpisywał do swego zeszytu, a później znów przepatrywał te notatki. Za wykładami śledził w klasie z wytężoną uwagą, szybko obejmował wszystko i dokładnie zachowywał w pamięci to, co słyszał. Na swych kolegów miał wielki wpływ. Skoro go zauważono zdaleka, dawał się słyszeć głos z pośród uczniów: „Musimy

być w porządku, bo idzie święty”. A gdy który z uczniów pozwolił sobie kiedyś na niewłaściwe słowo, w tej chwili Franciszek doprowadzał go do porządku, a czynił to zawsze z niezwykłą uprzejmością i delikatnością. Niektórzy z nich zapewniali w późniejszych latach, że jeżeli posiadają cokolwiek wewnętrznego wyrobienia, to zawdzięczają to po Bogu jego wpływom. Podczas wspólnych spacerów miał zwyczaj usuwać się z jednym z kolegów, codziennie z innym na odosobnione miejsce, by odmówić tam wspólnie jakąś modlitwę, albo opowiedzieć coś z żywotów świętych.

W dziesiątym roku życia po raz pierwszy Franciszek przystąpił do Stołu Pańskiego i tegoż dnia do Bierzmożowania. Odtąd jeszcze bardziej wzrastał w pobożności. Jak to postanowił przy pierwszej Komunii św., do Stołu Pańskiego przystępował w pierwszą niedzielę każdego miesiąca, później częściej, a wkrótce co ośm dni. Z wielką punktualnością odwiedzał codziennie Najśw. Sakrament, odbywał czytanie i inne ćwiczenia duchowne, do których miał wielkie upodobanie.

Gdy ferie spędzał w domu, z braćmi był zawsze w najzupełniejszej zgodzie, zwłaszcza z Ludwikiem utrzymywał najsympatyczniejszy stosunek. Drugi jego brat Jan był zazdrosny i upartego charakteru. To utrudniało z nim obcowanie. Franciszek jednak umiał i jego przywiązać do siebie, a gdy doprowadzał ich do dobrego humoru, zwykł był mawiać: „We trzech moglibyśmy wydać z siebie składniki doskonałej sałaty, gdyż Jan ze względu na swą ostrość, to ocet, Ludwik, jako rozumny, to sól, Franciszek zaś, otyły młodzieniec, to olej, bo on tak kocha łagodność”.

Gdy Franciszek w Annecy zdobył gimnazjalną maturę, miał według woli ojca studjować w Paryżu retorykę i filozofję, a miejsce zamieszkania obrać w tamtejszym kolegium Nawarskiem, gdzie niemal cała szlachta z Sa-

baudji wychowywała swych synów. Z radosnem uczuciem przygotowywał się on do tej podróży. Wybór kolegium nie był po jego myśli, bo tam więcej zwracano uwagi na to, by wysoko kształcić uczniów, którzy umieliby błyszczeć na świecie, niż wychować ich na prawdziwych chrześcijan. Odpowiedniejszem wydawało mu się kolegium Klermontskie, którem kierowali OO. Jezuici, bo w niem dbano i o pobożność i o naukę. Ponieważ dobrze wiedział, że ojciec nie łatwo zgodzi się na taką zmianę, przeto polecał P. Bogu swe pragnienie w częstych i serdecznych modlitwach, a matkę prosił o pośrednictwo.

Pobożna niewiasta była tej samej myśli, a po pewnym oporze również i ojciec wkońcu na to się zgodził. Trzynastoletniego więc chłopca oddano na dalsze wychowanie zasłużonemu kapłanowi Janowi de Deago i z nim, a także ze starym, wiernym sługą udał się Franciszek do Paryża.

Jak w gimnazjum, tak i w uniwersytecie Franciszek pilnie się uczył i wkrótce wyprzedził wszystkich kolegów. Tu poza poważnemi studjami oddawał się często fizycznym ćwiczeniom, które wtedy uważano jako istotną część wychowania. Nadto brał lekcje tańców, fechtunku i konnej jazdy. Nie robił tego z zamięłowania, ale ze względu na to, że tego życzył sobie ojciec, któremu Franciszek był zawsze posłuszny. Wszakże daleko więcej myślał o tem, jakby robić postępy w „umiejętności świętych”, do czego pewną drogę wskazywał mu naturalny pociąg.

„W czasie, gdym był jeszcze w Paryżu, tak opowiadał później, opanowało mnie niezwykle pragnienie uświęcenia się i udoskonalenia. Zdawało mi się, że w tym celu podczas modlitwy trzeba koniecznie trzymać na bok głowę; a myślałem tak dlatego, że jeden z uczniów, który był uważany za prawdziwie świętego, tak się nosił zwykle; przez pewien czas przestrzegałem tego, ale to mnie nie

uświęciło". Od tego czasu zaniechał tej praktyki, a pobożność zaczął traktować poważnie, wystrzegając się wszelkich nadzwyczajności. Codziennie czerpał z budującej książki po kilka myśli, nad niemi się zastanawiał i robił zaraz z nich zastosowanie do własnego życia; nadto codziennie rozmyślał, pościł w każdą środę, piątek i sobotę, co ośm dni przystępował do św. Sakramentów, a gdy pytano go, dlaczego tak często komunikuje, odpowiadał: „dla tej samej zasady, dla której tak często rozmawiam z wychowawcą i nauczycielem; Zbawiciel bowiem jest moim nauczycielem w nauce świętości, by mnie przeto uczył, chodzę doń często, bo niewieleby mi to pomogło, gdybym został uczonym, a nie świętym”. Zapisał się do sodalicii marjańskiej i wkrótce stał się gorliwym jej członkiem. Pilnie uczęszczał na mszę św. i kazania, a w kościele się modlił z budującą wszystkich gorliwością. W tem wszystkim szedł podług wskazówek spowiednika, któremu poddał się bez żadnych zastrzeżeń.

Wychowawcę Deaga czcił, jak własnego ojca, nie wychodził nigdy z domu bez pozwolenia, a jeśli mu ten czego odmówił, zastosował się zawsze do jego woli, nie okazując najmniejszego nieukontentowania. Tylko w jednym wypadku nie pozwoliło mu serce odstąpić od własnego zdania. Było tak: służący zachował się raz nieodpowiednio względem Deaga i ten chciał, żeby go ukarano. Franciszek prosił o przebaczenie dla winnego, lecz spotkał się z odmową. Gdy Franciszek napróżno ponawiał swą prośbę, i nie widział dla siebie żadnej satysfakcji, rozgniewany Deage wymierzył Franciszkowi cztery policzki. Bez najmniejszego rozgoryczenia odszedł święty młodzieniec, a przytem tak spokojnie i bez gniewu na wychowawcę, jakby nic się nie stało.

Ojciec Franciszka chciał, jak o tem była już mowa wyżej, aby tenże najpierw studjował retorykę i filozofję,

a potem prawo, jako przedmioty potrzebne do zajęcia świeckiego stanowiska; on zaś miał inne myśli, pragnął mianowicie P. Bogu służyć w stanie kapłańskim. W tym celu już w Paryżu obok filozofji z największą gorliwością studjował teologję.

Pełen uwielbienia dla świętej czystości, często bardzo gorliwie się modlił przed obrazem Matki Bożej o tę cnotę, którą pragnął zachować aż do śmierci i zachęcał współkolegów do jej umiłowania i przestrzegania. Z tego względu najcnotliwsi starali się z nim obcować i czuli się szczęśliwi, gdy go słuchali, swawolni zaś trzymali się odeń zdaleka.

Od myśli o stanie kapłańskim nie mogły go odwieść ani wewnętrzne pokusy, ani zewnętrzne trudności. W Paryżu męczyła go przez długi czas myśl, że nie jest w stanie łaski poświęcającej i że wszystkie dobre uczynki wykonywa bez zasługi. To go bardzo wyczerpywało, napełniało trwogą, a wkońcu doprowadziło do choroby. Te wszakże okoliczności nie zachwiały nim ani na jedną chwilę, ani wywołały w jego duszy wątplenia. Wtedy tem gorliwiej wypełniał pobożne ćwiczenia i z tem większą ufnością składał swój doczesny i wieczny los w ojcowskie ręce Boga. Bohaterską tę walkę zakończył zwycięstwem.

Gdy, pewnego razu, klęczał w kościele św. Stefana, przed obrazem Matki Bożej, spostrzegł napisaną tam na tablicy modlitwę św. Bernarda „Wspomnij o najłaskawsza”. Pełen ufności odmówił ją, poczem złożył ślub wieczystej czystości i przyrzekł codziennie odmawiać różaniec, o ile odzyska dawny spokój duszy; pokusa ustąpiła i znów zaczął zaznawać najbardziej błogiego nastroju. Odtąd „Pomnij” i różaniec były dlań najulubieńszymi modlitwami i odmawiał je każdego dnia do końca życia.

Gdy ojciec dowiedział się o aspiracjach syna do stanu duchownego, zażądał od niego, aby się przeniósł

na uniwersytet do Padwy i oddał się tam nauce prawa. Franciszek bezzwłocznie to uczynił, ale nie miał zamiaru sprzeniewierzyć się swemu powołaniu. Tu, w Padwie, obok prawa studjował teologję i wiódł życie świętobliwe, podobnie jak w Paryżu.

Na kierownika duszy obrał sobie również pobożnego i uczonego Jezuitę Possewina, który zaraz poznał w cnotliwym młodzieńcu przyszłego wielkiego męża Bożego i niczego nie zaniechał, by mu dopomóc na drodze do doskonałości. Franciszek napisał sam dla siebie, owiany duchem Bożym, ścisły regulamin życia, którego przestrzegał sumiennie, a który był dlań potężną obroną we wszystkich niebezpieczeństwach wielkiego miasta.

Pewnego dnia trzech koledzy, pod pretekstem odwiedzenia nowoprzybyłego profesora, wciągnęli niewinnego młodzieńca do domu uwodzicielki i chcieli go zostawić z nią sam na sam. Skoro Franciszek spostrzegł nieczne zamiary tej kobiety, plunął jej w twarz i tak spokojnie opuścił ten dom, jak spokojnie doń wszedł przed chwilą. Ten wypadek zaraz rozeszedł się po mieście. Inna znów młoda arystokratka chciała na niego zarzucić sieci. Lecz na próżno! Franciszek nie dał się uwieść. Gdy znów pewnego razu jeden z towarzyszy studjów pozwolił sobie w jego obecności na nieprzystojne mowy, powiedział mu Franciszek z całą powagą: „Co Ci Bóg uczynił, że się tak z Nim obchodzisz? Albo raczej, czego Ci nie zrobił, żebyś nie miał obowiązku obchodzić się z Nim inaczej?” Słowa powyższe zrobiły takie wrażenie na tym młodzieńcu, że później mawiał: „Ile razy o tem myślę, wciąż żałuję mego błędu!” Pewnego znów razu czyhali nań swawolni chłopcy, by go najpierw znieważyć w ciemności, a później wyśmiać, gdyż jego pokorę i potulność nazywali tchórzostwem. Lecz spotkał ich sromotny zawód. Franciszek nie zawahał się ani minuty bronić swego ho-

noru, wyciągnął pałasz i natarł tak sprawnie na swych napastników, że ci wkrótce w ucieczce musieli szukać ratunku. Franciszek ich ścigał dotąd, aż sami prosili o przebaczenie i przyrzekli, że go już więcej nie będą napastować.

Przed ukończeniem studjów wpadł on w ciężką chorobę, którą lekarze uznali za śmiertelną. Wtedy z zupełnym spokojem i nadzwyczajną pobożnością i gorliwością przyjął ostatnie sakramenta. Gdy go rozczulony wychowawca Deage zapytał, jakie robi zarządzenia, dotyczące pogrzebu, odpowiedział chory, że zostawia to całkowicie jego uznaniu, bo liczy na jego życzliwość, której zaznał niejednokrotnie. O jedno tylko prosił, a mianowicie o to, aby jego trup był użyty przy studjach anatomji. „Przecież byłoby to straszną rzeczą dla rodziny” dodał Deage. „Przepraszam, że się sprzeciwiam, odrzekł chory, ale najwięcej męczyć mnie będzie przy śmierci ta myśl, że za życia byłem niepożytecznym sługą, więc przynajmniej po śmierci na coś chciałbym się przydać, gdy dostarczę studentom medycyny swego ciała dla ich doświadczeń”. Nie był to jednak koniec, lecz dopiero początek jego pięknego i nadzwyczaj pożytecznego życia. Wbrew przypuszczeniom wyzdrowiał i wkrótce potem po świetnym egzaminie otrzymał doktorat prawa.

Po powrocie do domu otrzymał zaszczytne stanowisko adwokata w senacie w Chambery i pewne widoki, że zostanie senatorem. Lecz wszystkie te godności nie zdołały go sprowadzić z raz obranej drogi. Nie spoczął Franciszek, aż przemógł w końcu naleganie ojca i zdobył jego zgodę na wstąpienie do stanu duchownego. W roku 1593 jako dwudziestosześcioletni młodzieniec przyjął święcenia kapłańskie i pracował prawdziwie po apostołsku. Biskup zlecił mu najprzód misję odzyskania zpowrotem dla Kościoła mieszkańców księstwa Chablais, którzy niedawno

zostali protestantami. Wśród niewypowiedzianych trudów, nie zrażając się żadnymi groźbami, ani przykrościami, w ciągu 4-ch lat spełnił z całą ścisłością powierzone mu dzieło. Na skutek jego apostołskiej pracy 70,000 ludzi odzyskało prawdziwą wiarę.

Kazania wielkopostne, które miewał w Paryżu 1602 r., spowodowały tak liczne i niezwykle nawrócenia, że Perronne, uczony biskup, a późniejszy kardynał, zawołał: „Mógłbym zwalczać kalwinów, ale ich nawrócenie jest darem, który Bóg powierzył Franciszkowi z Salez”.

Gdy umarł w 1602 r. Biskup Genewski, wbrew swym chęciom został Franciszek jego następcą. Jak poprzednio prowincję Chablais, tak teraz księstwo Gex sprowadził na łono Kościoła. Przy pomocy Franciszki Chantal założył zakon Wizytek. Wyczerpany nadmierną pracą, umarł 30-go grudnia 1622 r. w tym momencie, gdy otoczenie odmawiało w litanji za konających wezwanie: „Wszystkie święte i niewinne dziatki, módlcie się za niego”. Liczne za jego wstawiennictwem dokonane cuda skłoniły papieża do ogłoszenia go świętym już w roku 1655.

Pius IX zaliczył go w roku 1878 w poczet doktorów Kościoła.

BARTŁOMIEJ HOLZHAUZER.

1613—1658.

Trzydziestoletnia wojna nie tylko bardzo szkodliwie wpłynęła w Niemczech na religijne życie ludzi świeckich, lecz wywarła także ujemny wpływ i na tamtejsze duchowieństwo. Żeby podnieść na wyższy poziom oświatę i obyczaje wiernych, przedewszystkiem konieczną było rzeczą wzbudzenie kapłańskiego ducha wśród kleru. Do przeprowadzenia tej reformy Opatrzność między innemi narzędziami użyła Bartłomieja Holzhausera, założyciela wszechświatowej kongregacji kapłanów.

Holzhauszer pochodził z Laugny, małej wioski diecezji Augsburskiej. Ojciec jego, będąc biednym szewcem, ledwie mógł wyżywić swą liczną rodzinę, składającą się z jedenaściorga dzieci. Był to człowiek biedny, ale uczciwy, cieszył się przeto dobrą opinią, a pod względem sumienności był uważany nawet za skrupulata. W niczem nie ustępowała ojcu i matka Bartłomieja, której szczególniejszą troską było staranne wychowanie licznej rodziny i wpojenie w nią ducha bojaźni Bożej. Ponieważ ojciec niejednokrotnie zauważył niezwykły pociąg Bartłomieja do książki, postanowił go przeto nauczyć przynajmniej czytać; a chciał tego dokonać jeszcze w tym czasie, gdy chłopiec nie był zdolnym do fizycznej pracy, ponieważ później spodziewał się mieć z niego pomoc przy swym szewskim warsztacie.

Ponieważ w Laugny'e nie było szkoły, musiał tedy malec codziennie chodzić do Wertingen, oddalonego od Laugny o godzinę drogi. Niezwykła żądza wiedzy dodawała mu siły do przewyciężenia wszelkich trudności, które napotykał przy zdobywaniu nauki; prawdziwa zaś pobożność pobudziła go do poznania tajemnic wiary i wdrożenia się do systematycznej pracy. Idąc do szkoły i wracając z niej, chłopiec prawie bez przerwy się modlił i podziwiał Majestat Boży w przyrodzie. W czasie jednej takiej podróży jedenastoletni Bartłomiej ujrzał cudowne zjawisko: oto nagle zobaczył Zbawiciela z Matką Bożą, a jednocześnie na niebie krzyż, opromieniony jasnością. Pełen świętej bojaźni i pragnienia rzeczy niebieskich rzucił się na ziemię, oddając w ten sposób cześć Bogu przez cały czas trwania tego objawienia. Chwila ta przyniosła mu głębokie poznanie rzeczy Bożych, a także niezwykłą pobożność do Trójcy Przenajświętszej, do Zbawiciela, do Krzyża Świętego i Najświętszej Marji Panny. Znaczenie tej wizji poznał Bartłomiej dopiero później. Chciał mu Pan Bóg w ten sposób zapowiedzieć liczne ciężkie krzyże, które ma dźwigać w życiu, a jednocześnie dać mu przedsmak wiecznej radości, do jakiej prowadzą trudy, podjęte dla chwały Bożej. W tym dniu poznał wyraźnie Bartłomiej swe powołanie, wiodące go do służby Bożej i odtąd nie dał się odwieść od swego celu żadnemi trudnościami.

Ojciec wprawdzie starał się przedstawić mu swą niezwykle wielką biedę, z powodu której nietylko nie mógł ponosić kosztów, wymaganych na tę jego naukę, ale jeszcze potrzebuje jego pomocy w rzemiośle. Chłopiec jednak nie zaprzestał swoich próśb, aż uzyskał zgodę rodziców na dalsze kształcenie się. Ale mimo swych szczerych chęci ojciec nie mógł mu nawet sprawić ubrania, koniecznego na wyjazd z domu. Matka zaś uprosiła we wsi tylko trochę lnu, uprzedła go, sprzedała i za te pie-

niądze kupiła mu mały płaszczyk, w jakim wówczas chodzili uczniowie.

Bartłomiej, serdecznie pożegnawszy się z matką i rodzeństwem, udał się z ojcem w drogę do Augsburga. Gdy przybyli na miejsce, ojciec umieścił go w domu ubogiej rodziny. Po pewnym czasie dostał się chłopiec do bezpłatnej szkoły Św. Marcina, o pożywienie zaś musiał codziennie pukać do serc litościwych, które zniewalał dla siebie swym śpiewem pieśni św. Franciszka z Asyżu. Ludzie pociągnięci jego miłą powierzchownością, chętnie udzielali mu swej pomocy. Lecz, niestety, nie trwało to zbyt długo. Nagle wybuchła zaraza w Augsburgu, której Bartłomiej uległ również, a wskutek tego nie mógł wychodzić na ulicę. Samiuteńki pozostał na nędznym łóżku, bez żadnej pomocy i wkrótce znalazł się w tak strasznym położeniu, że mu nic innego nie pozostawało tylko umrzeć, jeżeli nie wskutek choroby, to z głodu. Teraz zaczął jaśniej pojmować, co oznaczał ten krzyż, który mu Zbawiciel pozwolił kiedyś oglądać. Nie upadał wszakże na duchu, owszem był przekonany, że pokorne i cierpliwe znoszenie tego krzyża posłuży mu dla dobra duszy.

Pewnego dnia mimo ogromnego wycieńczenia uczuł się nagle pocieszony i zachęcony, by u stóp ołtarza błagać o wyzdrowienie Pana Boga, jedyne lekarza, który mógł mu pomóc. W sąsiedztwie stał kościół pod wezwaniem Św. Krzyża. Biedny chłopczyzna zebrał resztę sił i, choć z trudem, powłókł się tam późnym wieczorem. Ponieważ kościół był już zamknięty, ukląkł przed drzwiami z całą ufnością, skropił łzami kamienie i usilnie błagał o ratunek Zbawiciela i Matkę Najświętszą. Wtem upadł i stracił na pewien czas przytomność. Gdy przyszedł do siebie, wstał i szukał sprawcy, który go powalił o ziemię, ponieważ mu się zdawało, że go ktoś uderzył. Nikogo wszakże nie spostrzegł. Ale jakże wielkie było jego zdziwienie, gdy

teraz uczuł się zupełnie zdrowym. Z sercem przepelnionem wdzięcznością ukląkł ponownie, podziękował Panu Bogu za odzyskane zdrowie i złożył Mu w ofierze swe życie.

Ale nie był to koniec cierpien tego małego biedaka. Czekąco go nowe doświadczenie, daleko cięższe od poprzedniego. Ponieważ wobec grozy epidemii opuściła miasto wielka liczba mieszkańców, wielu zaś z nich zmarło wskutek zarazy, lub głodu, Bartłomiej znalazł się bez żadnych środków utrzymania tak, że był zmuszony wrócić do rodziców, bo absolutnie nie miał z czego żyć. Wobec wielkiego ubóstwa rodziców narazie nie mogło być nawet mowy o jego dalszej nauce, przeto zaczął praktykować w szewstwie. Przy tej ciężkiej robocie spędził blisko pół roku z uczuciem zadowolenia, że może w ten sposób naśladować pokorne i pracowite życie Boskiego Syna w Nazaret. Jednak nie porzucał myśli dalszego uczenia się, ponieważ pragnął poświęcić się kiedyś na służbę Panu Bogu.

Razu pewnego, znów wobec rodziców ponowił swą myśl powrotu do szkoły. Mówił o tem z taką serdecznością i przekonaniem, że uzyskał ich zgodę. Ale i teraz nic mu ojciec nie mógł pomóc, zdobywając się zaledwie na 12 grajcarów. Matka zaś dała mu do ręki różaniec, aby się na nim modlił i codziennie się polecał opiece Bożej i Matce Najświętszej.

Z takim podróżnym „pakunkiem” Bartłomiej udał się najpierw do Eichstätt, miasta biskupiego, gdzie była dobra szkoła. W podróży odmawiał różaniec od rana do wieczora, aby Najświętsza Panna błogosławić raczyła jego zamiarom. Dobił do Eichstätt, lecz napróżno tam pukał do drzwi kolegum. Prosił bardzo usilnie, nie został jednak przyjęty. Wtedy biedny chłopiec zwrócił swe kroki do pobliskiego Neuburgu nad Dunajem, gdzie Jezuici prowadzili gimnazjum dla niezamożnych uczniów. Żeby jednak

tu się dostać, trzeba było znać śpiew lub muzykę, bo uczniowie za swe utrzymanie mieli obowiązek śpiewać na chórze. Ten niezbędny warunek sprawił Bartłomieja w wielki kłopot, bo śpiewać z nut nie umiał prawie wcale. Długo chodził koło tego domu, rzucając tęsknym wzrokiem na drzwi wchodowe, lecz nie miał odwagi tam zapukać. Wreszcie zdobył się na energię, raz jeszcze odmówił serdecznie różaniec i spokojnie zameldował u furty swą sprawę. Gdy znalazł się w pokoju przełożonego, pierwsze jakie usłyszał zapytanie było: „Czy znasz muzykę?” Ponieważ Bartłomiej za nic na świecie nie splamiłby ust kłamstwem, był przygotowany na to, że powie od razu prawdę, choćby miała go spotkać odmowa w przyjęciu. Powiedział więc szczerze, że zna tylko parę nut, ma wszakże nadzieję, że przy pomocy Bożej w niedługim czasie wydoskonali się w śpiewie. Wezwano Dyrektora chóru, który podał mu najtrudniejszy kawałek, żądając, żeby go zaśpiewał. Prawie na głos zabiło serce biednemu chłopczynie, ale zaczął śpiewać pod takt dyrektora. Szło mu doskonale, i dyrektor ocenił śpiew, jako zupełnie prawidłowy. Głos Bartłomieja był tak elastyczny i tak miłe dźwięczący, że egzaminator, pełen zachwytu, uściskał go obydwoma rękoma za głowę i rzekł: „Moje dziecko, witam Cię serdecznie, przyjmuję Cię z całą radością. Więcej umiesz, niż potrzeba, jesteś doskonałym muzykiem, a twoja skromność bardzo podnosi Cię w moich oczach”. Swoim śpiewem Bartłomiej pozyskał takie względy, że posadzono go zaraz przy pierwszym stole, gdzie siedzieli sami wzorowi uczniowie. Niestety, karta się wkrótce odwróciła. Cud, jaki w czasie egzaminu zdziałała Najświętsza Pani, miał mu tylko ułatwić wstęp do szkoły. Gdy następnego dnia ponownie wezwano Bartłomieja do pulpitu, nie umiał otworzyć ust do śpiewu. Było to wielką niespodzianką dla dyrektora chóru, który, mając w pa-

mięci doskonały wynik egzaminu, nie wiedział, jak wytłumaczyć przebieg dzisiejszej lekcji. Mało co brakowało, że go nie usunięto z zakładu, tylko ze względu na ogólne miłe wrażenie, jakie robił na wszystkich, pozostawiono go nadal z tem wszakże zastrzeżeniem, że będzie się starał wyrównać swe braki muzyczne. Wprawdzie musiał odtąd siedzieć za trzecim stołem i podczas obiadu usługiwać lepszym uczniom, do których sam był początkowo zaliczony, lecz to wszystko zniósł spokojnie, byleby tylko uczyć się nadal. Nauce oddawał się z taką gorliwością i wysiłkiem, że nauczyciele wkrótce poczęli pokładać w nim wielką nadzieję. Istotnie, Bartłomiej w dwudziestym roku życia celująco skończył gimnazjum.

Dla zdobycia filozoficznych i teologicznych nauk udał się na uniwersytet do Ingolstadt. Nie było to łatwym przy jego zupełnie pustej kieszeni. Bez namysłu jednak zdecydował się jechać, mając bezgraniczną w Bogu ufność. Nie zawiodły go nadzieje. Oto pewien dobroczynny mieszczanin przyjął go na mieszkanie za „Bóg zapłać”, a o życie musiał się starać u ludzi zamożniejszych. I w tym względzie wkrótce Pan Bóg zesłał mu pomoc. Dzielnym i bogatym studentem, nazwiskiem Donabaur, który widział Bartłomieja kilka razy, tak był ujęty jego cnotami, że się zbliżył do niego, zaprzyjaźnił, a wkońcu poddał się całkowicie pod jego kierownictwo. Aby zaś czemś się odwdziżyć za to, co duchowo korzystał od Bartłomieja, nalegał na niego, aby nie myślał o zdobywaniu środków na codzienne potrzeby, lecz żeby korzystał z jego kasy. Bartłomiej był tem zażenowany, ale przyjął szlachetną propozycję przyjaciela, uznając w tem zrzęczenie Opatrzności. Odtąd młodzi ludzie prowadzili wspólne, budujące życie i szybko postępowali tak w nauce, jak i w chrześcijańskich cnotach. Donabaur wkrótce wstąpił do zakonu Franciszkanów, w którym żył i umarł świętobliwie.

Na kierownika swej duszy Bartłomiej wybrał sobie w Ingolstadsie Ojca Lypranda, przed którym zaraz uczynił spowiedź generalną, i w czasie całych studjów uniwersyteckich często z całą szczerością otwierał przed nim swą duszę, jasno odkrywając jej stan, a nawet każdą myśl, która mu się wydawała ważną z jakiegokolwiek względu.

Modlitwie oddawał się Bartłomiej bardzo gorliwie i jej zawsze poświęcał całą pierwszą ranną godzinę. Codziennie bywał na dwóch mszach św. Najmilej czuł się w kościele Najświętszej Marji Panny Zwycięskiej, gdzie w najciemniejszym kącie w skupieniu obcował z Panem Bogiem. W trudnych kolejach życia pokładał całą ufność w modlitwie i był tak mocno przekonany, że ona jest źródłem łaski i cnót wszelkich, że każdemu wśród przeciwności najpierw doradzał modlitwę: „Gdym udał się do niego o radę, opowiadał Donabaur, w sprawie wstąpienia mego do klasztoru, zalecił mi przedewszystkiem, abym przez ustawiczną modlitwę wyprosił sobie światło niebieskie. Módl się, zwykł był upominać, szturmuj do Boga za pośrednictwem modlitwy. Wszystko otrzymuje się przez modlitwę”. W czasach uniwersyteckich Bartłomiej musiał znosić wiele materialnych braków, ale nie uskarżał się na to, dodając sobie jeszcze różnego rodzaju umartwienia, jak: sypiał krócej, pod ubraniem nosił pas pokutny, nie używał nigdy poza czasem i ponad niezbędną miarę więcej jedzenia i picia; mówił mało, a zawsze tylko tyle, ile wymagała konieczność, unikał zbyt głośnego śmiechu, a czy siedł, czy stał, czy siedział, przestrzegał zawsze przyzwoitej pozycji. Czystość serca—najpiękniejszą ozdobę młodości—musiał on okupić ciężkimi walkami. Obok głównych w tej walce środków, mianowicie: modlitwy, czuwania nad zmysłami i umartwienia, stosował bezwzględne i natychmiastowe odrzucanie pokus. Wiedział bowiem dobrze, że podszepty kusiciela mają nad nami moc o tyle,

o ile im ulegamy. Przytem niejednokrotnie doświadczył, że szczere i pokorne wyznanie przed spowiednikiem wewnętrznych ciężkich przeżyć zazwyczaj momentalnie odpędza te pokusy, których nie mógł zwalczyć ani modlitwą, ani umartwieniem, ani innemi środkami.

W czasie pierwszych trzech lat Bartłomiej studjował w Ingolstadzie filozofję i otrzymał tam do ktorat z odznaczeniem, cztery następne lata poświęcił teologii. Profesorowie i współtowarzysze podziwiali postępy, jakie robił w tych naukach. Wszyscy rozumieli, że Najwyższy Nauczyciel pomaga mu pojąć prawdy więcej, niż podają to książki. Po skończonych studjach, Bartłomiej czuł się dostatecznie przygotowanym do kapłaństwa, któremu później poświęcił swe życie.

Gdy w 1639 r. otrzymał z rąk biskupa z Eichstätt święcenia kapłańskie, wychowawcy i profesorowie jednomyślnie wydali o nim sąd, że będzie prawdziwym apostołem. Po owocnej dwuletniej pracy w Tittmoning i trzynastu latach proboszczowania i piastowania urzędu dziekana u św. Jana w Tyrolu, został w 1655 roku proboszczem w Bingen nad Renem. Z założonego przezeń i bardzo rozwiniętego stowarzyszenia świeckich kapłanów wyszła wielka liczba znakomych mężów Bożych, którzy w tych smutnych czasach pracowali nad podniesieniem katolickiego życia. Karolowi II, królowi angielskiemu, który w roku 1655 w czasie ucieczki przybył do Rheingau, Bartłomiej opowiedział wiele z tego, co mu Bóg objawił o Anglii i upomniął króla, aby, gdy ponownie obejmie tron angielski, położył koniec prześladowaniu katolików. 20 maja 1658 roku umarł Holzhauszer w Bingen śmiercią sprawiedliwych.

ALFONS MARJA LIGUORI.

1696 — 1787.

W brewe, które wydał papież Pius IX, przyznając św. Alfonsowi tytuł Doktora Kościoła, czytamy te słowa: „Alfons napisał bardzo wiele książek, tchnących głęboką nauką i duchem świętości. Wskazują one teologom pewną drogę do kierownictwa dusz, dają im jasne wskazówki, jak udowodnić prawdziwość katolickiej religii, jak ją strzec od wszelkiego rodzaju błędów, jak bronić praw Stolicy świętej i jak budzić pobożność w sercach wiernych.

Chcemy przeto, żeby jego pisma były używane na równi z pismami innych doktorów Kościoła nie tylko przy prywatnych studjach, ale i przy nauczaniu w gimnazjach, akademjach, szkołach, kolegiach, jak również przy wszystkich studjach teologicznych i przy chrześcijańskich ćwiczeniach duchownych”.

Alfons pochodził ze znakomitej, neapolitańskiej, szlacheckiej rodziny. Urodził się 27 września 1696 r. w Maria-nella, majątku ziemskim pod Neapolem, należącym do jego rodziców. Ojciec, kapitan neapolitańskich galer, był wzorem szlachcica o chrześcijańskich zasadach, miał szczególne nabożeństwo do męki i śmierci Zbawiciela, odznaczał się prawdziwą, gruntowną pobożnością, czego dowodzi fakt, że czuł potrzebę od czasu do czasu odprawienia duchownych ćwiczeń. Matka żyła tylko dla Boga i swoich dzieci. Codziennie odmawiała godzinki do Najświętszej Panny

i starała się w życiu stosować to, co postanowiła podczas rannej medytacji.

W dziewięćdziesiątym roku życia jeszcze skrupulatnie zachowywała ona kościelne posty. Nic dziwnego, że wszystkie dzieci takich rodziców wychowywały się po bożemu. Trzech synów i dwie córki Liguorów poświęcili się na wyłączną służbę Bogu, największą zaś świętobliwością celował między nimi najstarszy Alfons. Gdy on był jeszcze w kolebce, przyszedł pewnego dnia do domu Liguorych Święty Franciszek de Hieronimo, wziął go na ręce i rzekł: „Dziecię to dożyje późnego wieku, nie umrze przed dziewięćdziesiątym rokiem życia, będzie biskupem, dokona wielkich rzeczy dla chwały Chrystusa”. Słowa te spełniły się literalnie.

W dziewiątym roku życia Alfons został przyjęty do kongregacji Marjańskiej dla dzieci szlacheckich, którą kierowali Oratorjanie. Jego pobożność, jego regularny udział w nabożeństwach sodalicyjnych, jego skupienie w czasie ćwiczeń pobożnych, połączone z pilną uwagą, z jaką słuchał nauk, wkrótce uczyniły go wzorem dla wszystkich sodalisów i przedmiotem podziwu przełożonych. Gdy go spotkało szczęście przyjęcia pierwszej Komunii świętej, podwoił swą gorliwość w pobożności. Zawsze ze skupieniem słuchał mszy świętej, budująco przyjmował Komunię świętą i czynił po niej gorące dziękczynienie. Matka wcześniej uczyła go rozmyślenia tak, że już od pierwszej młodości Alfons podczas medytacji głęboko wnikał w tajemnice wiary i robił szybkie postępy na drodze cnoty i doskonałości.

Jedno wydarzenie niech świadczy o mocy charakteru, która zdawała się przerastać jego wiek chłopięcy. Pewnego razu Oratorjanie szli ze swymi sodalisami na spacer poza miasto. Gdy przyszli na miejsce zabaw, koledzy zaprosili Alfonsa, by z nimi wziął udział w pewnej

grze. Najpierw odmówił on swego uczestnictwa, tłumacząc się, że tej gry nie zna dobrze, w końcu jednak ustąpił na leganiom. Przypadek zrządził, że wygrał 30 partyj jedna po drugiej. Wskutek tego jeden z uczestników gry tak się rozgniewał na niego, że mu zrobił ostry zarzut i użył przytem niewłaściwego wyrazu. Twarz młodego Liguorego pokryła się świętym rumieńcem. „Jakto, zawołał do przeciwnika, o tak małą rzecz obrażasz Pana Boga? Oto masz zpowrotem swoje pieniądze”. Przy tych słowach oddał kilka sztuk wygranej monety, cofnął się na odosobnione miejsce ogrodu i ze smutku nie pokazywał się więcej przez całe popołudnie.

Gdy wieczorem zbierali się uczniowie do powrotu, a Alfonsa jeszcze nie było między nimi, rozbiegli się koledzy po ogrodzie, by go wyszukać. Wreszcie znaleziono go klęczącego przed obrazem Najświętszej Panny, zatopionego w głębokiem rozmyślaniu tak, że nie zauważył nawet zbliżających się kolegów. Gdy wreszcie spostrzegł niepokój towarzyszków, uczuł się zmieszany tem, że go znaleźli w takim stanie i że był powodem ich zakłopotania, a nawet niepokoju. Tamten zaś chłopiec, który przez swoją niegrzeczność był przyczyną tej sceny, skruszony zawołał serdecznie: „Com ja zrobił? Obraziłem świętego!”

Takie były pierwsze owoce dobrego wychowania, które Alfonsowi dała dobra matka. Aż do zmierzchłej starości czuł on dla niej synowską wdzięczność i często mawiał: „Jeżeli w swem dzieciństwie co dobrego zrobiłem, jeżeli wtedy nie popełniłem żadnego grzechu, zawdzięczam to jedynie trosce matki”.

Pierwszą naukę pobierał Alfons prywatnie od wyśmienitych nauczycieli, których dobierali mu rodzice. Łacinę, grekę, matematykę i inne gimnazjalne przedmioty opłacał w krótkim czasie, a nadto posiadał dużo wiadomości z zakresu poezji, muzyki, malarstwa i architektury.

W ten sposób już w młodocianym wieku doszedł do głębokiej nauki.

Ponieważ ojciec doradzał mu objęcie w przyszłości stanowiska w państwowej służbie, przeto Alfons studiował prawo, które skończył już w szesnastym roku życia ze stopniem doktora. Według ówczesnego zwyczaju przy obronie tez doktorskich musiał on ubrać się w jeden z płaszców, przygotowanych dla broniących własnej rozprawy. Wtedy okazało się, że płaszcz dla niego był zbyt długi (Alfons fizycznie rozwijał się powoli). Później Święty żartował sobie często z tego wypadku, mówiąc: „Włożono na mnie tak długi płaszcz, że mi się plątał pod nogami, co serdecznie ubawiło obecnych”.

Przez następne trzy lata Alfons badał z wielką uwagą sprawy, które przechodziły przez najwyższy trybunał, by wkrótce samemu wystąpić w charakterze samodzielnego adwokata. Gdy nadeszła ta chwila, zaraz zwrócili się doń liczni klienci, którzy powierzali mu najważniejsze sprawy. Ze wszystkich tych procesów przegrał Alfons, jak stwierdzono, tylko jeden ostatni, i ten wywarł decydujący wpływ na całe jego dalsze życie. Po tym wypadku Alfons niezłomnie postanowił nigdy nie podejmować się takiej obrony, któraby wydawała mu się niepewną, a przytem niczego nie zaniechać, by zapewnić klientowi wygraną.

W wieku, kiedy jego rówieśnicy byli jeszcze na studiach, Alfons należał już do poważnych adwokatów królestwa neapolitańskiego. To powodzenie w adwokaturze i wpływy rodziny, która wśród swoich członków liczyła wielu senatorów, wróżyły mu świetną przyszłość. Mimo ogromnej praktyki sądowej, nie zapomniał on nigdy o potrzebie doskonalenia własnej duszy. Do swych poprzednich cnót, w których się ćwiczył stale, dodał jeszcze w tym czasie odwiedzanie szpitali. Ten wysoce wykształcony

młodzieniec, ze znakomitej pochodzący rodziny, nie powstrzymywał się od wykonywania najniższych usług najbiedniejszym chorym: poprawiał im łóżka, karmił ich i pocieszał z najczulszą miłością. Wymowne kazanie, jak można nazwać jego sposób postępowania, nie pozostawało bez skutku.

Alfons miał służącego młodego poganina Negra. Ten tak, razu pewnego, powiedział do siebie: „Nie mogłem nawet pomyśleć, aby nie była prawdziwą religią, która tak cudnie kieruje obyczajami i postępowaniem mojego pana”, postanowił przeto uczyć się zasad katolickiej wiary i prosił o chrzest święty, który niezwłocznie przyjął, gdy zachorował ciężko. Gdy zaś postanowiono zostawić go na jakiś czas w spokoju, „nie, zawołał, niema teraz czasu na spokój, bo ja muszę zaraz pójść do nieba”. Istotnie, nowo ochrzczony umarł w pół godziny z błogim uśmiechem na ustach.

Alfons w latach swej młodości doskonale poznał świat, później przeto tem owocniej pracował nad jego naprawą. „Wierzcie mi, mawiał, wszystko na świecie jest głupstwem: wspaniale obchodzone rocznice, teatry, towarzystwa, przyjemności, to wszystko, co świat nazywa uciechą; wszędzie tam jest pełno cierni i goryczy, wierzajcie mi, bo mówię to z własnego doświadczenia”.

Ojcu Alfonsa pochlebiała nadzieja, że jego pierwotny zajmie niedługo wybitne stanowisko w państwie. Najznakomitsze rodziny ubiegały się i współzawodniczyły w wyszczególnianiu młodzieńca, chcąc go pozyskać dla siebie jako zięcia. Życie pchało i ciągnęło młodego człowieka do świeckiego towarzystwa i w wir ziemskich uciech. Festyny, wieczorki towarzyskie, uczęszczanie do teatru, przesadne pochwały, pochlebstwa, wszystko to się razem złączyło, by go usidlać. Alfons nie w zupełności unikał tych rzeczy. Chociaż go świat nie wplątał w swe

sieci, jednak w sercu jego zaczęła potrochu chłódnać miłość Boga tak, że bezwątpienia, gdyby tak dalej poszło, gdyby go nie powstrzymała łaska Boża, mógłby zejść z drogi, prowadzącej do ostatecznego celu.

W tych niebezpiecznych chwilach zaprosił go jeden z przyjaciół na wspólne ćwiczenia duchowne do klasztoru Lazarystów. Tu, obcując sam na sam z Bogiem, poznał niebezpieczeństwa, na które był wystawiony, obrzydził sobie przemijające rozkosze, w których miał dotąd pewne upodobanie i postanowił pożegnać świat na zawsze, wyrzec się wszelkich doczesnych uciech i bez zastrzeżeń poświęcić się służbie Bożej. Odtąd każdego dnia kilka godzin rozmyślał u stóp tabernakulum i corocznie w ćwiczeniach duchownych na nowo wzmacniał swe postanowienie. Wtedy zdecydował rzec się na korzyść brata Herkulesa praw pierworodztwa, na wizytach rzadko się udzielał, jedynie na życzenie ojca, który jeszcze nie wiedział o istotnych zamiarach syna i myślał ożenić go z córką księcia Presenzano.

Nie zapytawszy go, ojciec sam z księciem przeprowadził pierwsze układy. Żeby nie zrażać narazie ojca, zaczął uczęszczać do domu księcia, ale zamiast ubiegać się o względy córki, tak się trzymał powściągliwie, że się ta na niego obrażała. Gdy ojciec robił nacisk w tym kierunku, Alfons znalazł się w trudnem położeniu. Wtedy sama Opatrzność przysłała mu z pomocą. Alfons prowadził pewną sprawę, za którą umówił się ze swoim klientem dwa miliony ówczesnej monety. Gdy w ciągu tygodnia przejrzał akta, nie wątpił ani na chwilę, że wygra. Ze zwykłym mistrzostwem bronił jej w dniu rozprawy, i sąd zamierzał już zawyrokować stosownie do jego wniosku. Ale obrońca przeciwnej strony dowiódł, że Alfons zupełnie błędnie tłumaczy jeden z dokumentów. Po nowem zbadaniu tego dokumentu zdetonowany Alfons odpowiedział: „Pan masz

rację, popełniłem omyłkę". Liguori tę właśnie pierwszą przegrał sprawę i uczuł się zawstydzony głęboko.

Mimo wszelkich prób, podjętych dla jego uspokojenia, zdjął zaraz odznaki adwokackie i, odchodząc, rzekł: „O świecie, teraz cię poznałem. Trybunale, już mię więcej nie zobaczysz!”.

W domu zamknął się w swoim pokoju, prawie przez trzy dni nic nie jadł i nie otwierał drzwi swego mieszkania, mimo usilnego dobijania się do niego. Dopiero na trzeci dzień poruszyły go łzy matki i przyszedł do stołu.

Wprawdzie poznał wkrótce, że zbyt oddał się bólowi, lecz pozostał przy swoim postanowieniu i porzucił karierę adwokata. Rozstał się z klientami, zaczął prowadzić życie prawie pustelnicze we własnym domu, czas swój trawił na modlitwie i czytaniu żywotów świętych, i nie wychodził z mieszkania chyba, że dla odwiedzenia kościoła lub szpitala.

Lecz w którą stronę skierować teraz swe kroki? Długo wahał się, przechylając się na tę lub inną stronę. Ojciec dokładał wszelkich starań, aby go ponownie zwrócić do poprzedniego zajęcia, ale Alfons stanowczo był przeciwny temu, chciał się na przyszłość oddać jedynie trosce o wieczne zbawienie, a gdy mu zaproponował, by razem poszli na uroczystość urodzin królewskich na zamek, Alfons odrzekł: „Cóż ja tam będę robił? przecież tam wszystko tak próżne”. Gdy znów pewnego razu pielęgnował chorych w szpitalu, nagle otrzymał od Boga natchnienie i usłyszał głos w duszy: „Opuść ten świat i oddaj mi się całkowicie”. Nie opierając się ani na chwilę temu wezwaniu, głęboko poruszony, odpowiedział: „Otom Panie, czyn ze mną, co Ci się podoba!” Wieczorem tego pamiętnego dnia poszedł do swego ojca duchownego, by się z nim naradzić. Ten go ostrzegł przed zbyt nimbem pośpiechem, zasadniczo wszakże pochwalił posta-

nowienie wstąpienia do Oratorjanów, na co jednak trzeba było uzyskać zgodę ojca.

Teraz Alfons musiał przejść ciężką walkę, bo ojciec nie chciał absolutnie o tem słyszeć. Gdy usłyszał o tym zamiarze po raz pierwszy, zawołał: „Proszę Boga, aby jeden z nas umarł, bym więcej nie patrzył na ciebie”. Prośby wielu ludzi i duchownych i świeckich nie zdołały wpłynąć na młodzieńca, aby zaniechał swego planu. Alfons stanowczo trzymał się swego słowa. „Bóg tak chce, że-bym żył nie w świecie, lecz w stanie duchownym; muszę się przeto poddać raczej woli Bożej, niż zamiarom ojca”.

Na skutek pośrednictwa biskupa Cavalieri, który był jego wujem, ojciec wkońcu, acz niechętnie, wyraził swą zgodę, jednak pod warunkiem, aby Alfons nie wstępował do Kongregacji Oratorjanów, lecz do innego zakonu. W ten sposób sprzeciw ojca, choć bezwiednie, przeprowadził plany Boskiej Opatrzności, która chciała, żeby święty założył nowy zakon.

Alfons z radością zrzekł się prawa pierworodztwa na korzyść starszego brata Herkulesa, żeby się przygotować do święceń. Kapłaństwo przyjął 21 grudnia 1726 r. w trzydziestym roku życia.

Od tego czasu coraz bardziej wznagała się w nim gorliwość o zbawienie dusz ludzkich. Szczególniej zbawienny wpływ wywierał Alfons na mężczyzn, którzy wprost cisnęli się do słynnego niegdyś adwokata, a dziś pokornego kapłana. W przeświadczeniu, że mieszkańcy wiosek duchowo obsłużeni są bardzo niedostatecznie, Alfons postanowił założyć dla ludności wiejskiej specjalne zgromadzenie.

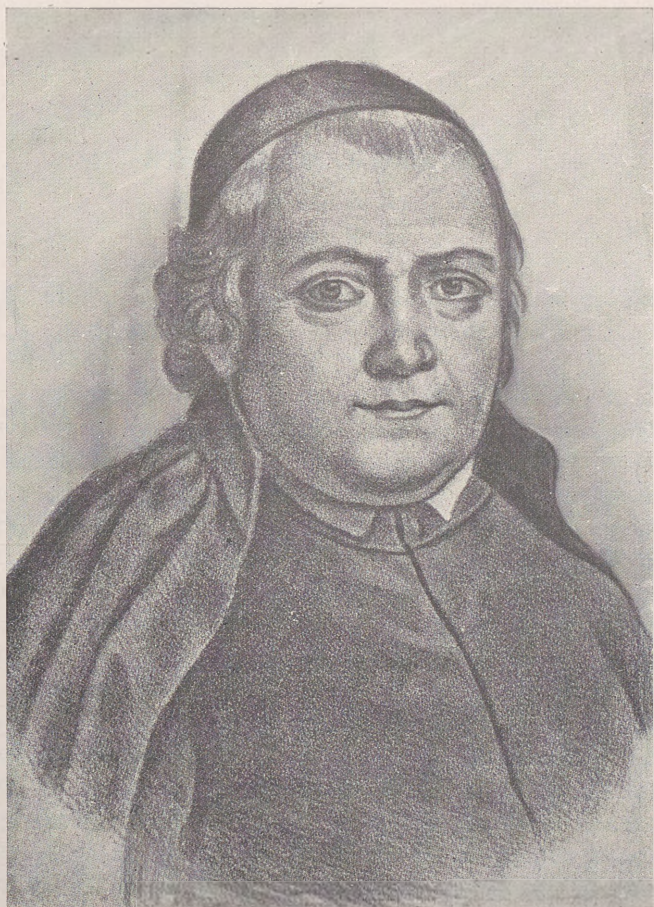
Papież Benedykt XIV zatwierdził w r. 1749 zakon Redemptorystów i nazaczył Alfonsa dożywotnim jego generałem. W r. 1762 zamianował go papież Klemens XIII wbrew jego intencjom biskupem św. Agaty w królestwie

neapolitańskim. Gdy po latach kilku fizyczne cierpienia rzuciły świętego na łożę boleści, prosił on papieża, aby go zwolnił od zarządu diecezji. Na to otrzymał taką odpowiedź: „Wystarczy, aby Monsignor Liguori rządził z łóżka diecezją. Jedna modlitwa, którą z łóżka zanosz do Boga, więcej jest warta, niż sto wizytacji”.

Dopiero Pius VI pozwolił mu w roku 1775 poświęcić się wyłącznie zakonowi.

O niezwyklej pracowitości i nauce Świętego doskonałe świadectwo daje ta okoliczność, że wzbogacił on teologicznymi dziełami (około 40 tomów) literaturę kościelną, mimo ciężaru, który dźwigał w tak trudnych czasach jako założyciel i generał zakonu Redemptorystów i jako biskup św. Agaty.

1-go sierpnia 1787 roku umarł Alfons w południe, kiedy dzwonili na Anioł Pański.



KS. STANISŁAW KONARSKI.

STANISŁAW KONARSKI

Sapere Auso.

1700 — 1773.

Autor „Pochwał”, przytoczonych poniżej w źródłach, podaje takie szczegóły, dotyczące rodziny Konarskiego:

„Wincenty Jaxyc, hrabia i dziedzic Bochni, za czasów Bolesława Krzywoustego, pierwszy się pisać począł z Ruszczy i Brzeźnicy. Pod panowaniem Władysława Jagiellończyka, gdy w dom ten weszły dobra Wielkie Konary, pierwszy ich dziedzic wziął od nich imię Konarski”.

Hieronim Konarski, który w zakonie przybrał imię Stanisława, urodził się w 1700 roku w Zarzycach, parafji Złotniki, powiatu Chęcińskiego, w województwie Krakowskiem, z ojca Jerzego, kasztelana zawichostskiego, szczerzego katolika. W młodym wieku Hieronim, utraciwszy rodziców, oddany był pod opiekę swemu wujowi Antoniemu Czermińskiemu, kasztelanowi zawichostskiemu. „Pochwały” wymieniają trzech jego braci: Antoniego i Ignacego, którzy zostali Pijarami i Stefana, kasztelana sandomierskiego, a także 2-e siostry: starsza zakonnica franciszkanka w Chęcinach, młodsza Joanna, małżonka Odrowąża Kietlińskiego, sędziego radomskiego. Według zaś Konopczyńskiego Hieronim miał 7-u braci i 2 siostry. *)

*) Obydwa zdania mogą być prawdziwe. Jeden autor może podawać rodzeństwo, które w tej chwili, kiedy to pisał, żyło, drugi — żyjące i zmarłe.

W 15 roku życia po ukończeniu nauk w szkołach pijarskich w Piotrkowie, idąc za śladem dwóch swych braci starszych (Hieronim był najmłodszym w rodzinie), wstąpił do zgromadzenia księży Pijarów, założonego przez Hiszpana św. Józefa Kalasantego 6 marca 1617 r. pod nazwą Zgromadzenia Paulińskiego Matki Bożej Szkół Pobożnych — Scholarum piarum. Suknię zakonną przyjął 10 sierpnia 1715 r. w Piotrkowie, nowicjat zaś odbył w Podoleńcu na Spizu.

Chociaż Konarski żył w czasach, od nas niezbyt oddalonych, chociaż żył w organizacji zakonnej, szanującej swą przeszłość i dorobek kulturalny swych członków, chociaż liczne są życiorysy i opisy działalności Stanisława, jednak o jego latach młodzieńczych nie mamy zbyt dużo szczegółów. W monografii Konopczyńskiego jest wzmianka, że, jakkolwiek zapiski z czasów nowicjackich Konarskiego w Podoleńcu prostują wiele błędnych danych, podawanych gdzieindziej, jednak nie wyjaśniają rzeczy najważniejszej z jego lat młodzieńczych: co go interesowało, czym żył, o czym marzył w tym okresie, kiedy dusza ludzka rozchyła się jak kwiat na spotkanie promieni słonecznych, odkrywa swoje wewnętrzne bogactwo, przeczuwa i formuje pełnię swego życia, przeżywa siły, z dnia na dzień bujniejsze.

Zaraz w nowicjacie Stanisław wykazał swe zdolności, pilność i subtelność umysłu, a także łatwość słowa. To też w 21 roku życia już jest nauczycielem w Podoleńcu, a następnie w Warszawie.

Lecz młody ten Pijar nie budował swej przyszłości jedynie na darach umysłu, wśród których uwydatniał się w nim niezwykle krytycyzm.

Jeżeli został wielkim człowiekiem, zawdzięcza to nie tylko swoim zdolnościom, lecz szczerze i głębokiej religijności, a także jasności i logiczności w przedstawieniu naj-

trudniejszych problemów życiowych, wreszcie niezwyklej pracowitości i hartowi woli. Już w Piotrkowie, gdzie się uczył od 1706 r., gdy koledzy w zabawach swych przekraczali właściwe granice i oddając się swawoli, wyprawiali burdy między sobą, on gdzieś w odosobnieniu zagłębiał się w Cyceronie i Horacym. Z dokładnej zaś analizy jego pierwszych druków widać, że w cichych murach biblioteki klasztornej poznał Arystotelesa i Platona i wchłaniał w siebie klasyków: Wirgiljusza, Owidjusza i innych, czytał Kadłubka, Długosza, Kromera, Łaskiego, a wszystko to czynił z wyraźną cechą własnej indywidualności, z umiejętnym wyławianiem głębszych myśli, nie poddając się wyłącznemu wpływowi tego, co dotąd w tym zakresie orzekała nauka.

Ta mozolna praca stwierdza starą prawdę, że nawet tak płodny w swych pracach pisarskich, tak prawdziwie wielki reformator narodu, by stać się pożytecznym, musiał się do tego przygotować i rozwinąć swe siły osobistym wysiłkiem w latach młodości, które są okresem przygotowawczym do życia i posiewem przyszłości.

Zanim Konarski zaczął pisać wiersze, zanim nabrał odwagi do wykazywania narodowi jego błędów prywatnego i publicznego życia, zanim oświatę i wychowanie młodego pokolenia na nowe zaczął wprowadzać tory, sam się wpierw uczył, kształcił, a nadewszystko w młodzięcym okresie życia własną karmił duszę ideałami, które czerpał w bujnie rozwiniętym kwiecie zasad chrześcijańskich, stosowanych w praktyce zakonnej. Wielkich spraw mogą dokonać tylko wielkie i pracowite dusze, a tem trwalsze będą owoce ich działalności, o ile ją opierają na niezmiennych zasadach Chrystusowej nauki i kryształowych pobudkach, z niej płynących. Tą drogą szedł Konarski i doszedł do szczytów w dziejach naszego narodu, na które spogląda ze czcią dzisiejsze pokolenie

i spoglądać będą następne z tym samym podziwem, bo takich podwalin narodowego życia, jakie on stworzył, nie niszczą wieki.

W 25 roku Konarski jedzie na wyższe studia do Rzymu i tam kształci się w kolegium Nazareńskim *), a gdy skończył ten naukowy zakład, dwa lata wykłada wymowy w uczelniach pijarskich Wiecznego Miasta. Nie zasklepia się jednak w tem, co zdobył dotąd. W czasie pobytu swego w Rzymie zwiedza tamtejsze szkoły, wtajemnicza się w ich system nauczania i wychowania. To samo następnie czyni w Paryżu i w innych miastach za granicą kraju, gdzie przebywa przez lat pięć. W 1730 r. powraca do Polski. Tu wraz z innymi przygotowuje nauczycieli dla szkół pijarskich, wprowadzając do nich po woli to, co uważał za najlepsze, a co w zagranicznych szkołach już było stosowane od pewnego czasu.

Ludzie, którzy się zrośli z dawnym porządkiem rzeczy, niechętnie patrzyli na te innowacje, ale Konarski wytrwale szedł naprzód. Z działalnością pedagogiczną łączył jednocześnie pracę literacką. W sześciu tomach zebrał prawa krajowe, wydane na różnych sejmach, a w 1733 r. pisze dwie broszury, któremi chciał zniewolić umysły całej Polski dla nowoobranego króla Leszczyńskiego. Tą pracą z dziedziny prawodawstwa zwrócił na siebie

*) Kolegium to było chlubą Pijarów, wysoko stało pod względem naukowym, zwłaszcza w tym czasie, w którym wstępował doń Konarski. Program i metody nauczania stosowano tu do najlepszych wzorów Europy. Uczyły tam najlepsze siły pedagogiczne pijarskie, wyłowione z całego świata. Powagą ducha, czerpaną z klasyków, łączono z radością życia, i to wówczas nazywano wdziękiem. Zakład ten był znany i słynny na cały świat z swego środowiska, z urządzeń pedagogicznych, które widoczne były na każdym kroku.

uwagę szerszych kół ówczesnego społeczeństwa. To też obożny koronny Jerzy Ożarowski, udający się w charakterze posła Rzeczypospolitej na dwór Wersalski, proponował Konarskiemu, aby jechał z nim do współpracy na tej dyplomatycznej placówce. Za zgodą przełożonych ks. Stanisław udał się do Paryża, gdzie znów w wolnych chwilach zwiedzał szkoły, a nie tylko tam, ale wyjeżdżał z nad Sekwany do Włoch, do Niemiec, do Holandji, by się przypatrzeć wszędzie systemom naukowym i wychowawczym u bardziej kulturalnych narodów. Pobudką do tych podróży była dlań myśl podniesienia oświaty w kraju. To też, gdy opuścił poselstwo w Paryżu i wrócił do kraju starał się przeszczepić na grunt ojczysty zdobytą zagranicą wiedzę, którą dobrze przetrawił w swym umyśle. Henryk Wernic tak mówi o ówczesnym stanie naszej oświaty: „Widzieli smutny stan kraju ludzie przecież rozumni jak Starowolski, Opaliński, Leszczyński i inni, lecz przyczyny prawdziwej odkryć nie zdołali. Zbadanie prawdziwego źródła zła w samym jego początku pozostawione było młodemu kapłanowi Stanisławowi Konarskiemu, którego gdyby Opatrzność zesłała 50 lat wcześniej, innemi zapewne tory potoczyłyby się losy naszego kraju”.

Przyszły reformator oświaty i wychowania w Polsce doskonale znał ówczesne stosunki krajowe i wiedział, że od moralnej i umysłowej wartości arystokracji zależała przyszłość kraju, dlatego pragnął i usiłował ująć w ramki wychowania narodowego młodzież tej przedewszystkiem sfery, uwzględniając przytem w tym kierunku postęp, któremu przypatrywał się poza granicami kraju. W tym celu postanawia stworzyć tak zwany konwikt szlachecki (*collegium nobilium*). Była to czteroklasowa szkoła z dwuletnim kursem wyższym, a przy niej pensjonat. (Inni twierdzą, że nauka trwała tu przez 7 lat). Uczniów przychodnich nie przyjmowano.

W 1743 roku położył kamień węgielny pod tę uczelnię *) przy ulicy Miodowej. Budynek ten był pierwszym gmachem szkolnym w Polsce, zbudowanym według wymagań ówczesnych.

Oprócz konwiktu warszawskiego staraniom Konarskiego można przypisać dwa inne: we Lwowie i w Wilnie dla ubogiej szlachty.

Jednocześnie Konarski opracował książkę „O poprawie błędów wymowy”, która narobiła dużo wrzawy, wywołała dużo krytyki, a nawet narazie dużo kwasów i niechęci. Słuszność jednak, którą miał Autor i rzeczowa a sprawiedliwa krytyka tego, co było złe w żywym słowie polskim uspokoiły umysły i zjednały mu nowy tytuł do powszechnej czci wśród ziomków. Trzeba dodać, że Konarski, chłoscząc innych, przedewszystkiem nie żałował siebie, nie robił wyjątku dla pierwszych prac swoich, których wykazywał błędy językowe, widząc tam „tuzin głupstw”.

Gdy wzrastały szacunek i uznanie dla tego niezwykłego męża, najznakomitsze rody przestały wysyłać swych synów na naukę zagranicę lub sprowadzać im nauczycieli cudzoziemców, chętnie oddawały ich pod kierunek Konarskiego, bo widziały, że nietylko on sam nie zasklepiał się w dziedzinie starych poglądów naukowo-wychowawczych, ale dobierał do szkoły tylko takich nauczycieli z pośród członków swego zakonnego zgromadzenia, którzy poza nauką, zdobytą w kraju, kształcili się i w obcych uczelniach, szukając wszędzie najlepszych metod nauczania i wychowania. Ten dobór szkolnego personelu pod kierunkiem tak znakomitego męża postawił szkołę na wysokości jej zadania. Z jego inicjatywy pomyślano o dobrych szkolnych podręcznikach, o odpowiednim regulami-

*) Collegium nobilium zamknięte zostało w 1832 roku.

nie codziennego życia dla konwiktów. W czasie swej pedagogicznej działalności Konarski wychował trzystu kilkudziesięciu młodzieńców. Z tej liczby stu zasiadało w Wielkim Sejmie Czteroletnim do pracy nad wiekopomną Konstytucją 3-maja.

Konarski wymagał od swoich pupilów całego szeregu cnót wewnętrznych i zewnętrznych, których koroną ma być miłość Boga i Ojczyzny. Na poczucie osobistej godności w wychowankach bardzo zwracał uwagę. Był przeciwny karom cielesnym, chyba za upór, zuchwałość i krnąbrność względem starszych.

Ażeby nadać nowy kierunek całemu szkolnictwu w Polsce, zajął się potrzebną zmianą w prawach, czyli w ustawach, któremi rządziło się zgromadzenie Pijarów, mające za główny cel prowadzenie szkół w myśl swego Zakonodawcy dla najuboższej ludności. Pracę swoich współpracowników oceniał Konarski również trzeźwo widział w niej tak, jak i gdzieindziej wielkie braki zwłaszcza w dziedzinie wychowania. Chodziło mu więc aby Pijarzy poza ascetyczną stroną własnego życia, wzmocnili swe siły umysłowe dla dobra młodego pokolenia.

Pisząc nowe ustawy dla swej braci zakonnej, Konarski przewidział na lat dwadzieścia przed swym zgonem, że „powstanie z czasem urząd, właściwą władzą zarządzony i wynajdzie lepszy sposób uczenia”, o wiele lepszy i użyteczniejszy niż ten, który on zalecał Pijarom. Urząd ten powstał w 2 miesiące po jego śmierci pod nazwą Komisji Edukacji Narodowej, której twórcą historycy nazywają Konarskiego, dodając, że obok innych mężów on zajmuje jedno z naczelných miejsc w narodzie, kładąc przez reformę wychowania podwaliny pod wiekopomną Konstytucję 1791 r. Pamiętać przytem należy, że żył on w najciemniejszej dobie saskiej, co bardziej jeszcze podnosi jego zasługę. „Konarski, jak się wyraża Józef

Kallenbach w ocenie Historji Literatury polskiej Stanisława Dobrzyckiego, miał ponure tło swej działalności: barłóg czasów saskich. Stąd zasługi jego są tem większe w dziejach narodu, chylącego się do upadku.

Gdy już się cieszył powszechnem, ale zasłużonem uznaniem, gdy wpływ jego wychowania zaczął przenikać do duszy narodu, gdy rosła liczba jego wychowanców, wtedy dopiero przyłożył siekierę do korzenia, z którego wyrastała może jedna z najgłówniejszych przyczyn nieszczęścia życia politycznego i narodowego. Miał mianowicie na oku nieszczęsne liberum veto, które rozwieliło się od czasów Jana Kazimierza. Na mocy tego prawa wystarczył sprzeciw jednego głosu wśród sejmujących, aby nie dopuścić do jakiegokolwiek uchwały. Na tę wielką i groźną chorobę, która może najbardziej zatruwała organizm naszego narodu, szuka Konarski lekarstwa i pisze w tym celu znakomite dzieło pod tytułem: „O skutecznym rad sposobie”, w którym wykazuje, że wolność jest absurdem wtedy, gdy głos jednego obradującego „nie pozwalam” (veto), choćby wypowiedziany przeciwko wszystkiemu, inaczej decydującym, obala każdy wniosek. To wywołało przeciw niemu oburzenie wśród obrońców złotej wolności, ale też i niewymowną radość w obozie uczciwych i mądrych ludzi, którzy z tem większem zaufaniem zwracali się odtąd do niego o radę w każdej najtrudniejszej sprawie publicznej.

Sfery rządzące uznały również w Konarskim zalety niezwykłego męża stanu. Za zasługi, które położył dla dobra kraju swemi pismami, zwłaszcza o treści politycznej, swą pracą pedagogiczną, przesunięciem języka i stylu polskiego na rodzime tory, zainicjowaniem Komisji Edukacji Narodowej i inne, Król Stanisław August kazał na jego cześć odbić medal z napisem: *Sapere auso t. j. temu, który ośmielił się być mądrym*”.

Trzeba zaznaczyć, że Konarski, jak pisze Konopczyński, kroczył zawsze własną ścieżką, u której mety widnieje ideał porządnego człowieka i zarazem dobrego obywatela, ideał nie sportretowany z jakiegoś żywego bożyszcza (otoczenie bowiem jego urągało wszelkim ideałom), lecz wysnute z własnych rozmyślań nad dobrem i złem, z głębokich rachunków swego sumienia.

„Porządny człowiek, jak pisze tenże Konopczyński, według Konarskiego nie dla pozoru postępuje dobrze, lecz wewnętrznie spełnia nakaz moralny. Nie honor (tylko), lecz cnota jest jego wskaźnikiem, a cnota ma źródło w religii. Wszakże niedosyć być uczciwym człowiekiem w czterech ścianach prywatnego domostwa; każdy powinien być dobrym obywatelem, nieobojętnym na sprawy publiczne... Od działacza społecznego Konarski wymaga trzymania języka za zębami — cnoty rzadkiej wśród Polaków”.

W rozległej teoretycznej i praktycznej działalności Konarskiemu torowały drogę niezwykle zalety jego charakteru, a również i przyjemny zewnętrzny wygląd. Żadne nie łamały go trudności. Do czynu nie zapalał się nagle, ani też nie stygł po pierwszym odruchu. Co podawał w książkach jako chwalebne, sam to wykonywał w praktyce. W pożyciu z innymi był łatwy, a jednocześnie twardy w zasadach. Do celu, raz wytkniętego, szedł całą siłą swej woli, wszelkie przewyciężając trudności. Umiłowanego przez się powołania nauczycielskiego nie chciał opuszczać za żadną cenę. Trzy razy miał proponowaną godność biskupią, ale zawsze się wymówił od niej.

Umarł w 1773 roku, mając lat 73, a powołania zakonnego 58.

Serce Konarskiego pochowano 13 lutego 1882 roku w kościele księży Pijarów w Krakowie.

Źródła i pomoce:

1. „Pochwała Stanisława Hieronima Konarskiego”. Warszawa 1783 r. w Drukarni I. K. Mci i Rzeczypospolitej, u XX. Pijarów.
2. Antonius Kamiński „Notitia brevis de vita et scriptis Stanislai Konarski”, Varsaviae 1818.
3. „Portrety wsławionych Polaków z opisem ich życia” przez Alex. hr. Chodkiewicza. Warszawa 1820.
4. Henryk Wernic. „Stanisław Konarski. Jego życie i działalność wychowawcza”. Petersburg 1900 r.
5. „Stanisław Konarski”. Przemówienie Józefa Świerzyńskiego. Warszawa 1923 r.
6. „Życiorysy ks. Stanisława Konarskiego i Twórców Komisji Edukacji Narodowej”. Warszawa 1925. Nakładem Ludwika Fiszer.
7. Władysław Konopczyński. „Stanisław Konarski”. Warszawa 1926 r.



MEDAL „SAPERE AUSO.”

JAN MICHAŁ DENIS.

1729 — 1800.

Jan Michał zasłużył sobie na wielkie uznanie, jako bibliograf i bibliotekarz, przytem należy on do największych niemieckich poetów 18 wieku. Studjując Horacego, wyrobił sobie tak piękny styl, jakim nie może poszczycić się nawet Klopstock. Najsławniejsi niemieccy beletryści tego czasu jak Gleim, Bodmer, Ramler, Lavater i Klopstock utrzymywali z nim ciągły kontakt. Pieśni patriotyczne Sinedsa (pseudonim Denisa) tchną według Getego serdecznem uczuciem, patriotyzmem, wstrętem do występku i czcią dla bohaterstwa. Jako poeta religijny był Denis wyższym od Klopstocka. Jego pieśni mszalne: „Przed Majestat Twój rzuceni w prochu chrześcijanie” i inne lud dziś jeszcze w Niemczech śpiewa ze szczególnem upodobaniem. W siedemdziesiątym roku życia zabrał się Denis do napisania autobiografii. O swej młodości mówi tak: „Urodziłem się 23 września 1729 r. w Schärding w Bawarii, miasteczku, należącym do Austrii. Byłem piątym z kolei dzieckiem i miałem jeszcze dwóch młodszych braci. W 1734 roku rodzina moja przeniosła się na zamek Weidenburg, gdzie ojciec był głównym administratorem całego klucza wielkopańskiego. Nad wychowaniem mojem czuwała siostra ojca, bardzo religijna kobieta, która na każde święto urządzała ołtarzyk domowy, a na Boże Narodzenie co rok gustowny żłóbek. W ten sposób bardzo

wcześnie zapoznała mnie z rzeczami świętymi i wpołała we mnie cześć dla nich. Bardzo prędko nauczyłem się czytać, po ojcu odziedziczyłem ogromny pociąg do książek. Pierwszą poważniejszą rzeczą, którą czytałem, były „Legendy i bajki o czworgu dzieciach Hajmona”, „Cesarz Oktawjan” i inne. Starszego swego brata Alojzego bardzo kochałem i zawsze niecierpliwie liczyłem dni powrotu jego ze szkoły na wakacje do domu. Kiedy byliśmy razem, każdego dnia przed pójściem na spoczynek odmówiliśmy wspólnie po łacinie litanję Loretańską. W rodzinie miałem niezwykle wzór troskliwego i wyrozumiałego traktowania dzieci. Za młodzieńcze wybryki byłem karany w ten sposób, że musiałem siedzieć na ziemi i nie wolno mi było podnosić się nawet wtedy, gdy do mieszkania wszedł ktoś obcy. Surowsze kary były zbędne, bom nigdy nie okazywał krnąbrności. Łzy przy moim tkliwym usposobieniu były jedyną moją bronią. Stałem marzeniem mego dzieciństwa były dwie rzeczy. Pierwsza, żeby w dzień św. Mikołaja nasza, zbyt wesoła czeladź, zaniechała zwyczaju przebierania się za tego świętego, który dzwonił łańcuchami i bił we drzwi, co wywoływało we mnie i w braciach zawsze niezwykle przestach. Druga, żeby mi oszczędzono przykrych wrażeń, jakich doznawałem podczas niemądrych opowiadań o czarownicach, o ukazywaniu się duchów, umarłych i t. d. Istotnej wszakże krzywdy nie przyniosły mi te bajki bo wiek dojrzały wykreślił to wszystko z pamięci”.

„W ósmym roku życia zaczął mnie uczyć pierwszych prawideł łaciny pisarz domowy. Byłem tak pilnym uczniem, że gdy kazał mi w przeciągu kilku dni coś przerobić, nie zamknąłem książki, póki nie nauczyłem się odrazu wszystkiego. Ojciec zachęcał mnie również do tej nauki, sam pisał piękną łaciną i często mówił o przyjemności, jakiej się doznaje, czytając łacińskich autorów”.

„W listopadzie 1739 roku wstąpiłem do gimnazjum w Passawie. Miałem tam mieszkanie w cudnem miejscu, nieco wyżej od ujścia rzeki Inn do Dunaju. Płaciłem za pokój i życie za dziesięć miesięcy sześćdziesiąt guldenów. Ojciec sam mnie zaprowadził do nauczyciela wstępnej klasy Jana Hüttnera, u którego dość prędko zyskałem względy, choć był to typ surowego pedagoga, który często używał kija. Kosztowało mnie to nieraz sporo łez. Jednocześnie umiał Hüttner nagradzać wykazaną pilność. Jako pierwszą nagrodę dostawaliśmy złożony klucz, który nosiło się na piersiach na bogatej wstążce. Wszyscy uczniowie ubiegali się zawsze gorliwie o honorowe miejsce w tej szkole. O ile nie miał kto ze sobą wszystkich potrzebnych rzeczy jak: chusteczki, książeczki do nabożeństwa lub różańca, otrzymywał mniej zaszczytne miejsce, choćby pod innym względem dorównywał współkolegom. W końcu roku szkolnego rozdawano nagrody publicznie z wielką okazałością i obnoszono po całym zakładzie wydrukowane nazwiska pierwszych uczniów. Jeszcze teraz myślę o tem z przyjemnością, że w tej liczbie i ja zawsze bywałem. Jakże ważną wydawało się to nam rzeczą!”

Austrjacka wojna o tron zmusiła Denisa do przerwania nauki w Passawie. Od 1740—1743 roku kształcił się dalej w domu pod kierunkiem ojca i starszego brata. Wkrótce zrobił takie postępy, że łatwo czytał Cycerona, a nawet pisał po łacinie listy i układał łacińskie wiersze. Bardzo wtedy pragnął zobaczyć wojnę i żołnierzy. Jednak zbliżenie do wojaków przyniosło mu wielką szkodę. „Zobaczyłem wiele, jak sam wyznaje, a usłyszałem wtedy jeszcze więcej. Byłoby jednak lepiej i pożyteczniej dla mnie, gdybym tych rzeczy nie widział nigdy, ani nie słyszał. Zaliczam to do wyjątkowych dowodów dobroci Bożej, że nie upadłem wtedy zupełnie, że nie straciłem za-

miłowania do cnoty i do nauki i że wróciłem wkrótce na właściwą drogę”.

W listopadzie 1734 roku uczęszczał Jan w dalszym ciągu do gimnazjum, ale z powodu wojny musiał ponownie przerwać naukę. Wtedy czytał w domu mowy Cyserona, pisma Seneki, a szczególnie Horacego, z którego właściwie nauczył się języka łacińskiego. „Nie było, pisał Denis, żadnej treści w utworach Horacego, którejbym sam nie napisał wierszem. Prócz poezji, opiewającej bohaterów ówczesnej wojny, zajmowałem się pieśniami, elegjami, epigramatami i, jak sobie przypominam, musiałem przy wszystkich błędach młodości powiedzieć za Horacym: „*Erat, quod tollere volles*” (nie warte były przechowywania). Zapewne i to wiele na piętnastoletniego młodzieńca, który przeważnie sam musiał się uczyć. Na wiosnę 1745 r. ukończył Denis w Passawie studia lingwistyczne, a w jesieni rozpoczął filozofję. W tym roku zajął się nim ze szczególną troskliwością jeden z profesorów, który po ojcowsku czuwał nad jego kierunkiem życia i obyczajami. „Było to bardzo na czasie, pisał o tem później Denis. Obdarzony wrażliwem bardzo sercem, żywą wyobraźnią, przeszedłem bez szwanku wiek chłopięcy i młodzieńczy. Świadomość wielkiej swobody pochlebiała mi, bo teraz jako student miałem prawo poza szkołą nosić broń, i profesorowie tytułowali mnie „panem”. Kolegów nie zawsze miałem dobrych, więc łatwo mogłem się wykołować, lecz od ostatecznego upadku powstrzymywała mnie zawsze obawa, że któryś z profesorów mógłby się czegoś złego o mnie dowiedzieć i to było dla mnie dostatecznym hamulcem na młodzieńczą swobodę. Dbałem bardzo o swą opinię. Gdy groziły mi ciężkie pokusy, wtedy miałem ratunek w wrodzonej bojaźni, która broniła mnie od zbytńskiego zaufania we własne siły. Poważną rolę w mojem życiu studenckiem odgrywało zamiłowanie, jakie

miałem do nauki, które pomagało mi nieraz do porzucenia niejednej złej okazji. Nie bez wpływu na moje postępowanie był zwyczaj, że za dobre sprawowanie i naukę jako nagrodę uczeń otrzymywał nową, ciekawą książkę. Do codziennej obowiązkowości wdrożyły mnie różne szlachetne myśli i projekty, z jakimi nosiłem się już od dłuższego czasu. Była to chęć poświęcenia się Bogu w zakonie. By uzgodnić dotychczasowy mój sposób życia z tem postanowieniem, odwiedzałem bardzo często kościół. Bywałem głównie u Matki Bożej Wspomożenia (Marja Hilf) na pobliskiej górze”.

„Nie zaniedbywałem w dalszym ciągu filozofji. Wracalem jednak od czasu do czasu i do poezji, oraz uczyłem się trochę języka włoskiego. W drodze powrotnej ze szkoły mieliśmy wtedy zwyczaj dysputowania między sobą. Ktoś wypowiadał sylogizm, który tak rozpalał umysły, że wkrótce zatrzymywano się w jakim kącie i zwykle powstawał taki krzyk, że rektor często musiał usuwać krzykaczy z ulicy. Pewien wieśniak przybył raz do miasta, by odwiedzić uczącego się tu syna i znalazł go właśnie wśród gromady dysputujących i krzyczących na niego kolegów tak, że chłopiec ten znalazł się w ciężkich opałach. Wtedy wieśniak laską pośpieszył z pomocą swemu zaatakowanemu synowi”.

W tym czasie młody Denis zabrał się do poezji Hoffmannswalda, Trillera i Brocka i zaczął na ich sposób pisać, nie uwzględniał wszakże ani gramatyki ani pisowni, bo się ich nigdy nie uczył. O wiele większą wprawę miał w języku łacińskim, dlatego też w nim przemawiał zwykle przy wszelkich uroczystościach.

Ponieważ od samej młodości żył się z myślą zostania zakonikiem, przeto po ukończeniu studjów filozoficznych zastanawiał się poważnie nad tem, do jakiego zakonu ma wstąpić. „Kochałem naukę, pisze później, i wi-

działem, że jej nigdzie nie traktowano tak poważnie w tym czasie, jak u OO. Jezuitów. Słyszałem o tem od wczesnej młodości z ust swego ojca, o czem zresztą sam się przekonałem później, gdy Jezuici byli moimi nauczycielami i gdy bywałem wśród nich bardzo często. Poznałem ich jako ludzi, którym leży na sercu przede wszystkim chwała Boża i dobro dusz ludzkich. W robocie są systematyczni i przezorni, umią wykorzystać każdą chwilę czasu. Dodam nadto, że miałem dla nich zawsze wielki szacunek, bo zajmują się bardzo sumiennie szkołą i kształcą charaktery uczniów. To wszystko przyspieszyło moją decyzję w wyborze stanu. Nie zapomnę nigdy, jaką radość sprawiłem swojej rodzinie postanowieniem wstąpienia do zakonu św. Ignacego. Ojciec ucieszył się, że „syn spełnia wreszcie to, co on sam kiedyś miał na myśli”.

Do zakonu Denis przyjęty został 18 października 1747 r. Nowicjat rozpoczął w 18 roku życia w kolegium św. Anny w Wiedniu. Czas tam spędzony przedstawia sam jako najpiękniejszy okres własnego życia. „Nowicjusz zakonny otworzył nam furtę kolegium św. Anny. Przedstawiłem się Rektorowi domu i Mistrzowi nowicjuszów, który przyjął mnie jak najczulszy ojciec i zaprowadził do grona świeżo przyjętej młodzieży. Było nas wszystkich 39; zebrał się tam sam kwiat młodego pokolenia; wielu pochodziło ze szlacheckich rodzin, a wszyscy odznaczyli się wybitnymi zdolnościami. Byli tam Austriacy, Węgrzy, Kroaci, Dalmatyńcy, Styryjczycy, Karyntczycy, Friulczycy. Wszyscy nietylko wskutek równego wieku, ale i jednej myśli złączyli się z sobą jak synowie jednej matki, jako bracia w Jezusie Chrystusie. Przez trzy doby byliśmy na prawach gości. Potem rozpoczęły się ćwiczenia duchowne. Przez trzy dni rozważaliśmy w milczeniu prawdy wieczne, przedstawiane nam przez Mistrza nowicjuszów według metody św. Ignacego. Przez cały ostatni dzień spowiada-

liśmy się również przed Mistrzem. Po spowiedzi kazano nam się ostrzec. Nie bez pewnego żalu pozbywałem się swej czupryny, którą dotąd pielęgnowałem z wielką troskliwością. Było to jakby ostatnie spojrzenie w przeszłość; odtąd wszystkie myśli należało skierowywać w przyszłość. Gdyśmy następnego dnia wieczorem weszli do sypialni, zauważyłem, że na łóżku każdego z nas leżał habit, na który czekaliśmy z uczuciem świętej radości”.

„Porządek dnia w nowicjacie był tak ułożony, że nie było mowy o nudach. Obok rozważania rzeczy Bożych i modlitw ustnych cały czas był tak wypełniony: słuchaliśmy nauk Mistrza nowicjuszków o ćwiczeniu się w cnocie, o regule zakonnej, czytaliśmy książki duchowne, później trzeba się było zająć drobnymi porządkami w mieszkaniu, w jadalni, w kuchni, ręczną pracą różnego rodzaju, nauką języków. Jadaliśmy przy wspólnym stole wśród miłych rozmów. W pewne dni wysyłano dwuletnich nowicjuszków do kościołów i szkół na przedmieścia, by uczyli małe dzieci początkowych zasad wiary chrześcijańskiej, i aby tą drogą sami poznali metody nauczania”.

„Cztery razy tygodniowo chodziliśmy na przechadzkę, zawsze trójkami. Dopiero za miastem wolno było rozmawiać. Ponieważ pierwszy raz byłem w Wiedniu, przeto z ciekawością przyglądałem się publicznym gmachom i świątyniom. Po przechadzce Mistrz dawał nam pewne wskazówki i robił uwagi, a jeśli zaszła tego potrzeba, nie zaniechał wzmianki o naszych uchybieniach. Nikt nie czuł się dotkniętym, a w późniejszym życiu nie było to dla nas bez znaczenia”.

„Po świątach wielkanocnych poddano nas próbie. Przełożeni chcieli usłyszeć od starszych Ojców zdanie o nas, a my jednocześnie mieliśmy poznać życie w innych domach zakonnych. W tym celu rozesłano nas do różnych miejscowości na wszystkie strony. Szliśmy trójkami,

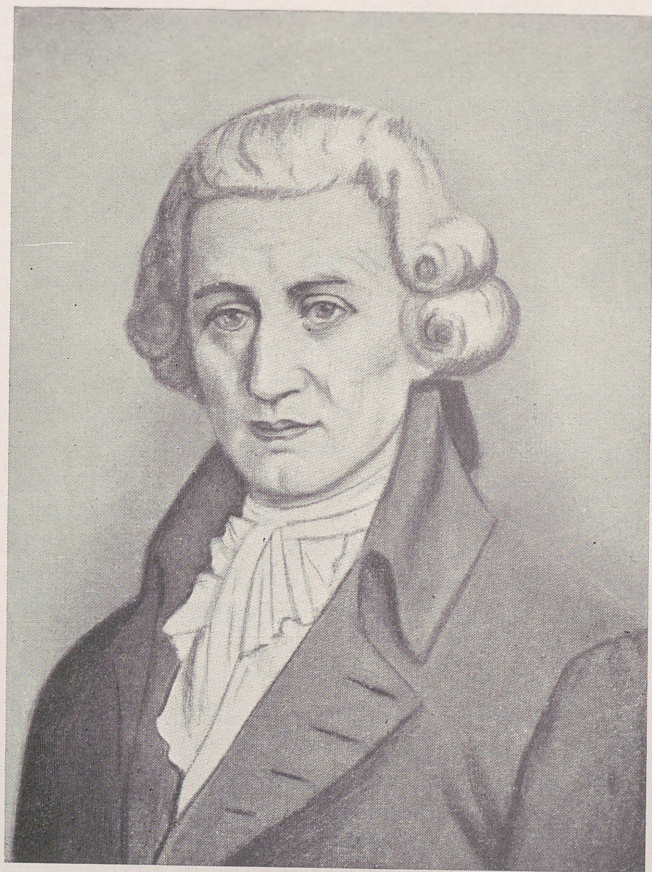
piechotą z tłumoczkami na plecach. W drodze zatrzymywaliśmy się po klasztorach, u księży świeckich i w domach prywatnych. Żyliśmy z gościny. Nie było to w celu żebrania, lecz raczej, byśmy ćwiczyli się w pokorze. Podróż ta trwała przez miesiąc. Jedna z nich nazywała się marjańską, bo jej celem nie był jakiś dom zakonny, lecz dwanaście cudownych miejsc Najśw. Panny w Dolnej Austrii i Styrii. Tam nowicjusze od św. Anny mieli odbyć pielgrzymkę w intencji całego domu. Na tę partię ku mej radości padł los na mnie. Poszedłem z dwoma innymi towarzyszami. Przyjmowano nas nad wyraz mile. Często nawet dawano nam z miejsca na miejsce furmanki. Nieco innego przyjęcia zaznaliśmy u OO. Franciszkanów. W pewnym miejscu, gdzieśmy prosili o zapomogę, dali nam odpowiedź, że tacy bogaci Jezuici powinni raczej dawać, a nie żądać pieniędzy. Przypominam sobie pewnego Franciszkanina, mistrza nowicjuszków, który na naszą prośbę o nocleg powiedział: „I moi nowicjusze chętnieby poszli na przechadzkę, lecz prawdopodobnie żaden jużby nie wrócił”. My zaś wszyscy co do jednego wracaliśmy do klasztoru szczęśliwie, pełni humoru i zadowolenia”.

„W czasie dwuletniego nowicjatu robiłem wszelkie wysiłki, by pracować nad sobą tak, jak tego żądał duch zakonu. Z łaski Bożej nie stygłem w gorliwości w następnych latach. Pamiętałem o tem, aby mieć zawsze Boga przed oczyma, oceniać rzeczy przemijające według ich istotnej wartości, być pożytecznym bliźniemu słowem i czynem, tłumić naturalny pociąg do miękkości i porywczowości do gniewu, ujarzmić podszepty pychy, poddawać swój sąd pod sąd drugich, znosić cierpliwie niekulturalne zwyczaje innych, nikomu nie zazdrościć, nikogo nie czernić, zadowalniać się najmnijsem. To były pragnienia mego serca, a wzmacniałem się w tych zasadach filozofii chrześcijańskiej częstym rozmyślaniem i czytaniem ksiąg duchownych”.

W następnych latach posuwał się Denis szybko w pracy umysłowej, ucząc się i ucząc innych. W pół roku nauczył się języka hebrajskiego tak gruntownie, że z taką samą łatwością czytał hebrajską, jak i łacińską biblię, a nawet układał hebrajskie wiersze. Dla swych uczniów pisał łacińskie dramaty na wzór tragedji Seneki. Praca ta Denisa cieszyła się dużem powodzeniem. Gdy w 1751 r. zapoznał się z dziełami poety Oplitza, przekonał się, że ma jeszcze duże braki w języku rodzinnym, że tworzy piękną poezję w języku łacińskim, a w ojczystym wykracza przeciw zasadom nietylko poezji, ale i gramatyki. Gdy się wziął na serjo do języka niemieckiego, osiągnął wkrótce duże w nim postępy i napisał cały szereg wspaniałych utworów po niemiecku.

Po ukończeniu studjów teologicznych otrzymał w 1757 r. święcenia kapłańskie i pracował od tego czasu bardzo pożytecznie jako nauczyciel w wielu zakładach OO. Jezuitów, a głównie w Wiedniu. Niemieckie poezje i tłumaczenie Ossjana wślawiło go prędko w całych Niemczech. Po skasowaniu zakonu Jezuitów 1773 r. zamianował go rząd austriacki bibliotekarzem w Wiedniu. Na tem stanowisku zyskał Denis powagę i uznanie za różne prace bibliograficzne.

Umarł w Wiedniu 29 września 1800 roku.



JÓZEF HAYDN.

JÓZEF HAYDN.

1732 — 1809.

Józef Haydn jest właściwym twórcą nowej instrumentalnej muzyki. Jego oratoria: „Stworzenie” i „Pory roku” były przyjęte z bezprzykładnym entuzjazmem i dla dalszego rozwoju muzyki są niewyczerpanym źródłem. Jego układ austriacki hymn narodowy: „Wspieraj Boże Francuska Cesarza”, pierwszy raz wykonany w 1792 roku, wywołał ogromny, wprost entuzjastyczny zachwyt i stał się odtąd najbardziej ulubioną pieśnią w całym ówczesnym państwie Habsburgów.

Haydn był człowiekiem wielkiej dobroci serca i przez całe życie—bardzo religijnym. Talent swój uważał za dar Boży, jak to widać z jego słów własnych. „Jeżeli nie miałem natchnienia do układania kompozycji, sam to powtarzałem, przechodziłem się wtedy po pokoju z różańcem w rękę, odmówiłem kilka „Zdrowaś” i wtedy znów przychodziły mi szczęśliwe myśli. Nigdy się tak nie modliłem jak wtedy, gdy pracowałem nad „Stworzeniem”. Codzień w tej intencji prosiłem na klęczkach Boga, żeby mi dodał natchnienia do wykończenia tego dzieła”.

Gdy, jako już sędziwy starzec, był obecny przy wykonaniu swego „Stworzenia” i słuchacze podczas śpiewu słów: „I stało się światło” wpadli w frenetyczny zachwyt, Haydn, wskazując na niebo, ze łzami radości w oczach, zawołał: „To mi przyszło stamtąd!”.

Józef Haydn był pierwszym z 12 dzieci biednej, kołodziejskiej rodziny (urodził się 31 marca 1732 roku), zamieszkałej w osadzie Rohrau w dolnej Austrii, na granicy węgiersko-austriackiej. Wielki ten kompozytor nie wstydził się nigdy swego niskiego pochodzenia, owszem, często wspominał o niem w późniejszym życiu. Mimo ubogiego i przykrego materialnego położenia, siłą genjusza i pracy wyrósł do swej wielkości. Gdy, będąc już u szczytu swej chwały, raz pewnego odwiedził Rohrau, ukląkł w mieszkaniu swego rodzinnego domu, ucałował podłogę i, głęboko wzruszony, wskazał na ławkę pod piecem, na której wykonał niegdyś pierwsze swoje utwory, stanowiące początek jego kariery artystyczno-kompozytorskiej. „Młodzi ludzie, mawiał, mogą sądzić z przykładu mojej osoby, że nawet z niczego może coś powstać. Czem jestem, doszedłem do tego wśród ostatniej nędzy”.

Józef wraz ze swymi braćmi i siostrami był wychowywany w bojaźni Bożej i zawczasu wdrożony do pracy i oszczędności. „Rodzice przyzwyczaili mnie od pierwszej młodości do pilnego przestrzegania czystości i porządku, tak sam wspominał o tem w starości, i te dwie cnoty stały się drugą moją naturą”.

Ojciec jego, sam w swej młodości wielki miłośnik muzyki, nie znając ani jednej nuty, nauczył się pięknie grać na harfie. Wieczorem po pracy śpiewał zwykle ze swemi dziećmi; wtedy mały Józek zdumiewał wszystkich subtelnym słuchem i pięknym swym głosem. Krewny tej rodziny Maciej Frankh, nauczyciel i dyrektor chóru w sąsiednim miasteczku Hainburgu, będąc obecnym przy takim wspólnym śpiewie, szczególniejszą zwrócił uwagę na pięcioletniego Józia, który doskonale trzymał się tonu i taktu, wziął go przeto do siebie, by go kształcić w muzyce. Tam Józef zdobył początki gry prawie na wszystkich instrumentach. „Dziękuję temu człowiekowi, już spo-

czywającemu w grobie, że mnie nauczył wielu rzeczy, dodam wszakże, że w czasie pobytu u niego otrzymywałem więcej szturchańców, niż jedzenia". Tak z pewną przymieszką humoru o tem Haydn opowiadał później, dodając: „Wszechmogący Bóg, któremu zawdzięczam niezliczone łaski, dał mi tyle zdolności, że już w szóstym roku życia śpiewałem na chórze niektóre msze zupełnie swobodnie, a nawet grałem coś niecoś na fortepianie i skrzypcach”.

W symfoniach Haydna odgrywa szczególniejszą rolę gra na cymbałach. On pierwszy użył tego instrumentu według jego istotnej właściwości i w zastosowaniu do artystycznego celu. Ciekawe okoliczności doprowadziły go do użycia cymbałów. Było to właśnie w czasie wielkanocnym, kiedy miało się odbyć kilka procesyj ze współudziałem muzyki. Frankh był w prawdziwym kłopotcie, bo umarł mu wtedy cymbalista. Poleciał wówczas matemu Józkowi, aby natychmiast uczył się gry na cymbałach. Pokazał mu sposób trzymania instrumentu i resztę nauki pozostawił jemu samemu. Wtedy chłopiec wziął koszyk, jakiego używają przy pieczeniu chleba, naciągnął nań kawałek sukna, postawił go na sprężynowym krześku i bił w sukno z takim zapalem, że nie zauważył zupełnie, jak koszyk rozleciał się w kawałki, a krzesło zepsuło się zupełnie; otrzymał wprawdzie za to nagane, ale gniew nauczyciela nie trwał długo, bo trudno było dopatrywać się złej woli Józka, który w tak krótkim czasie nauczył się gry na cymbałach. Ponieważ jednak miał dopiero sześć lat, był przeto jeszcze za mały, by korzystać z dorosłego mężczyzny, który dotąd nosił ten instrument, trzeba mu więc było wyszukać do dźwigania cymbałów kogoś mniejszego. Znalazł się jakiś odpowiedni kandydat, ale, na nieszczęście, był to garbusek. Widok tej pary podczas procesji pobudzał ludzi do śmiechu, lecz

mały artysta na to nie zwracał uwagi i bębnił naprawdę po mistrzowsku.

Wkrótce potem zdarzyło się, że chłopiec znalazł do dalszej nauki nową sposobność. Kapelmajster Dworu Reuter, a zarazem dyrektor orkiestry kościoła św. Stefana w Wiedniu oświadczył proboszczowi miasteczka Hainburga, że szuka chłopca, któryby posiadał piękny głos i na tyle był uzdolniony, aby go można użyć do chóru. Proboszczowi przyszedł na myśl „mały cymbalista” i polecił go przyprowadzić. Reuter zapytał go spokojnie: „Malcze, czy możesz zaśpiewać co poważnego?” „Nie!” odpowiedział mały. Wtedy na to odrzekł Reuter: „Chcę cię nauczyć śpiewu. Uważaj dobrze i wsłuchuj się pilnie”. Ledwo ten zaśpiewał strofkę, Józef z całą swobodą tak pięknie powtórzył to samo, że zdumiony Reuter zawołał: „Brawo!” sięgnął następnie do kieszeni i małemu wirtuozowi włożył datek do ręki.

W ósmym roku życia wstąpił Haydn do wiedeńskiej orkiestry. Za mało jednak uważał dla siebie to, czego się tu nauczył w ciągu lat 10-ciu, bo właściwie był tu sam dla siebie nauczycielem. Wogóle Reuter mało się troszczył o swoich uczniów chóralnych, wszystkiego im skąpił, a nadto był dla nich bardzo nieprzystępnym. Głównem ich zajęciem był śpiew podczas nabożeństwa i pozamiejscowe występy. Haydn mimo wszystko zadowolony był ze swego położenia, a później wyrażał się o swoim nauczycielu zawsze z uszanowaniem i wdzięcznością. Już w pierwszym roku swego pobytu w tej orkiestrze Józef gorliwie zajmował się komponowaniem. Na każdym kawałeczku papieru, jaki znalazł, kreślił pracownice linje i zapisywał je nutami. Raz zdumiał się Reuter, gdy zauważył przed Haydnem rozłożone dwunastogłosowe „Salve Regina” na więcej niż łokciowym papierze. „Co ty robisz, malcze?” zapytał, poczem przejrzał długi pa-

pier, serdecznie się uśmiechał z licznie powtarzanego wyrazu *Salve*, a jeszcze więcej z niezwyklego pomysłu chłopca, który się odważył na dwunastogłosową kompozycję. „Ach! ty zarozumiały chłopczel! rzekł Reuter, czy na dwa głosy nie byłoby dla ciebie dostatecznie?” Wtedy polecił mu porobić warjanty z tego, co przed chwilą wykonywał z chórem kościelnym. Józef usłuchał i to właściwie wprowadziło go na drogę samodzielnej i owocnej pracy. „Widocznie posiadałem talent, mówił później sam o sobie, dlatego przy pracy kroczyłem naprzód. Gdy koledzy moi grali, brałem pod pachę instrument i szedłem z nim na scenę, aby tam ćwiczyć się na nim z całą swobodą, bez żadnej przeszkody”.

Jedno najdotkliwiej dokuczało mu stale, mianowicie to przekonanie, że umyślnie chcą go formalnie zagłodzić, a przedtem znieprawić mu duszę. Tak sądził aż do 21-go roku życia. Dopiero, gdy zaczął występować wraz z całym chórem publicznie i od czasu do czasu miał okazję podjąć sobie dobrze i wynagrodzić żołądkowi jego głodowe chwile, wtedy uspokajał się nieco. Ta okoliczność wyrobiła w nim zapal do muzykalnych „akademij”, t. j. do publicznych występów. Nie zaniechał niczego, by pięknie śpiewać, bo chodziło mu o to, aby go wszędzie angażowano jako dobrego śpiewaka, na którego można liczyć, że swą rolę dobrze spełni. Wtedy miewał okazję do zaspokojenia dokuczliwego głodu, przytem napychał sobie jeszcze kieszenie, by mieć zapas na dnie tych ciężkich głodowych doświadczeń. Lecz mimo tych twardych warunków Haydn nie tracił na humorze, owszem był zawsze wesołym i bawił drugich. Było to owocem jego życia szczerze religijnego.

Z chwilą kiedy w Schönbrunnie wykończono królewskie pałace, Józef zaczął śpiewać w tamtejszej kaplicy. Pierwszy raz występował w czasie Zielonych Świątek.

Podczas przerwy wdrapał się wraz z innymi chórzystami na jakieś rusztowania i zachował się hałaśliwie. Gdy spostrzegłą to cesarzowa Marja Teresa, natychmiast dała komuś polecenie usunąć z rusztowania swawolną młodzież, zagroziła przytem karą, jeśliby tam śpiewacy weszli ponownie. Haydn nie mógł się nazajutrz oprzeć pokusie; wdrapał się na to samo rusztowanie, na którym go przyłapano i rzeczywiście spotkała go zapowiedziana kara. Po dłuższym czasie u księcia Esterhazego spotkał się już jako gość z cesarzową, wtedy przedstawił się jej i podziękował za wymierzoną sprawiedliwość. Opowiedział przytem to wydarzenie, z czego całe towarzystwo naśmiało się bardzo.

Po dziesięcioletnim pobycie w orkiestrze Reutera Haydn stracił swój dźwięczny tenor. Cesarzowa, wobec której corocznie śpiewano w pobliskim klasztorze w Klosterneuburgu, w żartach odezwała się do Reutera: „Haydn już nie śpiewa, lecz pieje”. Młodszy przeto jego brat Michał musiał go zastąpić. Wobec tego Reuter był zdecydowany oddalić niepożytecznego stołownika, bo nie miał z niego żadnej korzyści i wyszukał już nawet na jego miejsce stałego zastępcę. Pozoru do oddalenia dostarczył nowy swawolny krok ośmnastoletniego artysty, który uciął drugiemu chłopcu chórowemu warkocz, bo uważał, że taka ozdoba męskiej głowy już—niemodna. Gdy go o to Reuter skazał na różgi, oświadczył Haydn, że raczej dobrowolnie opuści miejsce, a nie podda się karze cielesnej. Lecz twardy gospodarz powiedział: „Nie, tak nie będzie! Najpierw dostaniesz, a potem marsz”. I dotrzymał słowa.

Późną jesienią 1794 r. bez głosu, bez pieniędzy, z trzema podartymi koszulami i w jednym wyszarzanym surducie poszedł w świat daleki, którego nie znał wcale. Pierwszą zaraz noc, wyczerpany z głodu i zimna, spędził pod gołym niebem, w zimny miesiąc listopadowy. Nie

mając innego wyjścia, kroki swe skierował do rodziców. Choć go w domu kochano i litowano się nad nim, ojciec mu jednak na wstępie oznajmił: „Pomocy pieniężnej nie możesz się spodziewać ode mnie, ja sam jestem bez grosza”. Rady jednak ojca, by się uczył rzemiosła kołodziej-skiego, nie przyjął; prośba matki, żeby poświęcił się stanowi duchownemu, nie odpowiadała jego przekonaniu, bo choć żył dotąd pobożnie i uczciwie, nie czuł się jednak powołanym do kapłaństwa i nie chciał się pchać do ołtarza wbrew woli Bożej. Nie pozostawało zatem biedakowi nic innego, jak jeszcze raz spróbować szczęścia w świecie. Ufając jedynie w pomoc Bożą, we własną pracę i w swoją wiedzę, wyruszył z domu. W krótkim czasie znalazł dla siebie punkt oparcia w miejscu cudownym w Mariazell w Styrii. Przedstawił się tam księdzu, który był dyrygentem chóru, pokazał mu kilka swoich kompozycji i prosił o przyjęcie do chóru. Jednak dyrygent, w którym Haydn nie wzbudził zaufania, załatwił się z nim krótko: „Przychodzi tu dużo rozmaitych ludzi z Wiednia, wszyscy podają się za skończonych chórzystów, a, kiedy trzeba zaśpiewać, nie umieją ani jednej nuty”. Nie zniechęciło go to jednak. W czasie nabożeństwa dostał się na chór, a kiedy dyrygent dał znak do rozpoczęcia śpiewu, wyrwał nagle jednemu z chłopców nuty z ręki i rozpoczął sam dźwięcznym jak dzwonek głosem „Kyrie”. Ze zdziwieniem spojrzał nań zakonnik i powiedział mu: „Proszę zatrzymać nuty”. Haydn roz-pływał się ze szczęścia, śpiewał tak pięknie i poprawnie, a zarazem z taką pokorą i pobożnością, że śpiew ten był jakby duszą całego chóru. Suma się skończyła. Haydn położył nuty, podszedł do dyrygenta i spytał go pół żartem: „Umiem zaśpiewać choć jedną nutę?” — „Pan nie jesteś muzykiem, usłyszał na to odpowiedź, pan jesteś artystą w literalnem tego słowa znaczeniu”. Haydn przeżył

tu ośm bardzo szczęśliwych dni. Wolno mu było grać na wielkich organach i z ich morza tonów wydobywać głębię swoich myśli, wolno mu było w celi muzycznej dyrygenta chóru, który stał się dlań przyjacielem i ojcem, nacieszyć się rzadkiem bogactwem muzycznych skarbów, przytem wolno mu było też przez cały tydzień najadać się dosyta. Kiedy przyszedł czas pożegnania, ukląkł Haydn przed zakonnikiem i odezwał się w te słowa: „Ojcze! pobłogosław życiu memu! Matka powiedziała mi kiedyś, że winienem korzystać z każdego błogosławieństwa”. „Bóg z Tobą, powiedział zakonnik, będziesz wielkim, ale ja już tego nie dożyję”. Potem wręczył mu jeszcze 16 reńskich na drogę i Haydn wyruszył w stronę Wiednia. Tu znalazł szczuplutkie mieszkanie na poddaszu i zmuszony był przeżywać nędzę przez długie lata. W Wiedniu udzielał nauki gry na fortepianie za lichą zapłatę, pomagał przy serenadach i w orkiestrach, grał za kilka grajcarów na organach podczas nabożeństwa to w tym, to w innym kościele, przytem studjował i komponował ustawicznie. 16-cie, do 18-tu godzin dziennej pracy było dla niego zwykłą rzeczą. Jednak mimo trudnych materialnych warunków nie stracił swego zapału do pracy i ufności w Bogu. Kiedy w lecie deszcz, a w zimie śnieg przedostawał się przez szpary poddasza i budził się przemoknięty albo pokryty śniegiem, takie wypadki uważał za zupełnie naturalne i żartował tylko z tego. „Kiedym siedział przy swoim starym fortepianie, zniszczonym przez robaki, mawiał później, nie zazdrościłem królowi jego szczęścia”. Wreszcie zwrócił na niego uwagę mieszkanie tego samego domu, autor oper Metastazio i oddał mu na kilka lat swoją uczennicę, by ją uczył gry na fortepianie. Za to otrzymywał jedzenie. W ten sposób miał zapewnioną rzecz najważniejszą.

Pierwsze jego kompozycje wrywano sobie z rąk,

ale on sam nic z tego nie miał. W swej skromności uważał sobie za zaszczyt, kiedy pochlebnie przyjęto jego pracę, a nie wiedział nic o tem, że handlarze muzykaljami robili na tem świetne interesy. Z zadowoleniem zatrzymywał się przed wystawami muzycznymi, w których widział swe utwory. Przy nauce gry, której udzielał na fortepianie, poznał włoskiego śpiewaka i kompozytora oper Porpora, pod którego kierunkiem kształcił się jeszcze w dalszym ciągu. Haydn akompanjował na fortepianie, gdy Porpora uczył śpiewu dziesięcioletnią Martinezę, a jako wynagrodzenie za to sam pobierał lekcję zasad komponowania. Gwałtowny stary maestro nie zawsze obchodził się po ludzku z młodym artystą. „Ty ośle, włóczęgo, głupcze!” to były częste wyrazy wypowiedziane pod adresem „niemądrego”, jak mniemał Porpora, Niemca. Niemiec ten z czasem przewyższył o całą głowę swego mistrza. Niekiedy Haydn dostawał nawet przykrego kułaka pod żebra, a przez cały kwartał spełniał swemu mistrzowi najniższe posługi, zastępując we wszystkim służącego. „Jednak zyskałem przy nim bardzo dużo w śpiewie, kompozycji i języku włoskim”, mówił później skromny artysta. Żądza zdobywania coraz większej nauki łagodziła mu wszelkie upokorzenia.

Polecony przez radcę Fernberga hrabiemu czeskiemu Morcinowi, otrzymał w jego szkole muzycznej w r. 1759 stanowisko dyrektora. Tu poznał go książę Esterhazy i, kiedy potem Morcin musiał zlikwidować swoją orkiestrę z powodu niepomyślnych warunków majątkowych, powołał go do siebie Esterhazy na kierownika nowego zespołu muzycznego. Na tem stanowisku pozostał Haydn aż do końca życia, choć jako artysta, cieszył się europejską sławą.

Jak ten Mistrz tonów dużo pracował, świadczy o tem liczba jego kompozycji, dochodząca do 990 numerów.



TADEUSZ KOŚCIUSZKO.

(Obraz nieznanego malarza—obecnie własność Seminarjum
Duch. w Sandomierzu).

TADEUSZ KOŚCIUSZKO

Kryształowy bojownik o wolność narodu.

1746 — 1817.

Andrzej Tadeusz Bonawentura Kościuszko, zazwyczaj jednym tylko środkowym imieniem zwany, urodził się 4 lutego 1746 r. z miecznika Ludwika Tadeusza i Tekli z Ratomskich w Mereczowszczyźnie, 14 mil od Siechnowicz *), rodzinnego majątku Kościuszków.

Metryka Tadeusza znajduje się w miasteczku Kossowie, położonem blisko dawnej rosyjskiej kolejowej linii Brzesko-Moskiewskiej, w księdze miejscowego kościoła parafjalnego. Chrzcił go przybyły do Kossowa z Hosszczewa pod Słonimem przeor klasztoru OO. Dominikanów ks. Rajmund Korsak.

Tadeusz miał brata i dwie siostry. Rodzice Kościuszki żyli w najlepszej zgodzie i serdecznej miłości, jak to widać z treści zapisu sądowego, mocą którego Tekla mężowi swemu Ludwikowi darowała ze swego posagu 12-stu tysięcy złotych — 10 tysięcy, a następnie, jak to wynika z jej listów, pisywanych do męża, w których przesyła mu

*) Dobra Siechnowicze, leżące o półczwartej mili od Brześcia nad Bugiem, od 1509 roku były gniazdem rodu Kościuszków. Dobra te otrzymał ich przodek Konstanty, syn Fedora, dworzanin Zygmunta I. Fedor należał do plemienia Białorusinów.

Herbem Kościuszków był „Roch trzeci”, który składał się z trzech belek (zrębów), coraz dłuższych ku górze, na trzeciej malowano lilję w czerwonym polu. Nad tarczą dodawano hełm z lilją i trzema piórami strusiemi.

„całe swe serce”, a tytułuje go: „Najukochańszym w życiu Ludwisieńkiem-Dobrodziejem”, wreszcie zarządzenia przez nią licznych modłów, ofiar i jałmużn za duszę męża, gdy została w 30-ym roku życia wdową z 4-giem sierot.

W wychowaniu dzieci i uporządkowaniu po śmierci męża spraw majątkowych Kościuszkowa wykazała wielki takt i niezwykłą dzielność. Sprawy majątkowe doprowadziła do tego, że utracone Siechnowicze wróciły w jej posiadanie. Córki wydała za mąż, synów pragnęła możliwie najlepiej wykształcić. Posyłała ich do szkoły Pijarów w Lubieszowie; lecz starszy od Tadzia poszedł wbrew projektom matki zupełnie inną drogą życiową.

Szkołę pijarską rozpoczął Tadeusz niezbyt szczęśliwie, bo w „gramatyce” (t. j. w pierwszej gimnazjalnej) nie wykazał dostatecznego postępu i wskutek tego powtarzał tę klasę. Później praca szkolna szła mu gładziej. Miał zamiłowanie do historii Grecji, a z niej najwięcej pociągała go postać Tymoleona, Greka z czasów starożytnych, jako dzielnego wojownika i szczerego obrońcę wolności obywatelskiej. W tem upodobaniu zarysowywały się przyszłe ideały Tadeusza i cechy jego charakteru. Tymoleon za imponował mu między innymi pobiciem i rozgromieniem na głowę 70 tysięcy Kartagińczyków siłą 50 tysięcy żołnierza.

W rozmowach zaś ze współkolegami Tadzio mawiał, że Tymoleon godzien jest pamięci i czci u potomnych za to, że „mógł zwrócić narodowi odzyskaną wolność, nic z niej nad nią sobie nie biorąc”. Zdanie to powtarzał do późnej starości, a młodzieży przy każdej sposobności zalecał, aby było dla niej dewizą życia tak, jak sam pragnął dla siebie uczynić je przykazaniem, obowiązującym go stale.

Po ukończeniu szkoły pijarskiej w Lubieszowie (który dziś należy do powiatu Kamień Koszyrski, dawniej do

pow. Pińskiego, ziemi Wołyńskiej). Kościuszko, idąc za popędem własnych uczuć, dostał się w 1765 roku do korpusu kadetów, niedawno ufundowanego w Warszawie przez Stanisława Augusta. Były to pierwsze początki i pierwsze kroki tej szkoły, mieszczącej się w pałacu Kazimierzowskim, przy ulicy Krakowskie-Przedmieście. Orzeł polski, wieńczący kopułę gmachu, był jakby symbolem wysokich marzeń uczącej się tam szlacheckiej młodzieży. Chociaż pierwszym komendantem tej szkoły był zamianowany wuj Stanisława Augusta—Adam książę Czartoryski, jednak za głównego jej przełożonego uważał się sam król, który lubił nawet ubierać się w strój kadetów.

Co za radość była dla Tadeusza, gdy po raz pierwszy przywdział świąteczny granatowy mundur! (Codziennym ubraniem kadetów była czerwona kurtka). W pierwszym roku pobytu w szkole kadetom nie wolno było chodzić z bronią. Dopiero po roku, gdy który z uczniów stał się tego godnym, w uroczysty sposób otrzymywał ten wymarzony dodatek. *)

*) Odbывała się ta ceremonia wspaniale i uroczyście w dzień niedzielny. Rozpoczynała się w kaplicy. Nowicjusz na klęczkach słuchał Mszy świętej, poczem ksiądz „dyrektor duchowny” przedstawił mu w przemówieniu świętość obowiązku względem Ojczyzny. Dalszy ciąg ceremonii odbywał się w sali lub na placu. Tam brygadjer szkolny wypowiadał do prezydium prośbę o uzbrojenie „nowicjusza”, następnie brał go pod jedno ramię, pomocnik brygadjera pod drugie, a jeden ze starszych zadawał mu cały szereg pytań następujących: Czego Waćpan żądasz? Odpowiedź. Byłem tak szczęśliwym, że mnie osadzono godnym noszenia munduru korpusowego, stawam teraz z prośbą, żebym był uzbrojony. Pyt. Czy masz Waćpan szczere przedsięwzięcie tę broń, którą odbierzesz, zażywać zawsze na obronę Ojczyzny swojej i swego honoru? Odp. Nie inne jest przedsięwzięcie moje. Wtedy obecni prezentowali broń, uderzono w werbel (czyli bito w bęben), a najstarszy oficer przypasywał nowicjuszowi pałasz i podawał karabin, wypowiadając odpowiednią przestrożę. Nowoprzyjęty kadet składał głośno takie przyrzeczenie: „Przyrzekam braciom moim, zbroj-

Kościuszko, wstępując do kadetów, miał już 19-ty rok życia, przebywał w szkole wszystkiego dwa, czy trzy lata. Pracował pilnie. Kazał się stróżowi, idącemu robić porządki, budzić o 3-ej rano pociągnięciem sznurka, który sam sobie przywiązywał z wieczora do nogi, a gdy wieczorem wskutek całodziennego znużenia pracą zasypiał nad książką, mył się dla otrzeźwienia zimną wodą, lub wkładał w nią na chwilę nogi.

Regulamin szkolny korpusu kadetów był zatytułowany: „Filozofja Obyczajów”, a ułożony w formie pytań, na które życiem należało dawać odpowiedź. Kościuszko dokładnie wypełniał reguły na wszystkie pytania „Filozofji Obyczajów”, a w szczególności przestrzegał 25-te, które nakazywało „siebie samego zwyciężać, bo to największe zwycięstwo”. Drogę do tej mety widział w pokonywaniu znużenia i senności. *)

nie zgromadzonym, że postępками swemi ich nie zawstydzę, ani też nowicuszom, czekającym na ten zaszczyt, który odbieram, nie dam zgorszenia przez opuszczenie się w nauce, lub zaniedbanie powinności moich”. Gdy skończył, brał karabin na ramię i wtedy brygadjer znów zwracał się do niego z zapytaniem: Obiecujesz mi waćpan, że w pamięci będą u niego przyrzeczenia, któreś tu dał? Pytam o to imieniem brygady i mojem. Na to odpowiadał kadet: Przyrzekam na honor. Teraz brygadjer prowadził go na miejsce wyznaczone. Kadet wtedy stawał na baczność w szeregu i prezentował broń, przed chwilą otrzymaną. Następnie najstarszy oficer dawał wszystkim rozkaz: „Broń na ramię!”. „Prezentować broń!”, poczem każdy brygadjer odprowadzał swój oddział na kwaterę. Wieczorem korpus wyprawiał ucztę, „ucieczką” zwaną.

*) Interesujące są szczegóły „katechizmu kadeckiego”, które uczniowie byli obowiązani „wydawać” przed swymi podbrygadjerami. Między innemi było to, że kadet powinien mieć miłość Boga, przywiązanie do religji, powinien kochać Ojczyznę swą i jej dobro nade wszystko. A czy może być kadet bojaźliwym czy tchórzem? Na to odzywał się każdy: „Nie umiem odpowiedzieć, bo i słowa te i rzeczy są mi nieznanym”.

Wszystkie te wytyczne w książkach i przestrogi czujnych wychowawców, a głównie komendanta Adama księcia Czartoryskiego, kształtowały w sercu Kościuszki myśl o konieczności wydźwignięcia Polski z upadku, o konieczności poprawy tego, co się w niej zepsuło, i pozyskaniu dla niej poważania u sąsiadów. Ta myśl w nim potężniała i rozpierała jego uczucie. Do niej się przygotowywał pilną pracą i uczciwym życiem. W uznaniu za jedno i drugie już 26 grudnia 1768 r. otrzymał tytuł chorążego, a 5 maja 1778 r. został podbrygadjerem i zaliczono go do oficerów. *)

Niedługo podniesiono Kościuszkę do rangi kapitana z pensją 200 zł. miesięcznie. Że i później odznaczał się w nauce, wnosić o tem można z notatek, które są w katalogu oficerskim przy jego nazwisku: „zna języki: niemiecki i francuski, architekturę wojenną i geometrię”, a jakie zachowaniem swem budził zaufanie w przełożonych, widać z tego, że w r. 1769 polecili go królowi,

W podręczniku zaś historii: „Nauk wyzwolonych” — Czartoryski umieścił do młodzieży kadeckiej odezwę następującej osnowy: „Wy tę, w najopłakańszym stanie zostającą, Ojczyznę naszą, powinniście zaludnić obywatelami gorliwymi o jej sławę... starać się o poprawę rządów jej, żebyście wy, plód nowy, odmienili starą postać kraju swego”.

*) Cywilną odwagę i wierność swym szlachetnym i rozumnym poglądom wykazał Kościuszko już jako kadet w zająsciu z Gozdzkim, wojewodą Podlaskim, gdy ten w czasie tańców uraził jednego z jego kolegów. Upomnieli się o tę krzywdę współkoledzy poszkodowanego, a na ich czele stanął Kościuszko. Gdy za pośrednictwem swojej zwierzchności nie mogli uzyskać satysfakcji, postanowili dochodzić jej sami. Wtedy niektórzy okrzyknęli Kościuszkę jako przywódcę niegodziwej zмовы. Stawiono go przed królem. Kościuszko z uszanowaniem, należnem majestatowi królewskiemu, ale szczerze wypowiedział swe przekonanie, że się koledze stała krzywda, o której wyrównanie współkoledzy mieli prawo się starać. Tego uczciwego zachowania się Kościuszki Stanisław August nie tylko nie wziął za złe, ale przeciwnie, za to otoczył go swemi względami,

jako godnego wysłania zagranicę na wydoskonalenie się w naukach wojskowych. Król chętnie wyznaczył na ten cel 100 dukatów rocznie (za dukata liczono wówczas około 18 złotych). Wobec tego Tadeusz na początku 1770 r. wyjechał do Francji, gdzie bawił 5 lat na studjach. Tam się wydoskonał w sztuce inżynieryjnej, w artylerji, fortyfikacji, rysunku. Te studia mógłby ukończyć przy swej pilności w dwa lata, pozostawał tam jednak pięć ze względu na niewyraźną polityczną sytuację kraju. Albowiem Fryderyk II, Katarzyna II, cesarzowa Rosji i Józef II, cesarz Austrii, już snuli swe złowrogie plany względem Polski, patrząc chciwem okiem na sąsiednie polskie pograniczne województwa, które posłowie tych trzech monarchij chcieli wyłudzić od Sejmu, jakoby dobrowolnie oddawane. Chodziło wówczas o czwartą z górą część całej Rzeczypospolitej, o 3862 mile kwadratowe *). Król i Sejm, niestety, nie znaleźli w sobie dość siły na przeciwstawienie się tym zakusom, i kraj doczekał się smutnego 1772 roku. Już do zmniejszonej i okrojonej Ojczyzny wrócił Kościuszko w 1774 r., jako 27-mio letni młodzieniec, zawsze pełen ujmującej prostoty i szlachetnych obyczajów. Zajechał do Siechnowicz. Matki przy życiu już nie zastał. Zaczęła mu dokuczać bieda, gdyż już w 1773 r. król nie przysłał mu stypendjum, musiał więc myśleć sam o sobie, a stanowiska, mimo starania, nie mógł otrzymać w wojsku. W Siechnowiczach nie „przelewało się” wcale. Wsparły go dopiero siostry, mieszkające w Lubelskiem i u nich, a także u dawnego opiekuna, Jana Nepomucena Kościuszki, znalazł punkt oparcia i serdeczny dla siebie nastrój.

W okolicy tej był majątek Józefostwa Sosnowskich Sosnowica, dom przyjazny dla całej rodziny Kościuszków. Tam więc zajechał Tadeusz, a że był przychylnie przyjęty

*) Całość kraju stanowiło 13.300 mil kwadratowych.

i otrzymał zgodę na odwiedzanie tego domu, więc tam bywał, zwłaszcza, że znalazł tu dwie młode panny i w jednej z nich—Ludwice wkrótce się zakochał i od niej doznawał wzajemności. Około 5 miesięcy trwała ta miłość. Zerwały ją i zniszczyły plany pana Józefa Sosnowskiego, który, mimo zalet Tadeusza i jego tytułu kapitana, a także praw do kariery wojskowej, widział lepszą przyszłość dla swej córki w wyjściu za Józefa księcia Lubomirskiego, syna wojewody kijowskiego. Żeby więc przerwać ten sercowy stosunek, matka z córkami na rozkaz ojca wyjechała na dłuższy czas z domu. Gdy, razu pewnego, jak zwykle przybył tu Tadeusz, a nie zastał niewiast, domyślił się, że to pachnie „arbuzem”. Mówiono wtedy, choć to nie jest historycznie sprawdzonym, że stary Sosnowski miał mu niesmacznie powiedzieć: „Synogarlice nie dla wróbli, a córki magnackie nie dla drobnych szlachetków”. *)

Cios ten **) był o tyle boleśniejszy dla Tadeusza, że godził w jego czułe serce, znękanе niepowodzeniami majątkowymi, zawodem, którego doznał od rodzonego brata, brakiem dla siebie stanowiska w wojsku, któremu chciał się oddać z całym zapałem, a głównie widokiem smutnych wypadków, rozgrywających się w kraju. Sejm bowiem był wówczas pośmiewiskiem dla obcych, a hańbą dla swoich; objęcie urzędu marszałkowskiego przez sprzedawczyka Ponińskiego było prowokacją dla wszystkich uczciwych Polaków; wojska rosyjskie i niemieckie pano-

*) Sosnowski wysoko trzymał głowę, bo miał tytuł wojewody smoleńskiego i stanowisko w armji, w której był najpierw pisarzem polnym, a później hetmanem polnym litewskim.

**) Działalność Kościuszki, zwłaszcza późniejszą, cechowała sztuka panowania nad pojedynczymi ludźmi, a z czasem nad całym narodem. Do tego doszedł Tadeusz, nauczysz się w pierw panować nad samym sobą. Z siły swej woli i charakteru zdał egzamin w następu-

szyły się po wsiach, a niemal wszechwładnym panem Rzeczypospolitej był potężny rosyjski ambasador Sztakelberg.

Kościuszko, czując się bezsilnym i bezradnym wobec tych nieszczęść ojczystych, uporządkował na piśmie sprawy majątkowe i udał się za ocean, do Ameryki *), gdzie, jak się dowiedział, zaczynało się powstanie tamtejszych 13 osad przeciw królowi i parlamentowi angielskiemu. Losy powstania oddano w ręce Jerzego Waszyngtona d. 15 czerwca 1775 r. O tem wszystkim wiedział Kościuszko, ale nie było mu obcem i to, że Anglicy, mając niewiele własnego wojska, werbowali płatnego żołnierza (głównie z Niemiec). Gdyby przeto był tylko awanturnikiem, szukającym przygód wojennych lub łapigroszem, znalazłby ujście dla swych płytkich uczuć w szeregach angielskich. Ale podniosła dusza Kościuszki, od dzieciństwa i lat szkolnych pełna ideału patriotycznego, pojęcia i odczucia wolności, należnej narodom, nie mogła na to pozwolić. Raczej za grosz pożyczony odbywa długą, wodną podróż, płynie ku ziemi amerykańskiej, wylądowuje w Filadelfji i prosi Związkowy Kongres Ameryki Północnej o przyjęcie go do wojska Stanów Zjednoczonych. Poddano go na wstępie praktycznemu egzaminowi. Otrzymał mianowicie polecenie wygotowania planów for-

jącym wypadku. Gdy go spotkał ten miłosny zawód względem wojewodzianki Sosnowskiej, w domu krewnych swoich poznał młodą pannę. Zaczęła się budzić między nimi wzajemna sympatja. Ona razu pewnego rzekła doń z czułością i przymilaniem: „Jesteś tak dobry, tak miły, czy chciałbyś mego nieszczęścia?” Na to Kościuszko zaraz zerwał tę znajomość. Miał wówczas lat 30. Okazał się wtedy prawdziwym rycerzem, który umie panować nad sobą i nie chciał hańby dla siebie i słabej niewiasty.

*) W drodze rozbił się okręt, na którym jechał Kościuszko. Tadeusz wpadł do morza, lecz uczepił się masztu i dopłynął do wyspy.

tyfikacyjnych, a gdy wynik tej pracy okazał się wyśmienitym, w rok czasu, 18 października 1776 roku, miał już w ręku patent, który tak opiewał: „Inżynier, w randze pułkownika armii Stanów Zjednoczonych, zaciągniętej ku obronie wolności amerykańskiej i odpieraniu wszelkiej wrogiej napaści na tę wolność”. Nie pieniądze przeto, ani karjera, które łatwo mógł zyskać w armii angielskiej, ubogiej w ludzi, a bogatej w złoto, lecz przyrodzone prawa Amerykan, o wolność walczących ze swym potężnym ciemiężcą, ciągnęły ku sobie serce Kościuszki.

Socjalne amerykańskie warunki były wówczas zupełnie inne od naszych ówczesnych. Duch demokratyczny ujawniał się głównie w pojęciu obowiązującej powszechnie pracy, której oddawały się wszystkie bez wyjątku stany czy to na roli, czy w rzemiosłach, czy w kupiectwie, czy w żegludze. Najzamożniejsze nawet panie i panny nie pojmowały życia bez rzetelnej i stałej pracy. Tak zahartowany w pracy i w przeciwnościach naród umiał stawić czoło swym ciemiężycielom.

Cisnęły się Kościuszce wtedy pytania na usta: Czy Polska nie mogłaby przeciwstawić się swym najeźdźcom i upomnieć się o swoje prawa? Pod ich naciskiem postanowił Kościuszko poznać wszystko, czem żyje tutejszy świat nowy, jego urzędnienia, jego pojęcia, jego obyczaje, by z czasem, co się da, przesadzić na grunt ojczyzny.

Tu mu przedewszystkiem imponowała ofiarna służba samego Waszyngtona, który dla dobra swej przyszłej wolnej ojczyzny, nie tylko sam się narażał na zwykłe koleje wojny, ale opuścił wielkie swe gospodarstwo i rodzinę i nie przyjął ofiarowanej mu przez rodaków stałej pensji w kwocie 500 dolarów miesięcznie. Po skończonej zaś swej misji usunął się w zacisze i pozostał zwykłym obywatelem. Nie imponowały Waszyngtonowi typy Cezarów, Napoleonów.

Tu podziwiał Kościuszko ogłoszoną, tak zwaną „Deklarację Praw” z uznaniem wszelkiej wolności dla ludzi bez żadnej różnicy, nawet pod względem wiary.

Tu wyróżniał mężny akt Kongresu z 4 lipca 1776 r., który całemu światu ogłosił niepodległość Stanów Zjednoczonych, na 56 obradujących podpisany przez 55-ciu, a kończący się wyrazami, które najbardziej poruszały sercem: „Pełni zaś ufności w opiekę Opatrzności Boskiej, zobowiązujemy się do poparcia niniejszego oświadczenia życiem naszym, mieniem i honorem”.

W sposobie więc przeprowadzenia i ogłoszenia aktu wolności widział Kościuszko, jak tu dążono do jednomyślności w uchwałach, a gdy się znalazł jeden warchoł, nie poszła za nim reszta; widział, że najpiękniejsze słówka i postanowienia dopiero wtedy są prawdziwie pięknymi, gdy są w czyn wprowadzone.

To go przywijało do Amerykan i uczył się od nich wielu rzeczy dla dobra własnego. Pierwszą jego tu pracą były fortyfikacje poniżej Filadelfji, o planach których mówiliśmy wyżej. W dalszym ciągu zajmował się w czasie wojny różnemi obwarowaniami, zaznając często, jak to zwykle bywa na wojnie, głodu, chłodu, bezsennych nocy i t. p. Największe może usługi oddawał tam Kościuszko przez udostępnianie gór stromych dla baterij działowych.

Po walnem zwycięstwie, odniesionem nad dobrze wyćwiczonem i wyszkolonem wojskiem angielskiem 7 października 1777 r., głównodowodzący amerykański Gets wydał rozkaz, że „w obecnym wypadku najwięcej znaczyły pagórki i lasy, które młody inżynier polski umiał zręcznie wybrać pod mój obóz”.

To zwycięstwo, z którem zaszczytnie zespolone było imię Kościuszki, o czem wspomina sam Waszyngton w swym raporcie do Kongresu 10 listopada 1777 r., miało

dla Amerykanów wielkie znaczenie w skutkach politycznych, bo po niem król francuski oświadczył, że chce uznać ich za naród niepodległy.

Słowa Waszyngtona, w których donosi o Kościuszcze, brzmiały tak: „10 listopada 1777 r., według otrzymanych przeze mnie doniesień, inżynier armji północnej (zdaje się, że się nazywa Kościuszko) jest człowiekiem uczonym i godnym. Zasługuje on bardzo, *aby go mieć na pamięci*”.

Nie był to jedyny Kościuszki sukces wojenno-inżynierski na terenach amerykańskich. Rok 1778 przyniósł mu to samo zaszczytne wspomnienie, gdy rozpoczął fortyfikację West Point, gdzie na skale zbudował cytadelę z koszarami i usypał wysokie, a grube wały (14×21 stóp). Nad cytadelą urządzony był fort Putnam. Fortyfikacje w West Point w późniejszych latach, jako niepotrzebne, uległy zniszczeniu, ale pamięci Kościuszki jest poświęcony ogród jego imienia i pomnik tam wystawiony w 1830 r.

Następne lata wojen Amerykanów z Anglikami również wykazywały praktyczny zmysł Kościuszki i jego znajomość inżynierskiej sztuki wojennej, zwłaszcza, gdy w styczniu 1781 r. zabrał się do budowania mostołodzi, czyli pontonów, na których przez liczne, a szerokie rzeki przeprowadzał wojsko, działa, zapasy żywności i t. p.

Mimo tylu prac dokonanych i tylu otrzymanych pochwał nasz bohater narodowy odznaczał się zawsze bezprzykładną skromnością i zupełną jakby nieświadomością tego, że dokonał czegoś niezwykłego. Nigdy nie objawiał żądań ani pretensyj dla siebie samego, a przeciwnie cudze zasługi zawsze i najchętniej podkreślał. Takt zaś i uprzejmość, z jakimi odnosił się do wszystkich, zjednywały mu szacunek i gotowość do współpracy z nim wtedy, gdy inni inżynierowie dużo miewali pod tym względem kłopotu.

Gdy zabrakło mu roboty wojenno-inżynierskiej, chętnie szedł na linię bojową i tam odznaczał się bardzo humanitarnymi uczuciami. Po jednej potyczce ocalił życie 40 Anglikom szeregowcom i jednemu oficerowi, których Amerykanie chcieli zamordować, podnieceni wojną i silnie zdenerwowani.

Po skończeniu działań wojennych w Stancy 13 października 1783 r. Kościuszko otrzymał patent, nominujący go jenerałem brygadjerem, a przytem wyrażono mu „wysokie uznanie dla jego długich, wiernych i cennych wielce zasług” i przyznano mu fundusz 12.280 dolarów, z czego miałby rocznego procentu 6000 zł.

W 1785 r. przez Francję powrócił Kościuszko do Polski z wyrobionym, a trzeźwym sądem, pełnym zdrowego demokratyzmu, szanującym każdą pracę umysłową i fizyczną, (sam się nauczył w Ameryce tokarstwa, stolarstwa i ogrodnictwa), z miłością dla kraju, od którego dla siebie nic nie oczekiwał, ani nic nie potrzebował, wyćwiczony w wojennej sztuce inżynierskiej, zahartowany do przetrwania największych przeciwności i trudności życiowych, do bohaterstwa, które uczy spoglądać niebezpieczeństwu w oczy i do przeciwstawiania się nieporównanie większym siłom przeciwnika, a nawet do ich pokonywania.

Pierwsze lata po powrocie z Ameryki Kościuszko, tytułowany jenerałem amerykańskim, osiadł na rodzinnym zagonie w Siechnowiczach-Dawidowszczyźnie, gdzie zajmował się ogrodem, a więcej jeszcze rolnem gospodarstwem, które starał się prowadzić postępowo, jak tego nauczyła go Ameryka.

Mimo osobistych zabiegów około gospodarstwa i zastosowanych w domu oszczędności, Kościuszko nigdy nie doszedł do takiego stanu majątkowego, aby nie potrzebował nie liczyć się z groszem. W tych warunkach ma-

terjalnych rozpoczął swą działalność narodowo-socjalną. Wziął się do tej sprawy szczerze, nie deklamując o swym demokracjiźmie, lecz wchodząc w istotne warunki życia klasy roboczej. Nie bacząc na to, co widział w sąsiedztwach, a może i w całej Polsce, z własnej inicjatywy, nie-nagabywany przez nikogo, zmniejszył darmową robociznę męską w swym majątku do połowy, czyli o dwa dni w tygodniu, a żeńską skasował w zupełności. Miał żywo w pamięci straszne niewolnictwo w Stanach Południowych, z którym tam współczuł serdecznie, a nawet szukał sposobu, jakby mu ulżyć. Gdy zastał u siebie w majątku poddaństwo, choć nie tak surowe, na jakie patrzył w Ameryce, postanowił reformę społeczną zacząć u siebie we własnym majątku. Jakkolwiek poniósł z tego tytułu sporo materialnej straty, nie zawahał się jednak przeprowadzić raz powziętego planu. „Słowo poddany powinno być przeklęte w oświeconych narodach”, powtarzał Kościuszko, ekonomom nie pozwalał napędzać pańszczyźniaków bizusem, choćby robili leniwie. Marzył, by wszystkich chłopów uczynić wolnymi, ale z obawy, by nie wywołać przewrotu w całym kraju, robił tylko częściowe i wszelkie możliwe im ulgi. Takie postawienie sprawy doprowadziło go do bardzo krytycznych warunków pieniężnych, a przytem, zaznaczyć trzeba, że niewiadomo dlaczego z Ameryki nie doszła go ani jedna rata należnego procentu. Wytlumaczyć to tylko można jego cichem usposobieniem i nieśmiałością w upominaniu się o siebie, a jak się później wyjaśniło, wpłynęły na to niesumienne pośrednictwa bankowe.

Mimo tych materialnych trudności nie cofnął się z raz obranej drogi. Wtedy znów zaczęła w nim powstawać myśl stworzenia sobie własnego gniazdka rodzinnego. Troska jednak i pamięć na nieszczęścia i smutne losy, które przeżywała Ojczyzna, ciągle odsuwały na dal-

szy plan sprawę osobistą. Były to momenty, kiedy w uczciwych głowach nie znikła tęsknota za wolnością kraju. W rozmaity sposób myślano o tem i różne podsuwano środki. Głos posła Krakowskiego na Sejmie 3 listopada 1784 r. miał w tym względzie decydujące znaczenie, nadto Staszycowa książka: „Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego”, zawierająca uwagi o przebudowie Polski, dopełniły reszty. Ten pisarz polityczny wołał, że jak świat światem nie było jeszcze tak wielkiego ludu, któryby ginął bez ratowania się. Czyliż tego smutnego „zaszczytu” dostąpią pierwsi Polacy? Staszyc uczył, jak należy kochać Ojczyznę, pamiętając, że miłość Ojczyzny nie kończy się ze śmiercią t. j., że trzeba za życia tak pracować, aby pozostawić coś pożytecznego dla dzieci i dla dalszych potomków. Wreszcie dodał, że „z lekkim podatków pomnożeniem łatwo 100,000 wojska utrzymałby można”.

20 października 1788 r. Sejm, zwany Wielkim, dotychczasową liczbę wojska 18,000 istotnie postanowił podnieść do 100,000.

Kościuszko czytał i dowiadywał się o tych rzeczach, zastanawiał się nad nimi, porównywał z tem, co widział w tym względzie w Ameryce i robił nawet na piśmie swoje uwagi.

1 października 1789 r. król Stanisław zamianował go generałem-majorem koronnego wojska. Od tej chwili inny duch wstąpił w Kościuszkę, a nawet zmieniły się jego materialne warunki, bo zaczął pobierać ze skarbu 13,000 pensji. Była to chwila rozstania się z Siechnowiczami na zawsze. Odtąd już ich więcej nie oglądał. Otrzymawszy rozkaz z wyższego dowództwa, udał się do Włocławka, gdzie miał wyznaczoną sobie brygadę z dywizji wielkopolskiej. Rozkaz opiewał, aby służbę objął z dniem 1 lutego 1790 r. Kościuszko zajął się tu swą pracą bardzo sumiennie i energicznie, urządził częstą inspekcję

i objeżdżał oddział, już to podczas ich ćwiczeń, już to na kwaterach.

Wkrótce jednak przeniesiono go do dywizji Małopolskiej i z nią miał się udać na Wołyń, Ukrainę i Podole dla zabezpieczenia tam granic państwa. Kwatera wypadła mu w Międzyborzu. Tu uśmiechnął się los 45-cio letniemu Kościuszce, który często marzył o własnem życiu rodzinnem. Poznał Teklusię Żurowską, bawiącą w Międzyborzu na kuracji z rodzicami. Zaczęła się bliższa znajomość, pisywanie częstych, a czułych listów, w których odbijała się subtelność uczuć Jenerała. Na wzajemność panny nie czekał długo. Ta padła do nóg ojcu, oświadczając swe przywiązanie do Kościuszki. Było to w sierpniu 1791 roku. Matka panny sprzyjała tej myśli, ojciec zaś był przeciwny, już to wskutek plotek o porwaniu przez Kościuszkę Ludwiki Sosnowskiej, już to ze względu na różnicę majątkową, czując się dużo zamożniejszym od niego. Tadeusz wyjaśniał wszystko, jak istotnie było, ale to nie przyniosło pożądanego rezultatu, i znów po raz drugi musiał rozierać nić serdecznej miłości, podobnie jak w pierwszym wypadku, wskutek dziwactwa ojca. Więcej już Kościuszek w tym kierunku nie próbował szczęścia i pozostał bezżennym do końca życia.

W Warszawie w tym mniej więcej czasie odbywał się wielki Sejm, który działalnością swą zapisał najpiękniejsze karty w dziejach Polski, a otrzymał tę nazwę stąd, że pracowała w nim podwójna liczba posłów—500 członków starego i nowego sejmu razem złączonych, i że obradował nad najbardziej doniosłymi kwestjami, których szczytem była Konstytucja 3 maja 1791 r. Tego dnia o 7-ej wieczorem poprzyśleli tak zwaną Ustawę Rządową-Konstytucję: król, senatorowie i wszyscy posłowie z wyjątkiem 13-tu. Pośród tych ostatnich, zapalczywie broniących wolności szlacheckiej, a zajądło występujących przeciw uchwalonej Kon-

stytucji i już to jawnie, już to ukrycie, byli główniejsi: Suchorzewski (który jak obłąkany wołał: „Nie chcę być Polakiem, jeśli mam być niewolnikiem!”), hetman wielki koronny Ksawery Branicki, hetman polny koronny Seweryn Rzewuski, generał artylerji Szczęsny Potocki, Zaleski i t. p. Opozycjonistom chodziło głównie o zniesienie liberum veto i o skasowanie wolnego wyboru króla. *)

Na wieść o uchwalonej Konstytucji 3 Maja rozradował się Kościuszko całą duszą. Sam wykonał przysięgę na nią i nakazał to samo wszystkim swoim podkomendnym.

Co było właściwą pobudką jego serdecznej radości świadczą motywy, któremi chciał przekonać jednego z przeciwników Konstytucji, dawnego sąsiada i przyjaciela Zaleskiego, do którego wypowiadał w liście między innemi takie myśli:

„...Do celu jednego powinniśmy się zjednoczyć. Wydobyc Ojczyznę naszą z pod przemocy obcych, z upodlenia i nawet zniszczenia imienia Polaków. Wierz mi, że zawsze jednakowo myślę, zawsze oddycham duchem wolnego obywatela-republikanina i gdy rząd nasz zrówna się

*) Ze względu na wielką wagę przeprowadzonych wtedy uchwał, które po wszystkie czasy będą dawać chlubne świadectwo duchowi narodu polskiego, umiającemu się zdobyć na rozum stanu, gdy tego w chwilach krytycznych wymaga dobro Ojczyzny, przytaczamy główne uchwały Konstytucji.

Włościanie przechodzili pod opiekę praw i rządu krajowego.

Rząd miał dopilnowywać utrzymania i wykonania dobrowolnych umów, jakie zawarą włościanie z dziedzicami.

Mieszczanie mogli zdobywać szlachectwo za wierną i ofiarną służbę Ojczyzny w wojsku, na urzędach cywilnych lub w przemyśle.

Na każde wezwanie wrazie potrzeby miał zbierać się Sejm.

Zniesiono liberum veto, czyli zrywanie sejmu nawet pojedynczym głosem posła.

Ustanowiono dziedziczność korony, którą po śmierci Stanisława Augusta miał pojąć Fryderyk August Sas, a po nim jego potomstwo.

z rządem angielskim, dopiero dzwonić zacznę na baczność każdemu współobywatelowi... Niech powszechna tylko będzie edukacja (nauka szkolna)... Od nas samych zależy poprawa rządu, od obyczajów naszych. A gdy podli będziemy, chciwi, interesowni, niedbający o kraj swój, słusznie abyśmy potem mieli kajdany na szyjach i tego warci będziemy”.

Widocznie dłuższy pobyt wśród trzeźwych Amerykanów złączył w Kościuszcze ognisty zapał polskiego charakteru z głębokością myśli i kupiecką przezornością rasy angielskiej. Musiał dobrze znać usposobienia przeciwników Rządowej Ustawy, skoro zadrżał na wiadomość, że Szczęsny Potocki i Seweryn Rzewuski udali się do Jass, miasta mołdawskiego, gdzie pod koniec wojny rosyjsko-tureckiej, zjechali się przedstawiciele obydwóch stron wojujących dla układów pokojowych.

Słusznie domyślał się, że ta wizyta w Jassach ma za cel wyzyskanie powracających wojsk Katarzyny z Turcji do sparaliżowania uchwał Konstytucji. Te podejrzenia podsunęły mu myśl wysłania tam na wywiady zaufanych oficerów. Niestety, domysły Kościuszki nie były płonne. Król Stanisław August, który stracił posiadane kiedyś łaski i względy Katarzyny, a na ich miejsce zyskał jej mściwość kobiecą, obecnie nie chciał temu wierzyć. To lekko-myślne mniemanie wpoił i w swego bratanka księcia Józefa.

W Jassach podpisano pokój rosyjsko-turecki 9 stycznia 1792 r.

Stamtąd Potocki i Rzewuski, omijając granicę Polski, okólną drogą pojechali do Petersburga i wraz z Branicim, który również tam się udał za pozwoleniem Stanisława Augusta, we trzech razem z rosyjskimi ministrami ułożyli plan i manifest tak zwanej Konfederacji Wolnych, która jako przeciwstawienie Konstytucji 3 Maja miała być

ogłoszona 14 maja 1792 r. w Targowicy, miasteczku, należącym do Szczonego Potockiego.

Kościuszko, nie mogąc w tym względzie nic innego przedsięwziąć, pilnie śledził ruch wojsk rosyjskich, powracających z Turcji i stwierdził, że wojsko to, podzielone na 3 części, zmierza ku trzem punktom Polski. Rozumiał doskonale, że siły polskie nie oprą się przeważającym siłom nieprzyjacielskim. Słał przeto wiadomości do stolicy. Niestety, wszystko było daremne. W Komisji Woj-skowej zasiadali wtedy przeważnie ziemianie, niemający nic wspólnego z armją. Nad planem obrony radzili, ale brak było między nimi ludzi najzdolniejszych i fachowców. Kościuszkę, który byłby w tym wypadku najkompetent-niejszym, zupełnie pominięto. Zjednoczona armja koron-no-litewska liczyła 57,000, gdy nieprzyjacielska miała 96 tysięcy żołnierza i dział niepomierne większą liczbę.

Stanisław August, który na sztuce wojennej nie znał się wcale i nic dotąd nie miał z nią wspólnego, objął z woli Sejmu najwyższą komendę wojskową, bezpośrednie zaś dowództwo w polu, z pominięciem doświadczonych generałów, zlecił swemu bratankowi księciu Józefowi, 29-cio letniemu młodzieńcowi, przystojnemu, odważnemu i szlachetnemu rycerzowi, ale niemającemu jeszcze do-statecznych kwalifikacyj na najwyższego wódza, zwłaszcza w tak trudnych warunkach, gdzie siły przeciwnika są dwa-kroć większe i gdzie armja nieprzyjacielska miała starych, wytrawnych generałów, a także doświadczenie wojenne po świeżo odbytej kampanji w Turcji, z której dopiero co wracała. Sejm poważnie zajął się najbliższemi wypadkami. Z 29 na 30 maja 1792 r. obradował do 4-ej rano, nazначzył dodatkowo w kraju podatki, powiększył żołnie-rza do 100,000, ale niestety, była to przysłowiowa mą-drość Polaka po szkodzie, bo Katarzyna wydała już roz-

kaz swoim dowódcom, aby 18-go maja przekroczyli granicę i rozpoczęli działania wojenne.

Nadomiar złego nieopatrzny król zostawił w stolicy rosyjskiego ambasadora Bułhakowa, który o wszystkich ruchach i o całym stanie rzeczy powiadamiał wojska swego państwa. Kościuszko był trzymany na boku ze swą brygadą, liczącą niespełna 4,000 wojaków. Książę Józef przy naporze nieprzyjaciela tracił głowę, jak widać z doniesienia, które nadesłał królowi: „Dokąd się obrócić? Nie wiem!” Rozumie się, że fachowej, rozumnej odpowiedzi, której brak było w głównem dowództwie, nie mógł otrzymać. Położenie naszych wojsk stawało się coraz rozpaczliwsze, mimo niezwyklej waleczności pojedynczych oddziałów. Książę Józef, z rozkazu króla za okazane wtedy bohaterstwo, udekorował pierś 3 generałów, a między nimi Kościuszki, dwóch pułkowników i jednego majora orderem Waleczności Wojskowej (Virtuti Militari), na który dał piękny wzór sam Stanisław August. W u-tarczce z oddziałem armii generała rosyjskiego Kachowskiego, Kościuszko złożył nowy dowód swej rycerskości, co rozniosło imię jego po kraju i zagranicą, jako dziel-nego, umiejętnego, władającego sercami żołnierzy generała.

Stanisław August zaczął się chlubić Kościuszką, nazywając go „wyśmienitym” i awansował go na generała-lejtenanta z roczną pensją 40 tysięcy złotych, a z dodatkami 55,184. Kościuszko wziął z tego tylko jedną kwartalną pensję w kwocie 13,796 zł., następnych zaś zrzekł się dobrowolnie, widząc straszną klęskę moralną i materialną kraju...

* * *

Ale przeskoczyliśmy wypadki, wróćmy przeto do nich ponownie.

Choć wojenne epizody dla naszej armji nie mogły być pomyślne, nie wyczerpano jednak dotąd wszystkiego,

coby ratowało jej honor. Nadomiar hańby nadeszła wiadomość, że Stanisław August, by zakończyć wojnę, przystąpił do konfederatów Targowickich i że pertraktuje z Katarzyną. Wtedy książę Józef z obozu wysłał przez gońców wspólnie z towarzyszami broni do króla raport z przestrogą, że „podłość zniżenia się aż do zdrajców Ojczyzny byłaby grobem naszym”. Jednak wypadki w szybkim tempie szły naprzód. Stanisław August 24 lipca 1792 r. podpisał swój akces do Targowiczan. Książę Józef z 220 oficerami wysłał wtedy prośbę o dymisję, a Kościuszko od siebie następującą notę: „Gdy zmiana okoliczności krajowych byłaby przeciwna pierwiastkowej mojej przysiędze i wewnętrznemu przekonaniu, mam honor przeto upraszać Waszą Królewską Mość o łaskawe podpisanie mi dymisji. Dan w obozie pod Sieciechowem dnia 30 Julii 1792 r.” Otrzymał wtedy polecenie rozkwatowania resztki wojska, i w tym celu jeździł do Kozienic 8 i 9 sierpnia i do Radomia 12 sierpnia. Bolejąc nad tem wszystkim, gdy nastała straszna cisza w kraju, postanowił wyjechać zagranicę. Pisał wówczas do Czartoryskiego między innemi te słowa:

„...Wierny byłem Ojczyźnie, biłem się za Nią i sto razy na śmierć poświęciłbym się za Nią. Już, zdaje się, koniec usług moich dla Niej przychodzi; może ta sukienka (t. j. mundur wojskowy. *Dod. autora*), którą noszę, cechą hańby będzie. Zrzucę zawczasu ją i pałasz złożę w grobie do dalszych czasów pomyślniejszych, sam, utyskując na los, schronię się od świata złośliwego i niecnotliwego”.

Gdy wyjeżdżał 20 października 1792 r., miał w kieszeni 1000 dukatów.

Przed wyjazdem, porządkując ostatecznie sprawy swego rodzinnego majątku, daje jeszcze raz dowód serca względem maluczkich, zapewniając dożywocie swym

dwojgu służącym i wyrażając pogląd na rozwiązanie kwestji pańszczyźnianej w zleceniu: „ażeby gospodarze w całej wsi z każdego domu nie robili więcej jak tylko dwa dni męskiej pańszczyzny, zaś kobiecej wcale nic”; siostrzeńca swego upomina, aby „dzieciom dał dobrą edukację republikańską z cnotami sprawiedliwości, uczciwości i honoru”.

Wkrótce potem doszła go wieść, że Zgromadzenie Prawodawcze w Paryżu uchwałą z dnia 26 sierpnia 1792 r. nadało mu tytuł „obywatela Francji”.

Choć moralnie zbity i zmaltretowany, materialnie niebogaty, ale pełen chwały u swoich i obcych, opuścił kraj Kościuszko, żegnany niezwykle serdecznie, zwłaszcza w Sieniawie (Małopolska) i Lwowie. Zawsze skromnie trzymający o sobie i prosty, jak dziecko, jedną miał tylko namiętność: miłość Ojczyzny. To też z głębi duszy często powtarzał: „Czemuż Bóstwo nie pozwoliło człowiekowi umierać za Ojczyznę dwa razy?”. A gdy na rozkaz austriackiego generała musiał wyjeżdżać z Zamościa do Lipska, ostatnie jego słowa były: „Żał mi rzucić kochaną Polskę, przyjaciół i tyle serc dla mnie łaskawych”.

O szczegółach dalszej tułaczki zagranicznej Kościuszki pisać nie będziemy, powiemy tylko, że rozpamiętywał wtedy wszystkie niepowodzenia i błędy polskiej armji, a pisząc pamiętnik nieszczęśliwej wojny Polaków z Rosjanami z roku 1792, wyraził przekonanie, że w ostatniej chwili były jeszcze sposoby „zbicia wojska rosyjskiego” i pocieszał się nadzieją, że te się znów znajdą w przyszłości. W myśl tych nadziei, pod swym portretem, który zamówił w Paryżu, kazał u dołu wypisać modlitewkę do Pana Boga: „Pozwól raz jeszcze bić się za Ojczyznę”. Tę swoją nadzieję chciał mieć stale w pamięci i dlatego skomponował sam sobie nową własną pieczęć, na której zamiast rodzinnego herbu, kazał zrobić kobietę wysoką,

pochyloną i opartą na kotwicy okrętowej. Miało to oznaczać, że Polska żyje nadzieją.

Gdy znalazł się w Lipsku, przez dwóch gońców został powiadomiony, że mieszczanin Jędrzej Kapostas i bogaty szlachcic Ignacy Działyński tworzyli w stolicy Polski tajemny związek, żeby ratować Ojczyznę od rozbioru, wymuszanego wówczas na Sejmie Grodzieńskim.

Na naczelnika tego powstania cały naród wskazywał Kościuszkę, jako cieszącego się powszechnem zaufaniem.

Kościuszko przyjął na siebie tę misję, wskazał plan całej organizacji i, mimo zwykłej swej chłodnej rozwagi, wyraził swe zdanie, że dla Polski niema już innego ratunku, prócz walki powstańczej pod hasłem: „śmierć lub zwycięstwo”. W początkach 1794 r. wyjechał tajemnie do Polski bez żadnego orszaku. Dążył do Krakowa. Gdy się doń zbliżał, pierwszy postój miał prawdopodobnie w prastarym klasztorze w Tyńcu, nieco dłużej zatrzymał się w Brzesku Nowem, w folwarku, należącym do księży Norbertanów; 23 marca Kościuszko wskutek szczęśliwych okoliczności bez przeszkody przybył do Krakowa.

Dzień następny 24 marca 1794 r. jest pamiętny w dziejach narodu, bo w dniu tym na rynku krakowskim jeneralicja, oficerowie i żołnierze złożyli przysięgę następującej osnowy: „Ja przysięgam, że będę wierny Narodowi polskiemu i posłuszny Tadeuszowi Kościuszce, Naczelnikowi Najwyższemu, wezwanemu do tegoż Narodu dla bronięcia wolności, swobód i niepodległości Ojczyzny. Tak mi, Boże, dopomóż i niewinna męka Syna Jego”. Kościuszko zaś zaprzysiągł, że powierzonej sobie władzy „na niczyj prywatny ucisk nie użyje, lecz jedynie dla obrony całości granic, odzyskania samowładności Narodu i ugruntowanej powszechnej wolności używać będzie”.

Kościuszko z władzą najwyższą, którą teraz otrzymał, z męstwem, wytrwałością, z całą energią i znajomo-

ścią, którą zdobył w sztuce wojennej, toczył walki z dwoma nieprzyjaciółmi: z Rosjanami i Niemcami. Niezapomniane Racławice i smutny dzień 10 października 1794 r. pod Maciejowicami skądinąd dobrze są znane każdemu sercu polskiemu. Z tej racji historycznego przebiegu tych dziejowych wydarzeń tu nie powtarzamy. Niepodobna wszakże nie przytoczyć choć niektórych odezów, jakie wydawał Kościuszko, jako Naczelnik najwyższy narodu. Uwydatnia się w nich jego szlachetna dusza i wielka roztropność męża stanu.

Zanim Naczelnik najwyższy rozpoczął wojenne kroki, do których zbierał siły i wszelką konieczną pomoc, usiłował podnieść i urobić ducha całego narodu.

W odezwach więc swoich, pełnych szczerego i gorącego zapału, a świadczących o jego ofiarnej miłości dla kraju, przemawiał do cywilnej ludności tak, jak się mówi do wojska: „W pogardzie śmierci jest jedynie nadzieja polepszenia losu naszego i przyszłych pokoleń. Pierwszy krok do zrzucenia niewoli jest odważyć się być wolnym, pierwszy krok do zwycięstwa — poznać się na własnej sile”. Gdy zaś przemawiał do wojska, widział w niem obywateli kraju i w tym duchu wydał doń swoją odezwę: „Bądźmy jednym ciałem z obywatelami, łączmy się najściślej, łączmy serca, ręce i sposoby wszystkich naszej ziemi mieszkańców. Biorę z Wami, Ukochani Koledzy, za hasło: śmierć, albo zwycięstwo; ufam Wam i narodowi, który zginąć raczej postanowił, aniżeli dłużej jęczeć w hańbnej niewoli”.

Nie pominął wówczas Naczelnik i niewiast polskich, do których odezwał się ciepło, by one — „ozdoba rodzaju ludzkiego, przynosiły ulgę cierpieniom, gdy tak nieszczęśliwy jest los ludzkości, iż naród praw swoich ani używać, ani utrzymać nie może bez przykrych i drogich tkliwym sercom ofiar”.

W końcu kwietnia (1794 r.), idąc ku Połańcowi, zatrzymał się Kościuszko w Winiarach nad Nidą, skąd wydał odezwy 19 maja do Podlasia, a 2 maja do całego narodu, gdy się dowiedział, że Rosja dla swych celów podburza włościan przeciw panom. Było to jakby ojcowskie upomnienie narodu, zawierające jednocześnie doskonałą charakterystykę Polaków. „Nigdyby Polakom, mówił, broń ich nieprzyjaciół straszną nie była, gdyby sami między sobą zgodni, znali swą siłę i całą tę siłę użyć umieli. Nigdyby Polaków orężem pokonać nie można było, gdyby chytry nieprzyjaciół przewrotnością, zdradą i podstępami nie niszczył chęci i sposobów oporu.... Chytróść moskiewskich intryg gubiła zawsze Polaków, używając do tego przeważnie samych Polaków”.

„Dzieliły nadto nieszczęśliwych Polaków mniemania rządowe, t. j. zdania ludzi, będących przy rządzie (objaśnienie autora) i opinie względem prawideł (zasad), na których wolność i organizacja narodu ugruntowane być miały, a do niewinnej (t. j. uczciwej) opinii różnicę mieszał występny duch miłości własnej i osobistych widoków upór, zwłokę i skłonność wiązania się z obcymi i podłego im ulegania”.

„...Los tedy Polski od tego zawisł, byśmy skruszyli podwójną siłę nieprzyjaciół, t. j. siłę oręża i siłę intrygi...”

Okólnik, wydany przez Kościuszkę z obozu pod Połańcem 7 maja 1794 r., powszechnie znany pod nazwą Uniwersału Połanieckiego, daleki od wszelkiej demagogii, regulował powinności gruntowe włościan i zapewniał im skuteczną opiekę rządową, bezpieczeństwo własności i sprawiedliwości i opiewał w 14 punktach, co następuje:

- 1) Ogłosić ludowi, że podług prawa zostaje pod opieką rządu krajowego;
- 2) że osoba wszelkiego włościanina jest wolna i że mu wolno przenieść się, gdzie chce, byleby oświadczył Komisji Porządkowej swego województwa, gdzie się

przenosi, i byleby długi winne oraz podatki krajowe płacił *);

- 3) że lud ma ulżenie w robociznach tak, iż ten, który robił dni 5 lub 6 w tygodniu, ma mieć opuszczone 2 dni w tygodniu, który robił dni 3 czy 4 w tygodniu, ma mieć opuszczony dzień jeden, kto robił 2 dni, ma mieć opuszczony dzień 1, kto robił w tygodniu jeden dzień, ma teraz robić w dwóch tygodniach dzień jeden...
- 4) Zwierzchności miejscowe starać się będą, aby tych, którzy zostają w wojsku Rzeczypospolitej, gospodarstwo nie upadło... do czego równie dwory, jako i gromady przykładać się będą.
- 5) Od tych, którzy wezwani będą na pospolite ruszenie, póki tylko zostawać będą pod bronią, pańszczyzna przez ten czas nie będzie wyciągana.
- 6) Własność posiadanego gruntu z obowiązkami, do niego przywiazanemi, podług wyżej wyrażonej ulgi, nie może być od dziedzica żadnemu włościaninowi odjęta, chybaby dowiódł, że włościanin obowiązkom swym zadość nie uczyni.
- 7) Któryby podstarości, ekonom lub komisarz wykroczył przeciw niniejszemu zarządzeniu i czyniłby jakie uciążliwości ludowi, taki ma być wzięty, przed Komisję stawiony i do sądu kryminalnego oddany.
- 8) Gdyby dziedzice (czego się nie spodziewam) naka-

*) W stosunku do włościan Kościuszko posunął znacznie dalej to, co zdziałała Konstytucja 3-go maja. Z trzech poniżających człowieka czynników poddaństwa jeden zniósł zupełnie, a mianowicie: ograniczenie osobistej wolności włościaństwa. Dwa zaś: władzę prawie nieograniczoną pana nad poddanymi i wyłączną własność pańską względem ziemi znacznie osłabił. W tem tkwi główne, choć niejedyne źródło zaufania włościan do Naczelnika najwyższego.

- zywali lub popełniali podobne uciski, jako przeciwne celowi powstania, do odpowiedzi pociągnięci będą.
- 9) Wzajemnie lud wiejski, doznając sprawiedliwości i dobroci rządu, powinien gorliwie pozostałe dni pańszczyzny odbywać, zwierchności swojej być posłusznym, gospodarstwa pilnować, rolę dobrze uprawiać i zasiewać,
 - 10, 11 i 12) mówią o tem, jak wprowadzić w wykonanie Uniwersał, zostawiając ocenę pojedynczych wypadków sądom kryminalnym.
 - 13) Duchowni, jako najbliżsi ludu nauczyciele, powinni mu przekładać, jakie ma obowiązki dla Ojczyzny, która się prawdziwą matką względem niego okazuje. Cóż duchowni oświecać lud powinni, że, pracując pilnie około swojej roli i dworskiej, równie miłą czyni Ojczyźnie ofiarę, jak ten, który ją orężem... zasłania.
 - 14) Duchowni obojga obrządków niniejsze zarządzenie ogłaszać będą.

Jeżeli wszystkie odezwy Kościuszki są pełne głębokiej myśli, niemniej głęboką pod tym względem jest odezwa jego z 21 maja, którą wydał, ogłaszając statut dla Najwyższej Rady Krajowej. Jest tam między innemi powiedziane:

„Nie może się naród ocalić bez rządu, lecz rząd nie może być czynny bez zaufania, posłuszeństwa i gorliwości ludu...”

* * *

Paszkowski w swych „Dziejach” zastanawia się nad pytaniem: co Kościuszcze dawało tę niezwykłą śmiałość i odwagę do czynu? I na to odpowiada: spoistość narodu, która budziła nieograniczoną ufność i przywiązanie.

To, o czem mówi Kościuszek w swym Uniwersale, wprawdzie stosował, jak już o tem mówiliśmy, u siebie w Siechnowiczach.

Następną odezwę Kościuszki wywołały samosądy tłumu, podburzonego przez zapaleńca Konopkę, dokonane 28 czerwca 1794 r. na Targowiczanach, których w liczbie 7-miu czy 8-miu powieszono na szubienicach w Warszawie. Gdy się o tem dowiedział Naczelnik, zaraz nazajutrz 29 czerwca wydał odezwę do narodu z obozu pod Gołkowem: „Kiedy wszystkie trudy, pisał Kościuszko, i starania moje natężone są ku odparciu nieprzyjaciela, wieść mnie dochodzi, iż straszniejszy nad obce wojsko nieprzyjaciel grozi nam i wnętrzności nasze rozdziera. To, co się stało na dniu wczorajszym w Warszawie, napełniło serce moje smutkiem i goryczą. Chęć ukarania winowajców była dobrą, ale czemuż ukarani bez wyroku sądu? Czemu zgwałcona praw powaga i świętość?... Wiedźcie, że kto prawom nie chce być posłusznym, ten niewart wolności... Dopełniając tego, czego sprawiedliwość publiczna wyciąga (wymaga), zakazuję jak najsurowiej ludowi, dla dobra i zbawienia jego, wszelkich odtąd nieporządných rozruchów, gwałcenia więzień, imania osób i karania śmiercią. Kto nie idzie do rządu drogą należytą, jest buntownikiem, burzycielem spokojności publicznej i jako taki karany być powinien”...

Ale wspomnieć jeszcze trzeba, jak się zachował Najwyższy Wódz, gdy w czasie walk 1794 r. Prusacy i Rosjanie odstąpili od Warszawy? Całe tygodnie Kościuszko wcale się nie rozbierał. Pierwszy raz spał rozebrany, gdy się dowiedział o wymarszu nieprzyjaciela z pod stolicy. Wtedy wolna Warszawa oddawała się radości, ale Kościuszko nie ukazał się w stolicy, bo nie chciał hołdów. Rada Najwyższa, po wyrazach gorącej wdzięczności, oświadczyła, że chce to pamiętne zdarzenie obchodzić uroczystością. Kościuszko odpowiedział skromnie, że oswobodzenie stolicy przypisuje Opatrzności Bożej, męstwu żołnierza, gorliwości i odwadze obywateli warszawskich, a także

staraniom Rządu. Wyznaczenie terminu uroczystości zostawił Radzie, dodając, „że zatrudnienia moje nie pozwalają mi być z Wami”. Oczywiście, że wobec tej odmowy zaniechano uroczystości. „Jeśli kto, to on miał największe prawo do odbierania hołdów. Odbierali je i odbierają chętnie nie tylko ci, co wielokroć mniejsze zasługi niż On położyli, ale nawet tacy, co z tym zasłużonymi równać się nie mają prawa” (Bartoszewicz).

A kiedy lud warszawski zaczął go wtedy bałwochwalczo czcić jako boga-triumfatora, wówczas jeden z jego przyjaciół, dostrzegłszy smutek w jego oczach, zapytał o przyczynę i otrzymał taką odpowiedź: „Boję się, moi Przyjaciela, że Polacy nie dorośli do wolności, bo ludzie nie powinni nigdy zapominać o swej godności człowieka. My (dowódcy) zasługujemy tylko na to, aby lud nas kochał i szanował, ale nic ponadto” (Hasła).

* * *

Zbliżał się czarny zmierzch nad Ojczyzną...

Gdy ranny Kościuszko 10 października 1794 r. do stał się do niewoli, Najwyższa Rada ogłosiła do Niego parę odezw. Druga z kolei zawierała tę treść, a raczej postanowienie: „Aby obraz jego był umieszczony na zawsze w Izbie posiedzeń”.

Pogrom naszych bohaterów pod Maciejowicami zakończył się tem, że Kościuszko zmordowany i wyczerpany, otoczony został przez 5-ciu nieprzyjacielskich jeźdźców, którzy mu zadali trzy cięcia w głowę, rany na piersiach i biodrze. Naczelnik stracił przytomność. Krwią zbroczonego, śmiertelnie bladego zanieśli kozacy na pikach do zamku w Podzamczu. Było to około 2-ej po północy 11 października 1794 r. Zrana, po wschodzie słońca, Kościuszko otworzył oczy i zapytał, jakby z letargu zbudzony, obok leżącego Niemcewicza: „Co to znaczy? Gdzież

jesteśmy?” — „Niestety, jesteśmy ranni, jeńcami Moskali, jestem przy tobie i nie opuszczę cię”, była odpowiedź. — „Jaka pociecha w nieszczęściu mieć takiego przyjaciela!” rzekł Naczelnik i łzy mu zalały oczy. Z pewnością przyszło mu na myśl własne jego hasło: „Śmierć albo zwycięstwo!” 4-go listopada 1794 r. Suworow urządził rzeź Pragi. 19-go tegoż miesiąca został wzięty do niewoli zastępca Kościuszki—Tomasz Wawrzecki i na tem zakończyło się Kościuszkowskie powstanie, częściej nazywane Kościuszkowską insurekcją. 24 października 1795 r. trzej zaborcy podpisali trzeci rozbiór Polski. 25 listopada tegoż roku Stanisław August, przewieziony do Grodna, podpisał 25 listopada zrzeczenie się tronu.

Kościuskę od 12 października wieziono razem z jeńcami polskimi ku północy, ale dokąd, nie wiedział. 10-go grudnia 1794 r. zniesiono go z powozu w Petersburgu, w fortecy Petropawłowskiej. Dokuczała mu mocno rana w głowie, a więcej w nodze, w której stracił władzę. Musiano go wnosić i znosić. Katarzyna coraz bardziej łagodniała względem niego i okazywała mu dużo względów. Miała nawet zamiar zwolnić go zupełnie, ale nie zdołała tego zrobić przed śmiercią tak, że w niewoli więziennej przebył Kościuszko 2 lata. Następca Katarzyny cesarz Paweł okazał się dlań jeszcze bardziej uprzejmym, lecz dla Naczelnika ponad wszelkie osobiste względy najdroższem było to, że cesarz na jego prośbę zwolnił 29 listopada (starego stylu) 1796 r. wszystkich Polaków, uwięzionych w Petersburgu i 12 tysięcy wojskowych, zesłanych na Sybir. Dopiero 19 grudnia 1796 r. wyjechał Kościuszko z Petersburga w towarzystwie Niemcewicza przez Finlandję, Szwecję, Anglję do miasta amerykańskiego Filadelfji, gdzie przybył 18 sierpnia 1797 r.

Wszędzie po drodze witano go i przyjmowano nie jak pokonanego wodza, lecz jakby największego zwycięzcę.

Najbardziej owacyjnie witała go Ameryka, jako tego, który przed laty walczył o jej wolność. Na te owacje odpowiedział Kościuszko krótko: „Uważam Amerykę, jako drugą swoją Ojczyznę i czuję się nader szczęśliwym, gdy do niej powracam”. Amerykę Kościuszko nie tylko nazywał drugą Ojczyzną, ale dla jej wielkiej idei wolności poświęcił 7 lat swego czynnego, męskiego wieku.

* * *

Pod naciskiem serca, które go ciągnęło na łono Ojczyzny, Kościuszko opuścił Amerykę w czerwcu 1798 r., zostawiając przed wyjazdem dokument, mocą którego grunt, wydzielony sobie przez rząd amerykański, przeznaczony na wykupywanie murzynów z niewoli i na założenie dla nich szkoły.

Gdy w Bajonnie przeczytano mu wyjątek z nowego dzieła o insurekcji, zaprzeczył wypowiedzianemu w niem zdaniu, jakoby właścianie polscy nie byli jeszcze godni wolności: „Oby wszyscy Polacy, zawołał, bili się tak, jak ci biedacy, którzy, mając za całą broń kosa, rzucali się na pułki nieprzyjaciół”.

Jan Henryk Dąbrowski formował wtedy legjony. Adjutant Dąbrowskiego — Tremo przyjechał do Paryża, gdzie mieszkał Kościuszko, by zdać sprawę przed Naczelnikiem o ich stanie, a Józef Wybicki, towarzyszący Dąbrowskiemu, przysłał mu najgorętsze powitanie i uwielbienie. Wtedy Kościuszko prosił Wybickiego, aby napisał pieśń, któraby wzbudzała zapal w sercach żołnierzy. Na początku 1799 r. Wybicki ułożył — „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy”.

* * *

Kościuszko do końca życia czuł się Naczelnikiem narodu i jego wychowawcą. To też obowiązki, płynące

z tego ostatniego tytułu, spełniał w narodzie i dla narodu wiernie do ostatnich swych chwil. Mógł to czynić, bo nie wymuszał, ale zdobywał dla siebie całe zaufanie ogółu, mimo takich przeciwieństw, które wówczas dzieliły Polskę. Praktyczne lekcje Kościuszko dawał własnym ofiarnym życiem, którym ilustrował swe społeczne, narodowe i wojenne hasła: „Wolność, niepodległość, całość! Naród, żądający niepodległości, potrzeba, aby koniecznie ufał w swoje siły!”.

Po klęsce maciejowickiej Kościuszko truchlał, aby wskutek niewoli nie zrodziła się w Polakach „czołgająca się dusza”. Stąd pragnął, aby wychowawcy dbali przede wszystkim o wolę i charakter młodego pokolenia. Nie tyle dbał o wiedzę, jak o wzbicie się narodu na wyższe poziomy etyczne.

Wszystkie te jego pragnienia płynęły z miłości dla Polski, by następne pokolenia uczynić silnymi duchem i przygotować je do lepszej przyszłości. Kościuszko należał do tych, którzy twierdzili, że we wzajemnej kłótni trzech zaborców i w wojnie, jaka wypadnie kiedyś między nimi, jedyny jest ratunek dla uciemiężonej i w kajdany zakutej Polski, że wojna tylko może nam przywrócić to, co było marzeniem jego: „Wolność, niepodległość, całość!”. W liście do Sierakowskiego pisze: „Przyjdzie czas, że te same mocarstwa, jak są w wielkiej przyjaźni teraz, rozdzielą interesy”. Gdzieindziej pisał: „...mogą wypaść wkrótce spory, a na koniec wojna, czego pożądam. Kto wie, że przez to może się polepszyć los Polski” (*Hasła*).

Kościuszko, wielki i szlachetny bohater narodowy, był gorącym patriotą, ale nie szowinistą—posiadał cztery obywatelstwa: polskie, amerykańskie, szwajcarskie i francuskie.

Przeszedłszy różne koleje losu, Naczelnik czuł potrzebę spokoju dla siebie, przeniósł się do Szwajcarii, za-

mieszkał tam u zacnej rodziny Zeltnerów, u których w Solurze 15 października 1817 r. w sukmanie oddał Bogu najczystsą swą duszę, pozostawiając po sobie tak wielką swych nieskazitelných zasług spuściznę potomnym, że ma pełne prawo do tytułu: Rycerz bez skazy.

Rzućmy jeszcze okiem na prochy Wodza Narodu.

„Dla przybyśza z Polski, pisze Pietrzycki, najcenniejszym i najdroższym zabytkiem w Solurze pozostanie na zawsze dom Zeltnerów, miejsce zgonu Kościuszki, z tablicą marmurową i popiersiem Wodza na ścianie frontowej”.

W roku śmierci Kościuszki wychodziło w Solurze czasopismo, zatytułowane „Solethurnisches Wochenblatt”. W Nr. 44 tegoż pisma znajdujemy na karcie tytułowej doniesienie: „Niema już Kościuszki”, a w kronice dwie notatki, które brzmią w przekładzie—„Dnia 15 bieżącego miesiąca zmarł w Solurze excelentissimus, illustrissimus et generosissimus Dominus—Tadeusz Kościuszko, ostatni wódz wojennej Republiki Polskiej, i w dniu 19 stycznia z udziałem godeł, kapituły oraz parafji św. Ursusa i Wiktora, wobec całego kleru tak świeckiego, jak i zakonnego, senatorów, sędziów trybunału wyższego i niższego, zarządu miasta, oraz tłumów miejscowej ludności, wdzięcznej swemu dobroczyńcy, w kościele Błogosławionej Dziewicy Marji pochowany został...”

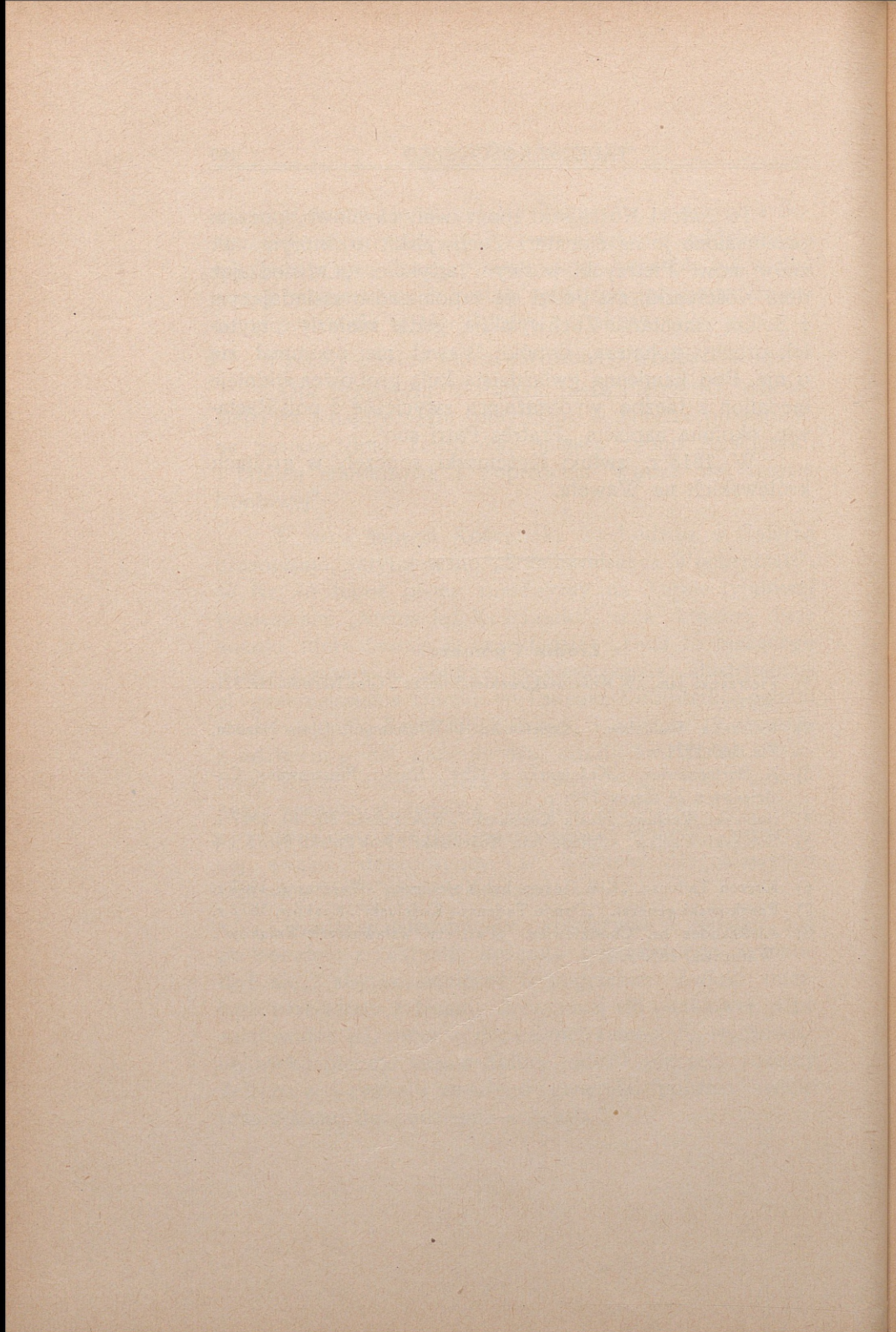
„Dzisiaj w Niedzielę 19 października o godzinie 3-iej po południu z zakrystji kościoła pojezuickiego zgromadzili się..., aby uczestniczyć w pogrzebie. Zwłoki zmarłego przełożono z trumny drewnianej do metalowej, a po zalutowaniu jej, znów w drewnianej zamknięto, wyciskając na wieku pieczęć miasta Solury, odcisk pieczęci rodziny Zeltnerów i sygnetu zmarłego generała, poczem zwłoki przeniesiono do podziemia kościoła.”

Tu zwłoki Kościuszki spoczywały chwilowo, poczem przeniesiono je na cmentarz Zuchwylski, o którym tak znów mówi Pietrzycki w swym artykule: „Odwiedzając dom Kościuszki, nie godzi się zapominać o sąsiadującym z Solurą cmentarzu Zuchwylskim, gdzie znalazły przytułek prochy bohatera, dopóki Wawel nie upomniał się o nie. Pod kamienną gwiazdzistą kulą grobowca widnieje medaljon z rzeźbą, wyobrażającą zwycięzcę z pod Racławic, okoloną napisem „Fratres Patri suo”.

W 1818 r. zwłoki Kościuszki spoczęły w grobach królewskich na Wawelu.

Źródła i pomoce:

- 1) Pietrzycki Jan. „W Kościuszkowskiej Solurze”. Głos Narodu, Nr. 321, 1927 r.
- 2) Kutrzeba Stanisław. „Kościuszkowski Włóczęga”. Głos Narodu, Nr. 140 1924 r.
- 3) K. Bartoszewicz. „Kościuszkowski r. 1794”. Kurjer Ilustrowany Codzienny z 24 marca 1924 r.
- 4) Sobieski Wacław. „Hasła Kościuszkowskie”. Rok Polski. Nr. 10, 1927 r.
- 5) Sobieski Wacław. „Młode lata Kościuszkowskie”. Rok Polski. Nr. 5 i 6 1927 r.
- 6) Korzon Tadeusz. „Kim i czym był Kościuszkowski”. Warszawa, 1907 r.
- 7) Paszkowski generał. „Dzieje Tadeusza Kościuszkowskiego”. Kraków, 1872 r.
- 8) Aleksander hr. Chodkiewicz. „Portrety sławionych Polaków”. Warszawa, 1820 r.



JAN MICHAŁ SAJLER.

1751 — 1832.

W końcu 18-go i na początku 19-go wieku rozszerzył się niemal wszędzie kierunek naukowy zwany: „Oświeceniem”, który szerzył panteizm, racjonalizm, naturalizm, indyferentyzm i ateizm, słowem występował w różnych formach, ale zawsze wrogo przeciw Kościołowi katolickiemu. Z protestantyzmu, w którym miało swe właściwe źródło, „Oświecenie” przedostawało się powoli do katolicyzmu i wyrwało mu wiele jednostek. Znaleźli się wszakże wtedy ludzie, którzy położyli tamę temu ruchowi. W szeregach ich był i Jan Sajler. Urodził się on jako syn ubogiego szewca 17 listopada 1751 r. w Aresingu, wsi kościelnej, diecezji Augsburskiej. Chłopiec wychowywał się w domu swych rodziców, którzy wiedli życie prawdziwie po chrześcijańsku. To też Sajler w późniejszych swych latach rodzinę, z której pochodził, nazywał pierwszą łaską Bożą. Zwłaszcza do matki, będącej już w grobie, zwracał się ze szczególniejszem uczuciem wdzięczności w znakomitej swej książce—„O wychowaniu dla wychowawców”: „Dziękuję Ci, Najdroższa Matko! Po nieskończone czasy będę Twoim dłużnikiem. Tak często widzę Twe spojrzenie, Twą postać, słyszę Twój chód, odczuwam Twe cierpienia, Twe milczenie, Twą dla mnie ofiarność, Twą pracę, Twą błogosławioną rękę. Mam od dzieciństwa w żywej pamięci Twą stałą, a cichą modlitwę. To wszystko było dla mnie jakby życie w wieczności i prawdziwą

religią. Twego obrazu, jaki pozostał w mej pamięci, nie mogła zniszczyć żadna inna myśl, żadna wątpliwość, żadne cierpienia, żaden ucisk, nawet żaden grzech. Żyje jeszcze we mnie to wieczne życie, choć Ty, Matko, rozstałaś się z doczesnością lat czterdzieści z górą”.

Rodzoną również matkę miał z pewnością na myśli, gdy pisał te słowa: „Matka kieruje wychowaniem systematycznie od pierwszych dni życia dziecięcia. Ona jest dla niego we wszystkim pierwszym dostojnym rektorem, bo ojciec ma zajęcia przeważnie poza domem. Ona jest dlań często całym uniwersytetem. Ona jest już to Sokratesem dla swego małego słuchacza, gdy go uczy tworzyć nowe pojęcia, już to Janem, gdy mu ukazuje Chrystusa, już to Marią, gdy mu opowiada o Ojcu, który jest w niebiesiech, już to Anną, gdy uczy młodocianego Samuela modlitwy i posłuszeństwa głosowi Bożemu”.

Gdy matka Sajlera siadywała przy kołowrotku z przędzą i opowiadała dzieje z Historji świętej, tak umiała przemawiać do dzieci, że schodziły się one nawet z sąsiedztwa, aby posłuchać tych ciekawych i interesujących rzeczy. Wśród takich pomyślnych warunków wychowania wzrastał Sajler. A gdy nauczył się w szkole początkowej czytać, pisać i rachować, nauczyciel Seiz, który później ożenił się z jego siostrą i ks. wikary Szymon uczyli go początków języka łacińskiego i zachęcali ojca, aby tak zdolnego chłopca posyłał na dalszą naukę. Mając na uwadze trudności, połączone z tym projektem i własną biedę, ojciec zwykł był na to odpowiadać: „Wszyscy razem jesteśmy za biedni na to, abyśmy mogli się zdobyć na środki opłacenia tak długiej i kosztownej nauki, i trzymał się swego zdania dotąd, aż pewnego dnia cieśla z tej samej wsi, nazwiskiem Rieger, wdał się w tę sprawę i takie o niej wygłosił zdanie: „Nie jestem bogatszy od ciebie, a przecież syn mój uczy się już szó-

sty rok w Monachjum. Sąsiedzie, bądźcie dobrej myśli! Na nadchodzącą Wielkanoc pójdziemy do Monachjum we trzech: ty, ja i twój syn, i on pozostanie w tamtejszej szkole. Bóg mu da życie, a dobrzy ludzie jeść". Czego więc nie mogli dokazać nauczyciel i ks. wikary, tego dokonała życzliwa stanowczość cieśli! W Wielki Czwartek 1761 r. kilkoletni Janek, otrzymawszy błogosławieństwo matki, udał się w podróż do Monachjum razem z ojcem i p. Riegerem. Ten ostatni w drodze udzielił rady, która, zdawało się, nie mogła mieć poważniejszego znaczenia, a jednak, jak się okazało później, była bardzo praktyczna. „Zatrzymaj się, rzekł do swego starszego towarzysza podróży, zatrzymaj się tu, p. Andrzeju, tu przed tym domem i kup parę bekasów. One sprowadzą szczęście twemu synowi. P. Andrzej posłuchał tej rady, wykonał ją i nazajutrz około 10-ej rano trzech pielgrzymi ruszyli w drogę do Monachjum, niosąc z sobą tę parę bekasów. Gdy przyszli na miejsce, odszukali słynnego wówczas pedagoga Traunsteinera, w którego szkole miał Janek pozostać. „Panie profesorze, rzekł do niego ojciec, przyprowadzam Panu mego syna Jasia. Musi Pan być dla niego drugim ojcem i wyuczyć go choć na służącego dla syna jakich bogatych rodziców; za to zostawiam Panu od siebie parę bekasów, a moja żona przyrzekła dla pani Profesorowej trzy pęki konopi". Nauczyciel przyjął ofiarowane mu niezwykle ptaki i przyrzekł, że postara się dla małego o wszystko, co będzie w jego mocy. Wtedy ojciec, udzieliwszy Janekowi odpowiednich rad i wskazówek, zostawił mu całą gotówkę, którą posiadał w kwocie 45 grajcarów; i powrócił wraz z cieślą do Aresingu, bardzo uszczęśliwiony, że poszedł za dobrą radą swego sąsiada.

W pierwszych tygodniach o codzienne potrzeby swego ziomka zatroszczył się młody Rieger, szóstoklasista, który po kilku ciężkich latach, spędzonych w Monachjum,

wiedział, jak sobie biedni uczniowie muszą i mogą tu radzić. Jak dotąd, tak i nadal pukał on codziennie do dobrych ludzi i uzyskanem pożywieniem dzielił się ze swym ziomkiem.

Bekasy wkrótce spełniły swe zadanie i Sajler znalazł się w lepszych warunkach tak, że nie potrzebował korzystać nadal z usług swego kolegi. Stało się to tak: do Traunsteinera pewnego dnia przybył młody Oeker, syn bogatego, a przytem bardzo ludzkiego jeneralnego kierownika mennicy i rzekł: „Proszę mi wskazać najbiedniejszego chłopca, którego mógłbym wziąć w charakterze służącego. Ojciec mój prosi Pana o to”. Wtedy przypomniał sobie nauczyciel historję dwu bekasów i trzech pęków konopi i wskazał Sajlera, jako kandydata na poszukiwanego służącego. Spełniła się w ten sposób przepowiednia cieśli, i te ptaki utorowały chłopcu drogę do jego przyszłej kariery.

Ilekoć razy w przyszłości Sajler, już jako kapłan, bawił w Monachjum, zawsze wstępował do domu Oekierów i u nich gościł, wyrażając swą wdzięczność za to, co od nich zaznał dobrego. Gdy w czasie jednych takich odwiedzin była mowa o drogach Opatrzności, odezwał się Sajler do Oekera: „Po Bogu i dwóch bekasach wszystko zawdzięczam Panu”. Tę historję o bekasach, pełen wdzięczności dla cieśli, często opowiadał do późnej starości. To też, gdy Ludwik, król francuski, po śmierci Sajlera kazał mu, jako głęboko czczonemu przez się nauczycielowi, wystawić pomnik, polecił artyście na postumencie pomnika upamiętnić historję o dwóch bekasach...

W domu dyrektora mennicy Janek dostawał tylko obiady, za co przerabiał lekcje z jego synem. Te warunki miał przez pierwsze 6 lat pobytu w gimnazjum; gdy zaś pani domu postanowiła zaprowadzić w swej gospodarce pewne oszczędności, Janek musiał opuścić tę rodzinę.

Przy rozstawianiu się stary Oeker wsunął mu do ręki dwa dukaty, dodając: „Jeżeli będziesz kiedy w potrzebie, przyjdź do mnie, a nie opuszczę cię nigdy”. Ale Opatrzność nie przestawała opiekować się biednym chłopcem. Jeden z jego kolegów Thalhauser, który później został kapłanem i przez całe życie dochował Sajlerowi szczerzej i serdeczniej przyjaźni, prosił go, aby mu pomagał w lekcjach, a za to zapewnił mu obiady u siebie, kolacje zaś płacił za Janka ówczesny inspektor seminarjum Huber.

Jaś zawsze z niezwykłą pilnością pracował nad książką. Do późnej nocy siadywał nad Cyceronem i Wirgiliuszem, dopiero, jak to często bywało, dopalona świeca przerywała mu to ślęczenie.

W tym samym czasie niemiecka literatura weszła w nową fazę. Klopstock zaczął od roku 1748 wydawać swą „Messjadę”, która wywołała entuzjazm w całych Niemczech i ożywiła wśród zapalnej młodzieży silniejszy pęd do nauki i przyczyniła się do większej muzykalności języka niemieckiego. Pracując pod kierunkiem tego dzielnego nauczyciela, zapoznał się Sajler z najnowszymi literackimi publikacjami i tym sposobem przygotował sobie grunt pod przyszłą sławę pisarską.

Duch wśród młodzieży był wówczas dobry tak, że wielu z nich nawet nie miało pojęcia o takich wykroczeniach, w które wpadają inni młodzi ludzie. Zresztą łatwo się pojmie przyczynę tego, gdy się zwróci uwagę, jak poważnie ówczesna monachijska młodzież traktowała życie religijne. Nietylko codziennie słuchali wszyscy uczniowie wraz ze swym nauczycielstwem Mszy św., ale wieczorem nawiedzali Najświętszy Sakrament, a dzień każdy kończyli wspólną modlitwą. Religję wykładano nietylko na specjalnych lekcjach, lecz uwzględniano jej ducha również przy tłumaczeniu klasycznych dzieł i wogóle przy wszystkich przedmiotach. W czasie studjów Sajler przez

wiele lat przechodził ciężką walkę z bardzo męczącymi go skrupułami. Choć ciężkie były dla niego te wewnętrzne przeżycia, miały jednak tę dobrą stronę, że go ustrzegły przed pewnymi niebezpieczeństwami, którym młodzież ulega często, i że nabrał doświadczenia do kierowania innymi.

Sam opisuje te walki bardzo poglądowo: „W latach moich młodych od 12-go do 16-go roku, gdy mnie wprost porywała nauka języków klasycznych i klasyków łacińskich i pochłaniała prawie całą moją istotę, zacząłem doświadczać nieznanym mi wcale moralnych cierpień, które uderzyły na mnie z całą siłą i były jakby zbawienną przeciwwagą na zbytnią radość, którą dawała mi pogańska sztuka i nauka. Wzrastałem dotąd w bojaźni Bożej i w nieskalanie zachowanej niewinności. Wtem naraz straciłem w najważniejszej sprawie wskazówkę zdrowego sądu i uczułem się niezdolnym uspokoić zatrwożone sumienie na myśl o grzechu, choćby najmniejszym. Widziałem wtedy obrazę Bożą tam, gdzie jej naprawdę nie było, powszedni grzech oceniałem jako ciężki i jak mały dzieciak nie mogłem wydać sądu ani o obowiązującym prawie, ani o grzechu, ani o pokucie, ani o prawdzie. Całe moje wewnętrzne życie, to były tylko same wątpliwości sumienia. Ten stan zwątpienia wyrył we mnie przepaść bojaźni i trwogi, w którą coraz bardziej pogrążała mnie każda spowiedź, każda Komunia, każda modlitwa, każdy rachunek sumienia, każde kazanie. Byłem wprost chory. Wszelkie choroby, o których usłyszałem, odczuwałem natychmiast w sobie”.

„Dopiero po czterech latach znalazłem jasną gwiazdę, światłego kierownika mego sumienia, który swoją miłością zawładnął moim sercem, a spokojem, który widniał na jego twarzy, uspokoił wewnętrzną burzę. Samo spojrzenie jego oczu, słowo w jego ustach, sama niemal nawet po-

stawa, na którą patrzyłem, ujarzmiła mego „szatana” niepokoju. Powoli zacząłem mu wierzyć, ufać i słuchać: sumienie przestało mnie oskarżać, uczułem się znów szczęśliwym dzieckiem na łonie Opatrzności, obowiązane do słuchania tego ducha opiekuńczego”.

„Tej cichej rozkoszy wewnętrznego pokoju zażywałem bez przerwy przez wiele lat i starałem się być wiernym głosowi sumienia. Zdawało się, że to trwać będzie zawsze. Lecz, niestety, niema stałego szczęścia na ziemi. Wątpliwości sumienia wprawdzie zginęły, lecz jakby z poza góry wydostały się nowe udręczenia w zmienionej formie, w postaci powątpiewania w wierze i prześladowały mnie, jak straszliwe widmo, które snuło się za każdym moim krokiem i jakby jędza z zapaloną pochodnią pędziła przed sobą zbiega. Największą wątpliwością, która najbardziej wstrząsała mą wiarą ta była: wierzysz w Chrystusa, bo Apostołowie ogłosili Go, jako Syna Bożego i Odkupiciela świata. A jeżeli sami Apostołowie błędzili, czy nie wprowadzili w błąd innych? Ten, sam w sobie prawie nic nieznaczający zarzut, dla mnie subiektywnie miał niezmiernie wielkie znaczenie, był ciężkim kamieniem, który mi spadł na serce i omal, że go nie zdławił”.

Ze swemi trudnościami Jan zwierzył się pewnemu amerykańskiemu misjonarzowi, który, bawiąc wtedy w swej ojczyźnie, doskonale rozwiązał mu każdą wątpliwość, i znów powrócił mu spokój wewnętrzny.

Po skończeniu gimnazjum Sajler postanowił obrać dla siebie stan zakonny i w jesieni w 1770 roku wstąpił w Landsbergu do nowicjatu Towarzystwa Jezusowego. Tu, jak sam mawiał później, poświęcił się najświętszej z nauk, mianowicie—umiejętności świętych. „Przeżywałem, pisał razu pewnego do przyjaciela, w nowicjacie w Landsbergu prawie rajskie życie. Rozważanie wieczności, miłość Pana Boga i nabożeństwo, którego treścią jest jedno

i drugie, to, prawdziwie wyższe życie było mi nagrodą tamtych lat". Lecz ten szczęśliwy nastrój nie trwał długo. Wtedy bowiem został skasowany zakon Jezuitów, i Sajler znów znalazł się poza murami klasztoru.

W roku 1773 udał się do uniwersytetu w Ingolstadium na studia filozoficzne i teologiczne, gdzie trwały wpływ wywierał na niego profesor Benedykt Stattler, były Jezuita. Jemu zawdzięczał, jak sam to stwierdzał później, wszystko czem jest i co posiada. Po przyjęciu w r. 1755 kapłańskich święceń w katedrze Eichstatskiej, blisko 60 lat pracował w Ingolstadium, Dillingen i Landshucie jako profesor, jako wychowawca młodzieży, jako bardzo poszukiwany kierownik sumień i płodny pisarz, a zawsze i wszędzie z jednakową gorliwością dla zdobycia królestwa Bożego.

O działalności nauczycielskiej Sajlera pisze sławny jego uczeń Krzysztof Schmid: „Ucząca się młodzież porównywała jego wygląd z wiosennem słońcem, które wszystko na nowo ożywia. Jego wspaniały wykład w pięknym języku, podniosły zapał do świętych spraw, serdeczny ton, wszystko to zapalało słuchaczy i uczniów”.

Liczne jego dzieła wydane zostały w 41 tomach. W roku 1821 król Maksymilian I powołał go na katedralnego kanonika w Regensburgu, gdzie następnie w roku 1829 objął Sajler stolicę biskupią, na której zdziałał bardzo wiele. Umarł 20 maja 1832 r.

KLEMENS MARJA HOFBAUER.

1751 — 1820.

Klemens Marja Hofbauer był przez Boga wybranym narzędziem do rozkrzewienia na północy Europy zakonu Redemptorystów, założonego przez św. Alfonsa Liguorego, a także jednym z najszcześniejszych bojowników o pogłębienie kościelnego życia.

Przyszedł na świat 26 grudnia 1751 r. w Taszowicach, na Morawach, jako ostatnie z dwunastu dzieci biednej rodziny i został ochrzczony tego dnia według obrządku kościoła katolickiego, którego później stał się silną podporą.

Pobożni rodzice wychowywali Klemensa zawsze w bojaźni Bożej i w czystości serca; szczególnie matka czuwała nad tem, by chłopiec wzrastał w cnocie i pobożności, czego mu dawała przykład własnem życiem. Ojciec Klemensa umarł bardzo wczesnie, gdy chłopiec miał 7 lat wszyskiego. Wtedy matka zaprowadziła Klemensa pod krucyfiks i tak mu powiedziała: „Oto Ten jest teraz twoim Ojcem; pamiętaj dobrze, żebyś wszedł na drogę życia, która Jemu się podoba”. Dziecię zachowało głęboko w sercu te słowa matki i do nich stosowało się przez całe życie.

Jakże się cieszył mały Klemens, gdy mógł iść z matką do kościoła, a bardziej jeszcze, gdy później usługiwał przy ołtarzu!

Różaniec, za pośrednictwem którego dla późniejszej swej działalności wypraszał tak wiele łask niebieskich, był dla niego, już jako małego chłopca, najmiłą modlitwą. Każdą sobotę uważał za dzień dla siebie świąteczny i wtedy starał się Matce Najświętszej oddać większą cześć, niż w inne dni; wtedy pościł surowo od rana do wieczora, a pokarmy, jakich sobie odmawiał, zanosił ubogim. Ponieważ modlitwa była dlań najprzyjemniejszą chwilą, przeto nie mógł zrozumieć, dlaczego nie wszyscy ludzie w niej odczuwają rozkosz. Gdy wraz z matką razu pewnego spotkał krewnych, którzy szli na spacer i mówili, że chcą trochę czasu spędzić swobodniej, Klemens z całą prostotą zapytał swą matkę: „Co to znaczy czas spędzać?” Na to usłyszał odpowiedź: „Gdy kto niema nic do roboty, temu się dłuży czas i szuka sposobu, aby czas ten sobie skrócić; idzie wtedy na spacer, lub na jaką rozrywkę, albo szuka miłych przyjaciół, aby z nimi pogawędzić. To, dziecię, znaczy czas spędzić”. Spojrzał wtedy chłopiec na matkę wielkimi oczyma i rzekł: „Gdy ludzie nie mają co robić, czemu się nie modlą wtedy?”

Jednak przy swej pobożności Klemens bynajmniej nie był jakimś ponurym świętoszkiem, bo przecież prawdziwa pobożność jest najobfitszym źródłem głębokiej radości i wesela ducha. Pracę umiał bardzo dobrze godzić z modlitwą, a wynik tego był taki, że w szkole był najpilniejszym i najlepszym uczniem.

Gdy, jako czternastoletni chłopiec, skończył powszechną szkołę, najbardziej pragnął oddać się dalszej nauce, lecz matka z powodu swego ubóstwa nie mogła się zdobyć na koszt, musiał przeto iść do Znaim, by się tam nauczyć piekarstwa. Bóg to sprawił, że Klemens i tu

trafił na prawdziwie religijną rodzinę, w której majster i majstrowa nie tylko sumiennie uczyli go piekarstwa, ale troszczyli się również o jego stronę moralną. Klemens, jako pobożny terminator, za tę miłość odpłacał się pilnością w pracy i skrupulatną sumiennością.

Praktykę piekarską zakończył przed umówionym trzechletnim terminem i musiał teraz odbywać zwykłą wędrówkę czeladniczą. Z ukrywaną, ale zawsze żywą nadzieją w sercu, że jeszcze spełni się jego marzenie dojścia do kapłaństwa, prosił w kolegium Premostratensów w Bruks o przyjęcie go tam w charakterze piekarczyka. Ponieważ opatowi podobała się ta skromność, która uwydatniała się w jego oczach i całej postaci, przeto przyjął go na piekarza do klasztoru. Jak się okazało, Hofbauer przybył do Bruck w takim czasie, kiedy mieszkańcy tego miasta bardzo potrzebowali pomocy i serc litościwych. Siedmioletnia wojna wywołała nędzę nie do wytrzymania w najbardziej oddalonych okręgach i trwała przez całe następne lata. Szczególniej w Czechach panował głód wielki. Przychodziło wtedy nieraz 900 osób do furty klasztornej w Brucku, by się tam pożywić. Dniami i nocami, bez żadnego wytchnienia Klemens wypiekał chleb i sam często nie jadał, żeby razem z żebrzącymi zaznać głodu.

Pracując w piekarni, jednocześnie ze świętą zazdrością spoglądał na uczącą się młodzież klasztorną, bo widział jej szczęście w tem, że mogła się uczyć. Odczuwał coraz żywsze pragnienie do wyższego wykształcenia i do kapłaństwa. Tych pragnień nie mógł tać długo. Zdobył się na odwagę i prosił opata, aby mu dał jaki urząd w kolegium, któryby mu dawał możność jednocześnie uczęszczania do miejscowej szkoły klasztornej. Opat przychylił się do tej prośby, zrobił go pokojowym i kredensowym. W tych warunkach Klemens mógł siadać na ła-

wie z szóstoklasistami *). Wprawdzie „uczeń—służący”, jak nazywano Hofbauera, musiał znosić od swawolnych malców wiele drwinek, ale to bynajmniej go nie zniechęcało.

W tym czasie przybył do Brucku jego krewny, Jan, pochodzący z wieśniaczej rodziny, który już skończył naukę i został kapłanem. Jan przyjechał tu, aby wyżej się kształcić. Spotkawszy się z Klemensem, drwił z jego nauki, rozpoczętej tak późno i prowadzonej w takich niekorzystnych warunkach. Lecz Klemens na to wszystko nic się nie odzywał, a gdy mu Jan co chwila chciał imponować swoją uczonością, powiedział mu poważnie i po przyjacielsku: „Obok pracy książkowej, módl się więcej, inaczej wszystkie twoje zabiegi mogą się źle skończyć”. Jak słuszną była ta przestroga, dowiodła tego smutna

*) Ponieważ w tłumaczonych sylwetkach spotyka się nazwa klas gimnazjalnych, odmienna od tej, która jest tu u nas przyjęta dlatego, żeby nie wyjaśniać w każdym pojedynczym wypadku, tu zaznaczamy, że organizacja szkół w Niemczech była następująca:

Najniższa klasa nazywała się sexta. Później szły quinta, quarta, untertertia, obertertia, untersecunda, obersecunda, unterprima, oberprima. Klas było dziewięć tak w gimnazjach, jak i w szkołach realnych. Oprócz tego klasy przygotowawcze były: nona, octava i septima. Z septimy wchodziło się do sexty bez egzaminu.

W porównaniu do szkół naszych nazwy te były w takim stosunku:

nona	}	to trzy wstępne przygotowawcze klasy do średnich naukowych zakładów.
octava		
septima		
sexta - - -		1 klasa
quinta - - -		2 „
quarta - - -		3 „
untertertia -		4 „
obertertia -		5 „
untersecunda		6 „
obersecunda		7 „
unterprima -		8 „
oberprima -		9 „

przyszłość. Jan został wprawdzie profesorem uniwersytetu, ale jego pisma władza kościelna musiała wciągnąć na indeks książek zakazanych, gdy tymczasem prosty i pobożny Klemens wprowadził tysiące dusz do nieba, a wkońcu został sam zaliczony w poczet świętych.

Gdy Klemens skończył w Bruck tę szkołę, obejmującą cztery gimnazjalne klasy, ujrzał znów zamkniętą przed sobą drogę do nauki. W szkole tego zakładu nie mógł się dalej uczyć, bo już skończył całą, na dalszą naukę nie miał pieniędzy, nadto wobec dwudziestu pięciu lat życia był już za stary do średniego naukowego zakładu. Postanowił z tych względów powrócić do piekarskiego pieca. Zanim jednak to zrobił, udał się na samotnię i tam urządził sobie pustelnię w pobliżu kościoła w Mühlfrauen, miejscowości licznych pielgrzymek. Tu z uczuciem szczęścia przebył rok wśród modlitwy i rozmyślenia, wśród pracy i postów. Ale ówczesny wiek „Oświecenia” nie pojmował takich praktyk pobożności; życie pustelnicze było zabronione przez rządy, przeto Klemens musiał się znów wziąć za kij wędrowny. Ponieważ zdawało mu się, że coraz bardziej ucieka przed nim kapłaństwo, wrócił znowu do piekarni i postanowił w stołecznym mieście—Wiedniu szukać szczęścia.

W roku 1778 po raz pierwszy znalazł się biedak w naddunajskiej stolicy. Napewno wtedy nie myślał, że kiedyś będzie mówił o nim cały Wiedeń, gdy zostanie jego apostołem. Pracę znalazł zaraz u piekarza „Pod żelazną gruszką”, naprzeciw klasztoru Urszulanek, w których kościele apostołował później, gdy został kapłanem.

Mimo pracy w piekarni, o ile mu czas na to pozwalał, modlił się w tym kościele przed Najświętszym Sakramentem. Oprócz tego bywał codziennie w katedrze św. Stefana albo w kościele Zbawiciela na Mszy św., gdzie, jako ministrant, budował swą popożnością wszystkich obecnych.

W ciągu trzech lat pobytu w Wiedniu tyle zrobił oszczędności, że razem z drugim czeladnikiem piekarskim Piotrem Kunzmannem, z którym zaprzyjaźnił się serdecznie, udał się do Rzymu. To było jego marzeniem. Teraz znów odczuł tęsknotę do kapłaństwa.

Miasto Wieczne zatarło w jego umyśle urok, jaki miał dotąd dlań Wiedeń.

W Rzymie widział wspaniałe nabożeństwa, bogato przystrojone ołtarze i z przepychem urządzone procesje, a w wiedeńskich kościołach wszystko to wyglądało inaczej. Dzięki józefińskim despotycznym rządóm klasztory były poznoszone, nawet III-ci Zakon św. Franciszka rozwiązany i zabronione wszelkie bractwa. Z ambony słyszało się tam zamiast pięknej katolickiej nauki wiary, beztreściwe aż do znudzenia krasomówcze ogólniki o humanitaryzmie i wszechludzkiej miłości. Gdy zaś w r. 1762 sam papież Pius VI nawiedził Wiedeń i od ludzi wtajemniczonych w istotny stan rzeczy usłyszał tylko same żale na smutne położenie Kościoła, kazał pozostać Hofbauerowi w Wiedniu, by tam robił wszystko, co się da, dla sprawy Bożej. Tu dawny przełożony Klemensa piekarz „Pod żelazną gruszką” tak pokochał swego czeladnika, że nie chciał go puścić od siebie, podsuwał mu myśl ożenienia się ze swą jedynaczką, którą mu oddawał wraz z własną firmą piekarską. Lecz ten nie przyjął propozycji, bo czuł się powołanym do innego zawodu, przeto po raz drugi udał się za Alpy z przyjacielem Kunzmannem. Gdy przebyli kilka miesięcy w Rzymie, udali się do Tivoli, by uzyskać od biskupa tego miasta pozwolenie na urządzenie w jego diecezji pustelni. Po należytem zbadaniu sprawy wyraził biskup swą zgodę na ich prośbę i sam ich nawet oblekł w ubranie pustelnicze. Teraz znów wróciły dla Klemensa szczęśliwe chwile modlitwy i duchowej pracy nad sobą.

Nie ucichło w nim wszakże pragnienie kapłaństwa, owszem wzmagало się coraz silniej w jego duszy.

Znów puścił się w drogę, by zpowrotem dostać się do Wiednia. Tu ponownie pracował jako czeladnik piekarski i chętnie usługiwał kapłanowi u ołtarza w katedrze św. Stefana. Swe powołanie i swą przyszłość złożył w ręce Boże, bo sam nie mógł nic więcej zrobić w tym kierunku. Bóg istotnie sprawił, że Klemens doszedł do celu. Trzy znakomite damy, które uczęszczały regularnie na Mszę św. i które od dłuższego czasu zwracały uwagę na tego pobożnego ministranta, dowiedziały się o jego marzeniu i ofiarowały mu środki na naukę.

Można sobie wyobrazić, z jaką radością i wdzięcznością przyjął Klemens tę wiadomość. Miał już wtedy 32 lata. Nauka w tym wieku szła mu ciężko, ale silna wola i pragnienie kapłaństwa pomogły mu przezwyciężyć wszelkie trudności. Dzień i noc siedział nad książką, a gdy opanowywało go zmęczenie, brał książkę w jedną rękę, palącą się świecę w drugą i, aby nie zasnąć, uczył się, chodząc tam i zpowrotem po pokoju. Niedziele wyłącznie i całkowicie poświęcał na służbę Panu Bogu i pobożne praktyki. Trzeba zauważyć, że był to czas niebezpieczny dla studentów, bo profesorowie, zamiast wyklądać istotną i jasną naukę prawd wiecznych, raczej zaciemniali takową płytkimi rozumowaniami. Wyszło teraz na dobre Klemensowi, że już dawno opancerzył swego ducha przeciw zasadzkom tego świata przez modlitwę, rozmyślanie i umartwienie i że wzmocnił go przeciw niewierze. Odwykł również liczyć się ze względami ludzkimi. Gdy pewnego razu profesor filozofii wygłaszał błędy w rzeczach religii i wyklądał naukę, która nie zgadzała się z głównymi zasadami Kościoła, podniósł się Hofbauer i rzekł ze świętą powagą i budującą prostotą: „Panie profesorze, Pan mówi nie po katolicku” i wziął zaraz czapkę, ukłonił się profesoro-

rowi i opuścił salę. Profesor był początkowo wzburzony tem zajęciem. Ale nie pozostało to bez dobrego skutku. W przyszłości nie słyszano z ust jego nic podobnego i gdy po paru latach wypadkowo spotkał Hofbauera na ulicy w Wiedniu, odezwał się doń: „Coś mi Pan wtedy powiedział, narazie sprawiło mi gorycz, ale później spostrzegłem, że Pan miał rację i teraz, drogi Panie Hofbauerze, dziękuję za to Panu serdecznie”.

Łagodnem swem sercem Hofbauer znów zyskał sobie w tym czasie wiernego przyjaciela w osobie Tadeusza Hübla z Czech, z którym połączył się węzłem przyjaźni aż do śmierci. Stało się to tak: pewnego razu spostrzegł Klemens karteczkę przybitą do drzwi kościoła św. Stefana; tą drogą jakiś student szukał dla siebie zajęcia. Klemens domyślił się, że student musi być w dużej biedzie, odszukał go i wkrótce przekonał się, że jest to utalentowany, dzielny młody człowiek, którego wkrótce pokochał. Poleciał go owym trzem dobroczynnym paniom i te dopomogły Hüblowi do ukończenia studjów.

Żeby zostać kapłanem w Austrii, Hofbauer musiał wstąpić do józefińskiego jeneralnego seminarjum, ponieważ jednak bał się, że z takiego zakładu wyjdzie kapłanem o duchu Jansenjusza lub Febronjusza, nie zastanawiał się zbyt długo, co począć dalej. Wprawdzie kochał Austrię tak, jak dobre dziecko kocha swój dom rodzinny, lecz od ziemskiej ojczyzny droższą mu była niebieska, której osiągnięcie nie chciał wystawić na niepewną grę. Zdecydował przeto udać się do Rzymu po raz trzeci i tam studjować teologję. Ponieważ dotąd zaznawał wyrażnej opieki Opatrzności, nie tracił więc nadziei na przyszłość. Hübl nie miał odwagi wyciągać ręki do pań, o których mu mówił Klemens, przeto po namyśle poszli do nich razem. Gdy otrzymali od swych dobrodziejek pieniądze na drogę, udali się we wrześniu 1784 r. do

Wiecznego Miasta. Po przybyciu do Rzymu namyślali się, w którą stronę skierować swe kroki. Umówili się wieczorem, że nazajutrz najpierw pójdą do tego kościoła, z którego najprzód usłyszają głos dzwonu. Rano usłyszeli pierwsze dzwony w kościele Redemptorystów, tam przeto udali się i byli na całym nabożeństwie. Po nabożeństwie spotkał Klemens u drzwi kościelnych małego ministranta i zapytał go, co to są za kapłani, którzy się modlili w chórze? Na co usłyszał odpowiedź: „To są kapłani Zgromadzenia Najświętszego Odkupiciela, a Pan będzie jednym z nich”, dodał chłopiec. Te słowa tak silnie wstrząsnęły Hofbauerem, że za parę godzin stanął przed rektorem z prośbą o przyjęcie go do zakonu. Rektor przyjął go przychylnie. Uradowany Hofbauer pobiegł do mieszkania, aby skłonić przyjaciela Hübla do takiego samego kroku. Ten jednak tak był tem nagle zaskoczony, że początkowo stawiał opór. Wtedy Hofbauer całą noc strawił na modlitwie, a skutek był taki, że Hübl nazajutrz również zwrócił się z prośbą do przełożonych tegoż zakonu i został przyjęty. W 1785 r. Klemens przyjął kapłaństwo i wtedy dopiero uczuł się prawdziwie zadowolonym i szczęśliwym.

Od 1786 r. ten nadzwyczajny kapłan pracował w Warszawie i zbierał obfite żniwo swego posiewu. Pozbawiony wszelkich ludzkich środków, założył w rozmaitych miejscach domy zakonne, nadto w Warszawie powołał do życia dom dla sierot i zaprowadził znakomite szkoły. Pierwszy klasztor Redemptorystów na gruncie niemieckim powołał do życia 1802 r. w okolicy Szaffus. Gdy w 1808 r. został przez rząd pruski wypędzony z Warszawy, udał się do Wiednia, gdzie około siebie skupił niemal całe katolickie życie i wydzwignął je z józefińskiego upadku. Jego ojcowska miłość pociągała, jak magnes, mnóstwo młodych ludzi ze sfery robotników, studentów uniwersytetu, medyków i teologów, w których wlewał zamilowa-

nie do czystości obyczajów i zapął do wiary katolickiej. Urządzał dla nich wieczorami na ten temat rozmowy proste w formie, a głębokie w treści. Obcując z nim, wzmocnili się na duchu najwybitniejsi konwertyci, jak: Adam Müller, Zachariasz Werner, Fryderyk Schlegel ze swoją żoną Dorotą i ich synowie Jan i Filip, Vejt, Fryderyk Schlosser i jego bardzo wykształcona żona Zofja, J. C. Veith i wiele innych osób. Na skutek jego wysiłków, podniosła się również religijna katolicka literatura. Usiłowania Wassenberga na Wiedeńskim kongresie oderwania katolickiego Kościoła w Niemczech od Rzymu—Klemens zniszczył swym wpływem. 15 marca 1820 roku Hofbauer zakończył życie, w 1880 r. został ogłoszony błogosławionym, a 20 maja 1909 r. świętym.

KRZYSZTOF SCHMID

1768 — 1854.

Róża z Tannenburga“, „Jaja Wielkanocne“, „Genowefa“, „Koszyczek kwiatów“, „Wieczór Wigilijny“, Henryk z Eichenfels“, „Dobry Frydolin i zły Dietrich“ oto tytuły, które przypominają najpiękniejsze lata dzieciństwa każdego człowieka. Kto czytał te utwory, musiał myśleć o ich autorze, który porusza i podnosi ducha swemi wspaniałemi opowiadaniem, pisanemi prawie wyłącznie dla młodzieży.

Krzysztof Schmid zostawił wspomnienia własnego życia, wobec tego łatwo da się odtworzyć jego młodość. Z jego słów własnych możemy wnioskować, dlaczego on sam później pisze tak serdecznie o młodości i umie nadać odpowiedni ton utworom, przeznaczonym dla dzieci.

„Najmilsze wspomnienia z lat mego dzieciństwa, tak sam mówi w swych wspomnieniach, mam o rodzinnym domu. Urodziłem się w Dinkelsbühl 15 sierpnia 1768 roku. Ojciec mój nazywał się Fryderyk Schmid, matka Teresa Hartel. Ojca mało widywaliśmy w godzinach dziennych, bo w lecie chodził do biura o 4 rano, zimą o 6, o 12 przychodził na obiad, niekiedy zaś, gdy miał więcej zajęć, o 1 lub 2. Wieczorem wracał do domu o 6 i czas po kolacji poświęcał całkowicie dla nas dzieci. Sprawdzał wtedy, czegośmy się tego dnia nauczyli w szkole. Czas wspólnie wówczas spędzany—był dla nas pożyteczny, a zarazem przyjemny, bo ojciec opowiadał nam o wielu rze-

czach bardzo zajmująco, serdecznie i z dużym uczuciem. Najmilej słuchaliśmy epizodów z historii biblijnej. Wiele z tych faktów pozostało mi dotąd w pamięci. O głębokiej czci, jaką miał ojciec względem religii, świadczą domowe praktyki, które wprowadzał w życie po wspólnym porozumieniu się z matką. Przed i po jedzeniu jedno z nas zawsze na głos odmawiało modlitwę: „Oczy wszystkich zwrócone są na Ciebie, a Ty dasz im pokarm czasu odpowiedniego“. W Wielkim Poście co wieczór opowiadał nam ojciec o jednym ze szczegółów męki Zbawiciela, czym często pobudzał nas do łez serdecznych, których następstwem było to, że, oburzeni na prześladowców Chrystusa, wykluwaliśmy im na obrazach oczy. Matka nasza wyjątkowo rozsądnie i taktownie kierowała sprawami domowymi, poza którymi nie podejmowała się innych zajęć. Była niezmordowana w pracy i nigdy jej nikt nie widział beczynnej. Przyzwyczajała nas zawsze do jedzenia wszystkiego, co nam podano. „Trafiąją się, mawiała matka, dorośli, którzy nie jadają jużto mięsa, jużto jarzyn, np. kiszonej kapusty, która przecież jest zdrowa i t. d. Takie zachowanie się przy stole nie świadczy o karnym wychowaniu i przynosi rozmaite szkody samym grymaśnikom“. W ciągu dnia nic nie dostawaliśmy do jedzenia poza śniadaniem, obiadem, podwieczorkiem i kolacją. Na ten temat ojciec zwykł był mawiać: „Dzieci, które wśród dnia otrzymują wszystko, na co mają ochotę, stają się skłonne do łakoci i lekceważą zwykłe, codzienne pożywienie. Kiedyś w życiu im samym będzie nie łatwo i dla drugich będą ciężarem“. Pewnego razu w zimie, gdy było bardzo mroźno, musiał się nasz ojciec udać do miasteczka Thannhausen w Ries, odległego o dwie godziny drogi od Dinkelsbühl. Tam zachorował, o czym zaraz doniósł matce w kilku słowach tamtejszy proboszcz. Matka pojechała natychmiast sankami, zarządziwszy przedtem, by po-

prosić naszego domowego lekarza, aby bezzwłocznie przybył do Thannhausen. Ten pojechał dopiero następnego dnia; powróciwszy po południu, zakomunikował nam, że choroba jest bardzo niebezpieczna i że choremu trudno będzie przyjść do zdrowia. Jakie przerażenie spowodowała we mnie i w całym rodzeństwie ta wiadomość i jak bardzo byliśmy pomartwieni, trudno to wyśłowić. Pobiegłem do wielkiego parafialnego kościoła, w którym była ciemna kapliczka, a w niej mały obrazek Matki Bożej Bolesnej, trzymającej na swym łonie zmarłego Jezusa. Upadłem na kolana przed ołtarzem, modliłem się bardzo gorąco i z taką serdecznością, jak jeszcze chyba nigdy w życiu. Wtedy naraż rozjaśniło się w mem zasmuconem sercu i niewypowiedziane radosne uczucie napełniło całą moją istotę. Byłem mocno przekonany, że ojciec wyzdrowieje. Z rozradowaniem i wdzięcznem sercem podziękowałem P. Bogu i opuściłem kościół. Wtedy współkoledzy zaprosili mnie tego wieczoru, bym się z nimi sankował, dziwili się wszakże, gdym przyszedł do nich. Pewien młody człowiek, który praktykował w naszym biurze, odezwał się wówczas pod moim adresem: „Jak można być tak wesołym wtedy, gdy ojciec jest ciężko chory?” Odpowiedziałem na to spokojnie: „Ojcu już jest lepiej”. — „Skąd wiesz o tem, zapytał mnie ten sam jegomość, bo doktor twierdzi zupełnie co innego?” Dałem na to krótką odpowiedź: „Wiem to napewno”, nie mając zamiaru objaśniać, skąd mam tę pewność. Na drugi dzień powróciła matka z radosną istotnie nowiną, że wczoraj wieczorem ojcu zrobiło się lepiej, że ma tego rana wstać i czuje się dosyć dobrze tak, że rozpocznie wkrótce swe czynności. To zdarzenie pamiętam dotąd, a w późniejszych ciężkich dniach mego życia było mi jasną gwiazdą i dowodem, że Bóg wysłuchuje pobożnej modlitwy, jeśli ta nie sprzeciwia się Jego świętej woli.

Ani ja, ani mój brat Józef, nie uczęszczaliśmy do powszechnej niemieckiej szkoły, która była przepełniona, metoda nauczania pozostawiała tam wiele do życzenia, ponieważ tamtejszy nauczyciel uczył poza godzinami szkolnymi synów i córki radców, urzędników i zamożniejszych obywateli miejskich, więc i nas oddano do niego na naukę. My obaj bardzo prędko nauczyliśmy się czytać, bo w tem dużo dopomagał nam ojciec w domu; z pisaniem szło nam również dyszyć dobrze. Początków języka łacińskiego uczył nas karmelita Adrjan, który miał opinię uczonego. Był to nasz krewny, więc chętnie uczył nas codziennie po parę godzin. Ksiądz Adrjan był jednocześnie organistą przy kościele klasztorным. Na organach ślicznie grał fugi. Kaligrafował bardzo pięknie i ozdobnie. Łaciński język posiadał doskonale, pisał nawet łacińskie wiersze, które mój ojciec chwalił bardzo. Lecz o jego metodzie nauczania niewiele można powiedzieć korzystnego. Trzymał się zwykłego, wtedy jeszcze panującego sposobu, który bez różgi nie umiał sobie radzić. Za każdy błąd językowy otrzymywaliśmy po dwie „łapy” w rękę różgą leszczynową. Z bojaźni i ze strachu przed karą robiliśmy błędów jeszcze więcej, niż zwykle. Przyszedł mu wtedy pomysł do głowy bić nas w podeszwy na sposób turecki. Ponieważ jednak przy swej uczoności nie bardzo znał się na sprawach życiowych, nie kazał nam zdejmować butów do tej operacji; grube przeto podeszwy obuwia chroniły nas od wszelkiego bólu. Mimo to wrzeszczeliśmy przeraźliwie tak, jakby te różgi wymierzane w skórzane podeszwy, bolały nas bardzo. „Aha! mawiał wtedy, dobrałem się wam do skóry, teraz nauka z pewnością pójdzie lepiej”. Istotnie, szła lepiej, bośmy się nie bali bicia i mniej robiliśmy błędów. Ale nie zawsze szło nam dobrze. Znów przeto bił nas temi różgami po rękach. Wśród bicia, wyzwisk i płaczów mijał czas bezpożytecznie, a nawet z naszą krzywdą.

Gdy nas surowo zwymyślał i doskonale wybił, wtedy zaczął się obchodzić z nami po przyjacielsku. „To już tak musi być, mawiał wtedy, bo królestwo niebieskie gwałt cierpi. Nazywałem was często stokfiszami nie dlatego, jakobyście wcale nie mieli głowy, jak te ryby, które do nas się dostają bez głowy, boć z bezgłównymi chłopcami nie zrobiłbym ani kroku naprzód, lecz nazywam was tak dlatego, że chłopców trzeba obić, opukać jak stokfisz, żeby z nich coś było dobrego”; potem O. Adrian dawał nam piwo, chleb, ciastka, świeże owoce i konserwy owocowe. Wprawdzie, muszę powiedzieć, że chociaż jako profesor—obchodził się z nami okrutnie, bynajmniej nie mieliśmy do niego żadnej nienawiści. Ojciec Adrian zapewniał nas często, że tak musi postępować, bo inaczej język łaciński nie wszedłby do głowy chłopców i że sam, jak twierdził, był jeszcze surowiej karany. Uwierzyliśmy w to święcie. Przy nauce innych przedmiotów nie używał surowej metody bicia. Wtedy kij, jak go nazywał bakulus, nie był w robocie, a nawet często nam dawał jakieś prezenty, zwłaszcza, gdy był z nas zadowolony. Szanowaliśmy go i czcili za jego pobożność. Jakże serdecznie, jak czule zachęcał nas do modlitwy i przestrzegał nas przed każdym najmniejszym grzechem! Spostrzegliśmy, że prawdziwą troską jego serca było to, żebyśmy zawsze byli pobożnymi. My, dwaj bracia, przy tej metodzie zbyt gorliwego nauczyciela i przy jego sposobach nauczania, o których bezcelowości przekonałem się później, nauczyliśmy się dużo więcej, niż można było się spodziewać, ponieważ nasz ojciec w czasie postu, po kolacji, rozmyślał o męce Pańskiej z łacińskiej książki. Raz zająrzałem do niej przez ciekawość. „Rozumiesz co z tego?” zapytał mnie.—„Tak, coś niecoś, odpowiedziałem, ale nie wszystko”.—„Spróbujemy”, odrzekł i kazał mi czytać i tłumaczyć na niemiecki. Szło nieostatnio, ale przy częstej pomocy ojca i podsu-

waniu mi znaczenia wielu wyrazów. Od tego czasu razem czytywaliśmy rozmyślanie co wieczór i rozumiałem coraz lepiej. Gdyśmy skończyli pierwszą połowę książki, z drugiej połowy rozumiałem prawie już wszystko. W tym czasie założono w mieście szkołę z łaciną pod kierunkiem tamtejszego proboszcza. Rodzice posłali mnie do niej, na co się bardzo chętnie zgodził ojciec Adrian, który nie miał wielkiego zamiłowania do nauczania młodzieży. Tu już nie było mowy o biciu za błędy językowe, bo proboszcz widział dobrze, żeśmy byli przemęczeni przerabianiem lekcji i żeśmy sami odczuwali wstyd za popełniane błędy. Razu pewnego wziął mnie z sobą ojciec Adrian do pustelni, oddalonej o pół godziny drogi. Pustelnik był już w podeszłych latach, z długą brodą. Powitał ojca z wielkiem uszanowaniem i z wielką uprzejmością, następnie pokazał nam chłopcom, którzyśmy tam dopiero pierwszy raz przyszli, całą pustelnię. Oprócz czyściutkiej celi widzieliśmy pracownię, w której eremita, będąc z zawodu krawcem, przygotowywał wszelkiego rodzaju ozdoby do kapłańskiego kościelnego stroju. Pokazał nam swój ogródek, bardzo pięknie urządzony, starannie zasadzony jarzynami i upiękaszony kwiatami. Zachwyciło nas dziecięce to urządzenie pustelni; sam zaś sposób życia pustelniczego, dla mnie zwłaszcza, miał coś romantycznego w sobie. Chciałem coś podobnego urządzić dla siebie i na ten cel wybrałem koniec przedpokoju naszego domu. Zasłoną, na którą użyłem starego wielkiego dywanu, oddzieliłem małątkie miejsce, postawiłem tam stolik, krzesło, zaniósłem książki i przybory do pisania. Tu się modliłem, czytałem, pisałem i wyobrażałem sobie w dziecięcej prostocie, że istotnie jestem prawdziwym pustelnikiem. Matka, nie wiedząc gdzieś się podział, szukała mnie wszędzie, a gdy mnie wreszcie znalazła samotnego i cichego, przestraszyła się, czym nie popełnił jakiej wielkiej psoty; gdy się zaś

dowiedziała o istocie rzeczy, była z tego bardzo zadowolona. W tym odosobnionym kąciku z wielkim ukontentowaniem spędzałem kilka wolnych godzin.

W poniedziałek Zielonych Świątek pewna liczba katolików z Dinkelsbühlu zwykle odbywała pielgrzymkę pod przewodnictwem kapłana do górzystego Ellwangen. Gdym nieco podrośł, rodzice pozwolili mi na taką pielgrzymkę. Ponieważ trzeba było iść dobre cztery godziny przez góry i doliny, pielgrzymi wyruszali w drogę jeszcze przed brzaskiem. Poranna gwiazda, którą widziałem teraz pierwszy raz w życiu, wspaniale świeciła na niebie, powiewał świeży ranny wiaterek. Czułem się bardzo wesoły i niezwykle ożywiony. Pielgrzymi modlili się prawie bez przestanku. Dla odmiany zaś raz odmówiono pacierze, to znów śpiewano pieśń jaką. Gdyśmy zdala dojrzelili dwie wieżyczki kościoła, w którym był cudowny obraz, wszyscyśmy od razu uklękli i odmawiali „Witaj Królowo!” Przypominam sobie żywo, jak poruszyły mem sercem słowa, zwrócone do Maryi: „Do Ciebie wdychamy, jęcząc i płacząc na tym łez padole, bądź naszą Orędowniczką i zwróć ku nam swoje miłościwe oczy, a po tem wygnaniu pokaż nam Jezusa, błogosławiony owoc żywota Twego”. Wstrząsnął mną widok tylu modlących się ludzi, z których wielu było bardzo skruszonych. Czułem wtedy więcej, niż kiedykolwiek, że tu na ziemi jesteśmy tylko pielgrzymami, jakby na obczyźnie, w podróży do lepszej krainy, naszej właściwej ojczyzny.

Po dwóch czy trzech latach mojej nauki w łacińskiej szkole Dinkelsbühlu znakomity profesor, proboszcz Lehner, oświadczył ojcu, że, o ile przypuszcza, jestem przysposobiony do piątej gimnazjalnej klasy średniego zakładu naukowego. Wtedy cztery łacińskie oddziały i dwie starsze klasy poezji i retoryki nazywano gimnazjum. Ojciec zdecydował się posłać mnie do gimnazjum w Dillingen,

napisał przeto z zapytaniem do szanownego mieszczanina, introligatora Specka, tam mieszkającego, którego znał od dawna i któremu wyświadczył kiedyś dużo dobrego, czyby mi nie dał u siebie mieszkania i życia? Odpowiedzi trudno było oczekiwać przychylniejszej nad tę, która nadeszła. Speck odpisał, że dotąd wprawdzie nigdy jeszcze nie przyjmował do siebie uczniów na stancję, lecz z obowiązku wdzięczności, który na nim ciąży, zrobi to z chęcią i przyjmie mnie do swego domu. Zapłata, jakiej żądał, była nadzwyczaj mała. Tak więc ludzkie zachowanie się kiedyś ojca względem niego przyniosło nadspodziewanie piękny rezultat.

Dwóch uczniów z naszego miasta, którzy słuchali filozofji w Dillingen, oświadczyło, że skoro będą tam jechać, to i mnie zabiorą z sobą. Nie zapomnę tego, jak ojciec, gdy wsiadałem do ruszającego w drogę wozu, uścisnął mnie jeszcze raz za rękę i ponownie mnie upominał: „Miej Boga przed oczyma, unikaj wszystkiego złego, módl się i pracuj pilnie”. Twarz ojca, pełną miłej powagi i wzruszenia, mam jeszcze obecnie w pamięci. Poraz ostatni w życiu widziałem go wtedy. Gdy to piszę, oczy mam łez pełne.

Gdym przybył do Dillingen, przywitał mnie z radością i wielką uprzejmością nowy mój opiekun a raczej ojciec nowy. Kazał kuferek wnieść mi do pokoju i zaprowadził mnie do profesora tej klasy, do której pragnąłem wstąpić. Profesor, Józef Herman, spojrzał na mnie z pewnem powątpiewaniem, ponieważ byłem bardzo mały i dał mi do przetłumaczenia z łacińskiej książki na język niemiecki ustęp prozy i poezji. Po kilku minutach powiedział: „Dobrze, już jest przyjęty do tej klasy i będzie, jak przypuszczam, robił dobre postępy”. Gdym pierwszy raz przyszedł na lekcję w niebieskim płaszczu, jaki wówczas byli obowiązani nosić uczniowie gimnazjum, zbiegli się około

mnie wszyscy malcy najniższej klasy i zawołali radośnie: „Prawda, że idziesz do nas?” — „Nie, odpowiedziałem, jestem przyjęty do piątej klasy”. Wtedy się rozpiierzchli tak, jak uciekają małe ryby, gdy zbliża się ku nim szczupak stary. Gdym wszedł do obszernej „sali poetów”, przyglądali mi się ciekawie zgromadzeni tam uczniowie, wszyscy prawie wyżsi ode mnie. Zdziwieni ruszali ramionami. Najwyższy z pośród nich, który dotąd pod względem postępów był ostatnim w klasie, zawołał: „Bogu chwała! Przecież teraz będę miał jednego poza sobą”. Przy pierwszym jednak rozlokowaniu nas, gdy stosownie do wyników piśmiennego ćwiczenia wyznaczono wszystkim miejsca w ławkach, wypadło zupełnie inaczej ku wielkiemu tegoż wielgusa zdziwieniu i smutkowi.

W jesieni 1783 r. zacząłem swą naukę w Dillingen. Po dwóch miesiącach, około święta Trzech Króli 1784 r. śniło mi się, że idę przez najbardziej ponurą ulicę mego rodzinnego miasta Dinkelsbühl. Jeden z moich dawnych serdecznych przyjaciół spotkał mnie i rzekł: „Twój ojciec jest bardzo chory”. Obudziłem się i zasmuciłem tem głęboko, lecz znów zasnąłem. Wtedy zobaczyłem we śnie wchodzących do naszego domu w czarnych płaszczach dwóch kapłanów, którzy dobrze mnie znali, bo byli przyjaciółmi naszej rodziny. Płaszczów takich nie nosili przy zwykłych odwiedzinach. Znów się obudziłem, jeszcze bardziej zaniepokojony. Lecz zasnąłem ponownie. Wówczas widziałem we śnie, jak wynoszono mary z naszego domu. Kapłani i poważni panowie towarzyszyli im, a dużo narodu stało na ulicy. Śpiewano pienia żałobne i grały trąby. Obudziłem się jeszcze smutniejszy i pozostałem cały dzień w takim nastroju. Wkrótce potem kazał mnie wezwać mój profesor i ostrożnie mi oznajmił, że umarł mi ojciec.

Jeszcze rok przebywałem w Dillingen i, skończywszy całe gimnazjum, wróciłem do domu. Matka, obejrawszy

moje świadectwa i nagrody, okazała wprawdzie na ich widok radość, ale jednocześnie wyraziła swój smutek, że nie jest w stanie wysłać mnie na dalsze studia. Wszyscy nasi przyjaciele byli tego samego zdania. Wtedy pan Oberwogt oświadczył mi, że mnie weźmie do kancelarii, gdzie wkrótce będę mógł zdobyć dostateczny kawałek chleba. To mnie bardzo zmartwiło, bo trudno mi się było pogodzić z myślą, że zostanę urzędnikiem, nie skończywszy prawa. Poleciłem te wszystkie kłopoty Panu Bogu, westchnąłem doń serdecznie, by Sam pokierował wszystkim według Swej świętej woli, jak uważa za najlepsze.

Nie zawiodłem się w tej ufności, bo przyszedł mi z pomocą przyjaciel młodzieży— Henryk Brentano i Löf-fingen. Ten miał na myśli dla mnie posadę domowego nauczyciela u tajnego radcy Webera w Dillingen i skoro dowiedział się o ciężkim moim materialnem położeniu, dał mi to miejsce”.

Tu szczęśliwie spędził Krzysztof dwa lata i do-kończył swe filozoficzne nauki. Wtedy wstąpił do seminarjum duchownego w Dillingen, aby studjować teologję. Teraz zaprzyjaźnił się ściśle z profesorem Sajle-rem, któremu wystawił piękny pomnik w drugiej części swoich „Wspomnień”.

W sierpniu 1791 roku przyjął święcenia kapłańskie i wkrótce potem odprawił pierwszą Mszę św., podczas której wygłosił jego serdeczny przyjaciel, tenże Sajler, prymicyjne kazanie.

Schmid nie przyjął stanowiska profesora uniwersytetu w Tybindze, które mu proponował rząd würtemberski. Pragnął pozostać duszpasterzem świata dziecięcego. W ro-ku 1826 został kanonikiem katedry w Augsburgu i dalej tam pracował bardzo owocnie, aż do chwili, kiedy go zmoęła epidemja cholery, jako starca osiemdziesięcio-sześćioletniego.

ANDRZEJ MARJA AMPÈRE.

1775 — 1836.

Gdziekolwiek jest mowa o największej nowoczesnej zdobyczy w dziedzinie fizyki, elektryczności, tam pierwszego należy wymienić Ampèra. Gdy w roku 1819 Duńczyk Oersted zrobił odkrycie, że prąd galwaniczny oddała magnetyczną igłę, wśród licznych badaczy, powtarzających próby w tej dziedzinie, był pierwszy Ampère, który wyjaśnił to zjawisko. W ten sposób stworzył on zupełnie nową umiejętność: elektrodynamikę. Bertrand, stały sekretarz paryskiej akademii umiejętności, mówi o nim: „Bezwątpienia możemy dziś imię Ampèra postawić obok największych znakomitości w dziejach ducha ludzkiego”.

Ampère urodził się 20 stycznia 1775 r. w Ljonie, jako syn kupca, wychowywał się zaś w Poleymieux, w sąsiedniej wiosce, w której zamieszkała ta rodzina wkrótce po przyjściu na świat Andrzeja. Od najmłodszych lat dziecięcych chłopiec zdradzał niezwykłą dążność do badań naukowych. Nic nie potrafiło go zniechęcić i odwieść od zdobywania wiedzy, a gdy zajął się jakimś zagadnieniem, nie rozstawał się z niem, dopóki go nie opanował całkowicie. Początkowo wielkie miał zamiłowanie do nauk matematycznych. Opowiadają, że, już jako dziecko, Andrzej układał z krzemików łamigłówki arytmetyczne, a gdy zachorował i matka zabrała mu te krzemienie, rozłamał

pierwszy biskopt, jaki mu po trzydniowej diecie dano do jedzenia, aby znów robić swe rachunkowe próby. Jako jedenastoletni chłopiec skończył on niższą matematykę i analityczną geometrję, wkrótce potem wyższą matematykę, a jako ośmnastoletni młodzieniec studjował już analityczną mechanikę Langrano, która była wtedy szczytem matematycznej nauki. Sam mówił, że w ośmnastym roku tak rozumiał matematykę, jak ją pojmował w późniejszym życiu, po długiej na tem polu praktyce. Od wczesnej przeto młodości Ampère należał do największych matematyków francuskich. Przytem to jest najgodniejsze uwagi, że posiadał zakres tej wiedzy bez żadnego nauczyciela i że nigdy nie uczył się w żadnej szkole. Ta samodzielna i stała praca była przyczyną, jak sam wnioskował później, że nie zaznał nigdy w życiu nudów. Pierwsze wskazówki czytania i pisania dał mu ojciec, potem uczył się sam bez żadnej pomocy. Trzeba zauważyć i to, że przez całe życie był niezaradny w codziennych sprawach, że był mańkutom i że nigdy nie uczył się pisać prawidłowo. Litery kreślił ruchem nie dłoni, lecz całej ręki, wskutek tego pisał je tak nadzwyczaj wielkie, że dowcipny przyjaciel Andrzeja pewnego razu całe zaproszenie na obiad napisał w inicjale jego podpisu. Wykorzystywali to jego słuchacze w uniwersytecie paryskim. Andrzej zawsze się obawiał, żeby jego pismo na tablicy szkolnej nie było za małe lub niewyraźne, z całą przeto prostotą pytał często studentów, czy litery jego widzą, czy są dostateczne. Naturalnie, że ci, mimo że pisał wielkie cyfry, zawsze mówili, że są małe. Powiększając je stale, Andrzej mógł pomieścić ich sześć zaledwie na całej tablicy.

Pobożne, religijne wychowanie dała mu matka, jak to zwierzał się w późniejszych latach. Szczególniejsze wrażenie zrobiła nań pierwsza Komunja święta. Lecz, niestety, owoce matczynego wychowania zniszczyła w nim na długi

czas nierozważnie zdobywaną nauka. Czytał wszystko, co mu wpadło do ręki, bez wyboru i wskazówek. Przewertował francuską encyklopedję, z 20 ksiąg złożoną, tom za tomem, artykuł za artykułem, od początku do końca. Ponieważ zaś wszystko o religji było w niej opracowane nienaukowo, niesumiennie, w sposób ohydny i bezbożny przez najzaciętszych wrogów kościoła: d'Alemberta, Diderota, Rousseau'a, Voltaire'a i innych, a chłopiec nie miał dostatecznego filozoficznego wykształcenia, aby odróżnić prawdę od fałszu, ani nie posiadał dokładnej znajomości zasad wiary na tyle, żeby się oprzeć ciągle wysuwany przeciw niej tysiącny zarzutom, wskutek tego ta lektura bardzo zachwiała w nim wewnętrzne życie religijne. Stąd potrochu zaniechał chodzenia do kościoła, uczęszczania do Sakramentów świętych i został, jeśli nie zupełnie niewierzącym, to co najmniej obojętnym w rzeczach wiary.

Jako dowód jego olbrzymiej pamięci może służyć to, że jeszcze przez całe dziesiątki lat po przestudjowaniu encyklopedji, o której mowa była wyżej, potrafił wśród francuskich uczonych przytaczać z pamięci niemal dosłownie każdy dowolnie mu wskazany artykuł. Rozumie się, że dla większej próby Ampère musiał recytować wyrazy niealfabetycznie ani według pokrewnej treści, lecz „na wrywki”, jak np. hodowla jastrzębi, heraldyka itp. Zawsze jednakże wychodził zwycięsko. Lecz nie tylko uczył się napamięć, ale wszystko starał się przerobić i dążył przez czytanie do samodzielnej myśli i własnych wniosków. Tą drogą stworzył międzynarodowy „język”, o czym myśleli już Leibnitz i Kartezjusz, ułożył dlań gramatykę i słownik, napisał nawet w nim utwór poetyczny. Najtrudniejsze matematyczne zadania rozwiązywał własnym sposobem, a nie jak wskazywała książka. Znakomity fizyk Arago nazywa go „bystrą i głęboką inteligencją”,

i naprawdę nie powiedział za dużo. Ta świadomość własnych, niezwykłych zdolności doprowadziłaby Ampère do beznadziejnego upadku, gdyby trzymał o sobie zbyt wysoko. Ale na szczęście, przecenianie się i wszelka zarozumiałość były mu obce przez całe życie, a skromność i pokora tego prawdziwie wielkiego człowieka sprowadziły go napowrót na drogę wiary. Do tego dopomogła mu i genialność umysłu, i dobroć serca. Ampère nie był, jak to nazywają „zimnym uczonym”. Miał dużo uczucia, łatwo się zapalał i czuł wielką potrzebę wynurzenia się i przyjaźni. Nadto wcześniej przeprowadził go Bóg przez szkołę cierpienia, w której potrochu dojrzał na prawdziwego chrześcijanina. Znający rodzinę Ampèrów przypuszczali, że Andrzej, idąc za ojcem, będzie jednym z twórców francuskiej rewolucji.

Ojciec Andrzeja pozostawił rodzinę w Poleymieux, sam zaś zajął stanowisko sędziego pokoju w Ljonie, gdzie pozostał nawet wtedy, gdy Ljon stał się ośrodkiem przeciwników Konwentu. Lecz wkrótce musiało się miasto to poddać wojskom Konwentu, a do pierwszych ofiar rzezi należał stary Ampère. „Pragnę, pisał on przed śmiercią z więzienia do swej żony, aby moja śmierć była okupem powszechnej zgody między wszystkimi naszymi braćmi; przebaczam wszystkim, którzy się z mej śmierci cieszą, którzy się do niej przyczynili, którzy ją zawyrokowali. Gdyby mi wolno było przyjść z wieczności do spraw ziemskich, byłabyś wraz z ukochanymi dziećmi przedmiotem mej największej troski i mej radości. Oby je spotkał lepszy los, niż ich ojca, niech mają zawsze przed oczyma bojaźń Bożą, tę zbawienną bojaźń, która rodzi w nas czystość i prawość mimo słabości naszej natury”.

Matka musiała się podzielić z Andrzejem tą straszną wieścią, że ojciec już więcej nie wróci. Błady, drżący chłopiec z osłupiałym wzrokiem wysłuchiwał słów matki.

Wiadomość ta przewyższała siły siedemnastoletniego młodzieńca, który wtedy nie umiał szukać oparcia i pociechy w Bogu. Przerazenie odebrało mu prawie przytomność umysłu. Przez cały dzień siedział na ziemi jak osłupiały i bawił się bezmyślnie małą kupką piasku. Taki stan umysłu trwał w nim dość długo. Przyjaciele i krewni martwili się o niego, ale niewiele mogli na to poradzić. Brali go niekiedy prawie siłą na spacer do lasu, w pola; zdawało się, że miał oczy otwarte, a nic nie widział i nic nie myślał, nie można było wydobyć z niego ani słowa. Trwało to bez zmiany prawie przez rok czasu. Powoli zaczął brać się napowrót do książki z pewną budzącą się myślą. Zaczął studjować przyrodę. Treść listów Rousseau'a o botanice zwróciła jego uwagę na tę naukę, którą poprzednio traktował tylko powierzchownie. Pilnie zbierał kwiaty i zioła, sadił je koło domu w małym ogródeczku, układając je obok siebie podług ich rodzaju i gatunku. Wtedy uczuł chęć, a nawet zapal do studjów botanicznych. Dowiódł bystrości swego umysłu, gdy w krótkim czasie w tej nauce zrobił tak duże postępy, że nawet znakomitemu badaczowi przyrody Gooffroy Saint-Hilaire rozwiązał trudną kwestję, nad którą ten pracował bardzo długo. Niedługo zaszła nowa okoliczność i ta w Andrzeju obudziła myśl głębszą. Gdy z biblioteki zamordowanego ojca wyjął przypadkowo Horacego, wpadł mu w oko wiersz, który go głębiej zastanowił: „Często chwieje się olbrzymia sosna, przez wiatr poruszona, padają niebosiężne wieżyce, a szczyty gór rozpadają się pod uderzeniem pioruna”... Pod wrażeniem tych myśli Ampère wziął się do poezji. Podczas spacerów deklamował głośno najpiękniejsze wiersze, których się szybko uczył napamięć. Następne trzy lata poświęcił Andrzej klasycznemu studjom i poezji, co dotąd zaniedbał prawie zupełnie. Przy swej zwykłej wytrwałości nie przerwał tej pracy, dopóki nie

doszedł w niej do pożądaných rezultatów. W spadku po nim zostało mnóstwo poezyj, jak: Charaden, Madrigale, pieśni i fragmenty tragedyj i komedyj. Nie rozstawał się wszakże nigdy ze swoją ulubioną matematyką, którą tak był zawsze przejęty, że czasem w jego poezji zjawiał się X i Y, a mowa tragicznego bohatera kończyła się jakąś matematyczną formułą. Wkrótce zajął się znów wyłącznie matematyką, bo postanowił stanąć do konkursu na stanowisko profesora tej nauki, by móc stworzyć sobie dom stały i założyć rodzinę. W r. 1799 ożenił się z dzielną i religijną panną, a niedługo potem otrzymał upragnioną posadę. Ze zdumiewającą pilnością wziął się do pracy, by zyskać konieczne środki do życia, a zdobyczą tych trudów naukowych było rozwiązanie rozmaitych zagadnień w jego specjalności. Wszystko to jednak nie mogło jeszcze zadowolnić tego, naprawdę wielkiego ducha. Dawna tęsknota, która błędzącego Augustyna zwróciła z bezdroża ku Bogu, oświeciła go również i nie opuszczała go już więcej. Z bólem spostrzegła żona ten stan duszy swego męża i nie przestała zwracać mu uwagi na zagadnienia i praktyki religijne życia z wiary. Ale Ampère nie mógł się jeszcze zdobyć na krok stanowczy, mimo, że się zbliżał czas wielkanocnej Komunii św. W tej materji tak pisał raz pewnego do żony: „Czuję swe serce napełnione smutkiem, który ma to przynajmniej w sobie dobrego, że usposabia mnie do modlitwy. Od chwili, gdy Cię opuścił, myślę o tem ustawicznie, czego żądasz ode mnie. Ty nie wiesz, jak dużo kosztują te myśli przy moim obecnym stanie ducha. Zresztą jestem zupełnie zdecydowany to zrobić; ale jak mi to ciężko, że nie mogę przed Tobą osobiście wypowiedzieć wszystkich moich uczuć. Mówisz mi, że mam rozważać. Robię w tym kierunku może za wiele. Duch mój stracił wszelką swobodę. Pracuję, ale nie bez wysiłku. Uważam ten krok jako najważniejszy, jaki

być może. A czy mógłbym go zrobić tylko dla fantazji, aby później znów wrócić do dawnego sposobu życia?"

Trzeba było jeszcze jednego wielkiego cierpienia, by zwichnięty Ampère wrócił całkowicie i bez zastrzeżeń do Boga. Spotkała go niezwykła katastrofa. Po krótkim szczęśliwym współżyciu umarła mu żona. Dla Ampèra był to cios straszny. Jak kiedyś śmierć ojca pograżyła go w pewien rodzaj melancholji, tak znów teraz wpadł w stan gorączkowego podniecenia i tysiączne plany krzyżowały mu się w głowie. Przyjaciołom trudno było coś mu radzić, bo mogliby usłyszeć jakie gwałtowne, a może nawet nieprzyjemne słowa. Wtedy odegrała swą rolę matka, która wprowadziła go znów na inne tory. „Czy to być powinno, pisała do niego, żeby dobry chrześcijanin, członek Kościoła Chrystusowego, który wszystko powinien znosić z cierpliwością i z uległością, tak się oddawał rozpaczom, jak ty to czynisz? Rzuć się do stóp Ukrzyżowanego i proś, byś poznał jego zamiary względem siebie. Ja będę błagała Matkę Najświętszą, aby wstała się do Syna swego, by ci pozwolił być dobrym i powolnym względem tych, którzy ci dobrze życzą”.

Pamięć na modlitwy i przykład pobożnej zmarłej żony, a także praktyczna świętobliwość matki nie pozostały bez skutku. Dziennik Ampèra zaznacza zmianę, jaka zaszła w tym czasie w jego usposobieniu. Oto co tam czytamy: „15 maj, niedziela. Po śmierci mojej siostry pierwszy raz byłem w kościele w Poleymieux. 19 maj, sobota. Byłem u spowiedzi u ks. Lamberta. 6 czerwca, poniedziałek. Rozgrzeszenie. 7 czerwca — wtorek. Dzień ten zdecydował o mojem dalszem życiu”.

Teraz zdał się cały na wolę Bożą, o czem pisze dalej w dzienniczku: „Wiele biczów na grzesznika, ale mającego nadzieję w Panu, otoczy miłosierdzie. Boże mój! dziękuję Ci, żeś mi pozwolił urodzić się na łonie Kościoła

katolickiego. Dziękuję Ci, żeś po moich błędach powrócił mnie do siebie i wszystko przebaczył. Czuję, że Ty chcesz, bym żył tylko dla Ciebie i bym wszystkie chwile Tobie poświęcił. Raczej dopomóż mi, żeby życie wśród przeciwności zgotowało mi szczęśliwą godzinę śmierci, choć na to nie zasłużyłem”.

Jeszcze Ampère przeszedł rozmaite walki, ale zwyciężył je po rycersku. W r. 1804 został powołany na profesora uniwersytetu paryskiego, w cztery lata później został jenerałnym inspektorem tegoż uniwersytetu; w 1813 r. spotkało go wyróżnienie i zaszczyt, bo został członkiem francuskiej Akademii Umiejętności. Pracy miał nadmierne dużo. Fizyk Arago pisze o nim: „Śmiały duch Ampèra z wielkim upodobaniem zajmował się ciągle kwestiami, które od 20 stuleci uważano jako nierozwiązalne, mimo włożonych w nie licznych, a próżnych trudów. On czuł się, jeśli tak można powiedzieć, dobrze tylko wśród największych trudności naukowych”. O ile wszakże wstępował po stopniach ziemskich honorów, które go spotkały za istotnie olbrzymie zasługi na polu naukowym, o tyle bardziej upokarzał się wobec Boga. Z przyjacielem Ozanem rozmawiał zazwyczaj tylko o rzeczach nadprzyrodzonych. Wtedy chwycił się Ampère, jak wzmiankuje Ozan, oburącz za wysokie czoło i mówił: „Jak wielkim jest Bóg, Ozanie, jak wielkim jest Bóg, a nasze wiadomości są niczem!” Gdy mu ktoś w dniu jego śmierci chciał przeczytać rozdział z „Naśladowania Chrystusa”, odezwał się wtedy: „Znam tę książeczkę napamięć”.

10-go czerwca 1836 r. zakończył życie ten prawdziwie wielki mąż.

JÓZEF GÖRRES.

1776 — 1848.

Józef Görres, wielki bojownik katolickiego Kościoła 19-go wieku, pod względem duchowej siły, głębokości i wszechstronności myśli z pewnością nie stoi niżej od najznakomitszych genjuszów wszystkich wieków. Pod względem zaś czystości i wielkości charakteru, pożytecznej działalności dla swej ojczyzny stanowczo przewyższa wielu. Młodość tego wielkiego męża przypadła na smutny czas płytkiego „Oświecenia” i zamieszek rewolucyjnych. Tak się złożyło, że w latach młodzieńczych sam musiał wyrobić sobie własny światopogląd bez czyjejkolwiek pomocy. Cóż dziwnego, że chwilowo popełniał omyłki? Jego wszakże bystry umysł i łaska Boża wskazywały mu we właściwym czasie istotny cel życia. Stare gimnazjum Jezuitów w jego rodzinnem mieście Koblencji, do którego Görres wstąpił jako 9-cio letni chłopiec, od czasu kasaty tego zakonu było tylko częściowo obsadzone dawnymi Ojcami Towarzystwa Jezusowego, inne stanowiska profesorskie zajmowali świeccy księża o nowym „oświeconym” kierunku. Niestety, nikt z nich nie mógł zrozumieć tego nadzwyczaj uzdolnionego chłopca, a tem mniej zadowolnić wykładami jego pragnienia wiedzy. Nieraz Józef wprowadzał w niemale kłopot swych profesorów niespodziewanemi pytaniami, albo pełnemi humoru odpowiedziami, a w wyższych klasach wszczynanemi z nimi filozoficznemi i teologicznemi dysputami. Rozumie się, że w takich warunkach nie mogło być mowy o jakiejś sympatji między nim, a profesorami. Jego wybitne zdol-

ności podkreślali wprawdzie wszyscy i w tem wobec swego ucznia byli bezsilni, ale pod względem pilności i sprawowania udawało się im nieraz przyłapać tego małego „zarozumialca”.

W trzeciej klasie Görres otrzymał takie świadectwo: zdolności—celujące, pilność nie odpowiada zdolnościom, postępy—dosyć dobre, sprawowanie—dziecięce.

Jak później, otoczony zewsząd nieprzyjaciółmi, stał mocno niczem niezachwiany, podobnież w młodości, a nawet w dzieciństwie nie obawiał się niczego. W domu ojca urządził sobie na strychu huśtawkę, która, gdy jej używał od czasu do czasu, ukazywała się w powietrzu po przez wielkie szczytowe okno. Widok ten budził strach wśród sąsiadów, którzy zdołali zauważyć ledwie nogi malca, ukazujące się w zawrotnej wysokości i znów znikające zpowrotem. Doniesiono o tem ojcu i ten przerwał tę niebezpieczną zabawę. Innym razem, gdy Józef w szkole usłyszał wykład o elektryczności, zaraz ustawił w szczytowym pokoju elektryczny aparat, przeprowadził na dach druty i wśród błyskawic i grzmotów robił doświadczenia tak, że druty wydawały iskry. Ludzie nie wierzyli swoim oczom, strach ogarnął wszystkich, że ten swawolny chłopiec może spalić całe miasto, pobiegli przeto znów do ojca, by sam to zobaczył, jak jego synalek gwałtem sprowadza na dom błyskawice. Wobec tego i ta zabawa nie trwała długo.

Dla żywego malca było istotną torturą suche traktowanie jakiegokolwiek naukowego przedmiotu. Z tego względu miał nieprzezwyćżony wstręt do niemieckiego podręcznika (Gottscheda). „Tego Gottscheda, jak sam później opowiadał, za to, że wiele kar miałem o niego i nieprzyjemności, rozgniewany przywiązałem sobie do nogi i tak go ciągnąłem za sobą przez ulicę, aż fatalnie rozewałem sobie skórzane ubranie”.

Ulubioną nauką i najprzyjemniejszym zajęciem Józefa

były: historia, geografia i nauki przyrodnicze. Ponieważ nie było żadnego geograficznego podręcznika, któryby odpowiadał jego wymaganiom, sam skomponował nowy ze wszystkich dzieł, które mu wtedy wpadły do ręki, i rozradowany zaniósł go do drukarni. Bezkształtne litery zaraz na pierwszy rzut oka zdradzały małoletniego autora. Gdy drukarz oznajmił trzecioklasiście, ile będzie kosztowało złożenie i wydrukowanie jednego arkusza, potrząsnął mały uczniaczek skarbonką, którą miał w kieszeni, i zabrał zpowrotem do domu swą pierwszą „literacką” pracę.

Wszyscy uczniowie gimnazjum OO. Jezuitów usługiwali do Mszy św., więc i na Józefa zbliżyła się kolej. Matka podjęła się go nauczyć ministrantury. Niezrozumiały wyrazy wcale nie szły mu do głowy, mimo, że miał nadzwyczaj dobrą pamięć. Największą trudność sprawiało mu „Confiteor”. Gdy pierwszy raz służył do Mszy św., głośno, zręcznie, a nawet z patosem wymawiał to, co dobrze pamiętał. Gdy zaś przyszło do „straszego”—Confiteor, nachylał się głęboko i mruczał coś pod nosem, tylko wyjątkowo głośno wymawiał wyrazy: mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa. Jakżeż rad był, gdy stary ksiądz nie zwrócił się do niego z wymówką: jeszcze nie umiesz „Confiteor”! Razu pewnego wypadło Józefowi razem z innymi uczniami być w chórze „Aniołów” na procesji w klasztorze Karmelitów. Według ówczesnego rokokowego stylu stroili się chłopcy w cudaczne ubranie, które stanowiły: czerwona długa sutanna, pozłacane skrzydła i długie miecze u boku. „Aniołowie” czuli się doskonale. Ale, gdy po skończonej procesji jeszcze byli ubrani w te stroje, poczęstowano ich winem i ciastkami; zakipiała wtedy w nich młoda rycerska krew, i w jednej chwili stanął do walki nasz ognisty Görres wraz z drugim „Archaniołem Michałem” przeciw swemu współzawodnikowi, złemu „Lucyferowi”. Zabrzęczały miecze, wydobyte z pochew tak,

że obecni przytem przerazili się tym widokiem. Siłą musiano rozerwać walczących. Odtąd „Aniołowie” występowali na procesji już bez mieczy.

Szerzone podówczas „Oświecenie” przez francuskich Encyklopedystów, Jansenistów i Illuminatów nie przedostało się jeszcze do wszystkich dziedzin życia religijnego. W rodzinach panowały dawne pobożne zwyczaje, w szkole był jeszcze stary katechizm, chociaż i tu wciskały się powoli nowe poglądy. Niejeden niedoświadczony młodzieniec, który nasłuchiwał się rozmaitych frazesów o „wolności” i „ucisku klerykałnym”, powtarzał je teraz w szkole, unikając wszakże tego w obecności Görresa, bo ten tak go „zajechał” wśród ogólnego poklasku reszty uczniów, pełnym połotu dowcipem i druzgocącą ironją, że temu odechciało się na przyszłość rozpowszechniania swych idei. Lecz w kilka lat później, gdy takiż duch czasu panował, się coraz bardziej, gdy zalewały kraj podburzającej treści tłumaczenia z francuskiego i przygotowywały grunt dla kiełkującej rewolucji, gdy je i Görres z wielką wchłaniał gorączką, jak zresztą wogóle każdą książkę, która mu do ręki wpadła, wtedy i on stanął w szeregach tych niemądrych zapaleńców.

Na jesieni 1793 roku Görres skończył gimnazjum, mając wtedy lat siedemnaście. Lecz wskutek zamieszek rewolucyjnych nie wziął się zaraz do systematycznych studiów uniwersyteckich. Jego miasto rodzinne Koblenca było zbornym punktem dla francuskich zbiegów, których Görres obserwował bardzo pilnie.

Gdy zauważył, że ci nawet w biedzie prowadzą stary bezwstydną wersalski sposób życia i publicznie afiszują się pogardliwym stanowiskiem względem religii i obyczajności, wtedy uczuł głęboką niechęć do porządków królewskich i do szlachty, a nabrał sympatji do republikanizmu.

Po zabraniu przez Francuzów nadreńskiego kraju, szczególnie po oddaniu Moguncji, nie mógł już dłużej pozostać Görres w ciasnych murach miasta rodzinnego. Dziki, nieokreślony pociąg poniósł go w świat. Czy można brać za złe młodej gorącej głowie marzycielstwo o wolności, skoro nawet stary, zrównoważony Klopstock wpadał w zapał na myśl, że rewolucja stworzy lepsze czasy? Upadek starego państwa w takiej dowcipnej formie opisuje Görres: „30 grudnia 1797 r. w dniu oddania Moguncji, o godzinie 3-ej po południu, umarło w Regensburgu święte, niedołężnej pamięci, rzymskie państwo; umarło słodko i świetobliwie w pełni sił, tknięte paraliżem przy pełnej świadomości, w kwiecie wieku, mając 955 lat, 5 miesięcy, 23 dni. Opatrzone wszystkimi św. sakramentami”.

Imię Józefa, który z tak niezwykłą odwagą i ironią smagał przestarzałe urzędnictwo i znienawidzone formy zacofanego czasu, a z ognistym zapałem i w oryginalny sposób umiał przedstawić piękno nowych idei, żyło na ustach wszystkich i wkrótce zdobyło sobie u współczesnych to poważanie, które mu ułatwiło późniejszą działalność. Śmiała krytyka, z którą występował w swej „Czerwonej Gazecie”, a gdy zawiesił ją rząd paryski, w „Rubecalu na niebieskim tle”, uczyniła go tak popularnym, że departament nad Renem i Mozela posłał go, dwudziestotrzechletniego młodzieńca, z deputacją do Paryża dla uregulowania stosunku do republiki. Tu Görres miał sposobność poznać prawdziwego ducha rewolucji i to, co tam zobaczył, napełniło go tak strasznym wstrętem, że na zawsze wyzbył się swego o niej marzycielstwa. W charakterze deputowanego stykał się często z Napoleonem, który na krótko przed jego przybyciem do Paryża ujął w swe ręce ster rządu. Nie uszło bystrego oka Görresa, że w Napoleonie świat doczeka się wielkiego despoty. „Weźcie Swetonjusza do ręki, pisał do swych przyjaciół w kraju, bo

już jest gotów nowy August". W tych okolicznościach uważał za warjactwo starać się o zjednoczenie Nadrenji z Francją, powrócił przeto do domu.

Od tego czasu walczył stale w swoich pismach o prawdę, wolność i prawo, a szczególnie uderzał na wrogi i zgubny system Napoleona w swoim „Reńskim Merkurym”.

Blücher, znakomity mąż stanu, nigdy nie szedł do stołu, nie przeczytawszy przedtem „Merkurego”. Francuzi przedrukowywali w swoich pismach najlepsze artykuły tej gazety, Anglicy kazali natychmiast tłumaczyć prawie wszystkie numery na swój język. W „Radzie narodów”, z Merkurym liczono się bardzo, tak, że sam Napoleon nazwał tego wielkiego, budzącego strach pisarza z Koblenckji, piątą potęgą, która wystąpiła przeciwko niemu i od której otrzymuje rady i wskazówki „Święte przymierze”.

Gdyby Görres umarł wtedy, kiedy nie oddziało jeszcze na niego „tchnienie rzymskiego kościoła”, napewno umieszczonoby jego imię między najbardziej czczonymi, najgenjalszymi artystami, a jego portret zajmowałby jedno z pierwszych miejsc w niemieckim Panteonie zasłużonych liberałów. Lecz, gdy od odwiedzin Paryża Görres zmienił swe polityczne zapatrywania, jednocześnie z tem zmienił i religijne przekonania. Wskutek tego stracił popularność.

Początkowe wychowanie Görresa w domu rodzicielskim było oparte na katolickiej wierze i pobożności. Słowo i przykład rodziców, pierwsza nauka, pilne czytanie poważnych katolickich pism, wrażenia, jakie odnosił w swem katolickiem rodzinnem mieście, wszystko to sprawiło, że po latach zobojętnienia dawna wiara w nim ożyła. To zdrowe ziarno napewno wydawałoby od początku najpiękniejsze kwiaty, zasiane w urodzajną glebę, gdyby robak ateistycznego ducha czasu nie zaszkodził w pewnej części i lodowato zimna burza nie przeszła nad nim ze

swą manją powątpiewawczą. Bujnie krzewiąca się w Bawarii i nad Renem literatura Illuminatów; religijne pisma, najbardziej przesiąknięte jadem józefińskiego „Oświecenia”, niewierzący północni filozofowie i poeci, a przedewszystkiem masowe francuskie tłumaczenia, ośmieszające moralność i wiarę, wypierały potrochu z duszy żadnego wiedzy i chciwego czytania chłopca to, co bogobojne słowo rodziców i stara czcigodna rodowa tradycja wniosły w nią z takim trudem. Do tego przyłączyło się jeszcze i to, że ówczesny smutny stan Kościoła, którego słudzy ani sobie, ani Oblubienicy Chrystusowej bynajmniej nie pomnażali czci, nie przedstawiał nazewnątrz dodatniego i pociągającego widoku.

Lecz Görres, mimo liberalnego nastroju, nie pozwolił się przecież porwać nienawiści apostatów, która dla niskich powodów naigrawa się z religii i Kościoła. Od takiego upadku ustrzegła go szlachetność charakteru i głęboko wyrobione poczucie sprawiedliwości.

Poznawszy w czasie swego pobytu w Paryżu, jak rewolucja zdeptała wszelkie prawo, odczuł prawdę słów Cyce-rona: „Gdy kto lekceważy cześć Boga, niszczy jednocześnie wierność, wiarę i ludzką społeczność, a przedewszystkiem najważniejszą cnotę—sprawiedliwość”. (De nat. deor. 6, 2).

Szukając prawdy ze szczerą wolą, Görres zaczął się zbliżać do Kościoła i za łaską Bożą, której Chrystus nikomu nie odmawia, jeżeli o nią kto szczerze prosi, znalazł, czego szukał. „Coraz głębiej, mówi poeta J. Eichendorf o Görresie, utrwalało się w nim przekonanie, że, tylko posiadając prawdę, nie nadużywa się wolności, a prawda, przez Boga samego poświadczona, jest w Kościele, że duchowa i polityczna wolność jest możliwa tylko łącznie z wolnością Kościoła. Odkąd rozjaśnił swe pojęcia i wyraźnie odróżnił prawdę od fałszu, stanął do walki jako dobrze uzbrojony rycerz”.

W roku 1806 z Koblencji, gdzie był kilka lat profesorem fizyki, przeniósł się do Heidelberga, by wykładać w tamtejszym uniwersytecie historję i literaturę. Lecz, gdy w swoich pismach z coraz większym zapałem słał szczytną piękność katolickiego Kościoła, odwrócono się od niego tak, że był zmuszony znów powrócić do Koblencji. Szczególnie uderzył na niego, jak i na F. L. Stolberga i Brentana, stary radca dworu Voss z Heidelberga, zdanie zaś jego powtarzali bezkrytycznie i inni, liczni, nieprzyjaciele Kościoła. Wśród nich stracił Görres popularność, ale za to stanął na progu właściwej wielkości: „To lew! Mało było piszących z taką siłą w niemieckim języku, jak ten genialny Nadreńczyk, który właśnie w wyjątkowy sposób posiadał historję, filozofję i poezję”.

„W porównaniu z nim wszyscy, tak zwani tegocześni klasycy, to karły prawdziwe. W jego pismach tkwi potężny duchowy kapitał i one świadczą o wielkim człowieku, a w niektórych wypadkach goreje w nich słup ognisty”. Taki sąd wydał o pracach Görresa August Reichensperger, jeden z najznakomitszych znawców sztuki i literatury niemieckiej.

Wkrótce jednak tego wielkiego człowieka, który tak potężnie walczył przeciw francuskiemu najeźdźcy, zaczął prześladować rząd pruski. Jego „Merkury” został skonfiskowany, a sam Görres pozbawiony stanowiska i pensji.

Gdy w 1819 r. miał być uwięziony i osadzony w fortecy w Spandawie, udało mu się potajemnie wyjechać do Strasburga, gdzie Francuzi otoczyli go wielką czcią. W r. 1827 powołał go król Ludwik Bawarski na profesora Monachijskiego uniwersytetu. Tu był przez 20 lat ośrodkiem i ostoją dla największych ludzi 19-go wieku.

29 stycznia 1848 r. umarł Görres ze słowami na ustach: „Módlcie się za narody, które straciły swe znaczenie”.

JAN NEPOMUCEN TSCHIDERER.

1777 — 1860.

W sprawie Tschiderera rozpoczęty został w roku 1886 w Rzymie beatyfikacyjny proces. W odnośnym dekrete papieskim czytamy: „Pomiędzy wielkimi duszami, które wsławiły Kościół Jezusa Chrystusa, wyszczególnił się w wyjątkowy sposób Wielebny sługa Jan Nepomucen Tschiderer, biskup trydencki, któremu niezwykle cnoty zjednały opinię świętości, stwierdzonej wielu cudami”.

Tschiderer ujrzał światło dzienne 15 kwietnia 1777 r. w Bozen. Rodzice jego byli dosyć zamożni, należeli do starej tyrolskiej szlachty. Ojciec Jana w chwili jego urodzin zajmował poważne stanowisko w sądzie handlowym w Bozen, później przeprowadził się do Innsbrucka, gdzie był na urzędzie starszego poborcy podatkowego. Ci, którzy znali matkę Jana, uważali ją za nadzwyczaj pobożną kobietę, co w tych czasach płytkiego, józefińskiego „Oświecenia” miało wielkie znaczenie w wychowaniu dzieci. Do późnej starości wspominał często Jan o przymiotach swej matki, nazywając ją cnotliwą, wzorową i świętobliwą. Szczególnie był jej wdzięczny za surowe i proste wychowanie, jakie otrzymał z jej rąk błogosławionych. Jak sam opowiadał, na śniadanie dostawał zwykle kawałek chleba z wodą. To mu się później bardzo przydało, bo od dziecka przyzwyczał się być długo naczczo, a w duchownym stanie jest to rzeczą konieczną. Z pośród siedmiorga dzieci Jan sprawiał matce najwięcej kło-

potu, zwłaszcza w pierwszych latach swego życia, potem zaś najwięcej radości. Aż do czwartego roku życia miał tak nierozwinięty organ mowy, że nie mógł wymówić należyte prawie żadnego słowa. Wtedy ta cnotliwa niewiasta ślubowała, że gdy Janek pozbędzie się tej wady, to będzie się starać tak go wychować, by mógł potem poświęcić się Panu Bogu w stanie duchownym. Bóg wysłuchał pokornej prośby matki, która znów ze swej strony wiernie wypełniła swe ślubowanie. Przyszło jej to tem łatwiej, że Jan sam pragnął okazać wdzięczność Najwyższemu Stwórcy za to i za inne dobrodziejstwa, pilnie się uczył, uważał na napomnienia matki i naśladował jej życie cnotliwe. Już bardzo wczesnie odczuwał, jaki ma w niej skarb drogi; zawsze odnosił się do niej z wielkim szacunkiem i, całując ją po rękach, często prosił ją o błogosławieństwo, zwłaszcza gdy wychodził z domu na czas dłuższy. Ale skłonność do jąkania wracała mu od czasu do czasu, pracował przeto niestrudzenie nad usunięciem tej przykrej wady. Naśladując Demostenesa, przechadzał się często z kamykiem w ustach nad szumiącym potokiem górskim i deklamował głośno, żeby się w ten sposób przyzwyczaić do biegłego i prawidłowego wymawiania dźwięków i wyrazów.

Jak zaprzysiężeni świadkowie zeznają w procesie beatyfikacyjnym, Tschiderer już od wczesnej młodości posiadał niezwykłą dobroć serca i zawsze odznaczał się posłuszeństwem. Wesoły i żywy ze swymi kolegami, umiał być spokojnym i ułożonym w szkole, a kiedy w czasie modlitwy klęczał w kościele, albo stał nieruchomy jak posąg, to niktby w nim nie poznał tego pełnego życia młodzieńca.

Wszyscy świadkowie, którzy zeznawali w procesie, mówili zgodnie o wzorowym codziennym zachowaniu się Jana i niezwykłych jego cnotach.

W dziesiątym roku życia Jaś rozpoczął naukę gimnazjalną. W tym właśnie czasie został ojciec przeniesiony do Innsbrucka w charakterze starszego poborcy podatkowego. Ponieważ jednak w szkołach w Innsbrucku panował wyłącznie józefinizm, jansenizm i nauki illuminatów, nie chciał narażać młodocianego umysłu syna na niebezpieczeństwo skażenia temi błędami, pozostawił go przeto w gimnazjum w Bozen, prowadzonym przez OO. Franciszkanów. Jednak Jan był wszystkiego przez parę miesięcy w szkole, bo wskutek choroby musiał przerwać naukę. W następnym roku swą pracowitością wyrównał poprzednio opuszczone lekcje, a nawet wyprzedził w nich swych kolegów. Jeden ze współuczniów Jana zeznał, że uważał go zawsze za duszę wybraną, odznaczającą się niezwykle czystością, z tego względu koledzy nazywali go aniołem. Jan bardzo pragnął wiedzy, dlatego wszystkie pieniądze, które mu ojciec pozostawiał na jego osobiste drobne wydatki, obracał na kupno książek. Nic nie sprawiało mu takiej radości, jak codzienne służenie do Mszy św. w kolegiacie rodzinnego miasta, uczestniczenie w innych nabożeństwach, przebywanie na modlitwie w kościele i częste przyjmowanie Sakramentów św.

Ten zapal do pracy i niezwykła pobożność dopomogły Janowi zachować bez skazy najpiękniejszą cnotę, t. j. czystość ciała. W procesie beatyfikacyjnym powiedział jeden ze świadków: „Od młodości uważano go za anioła z powodu czystości obyczajów i z powodu jego gorącej pobożności”. To zdanie o jego niewinności było powszechne w diecezji i towarzyszyło mu aż do grobu. Każdy, kto go znał osobiście, był przekonany, że Jan dochował niewinności od chrztu aż do śmierci. Był on jedną z tych dusz, których piękno uwydatnia się na twarzy, w zachowaniu się i spojrzeniu. Nauczyciele kochali go wyjątkowo, koledzy ubiegali się o jego przyjaźń; on

zaś starał się być miłym i usłuznym dla wszystkich współkolegów, wystrzegając się wszakże zbytniego zbliżania do jednostek, bo wyczuwał instynktownie pewne niebezpieczeństwo, tkwiące w takim stosunku.

Jego pociągająca powierzchowność, niezwykła uprzejmość i miłe formy towarzyskie zwracały na siebie uwagę wszystkich. Skoro uświadomił to sobie, zaczął odrazu trzymać się w największej rezerwie. W niebezpiecznej sytuacji, podobnie jak Józef egipski, nie wahał się ani na chwilę w ucieczce szukać ratunku.

W lecie 1792 r. Jan skończył znakomicie gimnazjum w Bozen i wtedy zdecydował się pójść na studia filozoficzne. W tym celu obrał sobie uniwersytet w Innsbrucku, gdzie mieszkali rodzice w tym czasie. Tu, niestety, wiał zupełnie inny duch, niż w gimnazjum franciszkańskim w Bozen, ale jemü, jako maturzyście, ugruntowanemu w zasadach i świadomemu rzeczy, nie mogło nic zaszkodzić. Płytkie i nudne „Oświecenie” Woltera, Rousseau’a, Febronjusza, Jansenjusza i innych nie mogły zaniepokoić jasnego umysłu Jana. „Studjował, mówi o nim jeden ze świadków, w uniwersytecie w Innsbrucku w bardzo ciężkich czasach, bo wykłady były tam przesiąknięte zupełnie józefinizmem. Studenci byli nietylko pod wpływem tych błędnych nauk, lecz przytem cieszyli się z nieokreślonej niczem swobody. Jednak Bóg uratował Tschiderera przed podwójnem niebezpieczeństwem, które mu groziło tak ze strony nauczycieli, jak i kolegów; zachował on przeto bez skazy wiarę, pobożność i dobre obyczaje. W Innsbrucku jak i w Bozen unikał zbytnich zabaw z kolegami, znał tylko drogę z domu do szkoły i do kościoła”.

Niemniej podziwiano w nim wielką pokorę. Jeśli nie było czasem posłać kogo za sprawunkami do miasta, natychmiast on sam ofiarowywał się chętnie z tą posługą, choćby nawet wypadło przynieść koledze buty od szewca;

a przecież był już wtedy studentem uniwersytetu. Dawny kolega wydziału filozoficznego w Innsbrucku mówi o nim: „Tschiderer był wesół i zgodny w pożyciu, przytem bardzo poprawny i powściągliwy w zachowaniu się tak, że go wszyscy uważali za nadzwyczaj skromnego”. Inny znów zeznaje: „Matka Jana poleciła mi czuwać nad nim. Kiedy obserwowałem jego skromność i pobożność, myślałem często: Jeśli ten nie zostanie świętym, kto może nim zostać?” Choć był skromnym, nieśmiałym i bardzo opanowanym, jednak umiał zawsze wystąpić z energią, kiedy chodziło o obronę wiary.

Wkrótce po rozpoczęciu studjów filozoficznych, Jan słyszał pewnego dnia, jak jeden z jego profesorów nieściśle przedstawiał naukę Kościoła. Wtedy nie pokrył tego milczeniem. Podniósł się spokojnie i oświadczył profesorowi grzecznie, lecz stanowczo: „Przepraszam, ale to jest tylko pańska sofistyka”. Następstwem tego męskiego wystąpienia było to, że mimo nieskazitelnosci obyczajów i nienagannego zachowania się w czasie czterech semestrów, nie uzyskał od tego profesora ani razu pierwszej noty z zachowania.

Jednak „tym, którzy Boga miłują wychodzi wszystko na dobre”. (Rzym. 8. 28). Podczas gdy inni przy tego rodzaju nauce profesorów ponosili wielkie straty duchowe, Tschiderera te właśnie niepomysłne okoliczności przykuwały jeszcze bardziej do prawd Kościoła. Kiedy inni marnowali się przy rozpanoszonej swobodzie obyczajów, on tem więcej brzydził się rozpustą.

Obok łaski Bożej i pobożnego usposobienia zawdzięczał Jan to wszystko kierownictwu znanego Ojca Franciszkanina Herkulana Oberraucha w Innsbrucku, najbardziej znienawidzonego przez illuminatów i wyszydzanego jako przeciwnika fałszywego „Oświecenia”. Niezepsuta młodzież poszukiwała tego kapłana na swego kierownika. Tschide-

rera również Opatrzność skierowała do niego. Ojciec Herkulan domagał się od młodzieży przede wszystkim częstego przyjmowania Sakramentów św. Twierdził zawsze, że nie zna skuteczniejszego środka dla ustrzeżenia młodzieży przed występkami nad tygodniową spowiedź i Komunię św. Kto przy tej pobożnej praktyce wytrwa, nie zejdzie nigdy na długo z drogi zbawienia. „Z tysiąca młodych ludzi, którymi kierował, pisze on, nie znałem ani jednego, którego bym nie ustrzegł od zepsucia przy dwutygodniowej Komunii św. Ci zaś nieliczni, których nie można było utrzymać na uczciwej drodze, prawie wszyscy musieli to przypisać zaniechaniu Sakramentów św. Z przyczyny, dla której poszli na zatracenie, zdają sobie sprawę”. Jana również zachęcał O. Herkulan do regularnego, tygodniowego przyjmowania Sakramentów św., do czego posłuszny młodzian stosował się sumiennie. Później, idąc za radą swego kierownika, czytywał znakomite książeczki: „Naśladowanie Chrystusa” Tomasza à Kempis i „Walekę duchowną” Scupolego. Książki te były mu dużą pomocą i przez całe życie pozostały dlań ulubioną lekturą. Poza obowiązkową nauką Jan poświęcał cały czas na kształcenie się w innych dziedzinach wiedzy. Szczególnie był zapalony do sztuk pięknych, a specjalnie do rzeźbiarstwa i malarstwa. Okazywał w tym kierunku wielkie zainteresowanie, co mu się później jako biskupowi bardzo przydało. Na przechadzkach, które odbywał najchętniej sam, (bo wtedy bez przeszkody podziwiał piękno natury) zdobył wielką znajomość przyrody. Bardzo chętnie poszukując i zbierając botaniczne okazy, łączył przyjemne z pożytecznym, wytchnienie ciała z kształceniem ducha. Śliczne widoki przyrody były dlań tak samo, jak dla św. Franciszka z Asyżu, Bernarda z Clairvaux i innych—ciągłą pobudką do coraz serdeczniejszego uwielbiania i coraz głębszego poznawania Stwórcy wszelkiego piękna.

W 18 roku życia Jan skończył z odznaczeniem przepisane cztery semestry studjum filozoficznego. Teraz trzeba było zdecydować się na wybór stanu. Od młodości ciągle mawiał, że chce zostać księdzem. Ale w tym czasie zaczęła go męczyć wielka trudność, która mocno dręczyła jego niewinną duszę. Oto przestraszała go myśl, że jako kapłan będzie musiał zaznajomić się w konfesjonale z grzechem, owym potworem moralnym, który napawał go stale wstrętem. Podwoił przeto modlitwy, rozważył wszystko w świetle wiary i zwierzył się z temi trudnościami swemu spowiednikowi. O. Herkulan, jako powiernik jego sumienia, miał już dawno wyrobione zdanie o drodze, na której Bóg chce mieć Jana. Widział odrazu, że przestach przed urzędem spowiednika ma źródło w niewinności młodzieńca, którego prześladuje sama myśl, że musi zetknąć się ze szkaradą grzechu. Dlatego odpowiedział mu z całym spokojem, że są kapłani, którzy nie spełniają tego urzędu, bo Kościół nie nakłada tego obowiązku na każdego bez wyboru. „O! wtedy, zawołał, nie mam żadnej trudności i chcę zostać księdzem”.

Teologię można było studjować wówczas tylko w osławionych józefińskich generalnych seminarjach. Św. Klemens Hofbauer uważa je za duchowne domy karne, w których odbierano przyszłym księżom wiarę, pobożność chrześcijańską, szczere przywiązanie do Kościoła, natomiast zaś zaszczepiano jansenistowską pozorną pobożność i najpokorniejszą służalczość dla urzędów państwowych.

Na życzenie rodziców rozpoczął i skończył Jan swe studja teologiczne w Innsbrucku. Miało to tę korzyść, że mógł u nich mieszkać i mieć na miejscu doradcę w O. Herkulanie. Jak żadne sofistyczne metody nie były w stanie zaćmić jego jasnego i bystrego umysłu na wydziale filozoficznym, tak nie zaślepiło go fałszywe „Oświecenie” na wydziale teologicznym!

Po otrzymaniu święceń w lipcu 1800 r. został Tschiderer świętobliwym kapłanem.

W kilka dni po prymicjach nakazał mu O. Herkulan zdać egzamin na spowiednika i zasiąść do konfesjonału. Pokorny kapłan bez wahania poszedł za wskazówką kierownika swej duszy, uznając w tem głos Boży. Jakby w nagrodę za to posłuszeństwo Tschiderer został znakomitym lekarzem dusz, poszukiwanym i cenionym przez tysiące wiernych i sam zawsze cieszył się wewnętrznym spokojem. Pobożny ten kapłan pracował najprzód 2 lata jako pomocnik w parafji Lengmoos. W tym czasie odbył podróż do Rzymu, gdzie papież Pius VII zamianował go Protonotarjuszem apostolskim. Odznaczenie to tak Tschiderer ukrywał przed światem, że dowiedziano się o niem dopiero po jego śmierci. Po czteroletniej pracy w Unterrinn i u św. Pankracego, został profesorem Teologii Moralnej w Trydencie, gdzie pracował do 1810 r. Następnie był proboszczem w Sarntheim i w Meranie. W r. 1826 został kanonikiem w Trydencie, w sześć lat potem biskupem sufraganiem w Brixen, w r. 1834 księciem biskupem w Trydencie. Wszędzie ceniono nadzwyczajnie tego pobożnego męża, bo też działalność jego była bardzo owocna.

Jak żył, tak też i umarł świętobliwie dnia 3 grudnia 1860 r. Już w trzynaście lat po jego śmierci przedsięwzięto pierwsze kroki jego procesu beatyfikacyjnego.

KLEMENS BRENTANO.

1778 — 1842.

Do liczby poetów niemieckich, których długo niedoceniał nawet własny naród, należy Klemens Brentano. Dopóki nie ujawniał on swoich katolickich przekonań i nie występował w ich obronie, uważano go za człowieka, mającego w państwie prawo do zaszczytów. Nawet Goethe poświęcił mu gorące słowo uznania. Skoro zaś jawnie wyznał swą wiarę, odsunięto się od niego, lżono go, lekceważono. Dopiero w ostatnich latach doczekał się w szerokich kołach należnej oceny, na którą bezsprzecznie więcej zasłużył, niż wielu innych oklaskiwanych poetów.

Lata pierwszej młodości Brentano miał przykre. Prawie całe otoczenie, za wyjątkiem matki jego, było niewierzące i bez serca. Ta okoliczność tem więcej każe podziwiać to, że Klemens wszedł na drogę żywej wiary. Wraz ze swą siostrą Zofją chłopiec był oddany na wychowanie ciotce, zamieszkałej w Koblencji. W domu tym mąż był skończonym pijakiem, żona bez żadnego serdeczniejszego uczucia. „Widzieliśmy, opowiada Brentano, ciotkę tylko rano, w południe i wieczorem. Zawsze na jej widok strach nas przejmował. Rano przychodziła z zimną, jak lód, wodą, stawiała nas przed sobą i gąbką myła nam plecy. Nie widziałem jej nigdy uśmiechniętej; gdy mnie myła prawie ścinającą się od mrozu wodą, krzywiłem się i kręciłem. Nie wiem, czy ta kąpiel wogóle wpływała dobrze na

zdrowie. Wieczorem odczuwałem głód wielki; pamiętam, że pierwszy mój żart, na jaki zdobyłem się w życiu, zawierał się w słowach: „Na pierwsze śniadanie dostawałem polewanie wodą. Obiad jadaliśmy wśród ciągłych uwag: Trzymaj się prosto! Ręce na stole! Nie spuszczań tak głowy! Jakżeż ty trzymasz łyżkę i t. p.” Po obiedzie musiałem codziennie wyłuskać dziesięć orzechów dla ulubionego psa ciotki, który był przyzwyczajony je jadać, potem dla nas obydwójga ciotka dawała jednego orzecha. Po tych orzechach wiązano nam z tyłu łokcie i musieliśmy stać jakiś czas jedno do drugiego plecami. Widok ten widocznie sprawiał jej przyjemność, bo śmiała się do upadłego, gdyśmy upadali ze znużenia.

Resztę dnia spędzaliśmy wśród służby domowej lub u nauczyciela, który kazał nam uczyć się napamięć głównych miast Europy, sam zaś wtedy rozpalonym drutem wypalał oczy kanarkowi, lub czyścił sobie buty. Jeśliśmy się nauczyli tych nazw zawczasie, karał nas za to prawie zawsze”. Ponieważ praktyki religijne w tym domu były wykluczone zarówno w stosunkach domowych, jak i towarzyskich, bo uważano je za przeciwne dobremu tonowi, przeto Klemens nie miał możliwości nawyknać do nich, ani zrozumieć, co to jest życie, oparte na zasadach religijnych. Przeciwnie, musiał często słuchać kpin z Kościoła i sług jego. Te szyderstwa bardzo obrażały jego religijne uczucia.

Pierwszą spowiedź św. Klemens Brentano odbył z wielką radością. Sam wspomina w późniejszych latach o tym świętym nastroju.

Gdy miał dziewięć lat, wzięli go rodzice zpowrotem do domu ku wielkiej jego radości. Dopiero teraz pierwszy raz okazał on swą szlachetną i tkliwą miłość względem rodzonej matki, bo ciotce był posłuszny tylko z przy-musu i bojaźni.

Wzruszający jest jego szczery, głęboki niepokój o to, by czemkolwiek matki nie obrazić. Gdy wiedział, że matka miała wejść do pokoju, otwierał drzwi, gdy zaś weszła, z uczuciem serdecznem całował klamkę i każdy przedmiot, którego się dotknęła jej ręka, sądził bowiem z całą prostotą i naiwnością, że to sprawi matce radość.

Matka Brentana sama nie posiadała dużego religijnego uświadomienia, ale wszystko, co miała w swem sercu, z całą miłością przekazała dzieciom. Nigdy nie pozwoliła swym malcom iść do łóżka, zanim, jak to było w starym zwyczaju, nie zrobiła im na czole znaku krzyża świętego. Często, gdy wróciła wieczorem do domu, a było to niekiedy nawet o późnej godzinie, przychodziła pocichu do dziecięcego pokoju i, chodząc od łóżka do łóżka, nachylała się nad każdym dzieckiem, odmawiała „Zdrowaś Marja” z modlitwą do Anioła Stróża i błogosławiła swe najdroższe klejnoty. Klemens przypomniawszy sobie później jedną przeżyłą noc, gdy, leżąc, nie spał. „Dom cały pogrążony był w śnie głębokim. Wtem nieoczekiwanie matka weszła do pokoju, jasno oświetlonego blaskiem księżyca. Czulem, jak z oczu jej spłynął na mnie potok serdecznych łez. Nie wiedziałem, czego płacze. Nie miałem odwagi objąć jej za szyję, a kiedy wyszła z pokoju, sam rozczuliłem się bardzo. Wtedy pierwszy raz w życiu poczułem jakiś dziwny ból w sercu, odmówiłem „Zdrowaś Marja” i zasnąłem spokojnie”.

Stary buchalter, który pracował w domu Brentanów, interesował się małym Klemensem i chętnie opowiadał mu różne wesołe historyjki. Z upodobaniem mówił on o przyszłym antychryście, czem napędzał swemu młodocianemu słuchaczowi tyle strachu, że ten zaczynał płakać. Wtedy dopiero pocieszał go, mówiąc: „Wezmę cię do kościoła, tam się poświęcisz na rycerza, walczącego przeciwko antychrystowi i tam cię u wejścia powitają śpie-

wem". To się spełniło, ale w sposób, w jaki opisuje to sam Brentano w swej pracy pod tytułem: „Z młodości”.

„Kiedyśmy weszli do kościoła, otoczyły nas obłoki pachnącego kadzidła. Na wysokich filarach wisiały złote anioły i widać było osobliwe postacie na wielu obrazach. Cicho i spokojnie wznosiły się smukłe łuki. Nasze kroki rozlegały się echem w świątyni. Organy grały na chwałę Boga. Zakonnicy wchodzili do swego chóru. Tak mocno nie biło mi jeszcze nigdy serce, jak wtedy. Poważny mój towarzysz zrobił nade mną znak krzyża święconą wodą i pokropił mię nią obficie. Kazał potem słuchać i siedzieć spokojnie. W słuch zamieniłem się cały, a kiedy w *Salve Regina* wyraźnie zaśpiewano imię moje, uczułem wielki zachwyt i jednocześnie pewną bojaźń. Jak dzwon brzęczały mi w duszy słowa: o clemens, o pia, o dulcis virgo Maria! Uczułem coś wiecznego, kiedy wyśpiewano, jak mi się zdawało, imię moje „Klemens” i dodałem o piał! W ostatniej godzinie życia mego zmiłuj się nademną o clemens, o pia, o dulcis virgo Maria i przyjmij mą duszę w swe objęcia!” Niestety, to jego szczęście w domu rodziców nie trwało zbyt długo, bo Klemens musiał jechać znów do gimnazjum w Koblencji. Panował tam w tej szkole duch niewiary pod nazwą „Oświecenia”, a że rodzina, u której mieszkał, nie była lepszą, nic dziwnego, że mocno zachwiała się w nim równowaga ducha w stosunku do Boga. Nauki, jakich tu udzielano uczniom, przedstawił Brentano w następujących słowach: „Idź za swą naturą, za swemi żądzami, bądź wolnym człowiekiem, używaj życia, bądź myślącym duchem, idź naprzód z duchem czasu, pozwól klechom paplać, pokazuj rodzicom X zamiast Y *), wyśmiewaj i wyszydzaj nauczycieli poza ich plecami; tak oszczędzisz im trudu, żeby tego sami so-

*) to znaczy, wykipiuj się przed nimi. (Objaśnienie tłumacza).

bie nawzajem nie robili". Biedni rodzice — ze smutkiem mówili między sobą o zdzczeniu w szkołach, ale skarg tych nie mogli głośno powtarzać. „Rodzice smucili się z tego, pisał Brentano w 1827 r., mówiąc między sobą: co to ma znaczyć? Ojciec opowiadał mi ciągle o księżach Jezuitach, którzy w swych szkołach byli szanowani i dla swych uczniów byli aniołami stróżami; teraz z ust młodzieńców wciąż słyszę głupstwa, kpiny i żarty z tych Ojców zakonnych, a ja nie umiem nic na to odpowiedzieć, ani zaprotestować przeciw temu. Jeśli zaś uczeń wnosi z sobą coś dobrego i obyczajnego do szkoły, wszyscy momentalnie nazywają jego ojca „Jezuitą” i wpisują go do czarnej księgi, t. j. podają o nim drwiącą wiadomość do wszystkich brukowych plotkarskich pism”. Na szczęście Brentano był w Koblencji tylko rok; w 1789 r. wysłano go do Frankfurtu, gdyż ciotka owdowiała i opuściła stare, nadreńskie miasto—Koblencję.

Klemens miał teraz pomagać ojcu w sklepie, lecz przy swej bujnej wyobraźni zupełnie nie mógł wdrożyć się do tego zawodu. Pisać listy przekazowe, kopjować weksle, wysyłać kolonjalne towary, śledzić za podnoszeniem się cen oliwy i rzepaku,—wszystko to było nie dla niego zajęcie. Kwity i rachunki zaczął pisać rymami, a przewozowe listy ozdabiał winietami, za co niejednokrotnie otrzymywał od ojca upomnienie. Pewnego razu Klemens zakończył z jedną z poważnych firm długą i coraz ostrzejszą korespondencję w sprawie zaginionej beczki cukru w ten sposób, że obok podpisu narysował kapelusz, a pod nim dwie zgryźliwe twarze wzajemnie przedrzeźniające siebie i pod tem napisał słowa: „Dwaj głupcy pod jednym kapeluszem, a przypatruje im się trzeci”. Gdy na to wszystko ojciec otrzymał niemiłą odpowiedź, przeze mnie ozdobioną szeroką rzeką, a ta, oblewając zachodnią stronę fortecy, wskazywała na obraźliwy podpis: „To jest forteca

Wessel, kto na nią patrzy, jest osłem” miał już dosyć tej kupieckiej praktyki swego „nieprzeciętnego” syna.

Wtedy piętnastoletni Brentano wyjechał na uniwersytet, na który jednak nie był przygotowany pod względem umysłowym i bez skryształizowanych zasad chrześcijańskich. Niebezpieczeństwo dla niego było tem większe, że uniwersytet w Bonn, na który zapisał się na jesieni 1793 roku, był typowym przykładem modnego wówczas „Oświecenia”. Prawdziwy konsekwentny katolicyzm był tam uważany przez studentów, jako wróg oświaty i stek zabobonów. Szydercze pismo przeciw Papieżowi i najświętszym tajemnicom w połączeniu z widoczną swawolą w życiu mogły podzielać tylko ujemnie na młodociany umysł. Stale usiłowano tam naśladować północno-niemieckich illuminatów, względnie wolnomularzy. Lecz w roku 1794 wojska francuskiej rewolucji, przez wzięcie miasta, położyły temu koniec.

Klemens wrócił znów do domu i odbył jeszcze parę wędrowek po kupieckich kantorach, poczem w 1797 roku poszedł na uniwersytet w Jenie. Trudno określić, co tu właściwie studjował. O prelekcjach wspomina mało. Narazie, jeśli nawet nie pracował systematycznie, nie odniósł wielkiej szkody, bo nikt z tego nie korzystał, co ówczesne z Jency wielkości: Fichte, Hegel i Schelling przedstawiali jako filozofję. Nauki np. Fichtego: „Ja—jestem ja”, „nie ja—jest nie ja”, „ja przeciwstawia się podzielnemu ja”, „podzielne nie ja...” Te i tym podobne nauki budziły tylko w Brentonie chęć do żartów i ciętych satyr.

Od krańcowych wykroczeń w studenckim okresie ustrzegł go wrodzony mu zmysł szlachetny tak, że według świadectwa wielu znajomych ani jednego nie można mu było wykazać czynu, któryby świadczył o jego niemoralności. Od studenckich bijatyk trzymał się zawsze zdaleka. Współtowarzysze, chcąc go wyciągnąć na poje-

dynek, namówili jednego z kolegów do powiedzenia mu pewnego razu: „Głupcze!”. To jednak nie wyprowadziło Klemensa z równowagi, który śmiejąc się, odpowiedział: „O tem już sam wiem dawno, dlatego też ojciec przysłał mnie na uniwersytet, żebym się czegoś nauczył”.

Pod pewnym jednak względem pobyt w Jenie miał duże dla niego znaczenie. Tu Brentano przyłączył się do romantycznej szkoły poetyckiej, która zwracała się przeciwko modnemu „Oświeceni” ówczesnych literatów i nawiązała znów łączność ze świetnym okresem poezji średnio-wiecznej. W konsekwencji musiały te kierunki siłą rzeczy wywołać w katolickim Kościele mocniej pulsujące życie. Niektórzy romantycy wrócili do utraconej wiary, inni poszli na manowce, inni wreszcie odnaleźli drogę bezpieczną dopiero po dłuższem błakaniu się po manowcach błędu... Do tych ostatnich należy i Klemens Brentano.

W tym czasie, a więc, mając mniej więcej 20 lat, Klemens napisał „dziką” swą powieść — „Godwi”, której później nikt tak ostro nie osądził, jak sam jej autor. Niektóre z jego wierszy okolicznościowych należą do najlepszych z tego, czem może się pochwalić literatura tego okresu romantycznego.

Lecz przyszły na Brentana lata największego wewnętrznego niepokoju, szukania nowych dróg i walka o osobisty spokój duszy. „Kiedy idę na przechadzkę, tak sam się zwierza, czuję, że coś się ze mną dzieje niedobrego, nie mogę dać rady sam sobie. Idąc, patrzę wciąż w dół, często się oglądam za siebie. Kiedy spoglądam na niebo, napływają mi do oczu łzy; w niebie i w płynącej wodzie, tak marzę, mieszka tęsknota, która wszystko ku sobie ciągnie, jak jaka syrena. Dlatego ciągle spoglądam w głąb własnej duszy i powtarzam sobie rozmaite kołysanki po to, żeby płaczący wciąż w mojem sercu żywy nowotwór zamilkł nareszcie”. Tym nowotworem

w piersi poety było ostrzegawcze i karcące go sumienie. Klemens nie był wtedy z siebie zadowolony, bo wiedział, że powinien czuć się inaczej.

Pewnego razu myślał zostać protestantem, potem popadł w zupełną niewiarę, aż wreszcie znalazł drogę do prawdy, do Kościoła katolickiego i do dawno upragnionego spokoju. Obok łaski Bożej i przyczyny Najświętszej Panny, do której uciekał się ustawicznie, było to dziełem życzliwych przyjaciół, w szczególności (jeszcze wtedy protestantki) poetki Ludwiki Hencel. Reszty dokonała pamięć na ukochaną matkę.

„Kiedy, tak sam o sobie mówi, w północnych Niemczech błąkałem się poza Kościołem i w nocy wśród wielkich cierpień duchowych szukałem jakiegoś punktu oparcia, wtedy przypominałem sobie chwilę dziecięcej modlitwy. To była ta jedyna nić, która mnie uratowała. Wszystko inne zawiodło”.

Następnie Brentano nagle, jakby zdziwiony pyta: „Skądże moja matka wzięła moc swego ducha? i na to odpowiada: prawdopodobnie od jakiejś katolickiej, dawnej piastunki. Niech jej zato Bóg wynagrodzi”... Więcej niż nauki uniwersyteckie wspierały go te dawne, ciche westchnienia matki, które on z lat dziecięcych ma jeszcze ciągle w swej pamięci. Wszystkie te wspomnienia lat dziecięcych podsuwały mu myśl, że mu nie wolno oddawać swej duszy za cenę fałszywej monety, którą jest naukowa pycha pseudouczonej. Ta pamięć na matkę była dlań w późniejszym wieku tak drogą, że starej piastunce, która w rodzinie wychowała parę pokoleń i wypiastrowała jego matkę, poświęca wspomnienie w swej literackiej pracy, wprowadzając ją jako „Broneli” w „Dzienniku przodka po kądzieli”.

Przez pięć lat w Dülmen wywierała na duszę Bren-

tana wielki wpływ zakonnica Augustjanka, Katarzyna Emmerich, obdarzona od Boga łaską objawień.

Od tego czasu Klemens rozpoczął zupełnie inne życie. Sam pisał i wydał objawienia tej pobożnej zakonnicy. Jego pieśni o różańcu wykazują niezwykłą siłę wyobraźni, swobodne władanie słowem i wielką łatwość w posługiwaniu się najtrudniejszymi formami, jakiej chyba nie osiągnął żaden z poetów. Właściwy czar fantazji Klemens wykazał dopiero w bajkach, które po jego śmierci zostały wydane na rzecz ubogich. Brentano wydawał w podobny sposób wiele swych utworów. Całego swego majątku użył Klemens dla biednych i na inne cele szlachetne.

Po nawróceniu się żył w wielkiej pokucie u swoich przyjaciół w Bonn, Koblencji, Frankfurcie, Regensburgu i Monachjum. Umarł w Aszaffenburgu w Bawarii 28 lipca 1842 roku.

The first part of the paper is devoted to a discussion of the general principles of the theory of the structure of the atom. It is shown that the structure of the atom is determined by the laws of quantum mechanics, and that the laws of quantum mechanics are determined by the laws of the theory of the structure of the atom. This is a circular argument, but it is the only way to proceed.

The second part of the paper is devoted to a discussion of the general principles of the theory of the structure of the atom. It is shown that the structure of the atom is determined by the laws of quantum mechanics, and that the laws of quantum mechanics are determined by the laws of the theory of the structure of the atom. This is a circular argument, but it is the only way to proceed.

The third part of the paper is devoted to a discussion of the general principles of the theory of the structure of the atom. It is shown that the structure of the atom is determined by the laws of quantum mechanics, and that the laws of quantum mechanics are determined by the laws of the theory of the structure of the atom. This is a circular argument, but it is the only way to proceed.

JAN CHRZCICIEL MARJA VIANNEY.

1786 — 1859.

Około połowy zeszłego stulecia udawały się tłumy pielgrzymów, niekiedy ponad 20 tysięcy rocznie, do oddalonej od świata wioszczyny Ars, w okolicy Ljonu, nie w celu odwiedzenia jakiegoś sławnego miejsca duchownego, jak Loret, albo Lourdes, nie żeby modlić się u grobu chrześcijańskich męczenników, świętych bohaterów, jak to się dzieje w Rzymie lub w Kompostelli hiszpańskiej, lecz żeby pomówić choć kilka minut z tamtejszym proboszczem Janem Chrzycielem Marją Vianneyem. Całemi godzinami, dniami, nawet nocami ludzie wyczekiwali w kościele na swą kolej, aby dostać się choć na chwilę do zakrystji i przedstawić tamtejszemu proboszczowi sprawy i potrzeby własnej duszy, a, pokrzepiwszy tam swego ducha, wracali napowrót do domu z nowym zasobem sił moralnych.

Niezwykły ten człowiek, który pocieszał i uszczęśliwiał wielotysięczne tłumy, urodził się w 1786 r. z biednych rodziców we wsi Dardilly pod Ljonem. Matka Jana, która była bardzo rozumną kobietą, wcześniej wszczepiła weń bojaźń Bożą. Jaś jako półtoraroczne dziecko, składał rączkę i, włożywszy je w ręce matki, za nią powtarzał święte imiona Jezus i Marja. Pierwsze wyrazy, które wymówił były to słowa modlitwy.

W domu Vianneyów był taki porządek, że matka sama budziła dzieci i pilnowała, żeby pierwszą swą myśl i pierwsze słowa zwracały do Boga. To też ks. Jan przez całe życie odznaczał się głęboką pobożnością i zawsze

z tej racji wspominał z uwielbieniem o swej matce. Zaledwie zaczął mówić, pragnął brać udział we wszystkich ćwiczeniach pobożnych. Gdy posłyszał dzwon na Anioł Pański, pierwszy klękał w domu, by odmówić tę modlitwę. Z zamiłowaniem do modlitwy już w czwartym roku życia szukał samotności, dlatego w domu rodziców miał różne odosobnione miejsca, do których się chował. Tam, gdy zdawało się, że gdzieś zginął, zawsze można było go znaleźć. Klęcząc, odmawiał tam z dziecięcą pobożnością modlitwy, których dużo umiał napamięć.

Z największą pobożnością Vianney czcił Najświętszą Pannę Marję. Gdy go później jeden z kapłanów, który był jego pomocnikiem, zapytał, skąd nabrał tego nabożeństwa do Bogarodzicy, odpowiedział: „Pokochałem Marję, zanim Jej poznałem dzieje. Gdy byłem jeszcze mały, miałem śliczny różaniec, który obudził zazdrość w mej siostrze, przeto chciała mieć go również; wtedy doznałem pierwszej przykrości w życiu. Zwróciłem się wówczas do matki o radę i otrzymałem odpowiedź, żeby z miłości ku Bogu zrobić tę ofiarę i różaniec oddać siostrze. Uczyniłem tak, ale dużo mnie to kosztowało”.

Ile razy Jaś miał ku temu sposobność, zawsze słuchał Mszy św., budując wszystkich swoim głębokim skupieniem i prawdziwie anielską pobożnością. „Napewno kapłan z niego będzie”, taki już wtedy wydawali o nim sąd sąsiedzi.

Wielkiego bólu zaznał ośmioletni Jaś, gdy rewolucja w swej ślepej wściekłości zamknęła kościół w jego mieście i usunęła kapłana. Pomnażał wtedy swe pobożne ćwiczenia i modlitwy, zwłaszcza, gdy, pasąc małą trzodę, miał czas ku temu. Nierzadko skupiał około siebie innych pastuszków, by ich nauczać i modlić się z nimi wspólnie. Niekiedy, będąc w polu, siedł na samotne miejsce, które zakrywał przed ludzkim wzrokiem wysoki krzew, aby tam od-

dać się w skupieniu modlitwie i rozmyślaniu prawd Bożych.

Chrześcijańskie miłosierdzie było najpiękniejszym rysem rodziny Vianneyów. Dom ten był znany, jako przytułek dla wszystkich nieszczęśliwych. Niemal pod każdy wieczór schodziło się tam biednych tak dużo, że często w stodole nocowało po dwadzieścia osób. W zimowej porze ojciec dla nich rozpalał ogień na środku kuchni, by ich ogrzać wszystkich. Wtedy zastawiano jednocześnie na kominie wielki garnek z kartoflami, a gdy się ugotowały, domownicy siadali wspólnie z biednymi do obiadu. Janek nad wyraz się cieszył, gdy mógł pomagać rodzinom przy tem czynnem miłosierdziu i sam wszystkich biednych, których spotkał na drodze, prowadził do domu. Raz przyszedł z dwudziestoma czterema. Liczba ta okazała się zbyt duża nawet dla ojca, który przecież miał dobre serce i rad był zawsze wszystkich przygarnąć do siebie. Zbliżył się czas, kiedy Vianney miał przyjąć po raz pierwszy Komunię św. Kościoły były wtedy jeszcze zamknięte przez rewolucję, i tylko skrycie i pod grozą ciągłego niebezpieczeństwa kapłani, gotowi na wszelkie ofiary, udzielali wiernym świętych tajemnic. To przecież nie mogło go zastraszać, gdyż chodziło tu o chwałę Bożą i o zbawienny pożytek dla duszy. Mimo prześladowania rządu on nigdy nie opuszczał Mszy św., czy była odprawiana w nocnem leśnem pustkowiu, czy gdzieś w oddalonej zagrodzie. I teraz tę samą okazał gorliwość, gdy miał bliżej poznać naukę o świętych tajemnicach. Korzystał z tego, że dwie zakonnice (z wielkiem dla siebie niebezpieczeństwem) udzielały jej potajemnie, a później czynił to jeden z kapłanów. Dzieci w tym celu zbierały się raz w jednym, drugi raz w drugim domu, prawie zawsze w nocy i zawsze gdzieindziej, by uniknąć oka republikańskiej policji. Ołtarz, na którym kapłan sprawował wówczas świętą tajemnicę, był urządzony w stodole, zabary-

kadowanej wielkim wozem siana. Najświętszą Ofiarę odprawiał ksiądz w nocy, zupełnie cicho. A mimo wszystko, ze szczęścia rozplýwało się serce chłopca, gdy po raz pierwszy przyjmował Zbawiciela w Komunii św. Od tego czasu stawał się coraz pobożniejszym i umiał wszędzie obcować z Bogiem.

Jeżeli sam pracował w polu, wtedy modlił się głośno, jeżeli z kimś wspólnie, to pocichu; gdy inni w czasie przerwy południowej kładli się na ziemi, by odpocząć, on się jakby do snu ułożył, w rzeczywistości wszakże serce jego zajęte było wtedy najgorętszą modlitwą. Pewnego wieczoru, gdy szedł z pola wraz ze swoim starszym bratem Franciszkiem i kilku robotnikami, cofnął się o kilka kroków na odosobnione miejsce, by odmówić różaniec; wtedy ironicznie odezwał się jeden z wywrotowców robotników do Franciszka tak głośno, że wszyscy to słyszeli: „Czemu nie odmawiasz swych pacieryz wraz z bratem?” Franciszek się trochę zarumienił, Jaś zaś, jakby nic nie słyszał, spokojnie modlił się dalej. Mimo ciężkiej w ciągu dnia pracy na polu, wieczorem zawsze uczył się katechizmu, lub historii biblijnej, modlił się albo rozmyślał.

Gdy przyczichła rewolucja i świątynie można było otwierać, Jan był jednym z najbardziej gorliwie odwiedzających kościoł w Ecully, oddalony o godzinę drogi. Nie było tam święta, nie było większego nabożeństwa bez niego. Miejscowy, gorliwy proboszcz zwrócił uwagę na tego pokornego młodzieńca i postanowił nim się opiekować; a gdy się przekonał, że Bóg go powołuje do kapłaństwa, sam się ofiarował udzielać mu początkowej nauki. Można sobie wyobrazić, jak wielka była radość Jana, gdy widział, że jego pragnienie może się urzeczywistnić. Lecz w następnym roku zaczęły piętrzyć się przed nim duże trudności szkolne, które trzeba było przezwyciężać. Wtedy zamieszkał w Ecully u krewnych matki

i rozpoczął tu systematyczną naukę. Wkrótce się wszakże okazało, że przy małych zdolnościach bardzo wielkie robił postępy. Złożyła się na to i ta okoliczność, że we właściwym czasie nie otrzymał dostatecznego przygotowania szkolnego, a teraz, gdy rozpoczął naukę, już miał 18 lat. Orjentował się wolno, zapominał prędko i bardzo pomалу szedł naprzód. Pokazało się, że Bóg strzegł swego sługę od wszelkiej pokusy próżnej sławy, by zachować go całkowicie dla siebie.

Niekiedy przeżywał biedny chłopiec tak przykry nastrój i tak się czuł przybitym, że wszystko zdawało się być straconem. Na szczęście był tam wytrawny i spopatrzeniawczy pedagog, który, widząc w Janie niezwykłą moralną wartość, budził w nim ufność we własne siły. Wtedy znów Vianney nabrał otuchy do pracy, i wkońcu Bóg uwieńczył jego trudy dobrym rezultatem. W czasie przysięgnięcia uczynił on ślub, że o żebraczym chlebie pójdzie pieszo do grobu apostoła południowej Francji—Franciszka Regisa, aby za jego pośrednictwem wyprosić sobie u Boga siłę do ukończenia studjów.

Ślub ten wykonał wśród wielkich materialnych trudności i upokorzeń, ale, istotnie, odtąd zaczął robić doskonałe postępy. Warunki życia codziennego w tym czasie w Ecully miał nad wyraz skromne, ale nie tylko radził sobie, lecz nawet pomagał jeszcze biedniejszym od siebie. Gdy razu pewnego szedł z Ecully do Dardilly, w drodze spotkał bosego żebraka, zdjął swoje nowe obuwie i podarował mu takowe. Za ten bohaterski czyn spotkała go jednak wymówka od ojca. Gdy pokonał największe trudności w nauce, musiał przejść nowe doświadczenia. Wojowniczy cesarz Napoleon był wtedy w okresie wypraw zdobywczych i znów potrzebował młodych ludzi, żeby wystawić świeże oddziały przeciw Hiszpanji. W r. 1809 Jan Vianney otrzymał rozkaz, aby się stawić w Bayonnie.

Musiał przeto przerwać ukochaną pracę szkolną, a nawet prawdopodobnie stracić wszelką możność powrotu do niej. Ten cios uderzył weń bardzo dotkliwie tak, że się rozchorował ciężko. Lecz mimo osłabienia powlókł się do Ljońskiego szpitala. Ledwie przetrzymał kryzys choroby, gdy przyszedł rozkaz, by się przyłączył do wojska, które stało już gotowe do wymarszu przeciw Hiszpanji. Jan rozkaz spełnił, ale przyszedł zapóźno i już nie zastał swego oddziału. Zatrzymał się wtedy w oddalonej wiosce, gdzie nie tylko doznał gościny, ale ku swej radości usłyszał zapewnienie bezpieczeństwa. Z wdzięczności za tę pomoc zajął stanowisko nauczyciela w krajowej szkole, uczył w niej wiejską młodzież gorliwie i cierpliwie, jednając sobie powszechny szacunek.

Od władz rządowych rodzina za tę jego „ucieczkę” doznała dużo przykrości tak, że wkońcu najmłodszy jego brat był zmuszony zamiast Jana zapisać się do służby wojskowej jako ochotnik. Dopiero wtedy Jan mógł bezpiecznie dokończyć swą naukę u zacnego proboszcza Ecully. By zdobyć konieczne filozoficzne wykształcenie, Vianney wstąpił do małego seminarjum w Verrierès, gdzie się znów znalazł wobec nowych przykrości. Współkoledzy bowiem spostrzegli w nim małe zdolności, musiał przeto wiele przecierpieć niesmacznych od nich drwinek, lecz w pokorze zniósł to wszystko. Potrochu cała szkoła zmieniła swój pogląd, oceniła jego istotną wartość i zaczęła w nim szanować szczerze dążenia do świętobliwości i nauki.

Przełożeni seminarjum podziwiali w nim wielką skromność, pokorę, powściągliwość, niezwykle zamięłowanie porządku, uległe posłuszeństwo, szczerą pobożność, wewnętrzne wyrobienie i wszyscy bez wyjątku byli zdania, że Jan jest wzorem dla kolegów. Ale to uznanie, jakim go obdarzali profesorowie, było źródłem i powodem nowych przykrości. Między współkolegami miał Vianney

jednego, któremu bardzo się niepodobały pochwały, jakimi go darzono, szacunek, jakim go powszechnie otaczano, podziw, z jakim o nim mówiono. Wszystko to tak dalece drażniło tego młodego człowieka, że wprost wybuchął gniewem względem niesympatycznego dla siebie kolegi. Gdy ten zazdrosny towarzysz pewnego razu przebrał miarę w zniewagach, a nawet groźbach i gwałtownym lżeniu, Vianney upokorzył się tak dalece, że prosił go na klęczkach o przebaczenie. Ten nieoczekiwany heroizm miał nieoczekiwane również następstwa. Napastnik tak został tem wzruszony, że się zawstydził, sam prosił Vianneya o przebaczenie i odtąd sprzyjał mu wraz z innymi. W lipcu 1813 roku powrócił Vianney do Ecully, by rozpocząć studia teologiczne pod kierunkiem swego pierwszego nauczyciela i przygotować się do wyższego seminarjum. Tu znalazł się w swoim żywiole. W teologii nie czuł tej martwoty, która mu dokuczała przy dotychczasowej nauce. Ale i teraz musiał jeszcze znieść wiele. Gdy po dwóch latach miał złożyć wstępny egzamin do wyższego seminarjum, tak się zmieszał, że odpowiedzi jego wypadły niedostateczne. Lecz ponieważ jego nauczyciel, proboszcz z Ecully, całego użył wpływu w tej sprawie, przeto Jana przeegzaminowano drugi raz prywatnie i przyjęto go do seminarjum w Ljonie. Jak w Verrières, tak i w Ljonie wkrótce oceniono jego niezwykle przymioty. Regulamin w najdrobniejszych szczegółach zachowywał tak dokładnie, że był wzorem studenta dla wszystkich teologów. Przytem był bardzo pogodnym i przyjemnym towarzyszem i ze wszystkimi alumnami żył w jednakowej harmonji. Na spacerach mile przebywał jednakowo z każdym kolegą.

Choć Vianney nigdy nie był wielkim uczonym, byłoby jednak dużym błędem nazywać go nieukiem. Nade wszystko posiadał zdrowy i pewny sąd o rzeczach, co z pewnością daleko wyżej należy cenić, niż powierzchow-

ność tych umysłów, które błyszczą zewnątrz, imponują polorem naukowym, w rzeczywistości zaś nie posiadają nic prawdziwie wartościowego. Gdy mu biskup 9 sierpnia 1815 r. w czasie udzielania święceń w katedrze w Grenobli kładł ręce na głowę, spokojnie to czynił, bo był święcie przekonany, że posyła pewnego pracownika do winnicy Pańskiej.

Często widzi się w życiu Kościoła, jak ludzie, nawet wyposażeni w naukę, prawie żadnego nie przynoszą dla Królestwa Bożego pożytku, albo są niekiedy nawet kamieniem obrażenia, tymczasem ten prosty sługa Boży niósł ulgę setkom tysięcy i dla wszystkich stał się wszystkim.

Na nim sprawdziły się słowa apostoła (I Kor. 27—29): „ale wtedy wybrał Bóg głupstwa świata, aby zawstydził mądre, a mdłe świata Bóg wybrał, aby zawstydził mocne... aby się żadne ciało przed oczyma jego nie chlubiło”.

Po dwóch latach pracy wikariuszowskiej w Ecully, w 1818 r. objął Vianney probostwo w Ars, jedno z najbardziej podówczas moralnie opuszczonych, liczące zaledwie około 500 wiernych. Jego nadzwyczaj surowy rodzaj życia, jego prosty i uprzejmy sposób wychodzenia z ludźmi, tchnący nadprzyrodzoną siłą i namaszczeniem, mimo niepozornej jego powierzchowności, wywierał taki wpływ na wiernych, że i parafia wkrótce zmieniła się zupełnie i niezliczone masy zdaleka szukały w Ars rady i pomocy. Biskup z Belley, który niejednokrotnie ofiarowywał mu promocję na lepsze stanowisko, za które zawsze dziękował Vianney, mianował go honorowym kanonikiem. Napoleon III odznaczył go krzyżem Legji Honorowej. W trzydzieści lat po śmierci Vianneya na skutek specjalnego papieskiego zezwolenia rozpoczął się jego proces beatyfikacyjny.

31 maja 1925 r. Papież Pius XI ogłosił go świętym. (Przypisek tłumacza).

JÓZEF EICHENDORFF.

1788 — 1857.

Józef Eichendorff tak precudnie wyraził myśli w poezji lirycznej, że młodzież niemiecka przez długi jeszcze okres czasu będzie się rozkoszowała jego pieśniami. Natura i wychowanie dały mu to, co większość romantyków osiągała dopiero po trudnych walkach wśród przeciwieństw i niepewności stoczonych, a często nawet wśród wewnętrznego rozdzwisku. Tu tkwi źródło błogiego w nim spokoju, łagodności dziecka, serdecznej uczciwości, szczerego humoru i artystycznego przedstawienia rzeczy. Eichendorff posiada jakby właściwości ptaka śpiewnego, któremu wszystko dopomagało do nucenia cudnych treli; rzadko który z poetów posiadał tak harmonijnie jakoś nastrojone podłoże uczuciowe, tak głębokie i podniosłe odczucie życia. Weseli studenci, wędrowni muzykanci, zabawni komedjanci i pełni zagadki cyganie byli dla poety tematem jego pieśni. Cicha ziemia, nad którą wzniósł się niewinny skowronek, odosobniony zamek, obok którego szumią w czasie cudnej letniej nocy pełne wody źródła, wilgotny od rosy poranek ze świeżą wonią leśną, samotna cela, w której z ochotą i z nakazu prawa odpoczywa pustelnik, aż do porannej zorzy, precudne ranne milczenie, które odczuwa gospodarz, idący przez ciche pole, tęsknota w podróży, życie śpiewaka, to wszystko jest treścią jego utworów, która choć często się powtarza, zawsze jednak jest nową... „W chłodnej dolinie“, „Myśli-

wy żegna", „Wesoły podróżnik", (któremu Bóg chce okazać prawdziwą łaskę), „Wieczorna modlitwa", (cicho się odzywa wśród drzew), „Ranna modlitwa" (cudowne, głębokie milczenie), pieśń: „O dalekie doliny, o wyżyny" i wiele innych jeszcze jego poezyj—wszystko to przedstawione jest serdecznie, słodko, i tak niejako wonnie, a przytem wszędzie widać nastrój głęboki. Z jego nowel każdego zachwycą: „Z życia nicponia" swą pogodną poezją o osnowie—Dolce far niente.

W późniejszych latach Eichendorff pozyskał dla siebie wysokie uznanie jako wytrawny historyk literatury.

Nigdy on się nie sprzeniewierzył katolickiej wierze, a kiedy w latach młodości lekkomyślności w niej ostygł na chwilę, wkrótce zajął się sprawami własnej duszy z całym zapałem i uporządkował w niej wszystko.

Eichendorff urodził się jako drugie dziecko w starej rodzinie baronów, 10 marca 1788 r., na zamku Lubowicz, pod Raciborzem. Ojciec-szlachcic, prawdziwie starej daty, matka—delikatna i inteligentna kobieta, dali swym dzieciom (dwom chłopcom i jednej córce) gruntowne i religijne wychowanie, które zdołało utrzymać Józefa w równowadze sumienia w czasie burz młodości, mimo że był narażony na wpływy, niezawsze dodatnie. Dalsze wykształcenie obydwóch synów ojciec powierzył guwernerowi-kapłanowi, nazwiskiem Heinke, człowiekowi wykształconemu, łagodnemu, dla którego Eichendorff zachował na zawsze wdzięczną pamięć. Heinke podziwiał zdolności Józefa, który z prawdziwą gorliwością uczył się zawsze. Ponieważ przerabiane z nauczycielem lekcje nie wypełniały mu czasu i nie wyczerpały zapału do nauki, w wolnych przeto chwilach chciwie wchłaniał w siebie opisy podróży i wielką ilość romansów tłumaczonych z francuskiego i angielskiego, które łatwo zdobywał w bibliotece ojca. To czytanie bez wyboru początkowo naraziło

go na pewne zachwianie się w nim równowagi ducha. Z większym pożytkiem czytał stare książki ludowe i poezję. Sam o tem opowiada w pierwszym swym romansie „Poczucie i teraźniejszość” w następujący sposób: „Siedziałem wtedy samotny w ogrodzie i czytałem bez przerwy „Magelona”, „Genowefę”, „Dzieci Hajmana” i wiele innych książek. Najchętniej wybierałem sobie do tego miejsce na wierzchołku wysokiej gruszy, która stała na pochyłości ogrodu, skąd mogłem spoglądać na morze kwiatów niżej stojących drzew, daleko na wieś, albo patrzyłem w parne popołudnie na ciemne piorunowe chmury, które powoli przesuwwały się nade mną. Ta wszakże rozkosz nie trwała długo. Guwerner, ten światły mój pedagog, zeszedł mnie na tajemniczych studjach i zabrał mi ulubione książki. Nic mnie wtedy nie mogło pocieszyć. Lecz, dzięki Bogu, że zabrano mi te książki! Wzamian za nie otrzymałem „Dziecięcą bibliotekę” Campesa.

Z tej pedagogicznej „fabryki” powstały moje pieśni o Macieju Kludjuszku, poruszające uczucie i porywające za serce. One patrzyły na mnie w mojem prozaicznym przygnębieniu tak prostemi, poważnemi i posępnemi oczyma, jakby chciały przyjaźnie i pocieszająco przemówić: „Pozwólcie maluczkiemu przyjść do mnie”. Przypominam sobie, że w tym czasie wybrałem sobie różne miejsca w ogrodzie, które przedstawiały Hamburg, Braunschweig, Wandsbeck. Wtedy przechodziłem w duchu te miasta jedno za drugim i przynosiłem zawsze dużo pozdrowień Kludjuszowi, z którym przebywałem nadzwyczaj chętnie. Było to mojem najwyższem wewnętrznem pragnieniem widzieć go choć raz w mojem życiu.

Lecz wkrótce zakończyła się ta zabawa, która była decydującą w mojem życiu. Guwerner zaczął czytywać mi w każdą niedzielę coś z historii męki Chrystusa Pana. Słuchałem tego bardzo uważnie. Wszakże to urywkowe

czytanie znudziło mnie wkrótce. Wziąłem książkę i przeczytałem ją sam całą odrazu. Nie mogę opisać swego wrażenia, jakiego zaznałem przy tem czytaniu. Płakałem z głębi serca, aż się zanosilem od łez. Cały czułem się poruszony i nie rozumiem, jak guwerner i wszyscy domownicy, którzy już oddawna to wszystko znali, nie byli tem przejęci?”.

Mały Józef to, co czytał, zaraz sam przerabiał we własnym zeszycie. Już w dziesiątym roku napisał kilkoaktową tragedję, do której wątek wziął z rzymskiej historii. Oprócz pracy nad książką oddawał się on ćwiczeniom fizycznym. Bardzo wczesnie zaczął się hartować, spał, jak spotykamy często o tem wzmiankę w jego dziennikach, na gołej podłodze albo na rozpostartej naprędce słomie, i nie czuł się gorzej niż na łóżku. Doskonale również pływał i świetnie jeździł na osiodłanym, choćby najbardziej gorącym koniu. Z ojcem odbywał dalekie wy-cieczki myśliwskie, w czasie których zachwycał się widokami krajobrazów, zwłaszcza na tle lasu. Tak więc wzrastał wśród natury i na jej łonie i z przyjemnością wsłuchiwał się całemi dniami i nocami przemiłym głosem jej skrzydlatych mieszkańców. W trzynastym roku życia przybył Eichendorff wraz ze starszym bratem Wilhelmem do katolickiego gimnazjum św. Magdaleny we Wrocławiu i zamieszkał w tamtejszym konwikcie.

Prowadził tam bardzo sumiennie swój dziennik, w którym z zamięłowaniem oświetlał różne własne, wesołe przygody. Widać z nich, jakim był urwisem. Nie brak tam swawolnych, czasami nawet lekkomyślnych i zbyt wesołych figlów. Zaraz w pierwszym kwartale doniósł do domu, że go „wzywał” do siebie rektor, a w parę tygodni później znów dostał się do ścisłej kozy, bo z kilku kolegami założył tajny związek, który wykryto podczas jakiejś bijatyki. Choć innym dokuczał, sam nie umiał wiele znieść

od drugich. Z widocznym zadowoleniem kreśli w dzienniku pod datą 10 lipca 1802 r. te słowa: „Zaskarżyłem najstarszego hrabiego, który bez żadnego powodu rozkrwawił mi nos, i dlatego rektor, by nie uchybić majestatowi tej jaśnie wielmożnej skargi, postanowił rzecz załatwić bez żadnego rozgłosu. Ja jednak prosiłem o wymiar sprawiedliwości na konferencji wszystkich profesorów, którzy tedy hrabiego Magnisa skazali na domowy areszt podczas ogólnej dwudniowej rekreacji”.

We wrocławskim konwiktzie często młodzież urządzała teatralne przedstawienia, w których Józef zazwyczaj odgrywał rolę kobiet. Lecz dziwna rzecz, że poza tem wychowankowie mogli bywać na wszystkich przedstawieniach miejskiego teatru, które Eichendorff rzadko kiedy opuszczał, jak to widać z notatek jego dziennika. Być może, że tu obudził się w nim zapal i nastrój do poezji. Trzeba przytem dodać, że teatr nie podzielał ujemnie na jego charakter. To zawdzięcza gruntownemu religijnemu wychowaniu. Przytem jeszcze należy zaznaczyć, że nietylko w konwiktzie odbywały się dozwolone przez regulamin bale z tańcami, ale że chłopcy również mogli brać udział w tanecznych zabawach, urządzanych u znajomych na mieście. Eichendorff rzadko kiedy nie korzystał z okazji. Nie można jednak nie wspomnieć, że mimo to nie zaniedbywał się w pracy i bardzo czuwał nad sobą. Czasami uczył się ze swym towarzyszem przez całą noc w nieopalanym pokoju. Był wprawdzie silnego zdrowia i tak zahartowany, że mu to nie szkodziło, ale jego przyjaciel poszedł wcześniej do grobu. Niestety to wstrząsnęło Józefem głęboko i sam sobie wyrzucał, że był przyczyną tej przedwczesnej śmierci. Mimo wielkiej swawoli, Józef miał dobre i współczujące serce. Gdy w domu rodziców usłyszał razu pewnego, że dawny sługa rodziny Eichendorffów, nazwiskiem Zontag, który

teraz był tam leśnikiem, w Raciborzu nieszczęśliwie postrzelił się w rękę i prawdopodobnie ją postrada, zaraz z bratem postanowił odwiedzić go i pocieszyć, bo go zawsze, jak pisze w swym dzienniku, bardzo kochał. Babka za to skrzyczała go wprawdzie, gdy wrócił w nocy o jedenastej, (było to w czasie zimy), „lecz i tak, mówi, czuliśmy zadowolenie, żeśmy pocieszyli nieszczęśliwego i okazali mu współczucie. W poczuciu szlachetnego czynu droga wydała się nam nader przyjemną i po tym spacerze spałiliśmy bardzo smacznie”.

Jak te odwiedziny Józef brał na serjo, dowodzi jego serdeczny list, który wtedy jako piętnastoletni chłopiec napisał do Zontaga, gdy ten mu doniósł, że wyleczył się zupełnie. „Twój list, pisze Eichendorff między innemi, cofnął myśl moją w minione szczęśliwe czasy, gdyśmy razem jeździli konno, gdyśmy chodzili na miejsce zastawionych sieci na ptaki, albo siadaliśmy w piękne wiosenne wieczory na murawie przy domu ogrodnika i marzyliśmy o przyszłości: jak to nam będzie wesoło razem we Wrocławiu, lub we Frankfurcie, albo—zrobię cię, gdy zostanę ministrem, pierwszym nadwornym sekretarzem itd... Bardzo mi przykro, że właśnie teraz w czasie wakacyj spotkało cię nieszczęście; przecież poszlibyśmy jeszcze nieraz na polowanie i moglibyśmy się nacieszyć, gdyby się nie stało to nieszczęście. Jednak, co się nie da zrobić w te wakacje, podwójnie wynagrodzimy sobie w przyszłe, które nadejdą szybko. Jak słyszałem, nasze interesa pieniężne do tego czasu ułożą się dobrze tak, że znów będziemy mogli swobodnie zapolować w Suminie i wtedy będzie nam wesoło! Weźmiesz tam udział we wszystkich zabawkach. Co się wszakże dotyczy odwiedzin, któreśmy ci zrobili w czasie Twej choroby w Raciborzu, to spełniliśmy zwyczajny nasz obowiązek. Przecież poczytywałbym sobie za hańbę, gdybym nie kochał tak wiernego przyja-

ciela, z którym prawie że wzrosłem i spędziłem najprzyjemniejsze dni życia”.

Praktyki duchowne konwiktu wrocławskiego Józef wykonywał sumiennie, codzień uczęszczał na mszę św., dokładnie zaznaczał każdego dnia w dzienniku, kiedy przyjmował sakramenta św. Jednak w religijnym życiu poniósł on pewien uszczerbek wskutek lektury bez wyboru. Miejscowe warunki ówczesne również nie wszystkie tak się układały, żeby Józef rozumiał znaczenie wpływu Kościoła i podtrzymywał w sobie religijne życie. Był tam wikary w Lubowcu, z którym Eichendorff obcował prawie zawsze. Ten często uwłaczał swej kapłańskiej godności i, niestety, dopuszczał się z przyszłym poetą krańcowych swawoli. W „Przecuciu i terazniejszości” uwiecznił go Eichendorff pod nazwą Wiktora-teologa. „Pozwoliliśmy się, tak pisze czternastoletni chłopiec, aresztować w Ganjowicach, jako raubszyce i znów tańczyliśmy w kozie do dziesiątej w nocy albo wieczorem chodziliśmy na łów skowronków i tam z Wiktorem część nocy przespaliśmy na kopcu granicznym, resztę czasu spędziliśmy na krzykach. O praktykach zaś religijnych z moim towarzyszem prawie nigdy nie było mowy”.

Gdy Józef złożył maturę, mając dopiero szesnaście lat, ojciec uważał go za zbyt młodego, by go posłać do jakiegoś bardziej oddalonego uniwersytetu, wysłał go przeto z guwernerem Heinkem jeszcze na rok do Wrocławia, gdzie słuchał akademickich wykładów i pilnie się uczył języków: francuskiego i angielskiego. Dopiero na wiosnę 1805 r. udali się obydwaj bracia Eichendorffowie do Halli na prawo. „Gdyśmy, tak podaje Józef w swoim dzienniku, z bijącym sercem ujrzeni wieże Halli, zauważyliśmy wielu studentów, którzy na koniach przejeżdżali galopem. Przypomniało nam to, żeśmy się zbliżali do nowego, obcego świata. Osobliwe wrażenie wywarła na

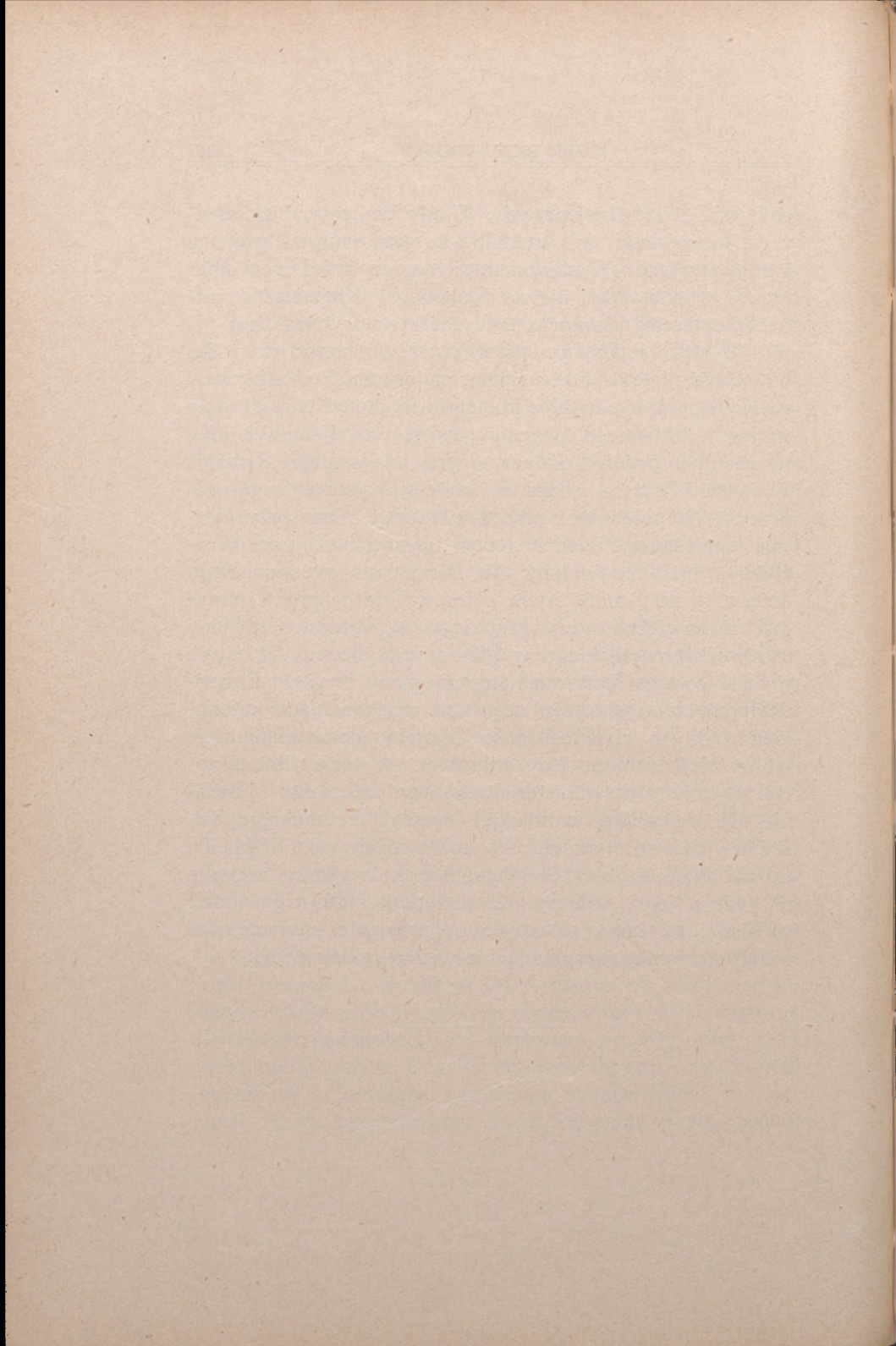
mnie lękliwość obywateli i oficerów, którzy już zdaleka odsuwali się na dość duży dystans, grzeczność profesorów i inne „konwenanse” studentów, siedzących w oknach ze spuszczonei nogami na ulicę i krzyczących”.

W Halli Eichendorff spoważniał bardzo, trzymał się zdala od wszelkich krańcowych wykroczeń, brał wprawdzie chętnie tam udział, gdzie było wesoło i przyjemnie, ale tam tylko, gdzie była zachowana właściwa miara. Wstawał zwykle bardzo rano, w lecie już wpół do 5-ej i pilnie oddawał się zajęciom. Miasto nie budziło w nim żywszego zainteresowania. Widać to z notatki, jaką zrobił w dzienniku: „Wreszcie pozostawiliśmy fałszywą Hallę i, radośnie oddychając pełną piersią, zdążaliśmy przed siebie w rannych godzinach, pełni radosnych nadziei i oczekiwań”.

W czasie feryj, niestety, Józef wpadł w jakieś zbyt wesołe towarzystwo, ale nie znalazł w tem istotnego zadowolenia, co widać z jego dziennika, pisanego w tym czasie, gdzie spotyka się słowa przygnębienia jak: „Pełne żalu uświadomienie”, „czarny lęk” i t. p... W tym czasie obudziła się w nim szlachetna reakcja. Gdy na wiosnę 1807 r. zamierzał uczęszczać do uniwersytetu w Heidelbergu, przed podróżą przyjął sakramenta św. w Raciborzu u OO. Franciszkanów. W Heidelbergu czuł się bardzo szczęśliwym. Wielki Józef Görres i niezmiernie zdolny Klemens Brentano przyjęli go, mimo różnicy 10 lat wieku, do swego towarzystwa. To też pisze o Görresie w swojej historii literatury: „Nie do uwierzenia, jaki wpływ we wszystkich kierunkach wywierał ten człowiek na każdego młodego, który zbliżył się do niego w szczerym nastroju. Görresa wspaniałomyślność, ukochanie prawdy i siła, z jaką ją bronił na śmierć i życie, imponowały każdemu. Görres wszelkich półśrodków śmiertelnie nienawidził”... Eichendorff, który był wówczas początkującym poetą, szukał

również bewzględnej prawdy. Wtedy Eichendorff po dłuższym obcowaniu w Wiedniu ze znakomitymi poetami i konwertytami: Fryderykiem Schleglem i Adamem Müllerem, a także z ich ojcem duchownym Klemensem Hofbauerem zaczął działać z całą energią i wytrwałością.

W 1813 r. król pruski wezwał swój naród do walki o wolność przeciw francuskim ciemierzcom. Pod wpływem rozwijających się faktów Eichendorff ułożył swój śmiały wiersz: „Odważnie chcemy się bić za Renem i dalej w wesołym pościgu iść aż w głąb, do samego Paryża”. W r. 1815 brał on udział w ostatniej wyprawie wojennej przeciw Napoleonowi, jako przyboczny oficer przy jenerale Gneizenau. Po wielu latach czynnej służby we Wrocławiu, został powołany do Berlina na pomocniczego urzędnika przy ministerjum kultu, a wkrótce potem otrzymał stanowisko radcy szkolnego w Gdańsku, później radcy nadprezydjalnego w 1824 r. w Królewcu. W czasie prześladowania Kościoła katolickiego w Prusach Eichendorff jawnie występował ze swymi przekonaniami katolickimi. Za to zwichnął sobie karierę, ale w kilkanaście lat później oceniono jego charakter. W lecie 1831 r. został powołany do ministerjalnego wydziału kultu w Berlinie dla organizacji katolickiej szkoły i katolickiego Kościoła i na tem stanowisku pozostał aż do roku 1844. Tu poznał kompozytora Mendelsohna, który ułożył melodję do wielu jego wierszy. 26 listopada 1857 roku umarł w Nissie na zapalenie płuc, po przyjęciu sakramentów świętych z całą rezygnacją i z wielką pobożnością.



MELCHIOR DIEPENBROCK.

1798 — 1853.

Ktoby przypuszczał, że mały, trzpiotowaty Melchior zostanie kiedyś znakomitym kardynałem, księciem-biskupem Wrocławskim? Wprawdzie troskliwym wzrokiem spoglądała pobożna matka na swego ukochanego, podrastającego synka i z całą starannością zabiegała o jego wychowanie; niekiedy już na śniadanie przychodziła z zapłakanymi oczyma, a zapytana o przyczynę łez, odpowiadała: „Mając was, dzieci, w pamięci, wprost truchleję, bo muszę kiedyś przed Bogiem zdać za was rachunek”. Często klękała przed obrazem Matki Boskiej Bolesnej i błagała o opiekę dla swych maleństw. Ze szczególniejszem zamięłowaniem zbierała je około siebie na lekcję o zmierzchu dnia i opowiadała im historję biblijną, lub coś z życia świętych. O tych opowiadaniach wspomina później Kardynał z serdecznem rozrzewnieniem jeszcze nawet na łożu śmierci: „One wtedy podziały na mnie bardzo głęboko i później były dla mnie często przedmiotem głębokiego rozważania. Przytrafiały się niekiedy nam, dzieciom, pewne uchybienia, a wtedy pod wpływem tych opowiadań staraliśmy się naśladować świętych; gdyśmy chodzili na spacer z siostrą Apolonją do ogrodu lub na łąkę, chętnie sięgaliśmy myślą do początków chrystjanizmu i miewaliśmy żywe pragnienie stwierdzić również swą wiarę śmiercią męczeńską”.

Z początku w dobrem, lecz nadzwyczaj miękkim sercu Melchiora wybuchały najrozmaitsze chwasty. Aby nałożyć więzy na ujawniającą się w nim swawolę, oddano go do szkoły, w której wkrótce, mimo niedostatecznej swej pilności, zajął jedno z pierwszych miejsc, ale, niestety, nie starał się zwalczać swe wady rażące. Wobec tego siedmioletniego chłopca oddał ojciec pod kierunek wiejskiego proboszcza Bütnera do pensjonatu w Velen obok Bocholtu, gdzie był znakomity zakład naukowo-wychowawczy. Początkowo wszystko szło mu dobrze. Wychowawca czuł sympatię dla miłego i szczerego malca, który brak pilności wynagradzał zdolnościami, a usterki w posłuszeństwie łagodził wrodzonym sobie wdziękiem, z jakim umiał obchodzić niemiłe dla siebie rozkazy. Tem zdobywał serce nauczyciela. Wszakże bogata natura chłopca ujawniała rażące skłonności, wśród których Bütner zauważył chęć do włóczęgostwa i zuchwałych czynów, o tyle niebezpiecznych i ryzykownych, iż Melchior zdradzał skłonność do bezgranicznej swobody. Sprawiało to wrażenie, że chłopiec czuł odrazę do czterech ścian pokoju i, żeby ich uniknąć, używał wszelkich środków: próśb i uporu, podstępu i przemocy. Gdy mu wypadło rozwiązać arytmetyczne zadanie poza domem, pod cieniem drzewa, albo na pochyłości pagórka, albo w szczerem polu wśród zboża, wtedy robił to szybko i z zadowoleniem; w mieszkaniu zaś rozmaicie bywało; a jeśli przy biurku napisał wypracowanie dobrze, to tą pilnością chciał przyspieszyć wydobycie się z domu. W duszy jego obok jawnego pociągu do wolności tkwiła cicha, głęboka tęsknota do czytania w księdze przyrody, by badać jej tajemnice. Wychodził przeto często i czegoś szukał w ziemi. Tą drogą wysledził ukryte źródła, natrafił na nieznane wazy, na rzadkie zioła i kamienie. W ciągu godzinnej wycieczki nie było drzewa, którego by nie poznał. Wy-

chowawca bywał często zmuszony karać go za to, że wykradał się przed świtem z domu na szerokie pole, gdzie go ciągnęły trele skowronka, albo też o porze nocnej skrycie wdrapywał się na dach domu, by się przypatrywać gwiazdzistemu niebu. Często później opowiadał Diepenbrock o tej swojej głębokiej tęsknocie lat dziecięcych i o tym potężnym uroku, jaki wywierał na niego las swoją nadzwyczajną wonią i dźwiękami, powiewem i szumem gałęzi. Przyroda przemawiała do jego serca tysięcznymi głosy. Rozkoszowanie się nią ciągle w nim potęgowało tak, że często wdrapywał się na wierzchołki drzew, z chorobliwą zazdrością śledził za ptakiem, który, jak sądził wówczas, szczęśliwszy był od niego, gdyż się unosił w powietrzu. Takie marzycielskie usposobienie chłopca zniewoliło ostatecznie rozsądnego wychowawcę do tego, że mu dawał coraz większą wolność. Zegar wieżowy hrabiowskiego zamku w Velen wygrywał niegdyś, jak o tem wspominało często, różne kuranty, o których Melchior wiedział tylko ze słyszenia, bo rzadko był naciągany. Milczące dzwony ciągle go intrygowały. Chętnieby dał swobodę ich uwięzionym dźwiękom, aby ich głos usłyszeć. Lecz każda jego prośba wydostania kluczy od dzwonnicy była bezskuteczna. Naraz w piękny dzień niedzielny nagle odezwała się w południe śliczna dźwięczna muzyka dzwonów. Było to niespodzianką dla wszystkich, a tem większą dla mieszkańców zamku, bo klucze od dzwonnicy leżały nietknięte na swoim miejscu i drzwi jej były zamknięte. Wszyscy z zamku i ze wsi wybiegli i mówili między sobą o tem niespodziewanem zdarzeniu, gdy usłyszeli, że dzwony bez przerwy wygrywały swe najpiękniejsze melodie. Kto mógł je uruchomić? Zrobił to albo złośliwy nieprzyjaciel, albo dziki Melchior Bütnera. To ostatnie przypuszczenie było powszechne. I tak było istotnie. Melchior, gdy nie mógł dostać kluczy, powziął szalony za-

miar: z zewnątrz wdrapał się do wieży po pionowej ścianie i tego dokonał. By się przekonać, co się naprawdę stało, otworzono wieżę; a gdy ludzie tam weszli, znaleźli Melchiora, zajętego tą muzyczną maszyną; on zaś śmiejąc się, opowiadał tym, którzy go zarzucali pytaniami, szczegóły swej wyprawy, co budziło przerażenie we wszystkich słuchających. Bütner nie namyślał się po tej historii ani jednej chwili i, nie chcąc być odpowiedzialnym za życie swego wychowanka, jakkolwiek go bardzo kochał, odesłał go do rodziców. Przy pożegnaniu pobłogosławił go i powiedział, że może zostać kiedyś wielkim człowiekiem, albo też wielkim zawadząką. A więc pierwszy raz, chociaż nie z hańbą, został Melchior usunięty ze szkoły.

Wtedy rodzice spróbowali oddać go do instytutu w Monasterze, który był pod kierunkiem francuskiego kapłana-emigranta i należał do pierwszorzędných w kraju. Tu było wszystko inaczej, niż u proboszcza Bütnera. Przestrzegano w zakładzie wszędzie surowy porządek, surowe prawo, bezwzględne posłuszeństwo. Lecz choć tu wszystko było inaczej, Melchior pozostał sobą, równie dzikim jak i wtedy, gdy siadywał na drzewach w Velen. Wkrótce przeto powstały nieporozumienia. Zapał i zuchwaleństwo, z którym dokonywał swoje wdrapywanie się i ćwiczenia wieżowe, mimo wydanego zakazu, powtarzały się teraz o tyle śmieiej i częściej, o ile zyskiwał dla siebie więcej podziwu i widział chęć naśladownictwa wśród kolegów, na których ten przykład działał pociągająco. Rozumie się, że wychowawcy nie byli radzi z tego. W zakładzie zauważono różne fakty, których nie było przed przybyciem Melchiora. Jego to osoba wprowadziła do domu ducha niepokoju i nieładu, który się ujawniał w swawolnych zabawach i walkach tak, że zakładowi groził ogólny nieład. Doszło do tego, że Melchior po dziewięciomiesięcznym tu pobycie z naganą został z niego usunięty,

bo jego namiętne upodobanie do swobody, zuchwała przedsiębiorczość, a szczególnie brak posłuszeństwa uniemożliwiły mu dalszy pobyt w instytucie. Więc nastąpiło powtórne wydalenie!

Cóż wypadnie począć z nim teraz?

Klemens Brentano powiedział o nim, że to garnek bez ucha, którego nikt nie może utrzymać.

Projekt trzeciej próby wyszedł od samego Melchiora. Wypadki ogólnoswiatowe ówczesnego napoleońskiego okresu wywierały na jego żywą naturę silne wrażenie. Marzył dniami i nocami o bitwach i zwycięstwach, czytywał namiętnie gazety i nic go tak nie przejmowało, jak entuzjazm dla Napoleona i dla wielkiej armji, w której służba przynosiła zaszczyt nawet ostatniemu żołnierzowi. Po długiej zwłoce wkońcu rodzice zgodzili się na to, by Melchior wstąpił do wojskowego liceum, które założył rząd francuski w Bonn. Chłopiec dopiero co skończył 12 lat. Tu się spełniły wszystkie jego marzenia: uniform, wojskowe nauki, wojenno-gimnastyczne ćwiczenia, wszystko go pociągało. Nawet posłuszeństwo wydawało mu się teraz konieczne, jakby nakazane prawem natury. Lecz i te okoliczności nie zatrzymały go tu długo. Chociaż usiłował nakłonić swą nieokiełznaną naturę do subordynacji, nie mógł tego dopiąć, by przyzwyczaić się do skrupulatnej punktualności, która była uważana w liceum, jako podstawa wojskowego wychowania. Było to ponad jego siły. Liceiści byli obowiązani wszystko wykonywać z drobiazgową dokładnością. W rzeczy samej, każdy krok wychowanków był ujęty w pewne karby, których złamanie karano bardziej, niż zaniedbanie w nauce, nawet surowiej, niż wykroczenie przeciw obyczajom. Melchior swoim postępowaniem zasługiwał na nagane, potem często był karany; kary powiększały jego upór, który wywoływał znów nowe kary; dziwić się jednak nie należy, mając na uwadze jego

usposobienie. Tak się złożyło, że znów pewnego razu odsiadywał kozę, gdy podziwiany przezeń bohaterski Napoleon przybył na zwiedzenie liceum w Bonn. Więc go Melchior nie widział. Gdy zaś wkrótce potem nie uwzględniono jego prośby o wstąpienie do armji, stracił zupełnie zapal do mundur. Nieokiełznany pociąg do swobody obudził się w nim na nowo, a wskutek tego wkrótce usunięto go z liceum za wykroczenia przeciw dyscyplinie. Więc już trzecia katastrofa! Ta trzecia przykra kara miała wszakże tę dobrą stronę, że Melchior, by ułagodzić ojca, zajął się z największą gorliwością pracą nad starożytnymi i nowożytnymi językami, matematyką i przyrodą i w tem zrobił wkrótce duże postępy. Lecz, niestety, jeszcze raz dał się sprowadzić na bezdroża, wybierając sobie nie tę drogę życia, którą Bóg mu przeznaczył.

Zaczęła gasnąć gwiazda Napoleona, budziła się świadomość wśród niemieckiego narodu i ujarzmione ludy zapragnęły wolności. Entuzjazm ogarniał wszystkich. Chłopcy, młodzieńcy i mężowie w sile wieku, a nawet starcy rwali się do czynu zbrojnego. Wszystko szło pod sztandary wojenne. Czy wśród takich okoliczności mógł on jeden pozostać obojętnym?

Podziwiał, jak i wielu innych w Napoleonie niepokonanego bohatera dnia, wielkiego wodza, lecz teraz uczuł się Niemcem i chciał krew przelać za wyswobodzenie ojczyzny.

Było to w zimie 1812—1813 roku. Zajmowaną jeszcze przez Francuzów twierdzę Wezel oblegał pruski korpus, którego dowódca generał Vorstell urządził swą kwaterę w domu Diepenbrocków. Od oficerów dowiedział się Melchior, że twierdza ma być zdobyta w nocy Bożego Narodzenia i odrazu prosił generała o pozwolenie, aby mógł wziąć udział w tej zamierzonej kampanji, a, jak obiecywał, napewno będzie między pierwszymi, którzy

dostaną się na wały. Jenerał, któremu podobą się odwaga piętnastoletniego chłopca, nie tylko zgodził się na jego prośbę, lecz kazał młodocianemu ochotnikowi dać do wymarszu najlepszego swego konia.

Wymarsz nastąpił, lecz nie doprowadził do celu, bo nagle wezbranie Renu uniemożliwiło atak. Stało się nieszczęście, z którym Melchior długo nie mógł się pogodzić. Gdy zaś wkrótce potem przy pospolitem ruszeniu powiat Borken, do którego należał Bocholt, miał wystawić bataljon, wstąpił do niego Melchior, jako lejtenant. Troskliwi rodzice pożegnali swego młodego żołnierza z odpowiednimi wskazówkami, dobrze wyposażywszy go w pieniądze; nadto matka wszyła mu w mundur znaczną sumę złota na wypadek, gdyby został ranny lub wzięty do niewoli. Ta metalowa zimna zawartość niedługo leżała na ciepłym sercu lejtenant, bo według jego zdania należała ona do każdego kolegi, do każdego człowieka, który miał chęć na nią. Melchior przeto wszystkich wspierał. W pułku kochali go tak przełożeni, jak i podwładni, mimo, że wśród tych ostatnich przestrzegał karności. Raz na jednego podkomendnego, który złamał subordynację, dobył szabli i tak go zranił, że ten przez parę dni nie był zdolny do służby czynnej. Tego porywczego czynu zaraz żałował, dał żołnierzowi możliwą satysfakcję, odwiedzał go, pielęgnował i obdarował datkami. Gdy „dziki” lejtenant później wstąpił na książęco-biskupią stolicę i otrzymał powinszowanie od zranionego ongiś przez siebie żołnierza, odpowiedział mu własnoręcznym pismem, załączając doń pewną kwotę pieniędzy.

Karjerę wojskową rozpoczął Melchior wtedy, kiedy rozgrywały się już najważniejsze epizody wojny o wolność.

On trafił tylko na koniec wielkiego dramatu. Potem nastąpiła służba w garnizonie i ćwiczenia żołnierskie. W takich warunkach przy śmiechu i żywym usposobieniu łatwo

się może każdy wypaczyć, lub narazić na kary. Wkrótce stało się to z Melchiorem. Wpłatał się w spory, wykraçał przeciw wojskowemu posłuszeństwu, a jedno z tych przestępstw było tak poważnej natury, że pociągnęłoby za sobą długą karę twierdzy, gdyby nie uzyskał ulaskawienia. Ponieważ przełożeni chcieli przerwać tę sprawę, radzili mu, by postarał się o zwolnienie z wojska, co też zrobił, ale w takim nastroju, że w przystępie roznamiętnionej wściekłości porwał na kawałki uniform i połamał dobrą jeszcze szablę.

Już przeto czwarty raz nie poszczęściło mu się na drodze życia. Lecz w tej dzikiej, niepohamowanej istocie tkwiła wyjątkowa dobroć serca. Dobrze czynić było duszy jego potrzebą, której również jak i wszystkim swoim skłonnościom oddawał się gorąco. Rozdawał wszystko, co miał, a jeśli już nic nie miał, dawał nawet to, co nie było jego własnością. Odbiło się to na spiżarnianych zapasach w domu rodziców. Z prawdziwą radością często przebrany przekradał się z mięsem i chlebem do chat biedaków, gdzie się zjawiał jak ten kruk, niosący żywność. Rodzice, jeżeli nie mogli go za to chwalić, nie mogli się na niego również i bardzo gniewać. Pewnego dnia usłyszał, że sąsiedniej rodzinie padła jedyna krowa. Zwrócił się do matki i opowiedział, co zaszło, w bardzo wzruszających słowach. „Czy mam im dać swoją?” zapytała pospiesznie. „Mamy ich tyle w oborze, odpowiedział Melchior matce, że jednej możemy się pozbyć wtedy, gdy od tego zależy egzystencja biednych ludzi”. Gdy rodzice na to się zgodzili, uszczęśliwiony, sam poszedł z krową, potajemnie uwiązał ją w oborze poszkodowanej rodziny i usunął się niespostrzeżenie. Objawem jego dobroci serca była również jakaś tęsknota, która silniej nim poruszała, niż kimkolwiek innym, od dzieciństwa wyciskała mu często gorące łzy z oczu. O ile taki nastrój Melchior odczuwał

żywiej, o tyle więcej jakby zapominał o sobie. Było to właśnie to poszukiwanie czegoś w duszy ludzkiej, którą Bóg stworzył dla siebie, a która tak długo jest niespokojna, aż w Nim nie spocznie.

Później, gdy znalazł spokój w uporządkowanym swym stosunku do Boga, zrozumiał to wszystko doskonale, pouczał także innych o tem w przecudnej poezji, którą ogłosił pod tytułem: „Duchowny bukiet kwiatów”. „Zwróć, pisze Diepenbrock, w kierunku nieba swe serce, ponieważ ono stworzone jest dla Boga, tam tylko równo bije, tam wytrzymuje każdą próbę w tem życiu i ma ukojenie w myśli o wieczności: ani się nie spieszy, ani się nie późni, ani nie bije za mocno, ani za słabo, zawsze jednakowo idzie z dobrem usposobieniem aż do ostatniej godziny, a jeżeli zatrzyma się cicho na chwilę w swoim biegu, to nakręci je dobry Bóg”.

Przyjaciel Diepenbrocka, oryginał Klemens Brentano, pewnego razu wydał o nim taki sąd: „Męża, jakim jest Melchior, z pewnością chciałby zdobyć djabeł za wszelką cenę, to też wszystkiego używał, aby zeszpecił szlachetny obraz Boży w tym człowieku: starał się pochlebiać jego próżności, podniecać jego namiętności, kierował nim w zmiennych wypadkach walki życiowej, stawiając mu za obowiązek krwi przelanie, wśród swawolnych kolegów doprowadził go do pijatyki, postawił mu na drodze zdradzieckie niewiasty. Przecież niewiele mu brakowało, by go za włos uchwycić. Podobnie, jak rycerz Dürera, szedł Melchior przez las nieustraszony, nieporuszony, między śmiercią a djabełem”.

Wtedy, gdy połamał swoją ulubioną szablę, gdy sam siebie wyniszczył, gdy usunął religię poza nawias swej duszy, doszedł wskutek swego miękkiego usposobienia do wielkiej nędzy i spadł prawie na brzeg rozpacz. Miłość ku rodzicom nakłoniła go do powrotu do domu

rodzinnego. Nie zwracał uwagi na wstyd, który odczuwał w tej chwili. Teraz oddała go Opatrzność Boska w ręce człowieka, który go wkońcu wprowadził na uczciwą drogę. Tym człowiekiem był Michał Sajler, wtedy profesor w Landshut, późniejszy biskup w Regensburgu. Sajler odwiedzał w roku 1817 swoich licznych przyjaciół w okolicy Monastyru, i Klemens Brentano wprowadził go wtedy do domu Diepenbrocków. Melchior próbował z początku unikać czcigodnego gościa, do którego nie miał zaufania, to też, gdy Sajler przychodził, Melchior wtedy wychodził z domu i dopiero po wielu prośbach i perswazjach przekonał go starszy brat Bernard, że zostawał w domu, siadał do stołu, trzymał się wszakże od gościa zdaleka tak, że ten nie mógł nawet do niego przemówić. Pod koniec obiadu wstał nagle Sajler, przed którym poprzednio matka wylała swe cierpienia, jakie przechodziła z powodu syna, przyjaźnie objął go za ramię i rzekł: „Drogi Melchiorze, czy nie zechciałbyś choć trochę wyjść ze mną na spacer?” Milcząc i prawie wbrew własnej woli zgodził się na propozycję. Ten spacer, który trwał zaledwie pół godziny, stanowił punkt zwrotny w życiu Diepenbrocka. Nazajutrz po tej rozmowie Melchior poszedł do spowiedzi, po raz pierwszy po długiej przerwie zbliżył się do stołu Pańskiego i zdecydował się już nie opuszczać więcej tej „wąskiej” drogi, która prowadziła do życia uczciwego.

Miał wtedy lat dziewiętnaście.

Odtąd ściśle się złączył z Sajlerem, który doskonale umiał poprowadzić tę duszę do wyższej świętości. Melchior udał się z nim do Landshut, studjował pod jego kierunkiem teologię i otrzymał od niego w roku 1823 w Regensburgu święcenia kapłańskie. Tu Diepenbrock został najpierw sekretarzem Sajlera, w r. 1829 kanonikiem kapituły w Regensburgu, której od 1835 r. był dziekanem.

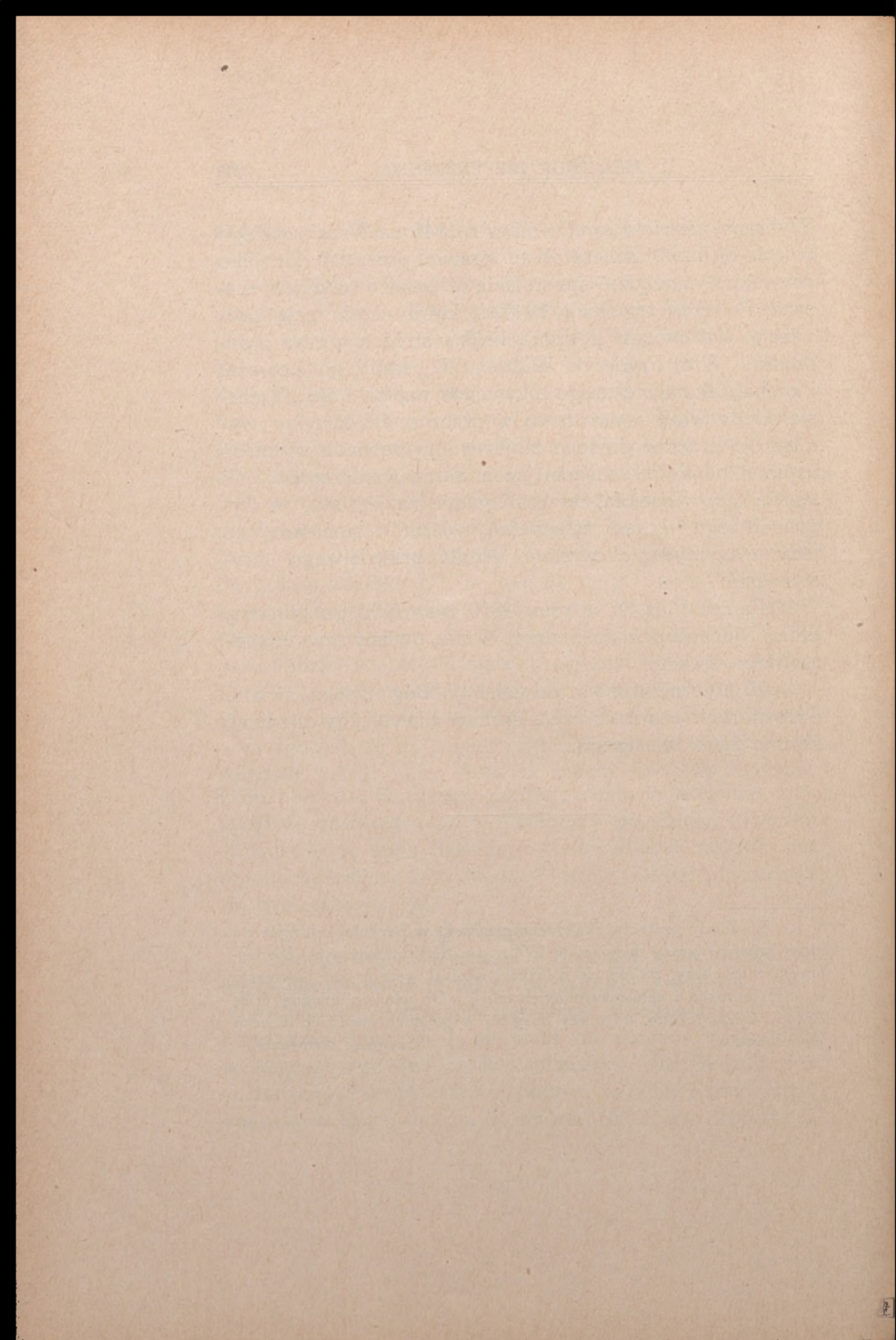
Wybrany, pomimo swej woli w r. 1845 na Wrocławskiego księcia-biskupa, pracował tu prawie przez 10 lat, jako prawdziwe narzędzie apostolskie w bardzo ciężkich czasach. Podczas rewolucji 1848 r., która objęła całą prowincję, był mocną podporą króla, stróżem prawa i porządku. Król Fryderyk Wilhelm IV, który go považał i kochał, jak największego przyjaciela, napisał doń: „W czasie, kiedy wielu wywrotowców przez upór partyjny wykrzykuje przeciw domowi mojemu i wypowiada wierność królowi, patrzę ze wzmacniającem serce wzruszeniem, jak księżę tego Kościoła, do którego nie należę, stoi na wyżynach tego, co jest szlachetne, wierne i sumienne, co jedynie wypływa z czystego źródła prawdziwego chrystianizmu”.

Papież Pius IX w roku 1850 zaszczycił go purpurą, którą Diepenbrock nosił przez 3 lata, owiany zawsze apostolskim duchem.

20 stycznia 1853 r. odwołał go Bóg z tego świata. Diepenbrock umarł śmiercią sprawiedliwych, by otrzymać koronę życia wiecznego... *)

*) Kiedy protestancka duchowna Rada w Berlinie uderzyła na alarm przeciw pracy misyjnej w 1852 r. na Śląsku, kardynał Diepenbrock, choć chory, zwał się z łóżka i napisał gorący list pasterski w obronie zasad i celów katolickich misyj. On właśnie ściągnął Ojca Antoniewicza, Jezuitę, do pracy misyjnej w polskich parafjach diecezji Wrocławskiej.

(Przypisek tłumacza).



WILHELM ACHTERMANN.

1799—1884.

Z nazwiskiem Achtermanna łączą się ściśle arcydzieła jego dłota: słynna na cały świat „Pieta” i kompozycja: „Zdjęcie z krzyża”, katedry Monastyrskiej. Malarz Ahlborn, wysłany do Rzymu z polecenia króla pruskiego, Fryderyka Wilhelma IV, po obejrzeniu modelu „Pieta”, pisze co następuje: „Postacie i ich wyraz artysta lepiej i dokładniej dostosował do świętego tematu, bardziej subtelnie odczuł, niż genjusz mistrza—Michała Anioła w „Pieta” z kościoła św. Piotra w Rzymie. Co u Anioła jest wielkością, to u Achtermanna jest miłością, pobożnością. Dzieło to przetrwa wieki całe i będzie zawsze wielkiem, bo jest wykonane ze szczególniejszem odczuciem religijnej myśli na chwałę Boga i ku zbudowaniu wiernych!”

Pewna protestantka, która w rzeźbie tej widziała i odczuła pełne smutku rysy Matki Najświętszej, popadła w rodzaj zachwyty czy omdlenia. Kiedy zaś przyszedł do pracowni artysty w Rzymie znakomity Anglik, ujął Achtermanna ze łzami za rękę i rzekł: „Widziałem w Monastyrze Pańską „Pietę” i musiałem jej przyrzec, że zostanę katolikiem, co też uczyniłem. Obecnie chcę jeszcze przyjąć Bierzmowanie i proszę Pana, by mi był ojcem przy tym sakramencie. Przeżywam, kończył, wielką radość”. Głęboko wzruszony Achtermann spełnił życzenia nawróconego Anglika.

Słynny ten artysta w młodości swej musiał walczyć

z bardzo wielkimi trudnościami materialnymi. Jednak przy opiece Bożej przezwyciężył wszystko, a później swemi pracami, które należą do wszechświatowych arcydzieł, podnosił i budował miliony wiernych.

W krótkiej autobiografii tak pisze Achtermann o swej młodości: „Jestem synem westfalskiego chłopca, a raczej wyrobnika z Monastyru. Jeden z wujów przyjął mnie z litości do siebie. Pasałem u niego owce, a przy tem zajęciu miałem jeszcze dość czasu, by oddawać się wrodzonej mi do rzeźbiarstwa skłonności. Wuj, bardzo niechętny temu „marnowaniu czasu”, chciał mnie stanowczo odwieść od tego nałogu i zrobił mnie w tym celu pastuchą świń, które z natury swej są bardzo niespokojne; trzeba więc za nimi ciągle biegać. Istotnie, nie miałbym wtedy czasu na rzeźbiarstwo, gdyby nie pokonana niczem moja namiętność nie wyszukała i na to sposobu. Zauważyłem mianowicie, że świny są bardzo towarzyskie i współczują sobie nawzajem tak, że wystarczy, gdy jedno kwiknie ze strachu, a momentalnie gromadzi się koło niego całe stado. Wykorzystałem ten rys świńskiego usposobienia do swych celów. Codzień rano przywiązywałem jedno z najmniejszych prosiąt do drzewa, reszcie dawałem zupełną swobodę, sam zaś rzeźbiłem przez cały dzień. Gdy nastał wieczór, zacząłem silnie ciągnąć uwiązane prosię za ogon, żeby kwikiem zwołać inne. Wtedy trzoda zbiegała się ze wszystkich stron i wracałem do domu z całym towarzystwem ku wielkiemu zadowoleniu wuja i mojemu. Przyszedł jednak smutny koniec. Pewnego wieczoru według dotychczasowej praktyki ciągnąłem prosię za ogon, które kwiczało przeraźliwie, jednak żadna świnka nie przybiegła na pomoc. Wróciłem tego dnia do domu z jednym tylko prosięciem, bo całe stado zajął sąsiad, któremu puszczono samopas świny, wlaży na obisiane pole. Naturalnie nie obeszło się wtedy bez strasznej

awantury, która odbiła się na mojej skórze, gdyż wuj domyślił się, że przyczyną nieszczęścia było moje rzeźbiarstwo. By mi przeto zupełnie uniemożliwić oddawanie się tej „namiętności”, z pastucha zrobił mnie wuj parobkiem. Teraz musiałem chodzić przy pługu i kierować końmi. Nie było już wobec tego ani czasu, ani możliwości strugania. Po kilku latach umarł wuj, a że nie zrobił testamentu, wyszedłem stamtąd po tylu latach ciężkiej pracy bez żadnych zasobów, zupełnie goły. Wobec tego byłem zmuszony zgodzić się za parobka do pierwszego lepszego chłopa za 64 marki rocznego wynagrodzenia. Pracowałem znowu jak niewolnik przez kilka lat, ale nigdy nie opuszczała mnie myśl ani chęć do rzeźbiarstwa. Przecież jestem, powiedziałem sobie, wolnym człowiekiem i postanowiłem pracować sam na siebie w ulubionym fachu”.

Achtermann miał 18 lat, gdy wrócił do Monastyru. Wziął się do stolarstwa. To rzemiosło podobało mu się o tyle, że mógł wieczorem rzeźbić dowoli. Czuł się teraz zawsze wesołym i zadowolonym z siebie, bo przy swej pracowitości był jednocześnie pobożnym i uczciwym człowiekiem. Kiedy wypadło mu odsłużyć wojsko, zdobył tu, jako najlepszy strzelec w pułku, trzy srebrne medale. Po powrocie do domu zyskał ogólne poważanie, a nawet miłość. Za najmilszy odpoczynek w niedzielę uważał oglądanie różnych rzeźb po kościołach, w wolnych zaś chwilach starał się odtwarzać w stolarni to, co przedtem widział w świątyniach.

Razu pewnego przysłał prezydent miasta von Vincke bogato rzeźbioną starą komodę do odnowienia. Przy tej robocie, nieszczęście chciało, że odpadła pięknie rzeźbiona główka anioła, a że była bardzo już zniszczona przez robaki, nie dało się jej zpowrotem przykleić. Wskutek tego Achtermann znalazł się w bardzo przykrem położeniu. Zaczął się modlić, a gdy wszyscy domownicy uło-

żyli się już do snu, wyszedł pocichu i odbył boso pielgrzymkę do cudownego obrazu Matki Boskiej w Telgte, odległego o dwie godziny drogi. Następnego dnia wziął się z otuchą do roboty i szczyrykiem wyrzeźbił główkę anioła tak zręcznie, że była zupełnie podobna do tamtej zniszczonej, jak jedno jajko do drugiego. Gdy odesłano prezydentowi komodę, Achtermann w swej szczerości opowiedział, co się stało w czasie roboty. Prezydent podziwiał jego zdolności i postanowił pomóc mu do dalszego kształcenia. Opisuje to Achtermann w swej biografii w następnych słowach: Pan v. Vincke spytał mnie, czy potrafiłbym wyrzeźbić figurę człowieka. „Figurę człowieka? A co to jest figura?” spytałem zdziwiony. Pytanie to najlepiej chyba wskazuje na stopień mego ówczesnego wykształcenia. Nadto muszę dodać, że mówiłem wtedy tylko narzeczem westfalskiem, tak zwanym plattdeutsch. Gdy mi wyjaśniono, co to jest figura człowieka, oświadczyłem, że spróbuję wyrzeźbić Pana naszego Jezusa Chrystusa na krzyżu. Dobrze, mój przyjacielu, brzmiała odpowiedź, ale z tą rzeźbą niewiele zrobisz w Berlinie, dokąd chciałbym rzecz tę wysłać. Trzeba wyrzeźbić coś ze starych modeli. Może zrobisz takiego amora, ujeżdżającego lwa? Będzie to tylko kopja, ale wykonasz rzecz, która może się podobać czynnikom decydującym.

„Choć byłem tylko prostym chłopem, zdawałem sobie jednak sprawę z tego, że protekcja prezydenta może rozstrzygnąć o całej mojej karierze i że mój przyszły zawód zależy od lepszego lub gorszego wykonania tej pracy. Żeby dojść do celu, usiłowałem zapewnić sobie pomoc Bożą i przyczynę Świętych Pańskich. Dlatego zdecydowałem się złożyć ślub czystości, by móc w bezżeństwie poświęcić cały swój czas jedynie sztuce chrześcijańskiej, jeżeli Bóg powoła mnie do niej”.

„Rzeźba udała się w zupełności. Przypadkowo zna-

lażem wtedy prześliczny bukiet kwiatów, więc wyrzeźbiłem w drzewie taki sam, i teraz te trzy rzeczy: Chrystus na krzyżu, amerek i bukiet wysłał p. prezydent do Berlina, do profesora Raucha. Ten oświadczył prezydentowi, że chętnie będzie uczył artystę za darmo, a mieszkanie i jedzenie też się gdzieś znajdzie dla niego.

Wobec tego wyzebrałem trochę grosza i udałem się piechotą do Berlina. Siły mi starczyły na tę daleką drogę, bo byłem zdrow i miałem wówczas wszystkiego 32 lata. Kiedym się zaprezentował Rauchowi w podartem ubraniu, cały zakurzony, mówiący nadto jako chłop nieokrzesany, tylko narzeczem westfalskiem, wystraszył się i zdziwił niesłychanie. Na szczęście p. prezydent, gdy mnie rekomendował w liście, zapomniał powiedzieć o moich latach, wobec czego Rauch przypuszczał, że jestem jeszcze młodym chłopcem, a gdy przekonał się o tem, jak jest faktycznie, pokręcił mocno głową i kazał mi przyjść następnego dnia”.

„Zastałem wtedy u niego Rietschla, któremu Rauch, ciągle jeszcze mocno zdziwiony, opowiadał, jacy to w Westfalji muszą być ludzie zacofani, jeżeli sam prezydent przysyła takiego starego człowieka bez żadnego wykształcenia i chce mieć z niego artystę. Przecież, dodał Rauch, powinien go być wysłać raczej gdzieś do rąbania drzewa, toby się tam wkrótce nauczył tyle przynajmniej, żeby zarobił sobie na życie. Rietschel, wysłuchawszy wszystkiego, stanął po mojej stronie i był zdania, że kto bez żadnego przygotowania artystycznego wyrzeźbił te trzy rzeczy, ten musi być człowiekiem o niepowszednich zdolnościach i będzie mógł przewyciężyć wszystkie trudności. Jednak Rauch miał ciągle jeszcze pewne skrupuły; bał się, że mnie sztuka zwiechnie, ale ostatecznie zwyciężyły argumenty Rietschla i posłano mnie do akademji, do profesora Schadowa”.

„Na pytania Schadowa o mojego nauczyciela dotychczasowego, o akademiji, w której się dotychczas uczyłem, odpowiadałem kiwaniem głową, powtarzając tylko w swem narzeczu: ja nie wiem. To też jak poprzednio Rauch, tak teraz Schadow przyglądał mi się badawczo, roześmiał się wreszcie głośno i powiedział: no, ale skoro masz odwagę chłopcze, to...”.

„Oddał mnie ostatecznie prof. Wichmannowi. Tu trzeba było uczyć się rysować i robić modele wspólnie z dużo młodszymi kolegami. Naturalnie nie obeszło się bez żartów i drwin pod moim adresem. Czułem się tam między nimi conajmniej jak sowa między wronami, a z modelowaniem szło mi bardzo ciężko. Miałem ręce twarde od pługa jak żelazo i kiedy mi się zdawało, że zaledwie dotkam gliny, to gniotłem i psułem wszystko ciężką, chłopską ręką. Byłem nieraz zrozpaczony, wpadłem wreszcie na myśl, aby wyczekać aż gips stwardnieje, potem obrabiałem go młotkiem i dłotem i wtedy robota udawała mi się najzupełniej. Rauch był zadowolony z moich postępów i wziął mnie wkrótce do siebie”.

„Należało teraz jeszcze bardziej pracować nad sobą, by dojść do celu. Miałem uczyć się wszystkiego od a, b, c, nawet czytania i pisania, by potrochu zdobyć jakieś minimum ogólnego wykształcenia. Ponieważ za dnia zajmowałem się jedynie sztuką, przeto innych przedmiotów uczyłem się w nocy tak, że w pierwszych latach sypiałem ledwo trzy godziny na dobę”.

„W dodatku dokuczała mi materjalna bieda. Wprawdzie król pruski przyznał mi niewielką zapomogę, lecz wskutek różnych lekcyj, związanych z uzupełnianiem moich wiadomości, miałem sporo wydatków i wprost nie miałem często czym opłacić mieszkanie i życie. Zawdzięczam tylko żelaznej wytrzymałości westfalskiego chłopca, że podołałem ogromnej tej pracy wśród tak trudnych okolicz-

ności. Całe szczęście, że żołądek chłopu westfalskiego wykazywał iście strusią strawność; zjadałem co się dało bez wyboru, co tylko dostałem, wzbudzając nieraz niemałe zdziwienie wśród otoczenia. Zczasem, gdy jako rzeźbiarz stałem się więcej głośniejszym, osoba moja wywołała współczucie i zainteresowanie, zapraszano mnie wtedy od czasu do czasu do zamożnych i znakomitych domów, a gdy u siebie w zimnem mieszkaniu kładłem się na spoczynek często bez jedzenia, o głodzie—w gościnie miewałem wszystko, nie wyłączając nawet smakołyków. Nie żałowałem też sobie w takich razach i starałem się jeść na zapas, by następnego dnia nie być głodnym. Oczywiście, nie brakło przytem zabawnych scen, które pobudzały całe towarzystwo aż do śmiechu.

Pewnego razu zaproszono mnie do hr. Schlippenbacha, gdzie zjadłem w swej naiwności wszystkie czajcze ze skorupami jaja, przeznaczone dla całego zebranego towarzystwa. Dziwiłem się, gdy mnie ze wszystkich stron pytano, czy mi co w żołądku nie dolega. Na to odpowiadałem spokojnie, że absolutnie nic złego nie czuję. W innym znów domu podano sosierkę z gęsim szmalcem do leguminy, a ja bez namysłu odrazu z całą prostotą wypróżniłem ją całkiem. Podobnych scen było bez liku”.

Przez dwa lata, jak już wspomniano wyżej, Achtermann pobierał niewielką zapomogę króla pruskiego, wyjednaną przez prezydenta v. Vincke, jednak po pewnym czasie odmówiono mu jej zupełnie, dlatego, że w czasie swego pobytu w Berlinie występował jawnie ze swemi katolickimi przekonaniami i tem zraził sobie pewne rządzące sfery. Przyszła mu wtedy z pomocą inna okoliczność. Ogłoszono konkurs na ulepszenie pług. Achtermann, który był z pochodzenia wieśniakiem i uprawa roli nie była mu obcą, wziął udział w konkursie. Hrabia Schlippenbach, zapalony rolnik, zaprosił go na wystawę rolni-

czą z tem, żeby zademonstrował swój wynalazek przy próbnej orce. Wtedy za dobre rozwiązanie zagadnienia Achtermann otrzymał pieniężną nagrodę, a nadto stypendjum na rok następny.

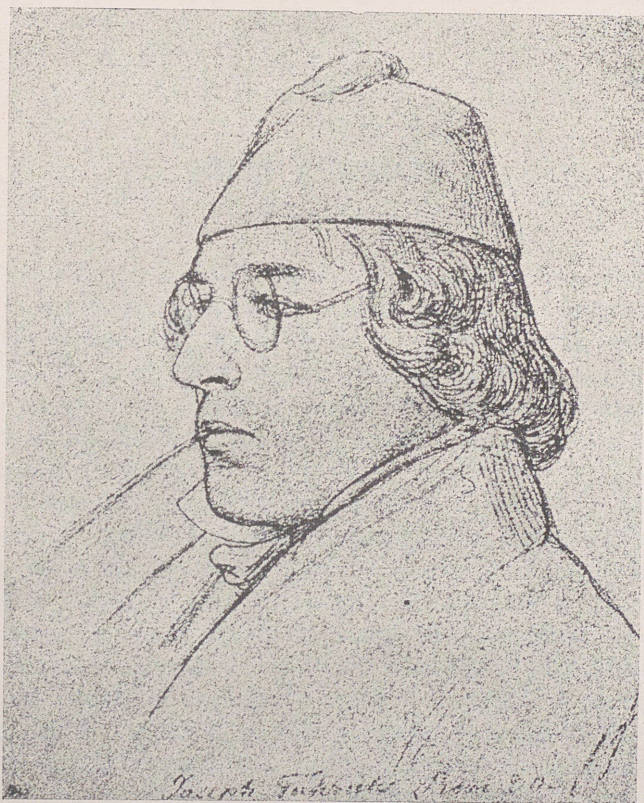
„Nareszcie, tak sam pisze w dalszym ciągu swego pamiętnika, minął czas niepewności i zależności. Zostałem przez Raucha „wyzwolony”, wobec czego mogłem teraz spełnić najgorętsze swe pragnienie i udałem się do Rzymu”.

Tu Achtermann wykonał najprzód wspaniały z karyaryjskiego marmuru krzyż, który poświęcił sam Grzegorz XVI, przyczem papież odezwał się do niego: „Stworzyłeś dzieło, które przynosi chlubę nie tylko tobie, lecz jednocześnie wszystkim Niemcom”. Mimo wszystko nie skończyły się jeszcze ciężkie lata Achtermanna. By zdobyć kosztowny materiał dla swej sztuki, musiał się zapożyczać i samemu cierpieć biedę, o czym tak pisze: „Trzy dni nic nie jadłem, dopiero, gdy mi ktoś dał 3 soldi (12 fenigów), kupiłem sobie kawałek chleba, umaczałem go w fontannie Trevi i zjadłem z ogromnym apetytem”. Tymczasem wierzyciele domagali się natarczywie zwrotu swych pieniędzy. Wtedy Achtermann poszedł do kościoła dell' Anima, by się tam pomodlić i uprosić sobie pomoc Boską. Kiedy opuszczał świątynię, podeszli do niego dwaj niemieccy młodzi rzemieślnicy, którzy chcieli zobaczyć jego pracownię i do niej udali się wszyscy trzej razem. Oglądając ją, rzekł półgłosem jeden przybysz do drugiego: „Musi to być trudną rzeczą zostać tak sławnym artystą, jednak temu, kto to osiągnął, musi być już chyba dobrze, bo ma być zapewniony”. Na to z westchnieniem odrzekł Achtermann: „Gdy byłem parobkiem wiejskim, miałem stale choć parę groszy w kieszeni, gdy byłem żołnierzem, wystarczało mi jedzenie wojskowe, kiedy byłem czeladnikiem stolarskim, nie brakło mi nigdy grosza. Teraz zaś jako artysta...” i opowiedział o swem istot-

tem obecnem położeniu. Młodzi ludzie spojrzeli po sobie, poczem odezwał się starszy z nich: „Panie Achtermann, przecież dałoby się temu zaradzić: mamy we dwóch więcej pieniędzy, niż pan potrzebuje i oddajemy je do pańskiej dyspozycji”.

Trudności te nie zdołały wszakże nigdy zniechęcić pobożnego artysty. „Mieszkam, pisał o wiele później, już od trzydziestu lat w Rzymie; stoję na progu starości, ile razy spoglądałem wstecz na swe życie, tyle razy dziękuję Bogu z całej duszy za wszystko. Zupełnie szczerze mogę się nazwać szczęśliwym, bo sztuka moja wypełnia mi najzupełniej życie i daje mi tyle zadowolenia, że nie brak mi niczego, co ludzie uważają za szczęście. Pieniądzy, ani majątku nie zdobyłem, bo materiał mi potrzebny jest drogi, a wydatki i ryzyko przy pracy wielkie. Jestem sam, nie mam ani żony, ani dzieci, nie czuję się jednak osamotniony, bo sztuka całkowicie mnie zadawalnia tak, że wszystko inne byłoby mi tylko ciężarem”.

Miesiące letnie spędzał Achtermann zwykle w górskiej wiosce Rocca di Papa, gdzie kazał odrestaurować zniszczoną kaplicę; zbudował przy niej mieszkanie dla kapłana i złożył kapitał na jego utrzymanie. Jeszcze 25 maja 1884 r. modlił się przed swoją „Pietą” w Campo Santo, a następnego dnia umarł spokojnie.



JÓZEF FÜHRICH.

JÓZEF FÜHRICH.

1800—1876.

Józef Führich był jednym z najznakomitszych niemieckich malarzy XIX wieku. Jego twórczość odznacza się głębokością myśli i uczucia, niezwykłą siłą i piękną formą, oryginalnością i urokiem prostoty, przytem liczy się zawsze z etyką katolicką. Jako profesor akademii wiedeńskiej, Führich tchnął w licznych uczniów najsłabsze idee.

Miejscem urodzenia tego wielkiego męża był mały drewniany domek, dziś jeszcze istniejący w Kratzau (Czechy). W autobiografii tak sam opowiada o sobie: „Obok drogiego rodziców i ich prostego sposobu życia do najdawniejszych wspomnień zaliczam obustronnych moich dziadków, skromnych, uczciwych i pobożnych ludzi. Ojciec mój zajmował się sztuką w takim stopniu, do jakiego mógł dojść wśród bardzo niepomyślnych warunków, które przeżywał. Przeważnie malował pejzaże. Na sztukę patrzył praktycznie i traktował ją roztropnie. Był miłośniwy, a wszystko czynił z najczystszej pobudki. Matka moja była cicha, spokojna i bardzo pracowita. Mieszkaliśmy w nowym drewnianym domku, wybudowanym za grosz, który ojciec wypracował ciężko i z dochodu, jaki nam dawał kawałek gruntu.

Uczęszczałem w miejscu rodzinnem do szkoły, zwanej dawniej „trivium” i z własnej chęci, oprócz zwykłych przedmiotów, uczyłem się trochę muzyki, którą bardzo

lubilem. Stare pieśni kościelne, które słyszałem z ust starszki babki, ciągle mi brzmiały w uszach, zwłaszcza w czasie właściwych okresów świątecznych, będących ich treścią.

Pastorałki Bożego Narodzenia poruszały mnie niekiedy do łez serdecznych. Pamiętam również, gdy po południu w Wielki Piątek śpiewano w kościele o męce P. Jezusa, wtedy, jako mały chłopiec, tak byłem wzruszony, że przy niektórych częściach tej pieśni płakałem z całego serca”.

Tym religijnym nastrojem odznaczał się Führich przez całe życie. Było to następstwem starannego wychowania, jakim kierował głównie ojciec, za co Józef zachował dlań przez całe życie prawdziwie dziecięcą wdzięczność. „Wychowanie moje, tak pisze sam Führich, było surowe, ale w najlepszym znaczeniu tego słowa; za każde nieposłuszeństwo, byłem karany cielesną chłostą. Dla wszystkich innych moich usterek, byleby nie sprzeciwiały się prawu Bożemu, ojciec był wyrozumiały. Zwykle odnosił się do mnie po przyjacielsku, chyba że go wyprowadziłem z równowagi”.

Już pierwsze próby Józefa w malarstwie pozwalały wnioskować, że w sztuce on przerośnie ojca, lecz mimo to postępował młody Führich z takim taktem, że nie wysuwał się nigdy naprzód, wspominał i wyrażał się o ojcu zawsze z pełnym szacunkiem i zachował względem niego chrześcijańską pokorę nawet wtedy, gdy był na wyżynach sławy.

Burza wojenna czasów napoleońskich ze swemi krwawymi walkami zaalarmowała również miasteczko Kratzau. Józef, nie rozumiejąc okropności wojny, zachowywał najzupełniejszą równowagę. Kiedy mówiono, że trzeba będzie uciekać i kryć się w lesie, cieszył się z tego jak prawdziwy dzieciak, bo w przeciwieństwie do cichego, codziennego życia domowego, spodziewał się jakiegś bar-

dzo ciekawej zmiany. W czasie potyczki przy folwarku dworskim na wzgórzu, panującym nad całą niziną, znalazł się mały Józef, 5 lat wtedy liczący, w wielkiem niebezpieczeństwie życia. Chłopca tak zajmowała i interesowała walka, że nie mógł wytrzymać w swoim ukryciu, stanął pośrodku walczących, przyglądając się im z natężoną uwagą i cieszył się gwizdem kulek dotąd, póki jeden z sąsiadów przerażony nie wypadł z domu i nie porwał go ze sobą.

Wtedy wyuczył się „sztuki”, której się oddawał przez całe życie również namiętnie jak malarstwu, t. j.—palenia tytoniu. Jego syn—Łukasz opisuje to z humorem: „Ojciec mój był wielkim palaczem i często opowiadał żartobliwie, że nie przypomina sobie ani jednego dnia, w którymby nie palił. W pierwszych latach chłopięcych ojca stali obozem husarze w Kratzau i mieszkali w domu naszych dziadków. Gdy żołnierze poszli do stajni, a na jej progu pozostawiali swe dopalające się fajki, szybko podbiegł tam malec, dopalił je i wtedy czuł się dobrze. To zdradzało naturalny pociąg do tej „sztuki”.

W inny zupełnie sposób, niż zgiełk wojenny, zajął myśl Józefa powab pustelniczego życia. Będąc niedużym chłopcem, urządził sobie na strychu pustelnię z książką i krzyżem na stoliku tak, jak to kiedyś widział na miedziorycie. Brakowało tam tylko trupiej głowy. Gdy przeto pewnego dnia spostrzegł czaszkę na grzebalnym cmentarzu, postanowił ją o zmierzchu zabrać i przynieść do swej pustelni. Gdy ojciec ujrzał tę trupa głowę, kazał ją odnieść „pustelnikowi” tam, skąd ją wziął. Spełnił to zaraz wieczorem, przyczem musiał przesadzić mur cmentarny, co mu, jako malcowi, sprawiło niemały kłopot.

Ale trzeba było uczyć się umiłowanej malarskiej sztuki. Z jakimi trudnościami walczył Józef z powodu braku na miejscu fachowej artystycznej szkoły, sam tak opowiadał:

„Sztukę najprzód studjowałem w akademji Praskiej. Zajmowałem się nią już dawno, a wchodziłem w jej świat przy ojcu, który już to rytował w miedzi, już to zajmował się lakiernictwem, a ja według sił pomagałem mu przytem. W ten sposób w domu nauczyłem się, jeżeli nie sztuki, to niejednej rzeczy, która z nią jest związana, a więc poznałem tę pracę przez praktykę w pracowni domu rodzinnego. Kilka miedziorytów, będących własnością ojca, między nimi najlepsze: kilka listków Rubensa, biblja z obrazkami i jeszcze inne tego rodzaju rzeczy—pierwsze zajęły moją wyobraźnię.

Prócz kościelnych, dorocznych świąt, które mnie zawsze od wczesnej młodości nastrajały podniosłe (choć jeszcze nie rozumiałem ich istotnego znaczenia), największą dla mnie jakby uroczystością bywała podróż, którą odbywaliśmy z ojcem do różnych miejscowości kraju. Najczęstszą, a dla mnie najmiłą tego rodzaju była wycieczka do Reichenbergu, później do Friedlandu i wreszcie do niedaleko stąd leżącej, odpustowej miejscowości Heyndorfu. Jeżeli mi w dzieciństwie imponował nasz ubożuchny parafjalny kościół z jego kilku obrazami i rzezbami na ołtarzach i na ambonie, to w tych, powyżej wymienionych miejscowościach, był cały szereg dzieł sztuki, które budziły we mnie podziw i zachwyt. Z temi podróżami łączę drogie dla mnie wspomnienia.

Nauka Chrystusowego Kościoła nawet naturze udziela jakby wyższego namaszczenia. W pięknych bowiem i wyjątkowych punktach krajobrazu, lub w prostym, a czarownym widoku okolicy—podróżny odczuwa wyższą swą ojczyznę, a przydrożne kaplice i krzyże przypominają mu tajemnicę odkupienia. Choć przydrożne kapliczki i krzyże, te pomniki pobożności, są często pozbawione natchnienia sztuki i wszelkiego przepychu, jednak przemawiają głęboko do duszy. Zrozumiałem tę mowę wcześniej i przypominam sobie ży-

wo, jakie wrażenie robiło na mnie, gdy z ojcem odbywaliśmy jedną z takich wycieczek wczesnym i pięknym rankiem. Cała przyroda była zasłana perlami rosy, na każdym zielonym ździebełku jaśniała kropelka, jakby diamentowa, a z pól zasianych dolatywał wesoły głos przepiórki, radosny zaś śpiew skowronka spływał z przestworza niebieskiego. Kiedyśmy weszli na wzgórze, ojciec, zanim się rozejrzał, zdjął kapelusz przed krzyżem i szeptał półgłosem: „Uwielbiamy Cię, Panie Jezu Chryste, i błogosławimy Tobie, żeś przez święty Krzyż Twój świat odkupić raczył”. Kiedy znów w szumiącym lesie mijaliśmy kapliczkę Matki Boskiej, odmawiał „Zdrowaś” i błagał o Jej pośrednictwo; Marię nazywał Matką i Jej łaskawej i dobrotliwej opiece polecał siebie samego i nas wszystkich. Wtedy, o ile dziś to ocenić potrafię, nie odczuwałem całkowitego wrażenia z tej religijności ojca. Kiedy zaś w późniejszych latach obcowanie z mało religijnymi ludźmi i niedobieraną lekturą prawie że spowodowało do mej duszy wewnętrzną posuchę, wtedy ożyły wszystkie te wspomnienia i wydawały mi się, jakoby cichym głosem przestrogi i wyrzutu, wracającym mi w okamgnieniu dawne nastroje i wywołującym w mej pamięci niezbyt pochlebne sceny młodości. Zdarzało się, że w czasie studenckich lat moich wracałem wesoły, a może za wesoły w rozbawionem i głośnem towarzystwie ze spaceru, którego celem był ten lub ów „ogródek” pozamiejski.

Wtedy wyobrażenia przypomniała mi ojca, z którym wracałem pod wieczór z wycieczki wśród błogiej ciszy przez wioskę, kiedy noc zapadała nad doliną. Zdawało mi się wówczas, że słyszę, jak ojciec pozdrawia wieśniaków, siedzących przed domami, pięknymi słowy: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, albo też na takie czyjeś pozdrowienie odpowiada: „Na wieki wieków. Amen”, lub wreszcie przy dźwięku dzwonu wieczornego odmawia

„Anioł Pański”. Widziałem teraz tę, dobrze mi znaną, wieżę kościelną w naszym cichym miasteczku, która wynurzała się z ciemności i jakby witała nas razem ze światłkami, ukazującemi się w różnych punktach. Zobaczyłem oczyma duszy drogą matkę moją, która pozdrawiała nas dobrotnie, a ja, gdy usiadłem do kartoflanki, opowiadałem jej przygody dnia całego. Tyle różnych rzeczy przychodziło mi teraz na myśl wśród odmiennych zewnętrznych warunków i moich wewnętrznych przeżyć!

Religia, sztuka, natura zespalały się w moim umyśle w jedną całość, wywołując nieokreślony poetycki nastrój. Jak wszystko, co wtedy tworzyłem w dziedzinie sztuki, miało łączność z religią, tak cokolwiek widziałem koło siebie, miało zabarwienie religijne. Zima łączyła swoje obrazy z obrazami i pieśniami adwentu i Bożego Narodzenia. Zwłaszcza Boże Narodzenie uważałem za uroczystość największej radości; Wielkanoc zaś i wiosna jednoczyły się ściśle z sobą. Tak samo lato z Zielonemi Świątami i Bożem Ciałem.

Jesieni nadawały głęboką cechę i właściwą fizjonomję uroczystości Wszystkich Świętych i dnia Zadusz nego. Jak żłobek na Boże Narodzenie od najmłodszych lat dzieciństwa był mi koniecznością mego serca, tak te figurki, które strugałem do jasełek, były w tym czasie najmiłą mi moją robotą.

Dziękuję Bogu i wdzięczny jestem własnemu ojcu za kierunek mego wychowania, któremu zawdzięczam wszystko, co mam w sobie dobrego. Czy pomagałem pokostować zamówione ślubne sprząty lub okiennice, łóżka, szafy i t. p. i upiększać je pstremi kwiatkami i widoczkami, czy też malowałem na kołysce lub na trumience główki aniołków, albo też na trumnach dla dorosłych krzyże, zawsze doznawałem miłego uczucia z tego, że

jestem pożytecznym członkiem rodziny, zwiększającym zarobek na jej utrzymanie. Zawsze mi jednak myśl tworzyła ideał sztuki, który nabierał kształtu tego, com ostatnio najlepszego widział w obrazie, lub w drzeworycie i dlatego wtedy, kiedy obserwowałem dobrze namalowane kwiaty, albo owoce, choćby sztuczne, starałem się coś podobnego odtworzyć na własnym płótnie. Przez długi czas bardzo lubiłem malować zwierzęta, a płynęło to z zamiłowania do poezji życia pasterskiego, które obserwowałem z ciekawością. Ojciec, chcąc mi zrobić pewnego rodzaju przyjemność, w czasie letnich miesięcy kazał mi pasać krowy, zwłaszcza, że wtedy nie było nic lepszego do roboty. Któż był wtedy szczęśliwszy ode mnie? Pociągała mnie do tego zajęcia przede wszystkim malowniczość krajobrazów. Kiedy swe stadko rozpuściłem po polu, przyglądałem się pięknej okolicy, nad którą zawisły strzępiaste chmury, ułożone w figury różne i w tajemnicze obrazy, wsłuchiwałem się w świst wichru i szum lasu, przerywany śpiewem ptaków, beczaniem i ryczeniem stad, łupaniem drzewa w lesie, szumem i pomrukiem potoków. Wtedy w wyobraźni swojej snułem widoki, jakie mi zostały w pamięci jeszcze z czasów dzieciństwa. Przesuwały się około mnie precudne obrazy, odsuwały się ode mnie i znów wracały. Samotność przemawiała do mej duszy bardzo wymownym językiem. Dopiero dzisiaj pojmuję moją młodość!”

Istnieją jeszcze rysunki ze scen pasterskich, które Führich, jako czternastoletni chłopiec, komponował dla jasełek. Nawet ozdoby na ołtarz malował już w tych latach. Nie szczędził ani trudu, ani znoju, byleby zadowolnić swych klientów. W tym czasie zabrał go pewnego razu ojciec do majątku hr. Klam—Gallas, który wiedział już o artystycznych zdolnościach Józefa. Od tego hrabiego Józef otrzymał obietnicę, że będzie mu pomagał, gdy dojdzie do wyższych studiów.

O swoich pierwszych próbach z zakresu malarstwa tak sam pisze: „Wśród tematów, którymi zajmowałem się według własnego wyboru, było przede wszystkim Boże Narodzenie, do którego wracałem zawsze z zapałem i które najczęściej malowałem. Każdy najmniejszy tej treści obrazek budził we mnie najżywsze uczucie radości. To też wdzięczny jestem pewnemu szewcowi z Frydlandu, nazwiskiem Szmidt, od którego doznałem w tym względzie dużo pomocy. Szewc ów chodził po kościele we wszystkie święta z woreczkiem na kiju. Jeśli zobaczył w czyjejsz książeczce do nabożeństwa piękny obrazek, zwracał się z propozycją do właściciela: „Moglibyście mi go dać”, a gdy otrzymał, przynosił mi go potem. Kiedy znów pewnego razu malowałem dla miejscowego kościoła na Wielki Tydzień grób z ozdobami i wykończyłem już grootę, powiedział mi Szmidt: „Teraz jeszcze brakuje dwóch starych Rzymian w roli strażników”. Zrobiłem, czego żądał. Wtedy przyniósł jeszcze krucyfiks wycięty z blachy. To również musiałem malować. Za to wszystko dał mi buty, z czego byłem zadowolony tembardziej, że nadto reperował mi stare—podarte”.

W 16 roku życia malował Führich dwa obrazy na wystawę w Pradze, by przez nie dostać się do Akademii. „Około Bożego Narodzenia wysłałem obydwą”, tak sam pisze. „W pierwszych dniach stycznia 1817 roku wybrałem się z ojcem w podróż do Pragi. Droga była bardzo uciążliwa wśród surowej zimy. Jechaliśmy wozem, na którym było tylko trochę słomy, a na wierzchu dach z płótna. Zimno dokuczało, bo przewiewał wiatr i była zadymka śnieżna. Byliśmy niezbyt ciepło ubrani i wypoczywaliśmy tylko trochę wieczorami na słomie w ubożuchnych domach zajezdnych. Ledwo zdążyliśmy na otwarcie wystawy. Odrazu zauważyłem tam i moje obrazy, które, jak widziałem, zwracały na siebie uwagę. Gdybym mniej kochał

sztukę i mniej odczuwał własną nieudolność w stosunku do wyrażenia pędzlem ideału, przychylna ta ocena mogłaby wywołać przesadną próżność. Wiem, że było mi przyjemnie, kiedy zamożni i poważnie wyglądający widzowie stawali z lornetkami przed temi obrazami i, o ile mogłem zdala obserwować, wyrażali swój zachwyt. Również odczuwałem satysfakcję i wtedy, kiedy ten, lub ów z tłumu pokazywał mnie swoim sąsiadom, a ci oczyma śledzili za mną, dopiero dorastającym i nędźnie ubranym wiejskim chłopcem, chcąc, zdaje się, odszukać pokrewieństwo między obrazami, a ich twórcą”.

Obrazy te przyniosły mu dużo korzyści. Kupił je hr. Thun. Ich doskonałe wykończenie otworzyły Führi-chowi drogę na studia, a hr. Klam—Gallas wziął na siebie kosztą jego utrzymania. Za to wszystko czuł Führich wdzięczność względem ojca, a głównie za to, że razem z nim tu przyjechał. — „Nie mógł się ojciec pogodzić”, opowiada Józef, „z myślą wysłania mnie samego do Pragi i narażania mnie—młodego na pokusy wielkomiejskie. Tro-skę o mnie posunął tak daleko, że postanowił się prze-nieść z całą rodziną do Pragi, by mnie tu otoczyć opieką. Tego mu nie zapomnę nigdy!.. Teraz dopiero w wieku dojrzałym mogę ocenić cały bezmiar tej dobroci ojcow-skiej. Przy mojej porywczosci i niedoświadczeniu, oraz przy wielu okazjach wielkiego miasta zginąłbym na duszy i ciele, gdybym był pozostawiony sam sobie”.

W Pradze Führich rozpoczął sumiennie studia, by posunąć się naprzód nie tylko w malarstwie, lecz żeby także uzupełnić zaniedbane dotychczas ogólne wykształ-cenie. Z zamiłowaniem rozczytywał się w niemieckich poetach romantycznych, którzy, jak sam opowiada, oddzia-ływali nań korzystnie. Wprawdzie słyszał, jak tę poezję ośmieszali starsi swemi drwinami, któremi jednocześnie obrzucali religijne rzeczy. Lecz tego rodzaju mowy nie

były już dla mnie niebezpieczne. Odczuwałem dość wyraźnie płytkość tego rozumowania i dlatego obok tej rafy przepłynąłem szczęśliwie. Inne niebezpieczeństwo groziło mi jeszcze. Trzeba mi było wejść przy studjowaniu pogańskich klasyków do panteonu, w którym śpią starzy bogowie pogańscy snem natury, gdzie kończą się pojęcia chrześcijańskiej moralności i gdzie przygotowuje się bielidło, które czyni występki, jeśli nie pięknym, to przynajmniej pociągającym". Ale Führich, od młodości szukający wszędzie i zawsze oparcia dla siebie w religii, szczęśliwie i bezpiecznie znalazł drogę wśród pokus zmysłowych.

W wyjątkowy sposób podziały nań kojąco prace Albrechta Dürera. „Było to w dzień Trzech Króli 1821 r.", tak sam pisze, „kiedy mi wpadła pierwszy raz do ręki fatalna książka z drzeworytami Dürera. Na dworze padał śnieg i szalała wichura, w pokoju było ciepło i miło. Usiadłem skupiony i z pewnego rodzaju pietyzmem otworzyłem książkę. Patrzyłem, patrzyłem i nie wierzyłem swym oczom. Nowy, nieznany dotąd świat otworzył się przede mną. Miał to być ta sztuka dopiero w zawiązku, sztuka w kolebce, sztuka początkująca, bezradna, o dziecięcych myślach, bez smaku, w surowej barbarzyńskiej formie, sztuka plastyczna, sztuka niewykształconego wieku? Pierwsze moje uczucie było mieszaniną gniewu i głębokiego wzruszenia".

Führich ciągle się uczył i pracował nieustraszenie. Zapragnął jeszcze nad Tybrem spędzić czas jakiś, by tam głębiej sięgnąć po smak, potrzebny malarzowi.

Od życzliwych przyjaciół otrzymał środki na kilkoletni pobyt w Rzymie, skąd powrócił wzmocniony na duszy, umysłowo i artystycznie wykształcony.

Zamieszkał w Wiedniu. Jako malarz europejskiej sławy wywierał tu potężny wpływ na chrześcijańską sztukę malarstwa.



KAROL MARCINKOWSKI.

KAROL MARCINKOWSKI

Nieustraszony i wytrwały szermierz o polskość
b. W. Księstwa Poznańskiego.

1800 — 1846.

W 1866 roku 8 lutego Poznań obchodził jubileusz 25-letniej rocznicy założenia u siebie Towarzystwa Pomocy Naukowej imienia Karola Marcinkowskiego. W dniu tym na walnem zebraniu wygłosił odczyt H. Cegielski, wiceprezes dyrekcji tegoż Towarzystwa, odczyt pełen głębokich myśli o działalności Towarzystwa Pomocy Naukowej w Poznaniu. Polska, żyjąca pod zaborem pruskim, musiała bronić swej narodowości przed niebezpieczeństwem, którem zagrażali Niemcy swą systematyczną przeciw niemu działalnością. Jednym ze środków tej obrony było właśnie Towarzystwo Pomocy Naukowej. Prelegent, wyraziwszy ogólną radość z tego, że przed 25 laty powstała ta szlachetna piękna idea i, wcielona w życie, wydawała piękne owoce, oddaje hołd pamięci jej inicjatora—Karola Marcinkowskiego: „bo on pierwszy najjaśniej pojął zadanie, nad którem teraz pracujemy wspólnie... On to po krótkim, ale jasnym rozpatrzeniu się w stosunkach świata i narodów pojął z bystrością sobie właściwą, że narodowi, co upadł ciemnotą, opuszczeniem i luźnością wszystkich warunków życia publicznego, potrzeba przedewszystkiem oświaty, oraz idącej z nią w parze pracy pojedynczej, równie jak i zbiorowej. On to zrozumiał, że w lepszym wychowaniu dzieci naszych i grun-

townej nauce młodzieży leży jedyna, ale pewna rękojmia lepszej przyszłości tak tejże młodzieży samej, jak społeczności, z której ona wychodzi. On to zrozumiał, że kto dziś nie przyczynia się do powszechnej pracy społecznej światłem należytem i udziałem czynnym (indywidua równie jak narody), ten silnym postępem czasu zostaje zdeptany i na zmarnienie wyrzucony być musi... W założeniu tego Towarzystwa tkwi najwyższa i najszlachetniejsza jego zasługa... Przechodząc wspólnie tę krótką drogę jego żywota, odświeżymy sobie w pamięci stoicką postać męża, jako lekarza, żołnierza i obywatela w całym znaczeniu tego wyrazu. Odsłonią nam się piękne rysy tej postaci. Znajdziemy tam i podziwiać będziemy równie rzewną czułość pocziwego syna względem matki, jego męski hart duszy w najtrudniejszych życia zadaniach, równie wzorową pilność ucznia, jak religijną skrupulatność człowieka obowiązku, równie walecznego żołnierza, jak odważnego w powołaniu lekarza, równie pobłażliwego względem innych, jak surowego względem siebie chrześcijanina..."

Czczono właśnie wtedy, 8 lutego 1866 r. D-ra Jana Chrzyciela Karola Marcinkowskiego, który urodził się 23 czerwca 1800 r. w Poznaniu, na przedmieściu św. Wojciecha, z ojca Jana i matki Agnieszki z Kopickich. Była to rodzina małomieszczańska, żyjąca z pracy rąk ojca, który zarabkował końmi, a który uczciwą i wytrwałą pracą doszedł do tego, że został w Poznaniu właścicielem trzech domów. W jednym z nich drewnianym pod Nr. 91, na przedmieściu św. Wojciecha, przyszedł na świat ten, którego działalności kreślimy duchową sylwetkę.

Gdy umarł ojciec Karola w 1812 r., losem jego zajęła się matka, która odtąd utrzymywała rodzinę z gospody, mieszczącej się w tym właśnie domu na przedmieściu św. Wojciecha. W takiej, zdawałoby się, niesprzyjającej atmosferze i w takich warunkach wychowywał się Karol

wraz z 3-ma siostrami i jednym bratem, ten przyszedł wielki działacz poznański, który między innymi celami życia nakreślił sobie wychowanie dwóch osieroconych synowców, by ich uczynić wzorem i przykładem młodzieży!

Wyjątkowo gorące serce, które ujawniał na każdym kroku przez całe życie (choć niezbyt długie, ale nadzwyczaj ofiarne), przede wszystkim często otwierał on swej matce (od dzieciństwa do końca życia). W wieku chłopięcym i młodzieńczym był bardzo przywiązany do niej; i to jest zrozumiałe, bo w niej miał jedyną ostoję od 12 roku życia, w którym stracił ojca. Uboga ta matka, obarczona pięciorgiem drobnych dzieci, mając niewyczerpane zasoby miłości, wytrwania i poświęcenia, natężoną pracą zdołała zarobić na wychowanie swych dzieci, a wzniosłym przykładem—wzmocnić ich ducha i zaprawić do ciągłej pracy. To przejął Karol od matki i temi właśnie przymiotami zdobył sobie miłość i wdzięczność u ludzi. To też do końca życia budował on Poznań, a w chwilach wolniejszych, będąc już sławą lekarską i niezwyklej miary działaczem społecznym, odwiedzał swą matkę, tulił się do niej, jak małe dziecko i ją, choć była prostą kobietą, otaczał rzewną czcią mimo swego stanowiska, które zajmował w społeczeństwie.

Karol pierwsze nauki pobierał przez trzy lata, jeszcze za życia ojca, w miejscowej szkole przy klasztorze reformackim. Później oddano go do miejscowego gimnazjum, które chlubnie skończył w 1817 r. Tu w murach średniego zakładu wyróżniał się nie tylko bystrością i gruntownością umysłu, ale, co ważniejsza, niezwykle, systematyczną pracowitością. To też kończy gimnazjum, otoczony miłością kolegów i szacunkiem wychowawców za swe zdolności, prawość charakteru i poważne nad wiek usposobienie.

Nic dziwnego, że gdy udawał się na uniwersytet do

Berlina *), a nie był zamożnym, współubiegano się niejako w zapewnieniu mu stypendjum publicznego, lub złożonego przez osoby prywatne.

Sam początkowo zamierzał zostać nauczycielem, lecz za poradą swego gimnazjalnego dyrektora poszedł na medycynę. Z jej zakresu 2 kwietnia 1823 r. obronił rozprawę, następnie złożył wymagany egzamin krajowy. W uniwersytecie cieszył się jeszcze chlubniejszą opinią profesorów, niż w gimnazjum. Niepodobna pominąć następującego faktu z jego życia: 29 listopada 1817 r. zapisał mu Eustachy Grabski, jako stypendjum na studia uniwersyteckie 1800 talarów. Stypendjum to dochodziło Marcinkowskiego bardzo nieakuratnie i z częstem opóźnieniem, przeto prywatnymi lekcjami zarabiał na swe utrzymanie. W czasie uniwersyteckiej nauki podjął z tej sumy tylko 650 tal.; reszty, gdy już jako skończony lekarz osiadł w Poznaniu, choć miał do tego prawo, nie użył dla siebie, lecz przekazał ją na rzecz zakładu w rodzinnem mieście Sióstr Miłosierdzia wraz ze wszystkimi, należnymi procentami.

Z pewnością całokształt medycyny na uniwersytecie przy swych zdolnościach i pracowitości Marcinkowski zdobyłby daleko prędzej. Ale w czasie pracy nad książką nie opuszczała go ani na chwilę myśl o smutnem położeniu kraju. Młodzieńczym swym umysłem spostrzegał, że nietyle zewnętrzny ucisk trzymał naród w niewoli, ile jego wady. Na skutek tych rozważań zainicjował założenie Związku młodzieży polskiej, bawiącej wówczas w Berlinie i nazwał go „Polonją”. Głównym celem Polonji było: wyższe doskonalenie młodych tak w kierunku moralnym, jak i umysłowym. Polonja przeto była jakby kuźnią, w której wykuwały się silne charaktery przyszłych

*) Studjował i w Hejdejbergu.

obywateli i ludzi czynu. Marcinkowski nie tylko był założycielem Polonji, ale i jej duszą, do czego dopomagała mu z jednej strony moralna wyższość nad kolegami, z drugiej zaś jego prostota, serdeczność i skłonność do szczerej, a głębokiej przyjaźni. Jednym z oryginalnych, ale może silnych środków postępu związkowców, był wprowadzony przez Marcinkowskiego publiczny rachunek sumienia, odbywany na zebraniach. Konieczności tej praktyki tak dowodził: „Jesteśmy Polakami, a więc dziedzicami nie tylko fizycznych zalet i przywar naszych przodków, ale nosimy w sobie jakby ich dusze. A musimy pamiętać, że dusze tych ludzi stworzyły nie tylko Konstytucję 3-go Maja, ale i Targowicę. Naszymi praojcami są: Kościuszko i Poniński, Rejtan i Ksawery Branicki *) ...Skąd mamy pewność, którego z tych przodków cechy przeważają w nas samych? Jakich cech posiadamy więcej: dodatnich czy ujemnych? Kto z nas przewidzi, zali budowniczym czy burzycielem swej Ojczyzny będzie? Przed nami życie, a życie to sfinks. Nie wiemy, co nam da, co zabierze? Trzeba się rozparzeć w zbroi, którą posiadamy, ujrzeć jasno, co w nas jest orężem mocnym, a co złamaną zbroją, na jakiej swej cnocie i sile oprzeć się będziemy mogli i najpewniej”.

Członkowie Polonji nie sprzeniewierzyli się nigdy swoim młodzieńczym ideałom, podobnie jak filomaci **), którzy do grobowej deski pozostali wierni swemu hasłu: Ojczyzna, nauka i cnota.

Jakie miała Polonja cele?

- 1) Zachowanie w duszach młodzieży poczucia narodowości polskiej.
- 2) Utrzymanie dobrego imienia Polaków zagranicą.

*) Używa tu Marcinkowski silnego przeciwstawienia bohaterów i zdrajców.

**) Stowarzyszenie studenckie, które założyli w Wilnie Zan, Mickiewicz i inni.

- 3) Utrwalenie przyjaźni wśród młodzieży, by tą drogą doprowadzić do przyszłej zgody w społeczeństwie.

Na każdym niemal zebraniu zachęcał Karol swych kolegów do samokrytyki, do surowego sądzenia siebie, a potrącając w bardzo kulturalny sposób o wady narodowe, dodawał: „Lekarzami i sługami w służbie Ojczyzny winniśmy być. W takim położeniu jak nasze, musimy dobro Ojczyzny stawiać na pierwszym miejscu, a potem dopiero osobiste szczęście”.

W czasie jednego z takich zebrań w 1822 roku, gdy tego najmniej się spodziewano, otwierają się drzwi, a w nich ukazuje się pruski oficer w otoczeniu kilku żołnierzy.

Jakie to zrobiło wrażenie na obecnych—łatwo się domyśleć.

Marcinkowski jednak momentalnie się zorientował w sytuacji i oświadczył oficerowi, że on jest założycielem kółka i on jeden całkowicie odpowiada za wszystko wobec prawa; koledzy zaś są raczej słuchaczami, których przekonuje i usiłuje przeciągnąć na swoją stronę.

Włóczony przez 8 miesięcy po różnych etapach śledczych, następnie skazany został na 6 miesięcy wilgotnego więzienia w twierdzy w Wisłoujściu, położonej o 5 klm. od Gdańska.

Ten przymusowy pobyt nad brzegiem Bałtyku był dla niego początkowo bardzo ciężki, bo beczynny, później nieco złagodzony godzinnym na dobę spacerem, a wreszcie pozwoleniem na pracę książkową. Więzienie to przerwało Karolowi uniwersyteckie studia i podkopało mu zdrowie. Od tej pory z płucami nie był nigdy w porządku. Aresztowanie nie złamało wszakże młodego 22-u letniego młodzieńca. Pozwolenie, jakie otrzymał w więzieniu na pracę książkową, wyzyskał na przygotowanie się do ostatecznych uniwersyteckich egzaminów, które, jak powiedzieliśmy wyżej, złożył chlubnie i otrzymał stopień doktora medycyny

i chirurgji. Prześladowanie więc nie osłabiło jego hartownego ducha, który raczej spotężniał w nieszczęściach i cierpieniach.

Wyżej widzieliśmy, że Marcinkowski dzieciństwo miał niełatwe, warunki domowe nie uśmiechały mu się dostatkiem, owszem bieda często zaglądała mu w oczy. Młodość miał również materialnie i moralnie ciężką, a nawet chmurną, a mimo to podniosłą, bo wszystko wyzyskał, nawet chwile więzienne, na rozważanie istotnego położenia kraju i sposobów podźwignięcia narodu.

W późniejszym swem życiu Marcinkowski wyróżnił się w trzech głównie kierunkach: 1) jako bardzo zdolny, sumienny i czułym sercem traktujący swe powołanie lekarz, z jednakowem zawsze poświęceniem się dla chorego w pałacu, jak i w lepiance, 2) jako żołnierz w czasie listopadowego powstania i 3) jako obywatel-społecznik. Wskutek wypadków narodowych, o czym będzie mowa niżej, Marcinkowski od 1831 do 1834 r. pracował nad medycyną w klinikach i u łóża chorych w Anglii i we Francji. Zyskał wtedy zaszczytne uznanie i nagrodę niezwykłą na ówczesne warunki. Królewska Akademia Nauk w Paryżu przyznała mu medal złoty, wartości 1000 franków, z następującą odezwą, którą podajemy w tłumaczeniu polskiem: „Instytut Francji. Akademia Królewska Nauk w Paryżu, dnia 25 listopada 1833 r. Sekretarz Akademji—do W-go D-ra Marcinkowskiego.

„Mam zaszczyt uwiadomić Pana, że na dorocznem posiedzeniu publicznem, odbytem w poniedziałek dnia 8 t. m. Akademia Królewska Nauk rozdawała nagrody tego-roczne i że Pan uzyskałeś medal zachęty w złocie, wartości 1000 franków, a to za wskazówki, udzielane w przedmiocie cholery, która panowała w Warszawie, lekarzom francuskim, którzy się do miasta tego udali. Korzystam skwapliwie z tej sposobności, aby Panu z mej strony po-

winszować tego zaszczytu, dając wyraz uznaniu, jakie się w łonie Akademji dla prac Jego w tej mierze objawiło. Medal wydany Panu będzie w Sekretarjacie instytutu za osobistem zgłoszeniem się Jego, albo też osoby do pokwitowania przez Niego upoważnionej. Przyjmij Pan za pewnienie mego poważania. Florens."

Marcinkowski zamiast medalu przyjął 1000 zł., które złożył do kasy emigrantów 1831 roku, choć sam żył wtedy z pożyczki, udzielonej mu przez Chłapowskiego w Kłajpedzie. Wcześniej zaś, gdy oddział wojska, w którym walczył 1831 r., złożył broń w okolicach Kłajpedy, a wybuchła w tem mieście i w obozie pruskim cholera, tak gorliwie zajął się Marcinkowski chorymi żołnierzami i mieszkańcami miasta, że od Zarządu Kłajpedy, uratowanej przez niego od moru, otrzymał dziękczynny adres i pamiątkowy pierścionek ze swoimi inicjałami.

Adres ten, podpisany pod datą 12 października 1831 r. w tłumaczeniu polskim brzmi: „Przez gotowość, nieustającą gorliwość i przezorność, z jaką Pan podczas epidemji cholery opatrywał chorych miasta Memla *) i okolic jego, przez coś oswobodził od śmierci matki, ojców i dzieci, zasłużyłeś nietylko na wdzięczność wyleczonych, lecz i na ogólną miłość i szacunek mieszkańców tutejszych. W rocznikach miasta wspominane będzie imię Pana przez najodleglejszą potomność ze czcią i uczuciem wdzięczności. Przyjmij Pan wyrażone przez nas serdeczne podziękowanie mieszkańców tutejszych za trudy, jakieś podejmował z wielkiem narażeniem siebie samego w czasie niedoli ogólnej i pozwól łaskawie, abyśmy przez dołączone tu dar udowodnić mogli naszą wdzięczność. Oby Opatrzność przez długie lata zachowała Pana dla dobra cierpiącej ludności! Oby kolej życia Jego, w którym

*) Memel albo Kłajpeda—miasto przy ujściu Niemna.

zawsze szczery udział brać będzie miasto Kłajpeda, zdobyły prawdziwej radości uczucia i abyś Pan długi czas w naszym mieście przemieszkować zechciał!

Kłajpeda dnia 12 października 1831 r.
Magistrat i Rada Reprezentantów:

Tosindorf, Sawins, Tuncł, Benjamin”.

Jeszcze zaś wcześniej od swoich ziomków w 1829 r., gdy wyzdrowiał po nerwowej febrze, w czasie której odprawiano za niego publiczne w kościołach modlitwy, obywatele ówcześni, chcąc uczcić zacność i poświęcenie Marcinkowskiego, ofiarowali mu kosztowny pierścień, zakupiony po ś. p. wielkim patrjocie arcybiskupie Teofilu Wolickim.

Jako czynny żołnierz, Marcinkowski uwydatnił swe poświęcenie dla Ojczyzny od pierwszej chwili, gdy doszła doń wiadomość o powstaniu listopadowem. Porzuca wszystko i udaje się do Warszawy, by stanąć pod rozkaz nadwiślańskiej stolicy.

O niepodległość Ojczyzny bije się, jako prosty ułan, w szwadronie jazdy poznańskiej, walczącej pod pułkownikiem Brzezańskim, potem na wezwanie Komendy służy powstańcom jako lekarz przy jenerale Dezyderym Chłapowskim. Trzeba wszakże dodać, że i wtedy w czasie bitew walczył jak najdzielniejszy żołnierz, a gdy ucichło pole bitwy, opatrywał rannych.

Po smutnem zakończeniu powstania, Marcinkowski przeszedł z korpusu Giełguda 14 lipca 1831 r. do Prus. Był to jeden z najboleśniejszych zawodów i ciosów jego życia.

Gdy w końcu 1834 r. po długiej tułaczce w Anglii i Francji wracał Marcinkowski do Poznania, za udział w powstaniu listopadowem aresztowany został w Berlinie, 5 miesięcy odsiedział w więzieniu śledczem, co tak ujemnie oddziaływało na jego zdrowie, że dostał krwioplucia.

Dopiero na początku 1835 r. wrócił do Poznania, entuzjastycznie witany, jako dobroczyńca tamtejszych mieszkańców.

Zanotować jeszcze trzeba, że w r. 1837 Marcinkowski w tej samej sprawie drugi raz był sądzony tylko z innego tytułu, mianowicie za nielegalne przejście granicy w 1830 r. i został skazany przez sądy pruskie na sześciomiesięczne więzienie w fortecy Świdnicy na Śląsku. Stąd na skutek rozmaitych starań wcześniej został puszczoneym dla gaszenia wybuchłej cholery. Powracał do rodzinnego miasta, jako prawdziwy, a wielki triumfator.

„Marcinkowski, jako działacz społeczny, mówi w swym odczycie H. Cegielski, był człowiekiem charakteru, powołania i namaszczenia prawdziwie chrześcijańskiego, był przywiązany synem narodu, był światłym i prawym obywatelem”. Piękność swego charakteru uwydatnia Marcinkowski w testamencie, w którym między innymi pisze: „Wystawcie sobie rozrutnego człowieka, który, skoro rzecz jaką zobaczy, co namiętności jego dogadza, nie pyta czy rozsądnie, aby kupić, ale, idąc za swemi chęciami, wyrzuca pieniądze. Otóż taką samą namiętność wlał P. Bóg w mą duszę. Kiedym widział, że wydatkiem pieniędzy na pożyteczne, jak mnie się zdawało, mogłem dogodzić tej żarliwości mej duszy, z jakąż przyjemnością wydawałem, ciesząc się zawsze, że to moja prawdziwa własność, mój, że tak powiem, utwór, którym rozporządzam. Nie szanowałem nigdy tych ludzi, którzy skwapliwie skarby zbierają, nie zostawiając dzieci dobrze wychowanych, bo się ich wychowaniem nie trudnią, tylko zbieraniem majątku, lub umierając bezdzietnie, nie wiedząc, jaki z ich zbiorów nastąpi użytek. Zwykle to marnie bywa roztrwonione. Mnie było miło dogodzić sobie natychmiast i patrzeć za życia na skutki mych usiłowań. I dobrze mi tak było”.

Odpowiada więc tu jednocześnie na pytanie, które sam sobie zadał: co on robił z dochodami? Dlaczego tak zapamiętał pracował i do upadłego, nie zwracając uwagi na żadne przestrogi lekarzy, że nadmiarem takiego wysiłku podkopuje sobie zdrowie.

„Ten tylko znajdzie rozwiązanie tych pytań, kto kiedykolwiek czuł żywo w swej duszy, co to jest pełnić powinność dla ukochanej idei. Tego żądła, tego niepokoju, który Pan Bóg wlał w duszę moją (boć ja sobie nic nie dałem; wszystko, co we mnie było, są Jego dary przez wychowanie ludzkości, na szczęśliwy jej pożytek skierowane), inaczej poskromić nie mogłem, jak ciągle zajmując się pracą. O jedzeniu i spaniu, choćbym był najbardziej zmęczony, nieprędzej myślałem, ażem całodzienną pracę ukończył. Prawda, że nieraz Bóg wiele po mnie wymagał; nigdy się na to nie oburzał, zawsze równie ochoczy byłem, gdy chodziło o to, aby drugiemu pomóc...”

Gdybyśmy działalność obywatelsko-społeczną Marcinkowskiego porównali do drzewa, to ujrzelibyśmy na nim trzy potężne konary, a na nich jeszcze różne rozgałęzienia. Temi trzema konarami były 3 instytucje, przez niego założone. Pierwszym konarem drzewa zasługi Marcinkowskiego jest Bazar Poznański. Chciał tu Marcinkowski wyszkolić dobrych kupców, przemysłowców i rzemieślników Polaków i dla nich właśnie założył Bazar. Jest to piękny, okazały gmach, przeznaczony przede wszystkim dla mieszczan, aby w nim dla podniesienia rodzinnej kultury i dobrobytu mieli: salę do zebrań i zabaw, hotel, sklepy.

Przez założenie Bazaru chciał ułatwić rzemieślnikom sprzedaż ich wyrobów, a tem samem zachęcić do dalszej pracy i nauki. W założeniu i rozwoju Bazaru pomagali

mu ks. Brzeziński, Maciej Mielżyński, Gustaw Potworowski, Józef Szałdryński i inni.

Drugim konarem drzewa zasługi Marcinkowskiego na polu społecznym było Towarzystwo Pomocy Naukowej, założone przezeń dla kształcenia biednej młodzieży, głównie wyławianej z polskiej rzemieślniczej klasy tak miejskiej, jak i wiejskiej. Instytucja ta oparta była na mądrych zasadach, bo nie dawała studentom bezzwrotnych stypendjów, lecz pomagała im z tym warunkiem, żeby, gdy zajmą życiową placówkę, wszystko zwrócili Towarzystwu. Stąd Towarzystwo to było zawsze żywotne, rozporządzało wielkimi kapitałami i wychowało liczne setki ubogiej młodzieży, z której wyszli pożyteczni ludzie. Na wniosek ks. kanonika Kaliskiego Towarzystwo to w 1861 r. nazwano Towarzystwem Pomocy Naukowej imienia Karola Marcinkowskiego dla młodzieży W. Księstwa Poznańskiego. Bez przesady powiemy, że zasługi Marcinkowskiego na polu pomocy dla kształcącej się młodzieży stawiają go w rzędzie prawdziwych dobroczyńców ludzkości.

Trzecim wreszcie konarem drzewa społecznej zasługi Marcinkowskiego było Towarzystwo dla wspierania ubogich i cierpiących, założone 1845 r. czyli na kilkanaście miesięcy przed śmiercią tego wielkiego działacza.

Główne wytyczne dla tej Instytucji wypowiedział Marcinkowski w przepięknych słowach, z których przytaczamy treść główną:

„...Węgielnym kamieniem, na którym dobry byt ziemski wszędzie i zawsze się wspiera jest praca... Gdyby ta klasa ubogich wskutek lepszego niż dotąd socjalnego wychowania pokochała pracę i rzadność gospodarczą..., gdyby urządzenie stosunków socjalnych kiedykolwiek w taki sposób załatwione być mogło, że każdemu i w każdej chwili nietylko dostateczną ilość pracy dostar-

czy, ale zarazem pracy tak ocenionej, że wymiana zapłaty wystarczy na wygodne utrzymanie pracownika, natenczasby wszelka nędza znikła odrazu z pośród ziemskiego świata... Zakładamy Towarzystwo Dobroczynności, ażeby urzeczywistnić błogą opiekę, pod której zasłoną lud pracujący dojść musi do przekonania, że dobry byt na tej ziemi, oparty na pracy i stosownem wynagrodzeniu onejże, tylko samemu sobie zawdzięczać powinien... I pieniężne wsparcie tylko w ten sposób szafowanem być winno, aby grosz, na nie obrócony, w pracy się mnożył i dochody biednych z ich pracy powiększył..." Wytyczne te kończą się dodaniem głównych wskazówek. „Przedewszystkiem tu należy wzgląd na domowe i elementarne wychowanie dzieci tych klas, nad którymi opiekę braterską ustanowić sobie zamierzamy. Od niego bowiem zależeć będzie cała przyszłość nowej generacji... Zapobiegają złu: a) szkoły, ochrony i oddawanie na naukę rzemiosła, b) usiłowanie ku odwodzeniu od niewstrzeżliwości i nadużycia trunków, c) pouczanie gospodarności w wydatkach z ciąglem zwracaniem uwagi na korzyść odkładania oszczędzonego grosza na przypadek przyszłego niedoboru i oddawanie go do kasy oszczędności”.

W jednym zaś z listów do generała Chłapowskiego wyraża zdanie, że „nie wojna, ale pokój jest urodzajną pracą, sprzyjającą krzewieniu się ducha czasu, który kiedyś musi przedrzeć despotyzmu zasłonę” i że „narody uznają się kiedyś braćmi”.

Ciekawy w tym okresie wypowiedział pogląd na zadanie społeczeństwa, którem jest ugruntowanie szczęścia wszystkich pojedynczych członków, całość społeczeństwa stanowiących. Szczęście zaś ludzi zawisło od swobody wewnętrznej i zewnętrznej. Urządzenia społeczne, które niszczą swobody rodu ludzkiego, należy uznać za przewrotne...

Przytaczamy umyślnie te główne wytyczne i zasady działalności społeczno-dobroczynnej, wypowiedziane przez Marcinkowskiego blisko lat temu 100, bo są one i dziś najzupełniej żywotne i zawierają w streszczeniu program uzdrawiającej akcji socjalnej.

Pozatem wszystkim pracował Marcinkowski i w innych działach życia społecznego, jak w radzie miejskiej od 41 do 46 roku życia, brał czynny udział w różnych komisjach itd.

Skąd miał czas na to wszystko przy swoich słabych siłach? W słabem ciele był silny duch. Wystarczy powiedzieć, że chorych przyjmował od 5 do 8 rano i od 1 do 4 po południu; praktykował pozatem jeszcze poza domem, gdy wypadła konieczność, jeździł konno kilkanaście mil do chorych, resztę zaś wolnych chwil poświęcał na sprawy społeczne. Bliski kolega jego Dr. Jagielski mówi o nim: „Nieraz trzy i cztery noce nie wytchnął w łóżku”. Mimo wszystko w swej działalności napotykał często na przeszkody ze strony zazdrosnych i złych ludzi, łamał je wszakże żelaznym hartem swej duszy, nie wchodząc nigdy w zatargi ani z chrześcijańskim sumieniem, ani z przekonaniami narodowymi. Tam, gdzie chodziło o zasady, nie ustępował ani na krok z obranej raz drogi.

Gdy mnożyły się przeciw niemu zarzuty, wtedy licznym przyjaciółom, którzy w 1842 r. zebrali się, by mu dać satysfakcję, nadesłał pismo, najlepiej malujące głębię jego czystej duszy: „Boże, daj, tak pisał wtedy, bym zupełnie potrafił zapomnieć o sobie, bym wyrzeczeniem się samego siebie doszedł do owej doskonałości, której Zbawiciel świata wymaga od zwolenników swojej nauki. Boże, daj, by mi chęć pełnienia moich powinności nigdy nie zastygła, abym do końca mego życia wytrwał gorliwie w miłości bliźniego, by mi ciągnął podniętą mojego działania było to zaspokojenie duszy, żem nie zszedł z toru prawego czło-

wieka. Boże, daj, aby pomiędzy nami na silnej podstawie miłości bliźniego wzrosło w błogie dla ludzkości owoce piękne drzewo równości bratniej”.

Nie od rzeczy będzie przytoczyć jeszcze charakterystykę Marcinkowskiego, którą skreślił urzędnik, obcy mu mową i duchem. Naczelny prezes W. Księstwa Poznańskiego hr. Arnim, Niemiec, który pod datą 16 kwietnia 1845 roku, a więc na kilka miesięcy przed jego śmiercią, dziękuje ministrowi wojny v. Bayen, że mu doniósł o raporcie generała v. Colomb, o którym referował królowi: „Notatki v. Colomba, pisze hr. Arnim, nie są mi nowe. Dr. Marcinkowski był moim domowym lekarzem i poznałem go jako takiego, który jest w stanie iść w ogień, byle bliźniemu dopomóc; darmo pędzi dwadzieścia mil konno, aby wyleczyć biednego robotnika. Ale przytem jest najzapaleńszym w świecie Polakiem i z tem się nie tai, że nam życzy, abyśmy wszyscy do dj.... poszli”.

Lecz ustawały siły, dopalała się lampka życia tego wielkiego człowieka...

Marcinkowski życzył sobie być pochowanym we wsi Podkowo, aby zapobiec wszelkim manifestacjom i pompie pogrzebowej. Życzył sobie, aby go pochowano w zgrzebnej koszuli i w prostej trumnie, w jakiej chowają zmarłych w szpitalu miejskim.

Przy jego zwłokach zobowiązali się jego zwolennicy słowem i przysięgą, że wszystko uczynią, aby dzieła, do życia przez niego powołane, wspólnymi siłami dalej prowadzić w jego duchu.

Marcinkowski, jak pisze o nim autor książeczki „Moskwa wobec Unji i Polski”, był chrześcijaninem w najprawdziwszem, pierwotnem tego słowa zrozumieniu i postęp ludzkości widział nie w samolubnem zacofaniu i trzymaniu światła pod korcem, ale w postępie cywilizacyjnym i w miłości bliźniego. Na tych zasadach pragnął

on wytworzyć „równość bratnią”, w tej wierze działa nad emancypacją mieszczańskiego zwłaszcza ludu, jako najbliżej go obchodzącego, nad wyrobieniem w tym ludzie, jako też i w innych warstwach społeczeństwa „godności człowieka”. „Bracia! wołał on z głębi duszy, tę godność w sobie wytworzyć, tę godność uszlachetnić, oto jest droga, na której do osiągnięcia ulepszeń dążyć powinniśmy! Oświata i praca, towarzystwu ludzkiemu użyteczna, oto są środki do utworzenia potrzebnego gościńca! Zachęcajmy siebie wzajemnie, działajmy na drugich, na młodszych, na mniej szczęśliwych, od nas braci, ażeby przyszłe pokolenia do szczęśliwszej przyszłości przysposobić, ażeby w nich ugruntować tę godność człowieczeństwa, bez której wszystkie zabiegi zginą jak płonne marzenia!”.

Marcinkowski umarł 7 listopada 1846 roku we wsi Dąbrówka-Ludomska, w domu przyjaciela swego Wiktora Łakomickiego. Zwłoki sprowadzono do Poznania, by je pochować możliwie najuroczyściej na tamtejszym cmentarzu. Głaz ciężki bez żadnego napisu przyciskał prochy jego i tylko ogromem swoim przypominał męża niezwyklej miary. 10 czerwca 1923 roku przeniesiono je do grobów zasłużonych w Poznaniu, przy kościele św. Wojciecha.

Dom drewniany na przedmieściu św. Wojciecha, w którym się urodził Marcinkowski, chylił się ku upadkowi. Na jego miejsce pobudowano dom nowy i na nim wmurowano skromną tablicę, przypominającą tego niezwykłego Poznańczyka. Najpiękniejsza ulica Poznania „Aleje Marcinkowskiego” nosi nazwisko tej świetlanej postaci.

Źródła i pomoce.

Dr. Kazimierz Bross: „Przyczynki do działalności społeczno-lekarskiej D-ra Karola Marcinkowskiego”. Poznań 1923 r.

Helena Rzepecka: „Kim był Karol Marcinkowski”. Lwów 1913 r.

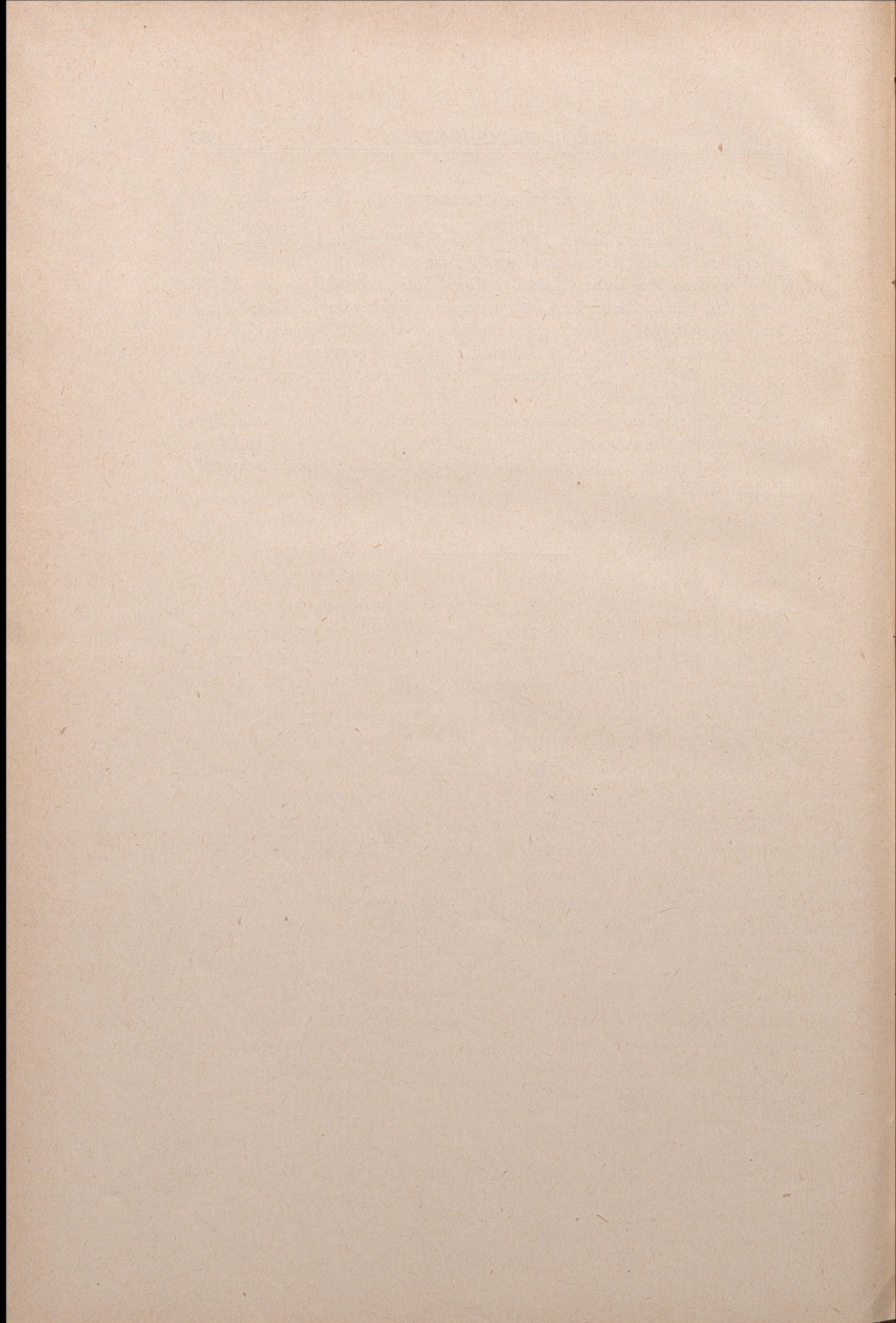
Dr. Ignacy Zielewicz: „Nowe przyczynki do życiorysu D-ra Karola Marcinkowskiego, na źródłach archiwalnych osnute”. Poznań 1908 r.

Adam Wrzosek: „Karol Marcinkowski.” Warszawa.

St. Bojarska: „Wychowawca mieszczaństwa Dr. Karol Marcinkowski”. Warszawa.

Towarzystwo imienia Stanisława Staszica: „Żywot Karola Marcinkowskiego”. Lwów 1891.

H. Cegielski: „Życie i zasługi D-ra Karola Marcinkowskiego”. Poznań 1866 r.



DOMINIK LACORDAIRE.

1802—1861.

Do pierwszorzędnych mówców XIX wieku należał Lacordaire, którego mowy zapalały, jak słowa natchnionych proroków. Chateaubriand mimo swego stanowiska politycznego, zajmowanego w tym czasie, musiał pewnego dnia wejść oknem do przepelnionej słuchaczami sali, byleby tylko usłyszeć przemówienie Lacordaire'a. Wielki mówca i świetny obrońca Kościoła katolickiego zdobywał w swej młodości wiarę, która później pałała w nim płomieniem, drogą bardzo ciężkich walk wewnętrznych. Warunki pierwszych lat życia sam tak przedstawia: „Ojca prawie nie pamiętam, bo umarł w 1806 r. zostawiając matkę z czworgiem dzieci w takim położeniu materialnem, które nie można nazwać ani dostatecznem, ani nędznem; faktycznie zaś rodzina nasza była zmuszona ograniczać się w codziennem życiu tylko do tego, co było najkonieczniejsze”. Wewnętrzne trudności i cierpienia zaczęły się dlań z chwilą, gdy dostał się do kolegium cesarskiego w Dijon. Matka wystarała się tam dla niego o bezpłatne miejsce. Dominik natrafił tu jednak na fatalne wprost warunki duchowe. „Tu, jak o tem sam pisze, doznałem pierwszy raz w życiu ciężkiego i dotkliwego bólu, który mnie jednak doprowadził swą siłą wewnętrzną do Boga. Od pierwszego dnia obchodzili się ze mną moi towarzysze jak z przedmiotem swych żartów i jak z ofiarą. Nie mogłem uchronić się w żaden sposób

przed ich grubiaństwem. Poza zupą i chlebem nie pozwalali mi jeść nic więcej. Pewnego razu, by pozbyć się natarczywości z ich strony, udałem się pocichu w czasie rekreacji do sali szkolnej i schowałem się tam pod ławkę przed okiem ich i nauczycieli. Tu w głębokim przygnębieniu wylałem serdeczne, gorzkie łzy przed Bogiem, tu ofiarowałem Mu swą młodzieńczą niedolę, tu zwróciłem się do krzyża Boskiego Syna z taką serdecznością, jak nigdy w życiu.

Dopiero w następnym roku szkolnym ustały moje cierpienia. Pierwszą Komunię św. przyjąłem w roku 1814, mając lat dwanaście. To była ostatnia religijna radość, ostatni promień słoneczny, jaki mi spłynął z duszy mej matki. Wkrótce znów otoczyły mnie gęste cienie. Zimna noc okrzyła mnie zewsząd i zdawało mi się, że mnie Bóg opuścił zupełnie”.

Zapewne nie bez własnej winy ostygł i zobojętniał Dominik. Główna jednak przyczyna tkwiła w obojętnym pod względem religijnym otoczeniu i we wrogim kierunku religijnym, który panował wówczas w szkołach. „Nie słyszałem, mówi, w czasie nauki nic rzeczowego o naszej wierze. Wymawiano tam imię Boga jakby w półtonie, bez związku, bez uczucia. Później w dalszej nauce spotykaliśmy się z arcydziełami sztuki, z sylwetkami pogan starożytnych. Stary świat pociągał nas swemi wzniosłemi rysami i właściwościami, nowy zaś ewangeliczny był dla nas jakimś obcym krajem. Wielcy ludzie nowego świata, cywilizacja najnowsza, obyczaje, zalety obywatelskie, cały postęp ludzkości pod znakiem i wpływem krzyża, wszystko to ukrywano starannie przed nami. Mimo to nie chcę występować ze skargą, jaką podniesiono w ostatnich czasach przeciw studjom klasycznym. Im przecież zawdzięczamy smak piękna, polot myśli, piękne cnoty naturalne i godne pamięci charaktery. Jednak nie zdołaliśmy

wznieść się na właściwe wyżyny, bo nie doszliśmy szczytów całego gmachu, jakim jest w życiu ludzkim Chrystus ze swoją nauką, gdyż ozdoby Panteonu przysłaniały nam kopułę św. Piotra w Rzymie”.

Nauczyciel liceum, niejaki Delahaye, zajął się Lacordairem z całą starannością. Niestety, był to człowiek niewierzący, dlatego chłopiec przez obcowanie z nim nie mógł pogłębić swej wiary. „Przez trzy lata, wspomina Lacordaire, troszczył się Delahaye z całą bezinteresownością i pieczołowitością o moje naukowe wykształcenie. Choć byłem dopiero uczniem szóstej klasy, kazał mi dużo czytać i uczyć się napamięć całych tragedii Racina i Voltaira. Miał przytem tyle cierpliwości, że przesłuchiwał mnie potem z tych rzeczy. Jako wielbiciel sztuk pięknych starał się wpoić we mnie zamiłowanie do tych utworów; będąc zaś człowiekiem prawym, uczciwym, usiłował wpoić we mnie uprzejmość, karność, prostotę i wspaniałość, nadto starał się ogromną moją popędliwość, jakiej często ulegałem, ująć w należyte karby. Religia była mu obcą. Nie mówił nigdy o niej, a nawet, zauważyłem, że jakby umyślnie nie wszczynał tej materji. Gdyby mu nie brakowało tego drogiego daru Bożego, mógłby być równie dobrym kierownikiem mej duszy, jak był dobrym duchem moich naukowych wysiłków i mojej naturalnej etyki. Bóg, zsyłając mi go jako drugiego ojca i mistrza mego, dopuścił w wyrokach swej Opatrzności, żebym spadł w przepaść niewiary, bym potem dostał większej łaski, płynącej z Boskiego Objawienia. Pan Delahaye wprowadził mnie na pochyłość, która pozbawiła mnie i kolegów moich wszelkiej religijnej wiary; trzymał nas jednak mocno na wzniosłych wyżynach nauki i honoru, które były podwaliną własnego jego życia”.

„Wypadki 1815 r. rozłączyły nas. Byłem wtedy mierzalnym uczniem. Rozumie się, że nie mogło być mowy o ja-

kiemś mojem odznaczeniu w ciągu pierwszych lat nauki. Zarówno pod względem umysłowym jak i moralnym kroczyłem wówczas po pochyłej drodze upadku, który jest zawsze karą za niewiarę, a zarazem największym nie-szczęściem dla człowieka. Gdy, nareszcie, w jednej jedynej retoryce zacząłem wykazywać postępy, wtedy spotykały mnie liczne nagrody, jakie otrzymywałem od przełożonych. W końcu roku te postępy z retoryki podniecały moją ambicję. Zakończyłem studia klasyczne niezbyt bogatym filozoficznym kursem, bez zaokrąglenia i pogłębienia tego przedmiotu i opuściłem kolegum jako siedemnastoletni młodzieniec, pozbawiony wierzeń religijnych, z pewnem tylko zewnętrznem ułożeniem. Zostało mi jedno, że byłem zawsze szczery, gorliwy w pracy, bardzo wrażliwy na punkcie swej godności osobistej, zamiłowany w poezji i żądny sławy. Te, czysto ludzkie ideały, miałem przed oczyma jako pochodnię życia mego”.

W roku 1819 wstąpił Lacordaire na uniwersytet w Dijon, gdzie studjował prawo. Wtedy zrzuciła Opatrzność, że znalazł tu małe kółko kolegów, stojących mocno przy wierze katolickiej. Lacordaire przyłączył się do nich i prowadził z nimi dysputy o różnych kwestjach historycznych, filozoficznych i religijnych. „Z przybyciem Lacordaire’a do nas, mówi jeden z tych młodzieńców, kółko nasze ożywiło się i zyskało na znaczeniu. Nowy towarzysz zdystansował nas wkrótce swoją wyższością duchową, darem ognistej wymowy i rzadko spotykanym zewnętrznym wdziękiem, którym sobie ujmował wszystkich. Na zebraniach mówił zwykle z taką siłą, jakby chciał się bronić przed samym szatanem. Przemowy te były podobne do wybuchu wulkanu. To samo, co spotykamy w młodym wieku u innych wielkich ludzi jak np. u św. Augustyna, Diepenbrocka, Görresa, Stolza, zanim stanęli mocno na gruncie wiary, to daje się zauważyć

i w życiu Lacordaira, a mianowicie dziwna, niczem nie-pohamowana tęsknota za czymś, z czego sam sobie nie umiał dokładnie zdać sprawy. Powtarza się zawsze i wszędzie ta sama stara prawda, którą wypowiedział już św. Augustyn: „Stworzył nas Bóg dla siebie i niespokojne jest serce nasze, póki w Nim nie spocznie”.

„Duch mój jest stanowczo starszy, niżby się zdawało, pisze Lacordaire z pewnym odcieniem melancholji, nie ludzą mnie już kwiatki żadne, mało mam przywiązania do życia, zniszczyła je fantazja moja. Przesyciłem się wszystkim bez dokładnego poznania czegokolwiek. Gdyby wiedziano, jaki smutek góruje we mnie ponad wszystkim! Zżyłem się już z nim najściślej. Mówią mi o sławie pisarskiej, o urzędach publicznych! Marzę o tem, ale, mówiąc szczerze, mam jakieś dziwne politowanie dla szukających sławy i nie pojmuję wprost, jak można z takim nakładem uganiać się za tą marą”.

Rozmowy z wierzącymi przyjaciółmi wykazywały nieraz jego przewagę umysłową, doprowadzały go jednak do dziwnego nastroju. „Wszystko, mówi sam później o tych przeżyciach, burzyło się i kipiało wtedy we mnie. W czasie tych walk wewnętrznych szukałem uspokojenia w pracy nad historją i dzięki niej poznałem błogosławiony wpływ chrystjanizmu na postęp i cywilizację narodów. Kościół stanął mi przed oczyma jako potęga socjalna w całym znaczeniu tego słowa. Doszedłem nadto do wniosku, że wiara szerzyła stale pokój wśród ludzi i błogi owoc cywilizacji, zaś niewiara i bezbożność niosły i rodziły wszędzie zniszczenie. I wyprzysiągłem się pewnego razu uroczyscie wśród kolegów zasad Rousseau'a. Byłem wszakże jeszcze dalekim do tego, by zostać wierzącym chrześcijaninem”.

W roku 1821 udał się Lacordaire do Paryża, by tam rozpocząć swą praktykę w najwyższym sądzie. Pomimo młodzieńczego wieku (miał 19 lat) występował już jako

obrońca i to z takim powodzeniem, że poważni ludzie wróżyli mu wielką przyszłość. Jego niezwykle umysł był zdolny do uciążliwej i ciągłej pracy. Ognisty zapał łączył Lacordaire z umiarkowaniem, bystrość umysłu z najbardziej wyteżoną uwagą i roztropnością. Wczesna dojrzałość nie ujmowała mu wcale wdzięku młodzieńczego, a wesołość, granicząca z dziecięcą swawolą, łączyła się z rozumą poważnego myśliciela. Mimo wszystko czuł się Lacordaire w wielkim światowym mieście Paryżu zupełnie osamotnionym. Brakowało mu wiernych przyjaciół z Dijon. „Żyłem, tak się skarży, samotnie i pozostawiony własnym marzeniom młodzieńczego wieku (miałem 20 lat) bez wszelkich przyjemności i przyjacielskich stosunków, bez uciech świata, bez przywiązania do czegokolwiek, z niewyraźną tylko może chęcią sławy. Niektóre wcale udatne obrony wygłaszane wobec sędziów przysięgłych, podniecały mnie trochę, ale nie wypełniały wcale mej duszy. W takim stanie osamotnienia i upadku ducha szukał mnie Pan Bóg i znalazł”.

W długie wieczory zimowe, które spędzał sam na sam w mieszkaniu, wspominał nieraz o przejawach budzącej się w nim religijności w Dijon. W takim nastroju duchowym zaczął się na nowo modlić, i w ten sposób powoli wiara odniosła zwycięstwo w jego duszy, bo Bóg nie odmawia nigdy pomocy tym, co Go o nią proszą.

Z modlitwami syna połączyła swoje dobra jego matka. Lacordaire widział doskonale, jak serce matki napęłnia się smutkiem wielkim na myśl, że nawet wśród swoich najbliższych nie ma nikogo o prawdziwych chrześcijańskich zasadach, że żaden z jej synów nie spełnia obowiązków religijnych. Lecz ta dobra matka im mniej mogła mówić z synem o Bogu, tem więcej rozmawiała o swym synu z Bogiem. I Bóg, który otarł łzy Moniki św., pocieszył i ją w jej strapieniu i smutku. I jeśli Lacordaire pisał później,

że wszystko zawdzięcza matce, to miał na myśli przede wszystkim tę jej wielką zasługę, że, dzięki jej modlitwom, wrócił do Boga. Ze wzruszeniem wspomina potem w swych konferencjach o błogosławionych skutkach macierzyńskich modłów, których sam na sobie doznał. Pamięć o matce pozostała mu na zawsze w duszy drogą.

Taki błogi nastrój napełniał jego duszę, gdy nareszcie stanął mocno na opoście wiary! „To nie było zaparcie się rozumu, tak sam wołał, przeciwnie—to powiększenie światła, spoglądanie na wszystko z szerszego horyzontu przy lepszym oświeceniu. To nie jakieś naginanie charakteru do skostniałej reguły—to raczej powiększenie własnej siły przez działanie, oparte na mocniejszych podstawach, niż są siły przyrody. Wiara budzi radość życia i serca, dając pełnię i szczyt zadowolenia. Człowiek mądrze wierzący pozostaje sobą z tą tylko różnicą, że przybywa Bóg do jego myśli. Kto pozbawiony jest czynnika wiary, ten nie zrozumie, czym jest właściwie życie ludzkie. Jest ono wtedy zrealizowaniem słów Jezusa Chrystusa z Ewangelji św. Jana: „Kto mnie miłuje, ten miłuje Ojca mego i przyjdziemy do niego i mieszkanie u niego uczynimy”.

Gorąca dusza Lacordaira nie mogła już teraz pozostać chłodną w stosunku do wiary i pobożności. Wierzyć i poświęcać się, było to dla niego jedno i to samo. Już w parę miesięcy po swem nawróceniu uczuł w sobie nieprzeczwyciężoną potrzebę poświęcenia się ołtarzowi, by tak drogo zdobytym skarbem wiary dzielić się z innymi.

„Pragnienie to, jak sam zeznaje na łożu śmierci, oparowało mną zupełnie jako konsekwencja mego szczęścia wewnętrznego. Było może za żywe i gwałtowne, może nawet nieprzemyślane dokładnie, lecz niewzruszone i nie żałowałem go nigdy potem w ciągu czterdziestu lat czynnego mego życia”.

Gdy Arcybiskup Paryża przyjmował go jako słucha-

cza św. Teologii, rzekł mu: „Bronisz wobec sądu kwestyj spornych w rzeczach przemijających, w przyszłości zajmiesz się sprawami sprawiedliwości wiecznej. Na świecie panują w tym kierunku zupełnie przeciwne poglądy, ale przed trybunałem najwyższym wygramy kiedyś ostatecznie z całą pewnością”.

W 1827 r. otrzymał Lacordaire święcenia kapłańskie i wkrótce osiągnął powszechną sławę jako jeden z najpotężniejszych obrońców wiary katolickiej. Gdy papież potępił kierunek gazety „Avenir”, wydawanej przez Lacordaire’a razem z Lamennaisem i Montalembertem, Lacordaire był pierwszym, który poddał się szczerze i z całą pokorą wyrokowi Kościoła, nadto nakłonił do tego również i Montalemberta; wysiłki zaś jego w stosunku do Lamennaisa spełzły, niestety, na niczem.

Wskutek nalegań młodego Ozanama i innych studentów rozpoczął Lacordaire w 1835 r. obronę wiary głoszeniem konferencji, który budziły niezwykle entuzjazm dla wiary świętej i dla Kościoła.

W roku 1839 został Dominikaninem i sprowadził ten zakon na nowo do Francji. Akademia Francuska wybrała go swym członkiem. Trzymając w ręku krzyż, umarł dnia 20 listopada 1861 r. ze słowami: „Boże mój, Boże, otwórz mi, otwórz!”.





47572/
12